

CLIVE CUSSLER

**PODNIĘŚĆ
TYTANICA**

Przełożył:
MAREK CEGIEŁA

Przedmowa

Kiedy Dirk Pitt wydobywał „Titanica” na kartkach powieści pisanej na maszynie, która stała w kącie nie wykończonej sutereny, faktyczne odnalezienie tego legendarnego transatlantyku miało nastąpić dopiero za dziesięć lat. Był rok 1975 i wówczas to powstała powieść „Wydobyć »Titanica«!”, czwarta książka o podwodnych przygodach Pitta. W owym czasie jeszcze nikt nie myślał o podjęciu ogromnego wysiłku, jaki wiązał się z długotrwałą i niezwykle kosztowną operacją poszukiwania statku. Kiedy jednak książkę wydano i na jej podstawie nakręcono film, fala zainteresowania ponownie ogarnęła Amerykę i Europę. Zorganizowano przynajmniej pięć wypraw, których celem było odnalezienie wraku.

Mój pomysł napisania tej książki wziął się z chęci ujżenia słynnego statku, a także z marzeń o jego wydobyciu z dna morza i odholowaniu do nowojorskiego portu, by w ten sposób zakończył swój dziewiczy rejs, rozpoczęty trzy czwarte wieku temu. Na szczęście miliony osób interesujących się wrakiem dzieliły ze mną te marzenia.

Obecnie, po siedemdziesięciu trzech latach od chwili, gdy „Titanica” pochłonęła czarna, głucha otchłań, kamery wreszcie odkryły jego otwarty grób.

Fikcja stała się faktem.

Opis wraku, jak go w powieści widział Pitt, jest bardzo zbliżony do tego, co zobaczyły automatyczne kamery wkrótce po zlokalizowaniu transatlantyku dzięki cudowi, jaki stanowi sonar. Poza uszkodzeniami wskutek uderzenia o dno, które tam znajduje się na głębokości niemal czterech kilometrów, statek prawie nie ucierpiał z powodu korozji czy działania morskiej roślinności. Nawet butelki z winem i fragmenty srebrnej zastawy stołowej, leżące na dnie morza w mule, wyglądają niemal jak dawniej.

Czy „Titanic” będzie kiedykolwiek wydobyty?

Jest to mało prawdopodobne. Całkowite koszty wydobycia statku równałyby się wydatkom związanym z realizacją programu „Apollo”, czyli lądowaniem człowieka na Księżycu. Należy jednak oczekiwać, że wkrótce wokół kadłuba wraku zaczną krążyć załogowe łodzie podwodne w poszukiwaniu skarbu oraz że amerykańscy i brytyjscy prawnicy zakasają rękawy, przygotowując się do długotrwałej batalii sądowej o prawo do ich posiadania.

Pitt zawsze patrzył w przyszłość i odkrywał, że jest podniecająca i pełna przygód. W latach siedemdziesiątych był człowiekiem lat osiemdziesiątych, a obecnie jest człowiekiem lat dziewięćdziesiątych. Jak zwiadowca, który prowadzi sznur wozów jadących na zachód, Pitt zagląda za następne wzgórze i mówi nam, co się tam znajduje. Widzi to, co w naszych marzeniach wszyscy pragniemy zobaczyć.

Dlatego wiadomość o odnalezieniu „Titanica” chyba nikogo nie ucieszyła bardziej niż mnie.

Bo przecież to właśnie Pitt pierwszy zobaczył wrak.

Clive Cussler

Kwiecień 1912 roku

PROLOG

Mężczyzna w luksusowej kabinie numer 33 na pokładzie A rzucał się i przewracał w wąskiej koi. Jego spocona twarz wskazywała, że śni mu się jakiś koszmar. Nie był człowiekiem wysokim, mierzył sobie niespełna sto sześćdziesiąt centymetrów; rzadzące siwe włosy okalały łagodną twarz, której jedyną rzucającą się w oczy cechą były czarne krzaczaste brwi. Jego splecione ręce spoczywały na klatce piersiowej; palce zaciskały się w nerwowym rytmie. Wyglądał na pięćdziesiąt lat. Jego skóra barwą i chropowatością przypominała betonowy chodnik, pod oczami miał głębokie bruzdy. W rzeczywistości jednak brakowało mu dziesięciu dni do ukończenia trzydziestego czwartego roku życia.

Ciężka harówka i tortury psychiczne z ostatnich pięciu miesięcy tak go wyczerpały, że znalazł się na progu szaleństwa. Kiedy czuwał, myśli nieprzytomnie kłębiły mu się w głowie; całkowicie utracił poczucie czasu i rzeczywistości. Bez przerwy musiał sobie przypominać, gdzie się znajduje i jaki jest dzień tygodnia. Powoli, lecz nieuchronnie wpadał w obłęd, a co najgorsze, zdawał sobie z tego sprawę.

Otwierając oczy zatrzepotał rzęsami i utkwiał wzrok w wentylatorze zwisającym z sufitu kabiny. Przetarł dłońmi twarz pokrytą dwutygodniowym zarostem. Nie musiał patrzeć na swoje ubranie — wiedział, że jest brudne, wymięte i przepocone. Po zaokrętowaniu powinien był się wykapać i przebrać, ale zamiast tego padł na kolę, w której przespał prawie trzy dni niespokojnym, przerywanym snem, pełnym strachu i obsesji.

Był późny niedzielny wieczór. Statek miał przybić do portu w Nowym Jorku dopiero wczesnym rankiem we środę, a więc do końca podróży pozostawało jeszcze nieco ponad pięćdziesiąt godzin. Mężczyzna próbował sam siebie przekonać, że już nic mu nie grozi, ale jego umysł nie chciał tego uznać, chociaż to, czego zdobycie kosztowało tyle istnień ludzkich, było ukryte w absolutnie bezpiecznym miejscu. Po raz setny wymacał zgrubienie w kieszonce kamizelki. Zadowolony, że klucz w dalszym ciągu tam się znajduje, przetarł dłonią lśniące od potu czoło i znów zamknął oczy.

Nie zdawał sobie sprawy, jak długo drzemał. Coś go obudziło. Chyba nie żaden hałas ani gwałtowny ruch, raczej co innego, jak gdyby drganie materaca i jakieś dziwne trzaski głęboko pod jego kabiną, usytuowaną na prawej burcie. Sztywno usiadł i opuścił stopy na podłogę. Minęło kilka minut, nim się zorientował, że panuje niezwykła cisza, spowodowana brakiem wibracji. Zatrzymano maszyny. Siedział nadstawiając uszu, ale słyszał jedynie żarty stewardów w korytarzu i odgłosy przytłumionej rozmowy w sąsiedniej kabinie.

Poczuł lodowaty chłód niepokoju. Inny pasażer po prostu zignorowałby przerwę w pracy maszyn i ponownie zasnął, on jednak miał wyczulone zmysły, które przesadnie na wszystko reagowały. Trzydniowe zamknięcie w kabinie bez jedzenia i picia, spowodowane chęcią uwolnienia się od strasznych przeżyć z ostatnich pięciu miesięcy, jedynie podsyciło obłęd w jego umyśle, szybko ulegającym degeneracji.

Otworzył drzwi na korytarz i niepewnym krokiem ruszył w stronę głównej klatki schodowej. Ludzie śmiali się i rozmawiali, wracając z klubu do swoich kabin. Spojrzał na ozdobny zegar z brązu z dwiema płaskorzeźbami po bokach, wiszący na półpiętrze. Połączone wskazówki pokazywały godzinę jedenastą piętnaście.

Jakiś steward, który stał przy bogato zdobionym cokole lampy u stóp schodów, popatrzył na niego pogardliwie, najwyraźniej zgorzony widokiem tak nędznie ubranego pasażera w pomieszczeniach pierwszej klasy, gdzie po kosztownych wschodnich dywanach wszyscy spacerowali w eleganckich strojach wieczorowych.

— Maszyny... maszyny stoją — odezwał się mężczyzna zachrypniętym głosem.

— Prawdopodobnie z powodu jakiejś drobnej regulacji, proszę pana — odparł steward. — Wiadomo, nowy statek w dziewiczym rejsie, i tyle. W każdej maszynie może coś nawalić. Nie ma się czym przejmować. Przecież pan wie, że statek jest niezatopialny.

— Skoro zbudowano go ze stali, to może zatonać — mruknął mężczyzna, przecierając zaczerwienione oczy. — Wyjdę na pokład i się rozejrzę.

Steward pokręcił głową.

— Nie radziłbym szanownemu panu tego robić. Jest straszliwy ziąb.

Pasażer w wygniecionym ubraniu wzruszył ramionami. Był przyzwyczajony do chłodu. Odwrócił się, wdrapał po schodach piętro wyżej i wszedł w drzwi prowadzące na pokład łodziowy. Zakrztusił się, jak gdyby wraz z powietrzem wciągnął do płuc tysiące małych igiełek. Po trzech dniach leżenia w ciepłej kabinie temperatura bliska zera wywołała nagły wstrząs. Nie było najmniejszego powiewu wiatru, a jedynie ostry, dotkliwy chłód, spływający z bezchmurnego nieba.

Mężczyzna podszedł do relingu i postawił kołnierz marynarki. Wychylił się za burtę, spojrzął w dół, lecz zobaczył jedynie czarne morze, spokojne jak sadzawka w parku. Popatrzył w stronę dziobu, a potem na rufę. Od wypukłego dachu palarni pierwszej klasy aż po sterówkę przed pomieszczeniami oficerskimi pokład łodziowy był całkowicie pusty. Tylko dym unoszący się z pierwszych trzech spośród czterech żółto-czarnych kominów i oświetlone okna klubu i czytelnicy świadczyły o ludzkiej obecności.

Biała piana wzdłuż burty zaczęła czernieć i znikać, kiedy potężny statek powoli tracił szybkość, dryfując w ciszy pod rozgwieżdżonym niebem. Z mesy oficerskiej wyszedł intendent i zerknął za burtę.

— Dlaczego się zatrzymujemy?

— W coś stuknęliśmy — odparł intendent, nie odwracając głowy.

— Czy to coś poważnego?

— Skądże znowu, proszę pana. Zresztą nawet gdyby powstał jakiś przeciek, to pompy powinny sobie z nim poradzić.

Nagle z ośmiu wylotów buchnęła para, świszcząc ogłuszająco niczym setka lokomotyw w tunelu. Nim pasażer zasłonił sobie uszy, rozpoznał przyczynę. Dostatecznie długo przebywał w pobliżu maszyn, by wiedzieć, że to nadmiar pary z beczynnych silników tłokowych wypuszczano przez zawory bocznikowe. Ogłuszający hałas uniemożliwił dalszą rozmowę z intendentem. Mężczyzna odwrócił się i obserwował innych członków załogi statku, którzy pojawili się na pokładzie łodziowym. Kiedy zobaczył, że zdejmują osłony z szalup i klarują talie żurawików, wówczas poczuł okropny strach, który ścisnął mu żołądek.

Stał tak blisko godzinę, podczas gdy świst dobywającej się z wylotów pary powoli zamierał w nocnej ciszy. Kurczowo trzymając się relingu, niepomny na chłód, mężczyzna prawie nie zwracał uwagi na małe grupki pasażerów, którzy błądzili po pokładzie łodziowym, dziwnie milczący i oszołomieni.

W pewnej chwili zbliżył się jeden z młodszych oficerów. Był to dwudziestokilkuletni mężczyzna o typowo angielskiej mlecznobiałej cerze i z typowo angielską znudzoną miną. Podszedł do człowieka stojącego przy relingu i klepnął go w ramię.

— Bardzo pana przepraszam, ale musi pan założyć pas ratunkowy.

Mężczyzna powoli odwrócił się i wlepił wzrok w oficera.

— Toniemy, prawda? — spytał chrapliwie.

Oficer zawahał się na moment, a potem skinął głową.

— Statek bierze wodę i pompy nie nadążają.

— Ile czasu nam pozostało?

— Trudno powiedzieć. Może jeszcze godzina, jeżeli woda nie dotrze do kotłów.

— Co się stało? Przecież w pobliżu nie było żadnego innego statku. Z czym się zderzyliśmy?

— Z górą lodową. Rozdarła nam kadłub. Parszywy pech. Mężczyzna chwycił rękę oficera tak mocno, że młody człowiek aż się skrzywił.

— Muszę dostać się do ładowni.

— Ma pan małe szanse, proszę pana. Woda zalewa pomieszczenia pocztowe i bagaże w ładowniach już pływają.

— Pan musi mnie tam zaprowadzić.

Oficer próbował się uwolnić, ale ręka pasażera trzymała jak imadło.

— To niemożliwe. Mam rozkaz zająć się łodziami ratunkowymi na prawej burcie.

— Może to zrobić inny oficer — powiedział pasażer bezbarwnym głosem — a pan zaprowadzi mnie do ładowni.

W tym momencie oficer zauważył wykrzywioną obłędem twarz pasażera i poczuł lufę pistoletu, która wciskała mu się w genitalia.

— Rób, co ci każe — warknął mężczyzna — jeśli chcesz zobaczyć swoje wnuki.

Oniemiały oficer wlepił oczy w pistolet, a potem podniósł wzrok. Nagle zrobiło mu się niedobrze. Nawet nie pomyślał o sprzeciwie czy oporze, w zaczerwienionych oczach przed sobą zobaczył bowiem szaleństwo.

— Mogę tylko spróbować.

— No więc próbuj! — warknął mężczyzna. — I żadnych sztuczek. Cały czas będę szedł za tobą. Jeden głupi błąd, a rozwalę ci kręgosłup.

Dyskretnie wsunął pistolet do kieszeni marynarki i wcisnął lufę w plecy oficera. Torowali sobie drogę przez skłębiony tłum pasażerów, którzy teraz bezładnie miotali się po pokładzie łodziowym. Był to już jakby inny statek. Nikt nie śmiał się i nie żartował, zniknął gdzieś podział na klasy; i bogatych, i biednych łączył wspólny strach. Jedynie stewardzi się uśmiechali, próbując zabawiać pasażerów rozmową o niczym i wręczając im białe pasy ratunkowe.

Rakiety, którymi wzywano pomocy, wyglądały niepozornie i zdawało się, że wystrzelono je w smolistą czern na próżno, ich białych świateł bowiem nie widział nikt poza ludźmi stojącymi na pokładzie statku skazanego na zagładę. Stanowiły niesamowite tło dla rozdzierających serce pożegnań, kiedy mężczyźni z wymuszoną nadzieją w oczach troskliwie wsadzali swoje żony i dzieci do łodzi ratunkowych. Nierealność tej sceny potęgowała ośmioosobowa orkiestra, zebrana na pokładzie łodziowym — jej członkowie wyglądali całkiem nie na miejscu z instrumentami muzycznymi i w białych pasach ratunkowych. Zaczęli grać „Alexander's Ragtime Band” Irvinga Berlina.

Ponaglany pistoletem oficer przeciskał się przez tłum ludzi idących w górę głównymi schodami na pokład łodziowy. Dziób statku zanurzał się coraz bardziej, co sprawiało, że obaj schodzący mężczyźni co chwila tracili równowagę. Na pokładzie B ściągnęli windę i ruszyli nią w dół na pokład D.

Młody oficer odwrócił się i przyjrzał człowiekowi, który skazywał go na pewną śmierć, wiedziony dziwnym kaprysem. Usta mężczyzny były zaciśnięte, a szkliste oczy patrzyły w przestrzeń. Pasażer zauważył, że oficer mu się przygląda. Zwarli się oczyma na dłuższą chwilę.

— Nie martw się...

— Nazywam się Bigalow, proszę pana.

— Nie martw się, Bigalow. Zdązysz przed zatonięciem statku.

— Do której sekcji ładowni chce się pan dostać?

— Do skarbca w ładowni numer jeden, na pokładzie G.

— Pokład G z pewnością jest już zalany.

— Będziemy mogli to stwierdzić dopiero wówczas, gdy tam dotrzemy, prawda?

Kiedy drzwi windy się otwarły, pasażer poruszył pistoletem w kieszeni. Wyszli i znów przeciskali się przez tłum.

Bigalow zerwał z siebie pas ratunkowy, podbiegł do schodów prowadzących na pokład E, zatrzymał się, spojrzął w dół i zobaczył wodę, której poziom nieubłaganie się podnosił, cal po calu. Kilka lamp pod powierzchnią zimnej wody jeszcze się paliło, roztaczając upiorny blask.

— To nie ma sensu. Sam pan widzi.

— Czy jest jakaś inna droga?

— Drzwi wodoszczelne zamknięto po kolizji. Może uda nam się tam dotrzeć przejściami dla załogi.

— Chodźmy więc.

Okrężna droga prowadziła przez labirynt stalowych korytarzy i pionowych przejść z drabinkami. W pewnej chwili Bigalow się zatrzymał, podniósł okrągłą pokrywę niewielkiego wjazdu w podłogę i zajrzał do środka. O dziwo, poziom wody na pokładzie ładunkowym sięgał zaledwie około połowy metra.

— Beznadziejna sprawa — skłamał. — Ładownia jest zalana. Pasażer brutalnie odepchnął oficera na bok i sam zajrzał do wjazdu.

— Dla mnie jest wystarczająco płytko — wycedził. Lufą pistoletu machnął w stronę otworu. — Schodzimy.

Lampy na suficie ładowni wciąż jeszcze się paliły, kiedy obaj mężczyźni brnęli w wodzie, zmierzając do skarbcza statku. W słabym świetle błysnęła mosiądzami ogromna limuzyna renault umocowana do podłogi.

Potykaçąc się w lodowatej wodzie, kilkakrotnie się przewrócili, aż zdrętwieli z zimna. Zataczając się jak pijani, wreszcie dotarli do skarbcza. Miał on kształt sześcianu o boku dwóch i pół metra i stał w samym środku ładowni; jego ściany grubości trzydziestu centymetrów wykonano z najlepszej stali.

Pasażer wyjął klucz z kieszeni kamizelki i włożył go do zamka, który był nowy i jeszcze nie wyrobiony, lecz w końcu ustąpił z głośnym trzaskiem zapadek. Mężczyzna otworzył ciężkie drzwi i wszedł do środka. Wówczas odwrócił się i po raz pierwszy uśmiechnął.

— Dziękuję za pomoc, Bigalow. Lepiej zmykaj na górę. Masz jeszcze dość czasu.

Bigalow był zaskoczony.

— Pan zostaje?

— Tak, ja zostaję. Zamordowałem ośmiu dobrych, prawdziwych ludzi. Nie mógłbym z tym żyć — powiedział apatycznie tonem pełnym rezygnacji. — Wszystko się skończyło, i kropka. Wszystko.

Bigalow chciał coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle.

Pasażer ze zrozumieniem pokiwał głową i zaczął ciągnąć drzwi, by zamknąć je za sobą.

— Chwała Bogu za Southby — rzekł, a potem zniknął w ciemnym wnętrzu skarbcza.

Bigalow się uratował.

Wygrał wyścig z podnoszącą się wodą, zdołał dotrzeć na pokład łodziowy i skoczyć do morza ledwie na kilka sekund przed zatonięciem statku.

Kiedy kadłub ogromnego transatlantyku zniknął w odmętach oceanu, czerwona bandera z białą gwiazdą, bezwładnie zwisająca z topu masztu na rufie w tę bezwietrzną noc, nagle rozwinęła się pod dotknięciem morza, jak gdyby w ostatnim salucie nad grobem półtora tysiąca mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy umierali z zimna albo tonęli w lodowatej wodzie.

Wiedziony ślepy instynkt, Bigalow wyciągnął rękę i chwycił przemykającą obok niego banderę. Nim zdążył się zorientować, nim w pełni uświadomił sobie niebezpieczeństwo, jakim groził ten nierozważny czyn, bandera wciągnęła go pod wodę. Mimo to uporczywie ją trzymał, nie rozluźniając chwytu. Znajdował się już na głębokości około pięciu metrów, gdy bandera w końcu oderwała się od masztu i wreszcie ją zdobył.

Dopiero wtedy zaczął walczyć o wydostanie się na powierzchnię płynnej czerni. Minęła cała wieczność, zanim ponownie mógł oddychać nocnym powietrzem ciesząc się, że tonący statek nie pociągnął go za sobą w otchłań.

Woda o temperaturze bliskiej zera omal go nie zabiła. Gdyby pozostał w jej lodowatym uścisku jeszcze choćby przez dziesięć minut, wówczas powiększyłby liczbę ofiar tej straszliwej tragedii.

Ocaliła go lina, którą chwycił, kiedy otarła się o jego rękę. Była przywiązana do przewróconej szalupy. Ostatnim wysiłkiem przemarzniętych mięśni wciągnął się na jej dno, gdzie z trzydziestoma zdrętwiałymi z zimna rozbitkami po czterech godzinach doczekał chwili, gdy uratował ich inny statek.

Rozpaczliwe krzyki setek ludzi, którzy wtedy zginęli, pozostaną na zawsze w pamięci tych, co przeżyli katastrofę. Jednakże Bigalow, czepiając się dna przewróconej szalupy, myślał o czymś innym: o mężczyźnie, który zamknął się na zawsze w skarbcu „Titanica”.

Kim był?

Kim byli ludzie, do których zamordowania się przyznał?

Jaką tajemnicę krył skarbiec „Titanica”?

Pytania te nie dawały spokoju Bigalowowi przez następne siedemdziesiąt sześć lat, do ostatnich chwil jego życia.

Część I

„PLAN SYCYLIJSKI”

Lipiec 1987 roku

1.

Prezydent odwrócił się na fotelu obrotowym, splótł dłonie na potylicy i patrzył niewidzącym wzrokiem przez okno Gabinetu Owalnego, przeklinając swój los. Nigdy się nie spodziewał, że aż tak znienawidzi urząd, który pełnił. Dokładnie wiedział, kiedy minął mu cały zapas. Wiedział o tym już tego ranka, gdy miał trudności ze wstaniem z łóżka. Dotychczas lęk przed rozpoczynającym się dniem zawsze był pierwszą oznaką zniechęcenia.

Po raz tysięczny od chwili objęcia urzędu zastanawiał się, czy warto było z takim trudem i tak długo walczyć o to przeklęte, niewdzięczne stanowisko. Cena, jaką za nie zapłacił, okazała się bardzo wysoka. Droga do politycznej kariery kosztowała go wielu straconych przyjaciół i rozbite małżeństwo. Tuż po zaprzysiężeniu jego raczkującą administracją zachwiał skandal w Departamencie Skarbu, wojna w Ameryce Południowej, powszechny strajk pracowników linii lotniczych i wrogo nastawiony Kongres, który nie ufał już żadnemu z rezydentów Białego Domu. Dodatkowe przekleństwo posłał Kongresowi, dwukrotnie odrzucił bowiem jego weto, a prezydentowi było to nie w smak.

Chwała Bogu, nie grozi mu kolejny wybór na to parszywe stanowisko. Fakt, że dwa razy udało mu się wygrać, wciąż pozostawał dla niego tajemnicą. Pogwałcił przecież wszystko to, co dla kandydata na prezydenta stanowiło polityczne tabu. Nie tylko był rozwodnikiem, ale również nie chodził do kościoła, publicznie palił cygara, a do tego zapuścił ogromne wąsy. Prowadząc kampanię ignorował przeciwników, wyborcom zaś mówił całą prawdę bez osłonek, co bardzo im się podobało. Wyłynął w czasie, gdy przeciętny Amerykanin miał już dość sympatycznych kandydatów, którzy ciągle się uśmiechali, lubili występować przed kamerami telewizyjnymi i wygłaszali okrągłe, puste zdania, jakich prasa nie mogła przekręcić ani doszukać się w nich ukrytego znaczenia.

Jeszcze osiemnaście miesięcy i skończy się jego druga kadencja. Jedyne świadomość tego pozwalała mu jakoś funkcjonować. Jego poprzednik przyjął stanowisko przewodniczącego rady zarządzającej Uniwersytetu Kalifornijskiego, Eisenhower wycofał się na swoją farmę w Gettysburgu, a Johnson na ranczo w Teksasie. Jemu takie odstawienie na bocznicę jednakże nie odpowiadało. W planach miał samotną wyprawę dwunastometrowym keczem na południowy Pacyfik. Tam będzie mógł ignorować przeklęte kryzysy, wstrząsające światem, i popijać rum, oglądając miejscowe płaskonose piękności o wydatnym biuście, kiedy znajdą się w zasięgu jego wzroku. Przymknął powieki i już obraz ten zaczął mu się rysować przed oczami, gdy jego sekretarz otworzył drzwi i chrząknął.

— Przepraszam, panie prezydencie, ale panowie Seagram i Donner czekają.

Prezydent wraz z fotelem odwrócił się twarzą do biurka i przeciągnął dłońmi po swoich szpakowatych włosach.

— Dobra, dawaj ich.

Wyraźnie się ożywił. Gene Seagram i Mel Donner mieli dostęp do prezydenta o każdej porze dnia i nocy. Kierowali badaniami prowadzonymi przez Sekcję Meta, czyli grupę naukowców pracujących w absolutnej tajemnicy nad projektami, o jakich jeszcze nikt nie słyszał - projektami, których realizacja powinna pchnąć współczesną technikę o dwadzieścia, trzydzieści lat do przodu.

Sekcja Meta była dzieckiem prezydenta. Wymyślił ją w pierwszym roku urzędowania; na jej działalność załatwił tajny nieograniczony fundusz, którym sam dysponował, i osobiście wybrał niewielką grupę znakomitych i oddanych specjalistów, stanowiących trzon sekcji. Był z niej bardzo dumny. Nawet CIA i Agencja Bezpieczeństwa Państwowego nic nie wiedziały o jej istnieniu. Prezydent zawsze marzył o popieraniu zespołu ludzi, którzy mieli fantastyczne

pomysły o znikomych szansach realizacji. Zupełnie się nie przejmował tym, że po pięciu latach istnienia Sekcja Meta jeszcze nie odnotowała na swym koncie żadnego sukcesu.

Przywitali się bez podawania rąk, wymieniając jedynie kordialne „hello”. Seagram otworzył podniszczoną skórzaną teczkę i wyciągnął z niej skoroszyt pełen zdjęć lotniczych. Rozłożył je na biurku prezydenta i wskazał ręką kilka obszarów, zakreślonych kółkami wymalowanymi na nakładkach z przezroczystej folii.

— Górskie rejony górnej wyspy Nowej Ziemi, która leży na północ od Rosji kontynentalnej. Czujniki naszych satelitów wskazują, że istnieje tam pewna niewielka możliwość...

— Cholera! — mruknął prezydent. — Za każdym razem, kiedy coś takiego odkrywamy, musi to leżeć albo w Związku Radzieckim, albo tam, gdzie też nie wolno nam tego tknąć. — Obejrzał zdjęcia i spojrzał na Donnera. — Ziemia to duża planeta. Przecież są jeszcze inne obiecujące obszary.

Donner przecząco pokręcił głową.

— Przykro mi, panie prezydencie, ale geologowie nieprzerwanie szukają bizanium od czasu, gdy w 1912 roku odkrył je Alexander Beesley. Z tego co wiemy, żaden z nich jeszcze nie znalazł liczących się ilości tego pierwiastka.

— Jego radioaktywność jest tak wysoka — wtrącił Seagram — że już zniknął z kontynentów, poza niewielkimi śladowymi ilościami. Tę odrobinę pierwiastka, którą udało nam się zdobyć, z trudem uzyskano dzięki sztucznej syntezie cząsteczek.

— A właśnie, czy wy nie moglibyście go zsyntetyzować? — spytał prezydent.

— Nie, panie prezydencie — odparł Seagram. — Najtrwalsze cząsteczki, jakie udało nam się uzyskać w silnym akceleratorze, rozpadły się w niespełna dwie minuty.

Prezydent odchylił się do tyłu i wbił wzrok w Seagrama.

— Ile wam tego potrzeba, żeby zakończyć program? Seagram spojrzał na Donnera, a potem na prezydenta.

— Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, panie prezydencie, że to tylko wstępne, orientacyjne założenia...

— Ile wam potrzeba? — powtórzył prezydent.

— Według mnie jakieś dwieście trzydzieści gramów.

— Rozumiem.

— To tylko ilość niezbędna do sprawdzenia samej koncepcji — uzupełnił Donner. — Poza tym będzie potrzebne około pięciu i pół kilograma, żeby zapewnić całkowitą sprawność operacyjną sprzętu rozlokowanego wzdłuż granic państwa.

Prezydent oklapł w fotelu.

— Chyba z tego zrezygnujemy i zajmiemy się czymś innym...

Seagram był wysokim kościstym mężczyzną, mówił przyciszonym głosem i miał nienaganne maniery. Gdyby nie duży spłaszczony nos, mógłby niemal uchodzić za Abrahama Lincolna z ogoloną brodą.

Donner stanowił wręcz krańcowe przeciwieństwo Seagrama. Był niski i wskutek tego wydawał się grubszy niż wyższy. Miał włosy barwy pszenicy, melancholijne oczy i twarz, która zawsze sprawiała wrażenie spoconej. Zaczął mówić z szybkością karabinu maszynowego:

— „Plan Sycylijski” jest zbyt bliski realizacji, żeby go pogrzebać i o wszystkim zapomnieć. Usilnie nalegam, aby kontynuować prace. Musimy szukać jakiegoś wyjścia, a jeśli nam się uda... mój Boże, panie prezydencie, rezultaty będą fantastyczne.

— Oczekuję propozycji — spokojnie powiedział prezydent. Seagram głęboko wciągnął powietrze i wy palił:

— Po pierwsze, potrzebowalibyśmy pańskiej zgody na budowę niezbędnych instalacji. Po drugie, konieczne są fundusze, a po trzecie, pomoc Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych NUMA.

Prezydent rzucił Seagramowi pytające spojrzenie.

— Rozumiem pierwsze dwie prośby, ale nie widzę związku z NUMA. Po co wam ta agencja?

— Będziemy musieli przemyścić specjalistów mineralogów na Nową Ziemię, a ponieważ jest ona otoczona wodą, to jakaś ekspedycja oceanograficzna NUMA byłaby doskonałą przykrywką dla naszych działań.

— Ile czasu wam zajmą wstępne próby, budowa i zainstalowanie systemu?

— Szesnaście miesięcy i tydzień — bez wahania odparł Donner.

— Jak długo poradzicie sobie bez bizanium?

— Aż do fazy końcowej. Prezydent odchylił się do tyłu i spojrzął na zegar okrętowy, stojący na jego masywnym biurku. Nic nie mówił przez prawie pół minuty.

Wreszcie się odezwał:

— Z tego co widzę, panowie, chcecie ode mnie pieniędzy na budowę kosztownego, nie sprawdzonego i skomplikowanego systemu, który okaże się bezużyteczny z powodu braku podstawowego składnika, jeśli go nie ukradniemy wrogiemu krajowi.

Seagram nerwowo obracał w rękach teczkę, a Donner po prostu kiwał głową.

— Może mi powiecie — ciągnął prezydent — jak wytłumaczę konieczność budowy ogromnych instalacji wzdłuż granic państwa jakiemuś skąpemu liberałowi z Kongresu, jeśli przyjdzie mu do głowy zbadać tę sprawę?

— Dowcip właśnie polega na tym, że cały system jest zwarty i nie zajmuje dużo miejsca — powiedział Seagram. — Z obliczeń komputerowych wynika, że do naszych celów wystarczy budynek wielkości małej elektrowni. Ani rosyjskie satelity szpiegowskie, ani nawet mieszkający w pobliżu farmerzy nie wykryją nic niezwykłego. Prezydent pocierał dłonią brodę.

— Dlaczego chcecie zaczynać realizację „Planu Sycylijskiego”, skoro nie jesteście do tego w stu procentach przygotowani?

— Rzykujemy, panie prezydencie — rzekł Donner. — Zdajemy się na los szczęścia licząc, że w ciągu najbliższych szesnastu miesięcy albo nastąpi przełom i uzyskamy bizanium w laboratorium, albo gdzieś odkryjemy złoża, które będziemy mogli eksploatować.

— Gdyby nawet miało to trwać dziesięć lat, to już będzie czekała gotowa instalacja — powiedział Seagram. — Jedyłą stratą, jaką poniesiemy, będzie strata czasu.

Prezydent wstał.

— Panowie, zgadzam się na kontynuowanie waszego fantastycznonaukowego planu, ale pod jednym warunkiem. Macie na to dokładnie osiemnaście miesięcy i dziesięć dni, bo potem właśnie mój urząd przejmie nowy człowiek, ktokolwiek nim będzie. Jeśli do tego czasu chcecie czymś ucieszyć swojego protektora, to postarajcie się o jakieś wyniki.

Pod mężczyznami stojącymi z drugiej strony biurka z wrażenia ugięły się nogi. Wreszcie Seagram odzyskał mowę.

— Dziękujemy, panie prezydencie. Zapewniam, że kiedyś w jakiś sposób zespół zdobędzie ten pierwiastek. Może pan na to liczyć.

— Dobrze. A teraz panowie mi wybaczą. Mam pozować w Ogrodzie Różanym z grupą starych i tłustych cór Rewolucji Amerykańskiej — powiedział wyciągając rękę. — Powodzenia. I pamiętajcie, żebyście nie spieprzyli tych waszych tajnych operacji. Nie chcę afery, jaką miał Eisenhower z lotem szpiegowskim U-2. Jasne?

Nim Seagram i Donner zdążyli odpowiedzieć, prezydent odwrócił się i wyszedł bocznymi drzwiami.

Chevrolet Donnera wyjechał z bramy Białego Domu, włączył się do głównego strumienia pojazdów i ruszył przez Potomac do Wirginii. Donner nawet nie spojrzął we wsteczne lusterko w obawie, że prezydent zmieni zdanie i wyśle za nimi posłańca z odmową. Opuścił dach samochodu i wdychał wilgotne letnie powietrze.

— Ale mieliśmy fart — odezwał się Seagram. — Chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

— Mowa. Gdyby wiedział, że już przeszło dwa tygodnie temu wysłaliśmy człowieka na rosyjskie terytorium, to byłyby z tego nici. Wszystko skończyłoby się klapą.

— Jeszcze nic pewnego — mruknął pod nosem Seagram. — Jeszcze może być klapa, jeżeli NUMA nie zdoła go stamtąd zabrać.

2.

Sid Koplín był pewien, że umiera.

Oczy miał zamknięte; krew spływająca z jego boku plamiła biel śniegu. Kiedy stopniowo odzyskiwał świadomość, w głowie wirowały mu smugi światła i nie mógł opanować mdłości. Otrzymał jeden czy dwa postrzały? Nie był tego pewien.

Otworzył oczy, obrócił się na brzuch i stanął na czworakach. Czuł, jakby w głowie łupał mu młot pneumatyczny. Dotknął jej ręką i wymacał głębokie zakrzepłe rozcięcie skóry nad lewą skronią. Poza bólem głowy, przytłumionym z powodu mrozu, właściwie nic mu nie dolegało. Jedynie lewy bok, tuż pod żebrami, nieznośnie go piekł w miejscu, gdzie trafił drugi pocisk; czuł lepka jak syrop krew, która ściekała mu po nogach.

Po zboczach góry przetoczyło się echo strzałów z broni maszynowej. Koplín rozejrzał się dokoła, ale nie widział niczego poza bielą wirujących płatków śniegu niesionego wściekłym arktycznym wiatrem. Kolejna seria rozdarła mroźne powietrze. Domyślił się, że wystrzelono ją z odległości zaledwie stu metrów. Sowiecki strażnik musiał strzelać na oślep, w nadziei, że mimo zadymki znów uda mu się go trafić.

Koplín zupełnie przestał myśleć o ucieczce. Skończyło się. Wiedział, że nigdy nie zdoła dotrzeć do zatoczki, w której przycumował słup. Nie był w stanie przeżeglować tym niewielkim ośmiometrowym jachtem stu kilometrów po otwartym morzu — do miejsca spotkania z amerykańskim statkiem oceanograficznym.

Ponownie zapadł w śnieg. Wskutek krwotoku był tak bardzo osłabiony, że już więcej nie mógł się zdobyć na żaden wysiłek. Wiedział, że nie wolno mu dopuścić do tego, by Rosjanie go znaleźli. Stanowiło to część umowy z Sekcją Meta. Jeśli musi umrzeć, to jego ciało nie powinno być odnalezione.

Z ogromnym trudem zaczął przysypywać się śniegiem. Wkrótce stanie się niewielkim białym pagórkem na pustym zboczach Biednej Góry, na zawsze pogrzebany pod wciąż grubiejącą zlodowaciałą pokrywą.

Przerwał na chwilę i nadstawił ucha. Słyszał jedynie własny oddech i szum wiatru. Przystawił dłonie do uszu, wytyżając słuch. I wtedy poprzez wycie wiatru dotarło do niego ledwo uchwytnie szczekanie psa.

— O Boże! — wykrzyknął bezgłośnie.

Póki jego ciało będzie ciepłe, pies z pewnością je odnajdzie. W poczuciu przegranej Koplín całkiem oklapł. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko leżeć i czekać na śmierć.

Iskierka życia wciąż jednak w nim się tliła i nie chciała zgasnąć. Mając pomyślał, że może jednak miłosierny Bóg nie pozwoli mu tak leżeć i czekać, aż Rosjanie go zabrają. Przecież jest tylko profesorem mineralogii, a nie specjalnie wyszkolonym tajnym agentem. Ani jego psychika, ani czterdziestoletnie ciało nie wytrzyma intensywnych przesłuchań. Jeżeli pozostanie przy życiu, to oni wszystko z niego wydobędą w ciągu paru godzin. Zamknął oczy — świadomość porażki sprawiła, że zapomniał o bólu.

Kiedy znów je otworzył, zobaczył nad sobą łeb ogromnego psa. Koplina rozpoznał w nim komondora: potężną bestię wysokości siedemdziesięciu pięciu centymetrów w kłębie, pokrytą białą sierścią. Psisko wściekle warczało i z pewnością rozerwałoby Koplina gardło, gdyby sowiecki żołnierz nie powstrzymał go dłonią w rękawicy. Strażnik zachowywał się obojętnie — stał i gapił się na swoją bezradną ofiarę, ściskając lewą ręką smycz, prawą zaś podtrzymując pistolet maszynowy. Budził strach swoim wyglądem. Miał na sobie długi do kostek szynel, spod którego wystawały buty; w jasnych oczach, pozbawionych wszelkiego wyrazu, nie było współczucia dla rannego. Zarzucił pistolet na ramię, podniósł Koplina, a potem bez słowa zaczął go ciągnąć do strażnicy na wyspie.

Koplin umierał z bólu. Miał wrażenie, że ciągnięto go po śniegu kilometrami, podczas gdy w rzeczywistości było to zaledwie pięćdziesiąt metrów. Tyle bowiem udało im się przebyć do chwili, gdy w zamieci śnieżnej zamajaczyła jakaś postać, ledwie dostrzegalna przez ścianę wirującej bieli. Półprzytomny Koplin poczuł, że żołnierz sztywnieje.

Poprzez szum wiatru usłyszał ciche pacnięcie i potężny komandor zwałił się w śnieg. Rosjanin puścił Koplina i nerwowo sięgnął po broń, ale ów dziwny dźwięk się powtórzył i nagle w środku czoła żołnierza pojawiła się niewielka czerwona dziurka. Jego oczy zrobiły się szklane i runął obok psa.

Koplin pomyślał, że to jakaś straszliwa pomyłka, że coś jest nie w porządku, ale miał zbyt wyczerpany umysł, aby wyciągnąć jakieś logiczne wnioski. Opadł na kolana i mógł jedynie obserwować, jak wysoki mężczyzna w szarym skafandrze wyłania się z tumanów śniegu i spogląda na leżącego psa.

— Przykro mi — powiedział nieznajomy. Mógł zaimponować swoim wyglądem. Jego opalona twarz o zdecydowanych, twardych rysach, w Arktyce wydawała się nie na miejscu. Koplina uderzyły jego oczy — jeszcze nigdy takich nie widział. Miały intensywnie szmaragdową barwę i emanowały jakimś niezwykłym ciepłem, które kontrastowało z twardymi rysami twarzy. Mężczyzna odwrócił się i z uśmiechem spojrzął na Koplina.

— Sądzę, że pan doktor Koplin? — spytał cicho swobodnym tonem.

Włożył pistolet z tłumikiem do kieszeni, klęknął przed Koplinem i pokiwał głową na widok skafandra przesiąkniętego krwią.

— Najlepiej będzie, jak zabiorę pana tam, gdzie można to obejrzeć. Podniósł Koplina jak dziecko i z trudem pomaszerował z boczem góry w stronę morza.

— Kim pan jest? — wymamrotał Koplin.

— Nazywam się Pitt. Dirk Pitt. — Nie rozumiem... skąd pan się tu wziął?

Koplin już nie usłyszał odpowiedzi, w tej samej właśnie chwili nagle ogarnęła go bowiem nieświadomość, w którą z wdzięcznością się zapadł.

3.

Seagram skończył swoją „Margeritę”, czekając w ogródku restauracji przy jednej z przecznic Capitol Street, gdzie umówił się z żoną na obiad. Spóźniła się. W ciągu ośmiu lat ich małżeństwa jeszcze nigdy i nigdzie nie przyszła na czas. Gestem zamówił u kelnera następnego drinka.

Dana Seagram wreszcie przyszła i stanęła w wejściu, przez chwilę wypatrując męża. Dostrzegła go i zaczęła się zbliżać, meandrując między stolikami. Była ubrana w pomarańczowy sweter i brązową samodzielną spódnicę, co nadawało jej tak dziewczęcy wygląd, że mogła uchodzić za studentkę. Blond włosy miała przewiązane apaszką, a jej bystre ciemnobrązowe oczy rzucały wesołe spojrzenia.

— Długo czekałeś? — spytała z uśmiechem.

— Dokładnie osiemnaście minut — odparł. — Około dwóch minut i dziesięciu sekund dłużej niż zwykle.

— Przepraszam — powiedziała. — Admirał Sandecker zwołał zebranie personelu, które przeciągnęło się bardziej, niż mogłabym przypuszczać.

— A na jakim punkcie on ma teraz fioła?

— Myśli o nowym skrzydle Muzeum Morskiego. Dostał na to pieniądze z budżetu, a teraz zamierza zdobyć eksponaty.

— Jakie eksponaty? — spytał Seagram. — Różne elementy wyposażenia słynnych statków i okrętów. Nadszedł kelner z drinkiem Seagrama i Dana zamówiła sobie daiquiri.

— Zdumiewające, jak niewiele tego przetrwało — ciągnęła Dana. — Parę pasów ratunkowych z „Lusitanii”, tu nawiewnik z „Maine”, a gdzie indziej kotwica z „Bounty”... Dotychczas jeszcze ich nie eksponowano przyzwoicie pod jednym dachem.

— Znam lepsze sposoby marnowania pieniędzy podatników.

— O co ci chodzi? — spytała gniewnie.

— O zbieranie starych gratów — powiedział z niechęcią. — O traktowanie jak relikwie zardzewiałego i skorodowanego złomu, który trudno rozpoznać, i trzymanie go w gablotach po to, żeby ludzie się gapili i żeby było co odkurzać. Przecież to marnotrawstwo.

Sztandary bojowe zostały podniesione.

— Stare okręty i statki są ważnym łącznikiem z przeszłością człowieka — powiedziała Dana, rzucając oczami błyskawice. — Takiej pierdoły jak ty nie obchodzi rozwój wiedzy.

— Mówisz jak prawdziwy morski archeolog. Uśmiechnęła się krzywo.

— Ciągle cię wkurwia, że twoja żona sama do czegoś doszła, może nie?

— Jedyna rzecz, która mnie wkurwia, kochanie, to twój koszarowy język. Dlaczego każda wyzwolona kobieta uważa, że klnąc dodaje sobie szyku?

— Ty i *savoir-vivre!* — wykrzyknęła. — Pięć lat temu przeprowadziłeś się do dużego miasta, a ciągle ubierasz się jak sprzedawca kowadeł z Omahy. Dlaczego nie ostrzyżesz się przyzwoicie jak inni mężczyźni? Ten twój język już dawno wyszedł z mody. Wstyd mi się z tobą pokazywać.

— Na moim stanowisku w administracji nie mogę wyglądać jak hippis.

— Boże, Boże — powiedziała kręcąc głową. — Dlaczego nie wysłałam za hydraulika albo ogrodnika? Dlaczego musiałam się zakochać w wioskowym fizyku?

— Miło usłyszeć, że kiedyś mnie kochałaś.

— I dalej cię kocham, Gene — powiedziała spoglądając na niego łagodniej. — Lecz od dwóch lat coraz bardziej oddalamy się od siebie. Nawet nie możemy razem zjeść obiadu, żeby sobie nie dokuczać. Chodź, pluńmy na wszystko, pojedziemy do jakiegoś motelu i będziemy się kochać. Mam na to ogromną ochotę.

— Sprawci ci wielką różnicę, jeśli odłożymy to na kiedy indziej?

— Ale to pilne.

— Nie mogę.

— Znów ta twoja cholerna obowiązkowość — powiedziała odwracając twarz. — Czy ty tego nie rozumiesz? Praca nas rozdziela. Możemy uratować nasze małżeństwo, Gene. Moglibyśmy złożyć wymówienia i wrócić na uczelnię. Z twoim doktoratem z fizyki i moim z archeologii, z naszym doświadczeniem i dorobkiem każdy uniwersytet przyjmie nas z otwartymi rękami. Byliśmy na tym samym wydziale, kiedy się poznaliśmy, pamiętasz? To były nasze najszcześniejsze lata.

— Dana, zlituj się, ja nie mogę zrezygnować. Nie teraz.

— Dlaczego?

— Realizujemy bardzo ważny projekt...

— W ciągu ostatnich pięciu lat wszystkie te wasze projekty były bardzo ważne. Proszę, Gene, błagam cię, ratuj nasze małżeństwo. Wszystko zależy od ciebie. Zrób coś, a ja się dostosuję, byleby tylko wynieść się z Waszyngtonu. To miasto zniszczy wszelką nadzieję na ocalenie naszego wspólnego życia, jeśli będziemy z tym zwlekali.

— Potrzebuję jeszcze roku.
— Nawet za miesiąc może być za późno.
— Zbyt głęboko w tym siedzę, żebym teraz mógł zrezygnować.
— Te wasze idiotyczne tajne projekty nigdy się nie skończą. Jesteś tylko narzędziem Białego Domu.
— Oszczędź sobie takiego gadania.
— Gene, na miłość boską, rzuć to!
— Tu nie chodzi o miłość boską, lecz o miłość ojczyzny. Przykro mi, ale nie mogę ci tego wyjaśnić.
— Rzuć to — powtórzyła ze łzami w oczach. — Nie ma ludzi niezastąpionych. Niech Mel Donner przejmie twoje stanowisko.
Przecząco pokręcił głową.
— Nie — powiedział zdecydowanie. — To ja z niczego stworzyłem ten plan. Powstał w moich szarych komórkach, więc ja muszę kierować jego realizacją do samego końca.
Ponownie zjawił się kelner i spytał, czy już może przyjąć zamówienie
— Nie jestem głodna — stwierdziła Dana, kręcąc głową. Wstała i popatrzyła na Gene'a.
— Będziesz na kolacji?
— Posiedzę w biurze trochę dłużej. Dana już nie powstrzymywała łez.
— Mam nadzieję, że cokolwiek robisz, jest tego warte — wymamrotała — bo zapłacisz za to straszliwą cenę.
Potem odwróciła się i odeszła szybkim krokiem.

4.

W przeciwieństwie do stereotypu rosyjskiego oficera wywiadu z amerykańskich filmów, kapitan Andriej Prewłow nie wyglądał jak byk i nie golił głowy. Był proporcjonalnie zbudowanym, przystojnym mężczyzną, nosił porządnie uczesane włosy i modnie przystrzyżone wąsy. Jego styl życia podbudowany włoskim sportowym samochodem i luksusowo urządzonego mieszkaniem, którego okna wychodziły na rzekę Moskwę, niezbyt odpowiadał jego przełożonym z wydziału Wywiadu Zagranicznego Marynarki Wojennej. Mimo tych irytujących dewiacji istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że Prewłow straci swoje wysokie stanowisko w wydziale. Opinia najbardziej błyskotliwego specjalisty od wywiadu w Marynarce Wojennej, tak pieczołowicie przez niego budowana, oraz fakt, że ojciec był w partii człowiekiem numer dwanaście, czyniły z kapitana osobę nietykalną.

Wystudiowanym niedbałym gestem zapalił winstona i nalał sobie do szklanki bombajskiego dżinu. Potem odchylił się do tyłu i zaczął przeglądać plik teczek z dokumentami, które jego asystent, porucznik Marganin, położył mu na biurku.

— To dla mnie tajemnica, towarzyszu kapitanie, jak łatwo przyswajacie sobie tę zachodnią tandetę — cicho odezwał się Marganin.

Prewłow podniósł wzrok znad dokumentów i rzucił Marganinowi zimne, pogardliwe spojrzenie.

— Jak tyłu innych naszych towarzyszy, w ogóle nie macie pojęcia o świecie. Ja myślę jak Amerykanin, piję jak Anglik, prowadzę samochód jak Włoch i żyję jak Francuz. A wiecie dlaczego, poruczniku?

Marganin się zaczerwienił.

— Nie, towarzyszu kapitanie.

— Żeby lepiej poznać wroga, Marganin. Kluczowa sprawa to poznać wroga lepiej niż on was, lepiej niż on zna samego siebie. Wtedy można go uprzedzić i zrobić mu to, co tobie niemiło.

— To cytat z towarzysza Nerwa Czeskiego?

Prewłow z rezygnacją wzruszył ramionami.

— Nie, durniu. Parafrazuję chrześcijańską Biblię. — Zaciągnął się, wypuścił dym przez nos i łyknął trochę dzinu. — Studiuj zachodni styl, przyjacielu. Jeśli nie będziemy się od nich uczyć, to nasza sprawa jest przegrana. — Ponownie zajął się dokumentami. — No dobrze, ale dlaczego te sprawy trafiły do naszego wydziału?

— Nie widzę innego powodu, jak tylko to, że do incydentu doszło na wybrzeżu albo w jego pobliżu.

— A co nam wiadomo na ten temat? — spytał Prewłow, szybko otwierając następną teczkę.

— Niewiele. Zaginął żołnierz ochrony wraz z psem. W czasie patrolowania północnej wyspy Nowej Ziemi.

— Trudno to uznać za powód do paniki w bezpiece. Na Nowej Ziemi praktycznie nic nie ma. Jakaś przestarzała wyrzutnia rakiet, strażnica, paru rybaków... W promieniu kilkuset kilometrów nie ma tam żadnych tajnych instalacji. Nawet szkoda czasu na wysyłanie żołnierza z psem, żeby to patrolował.

— Zachód niewątpliwie myśli to samo o wysłaniu tam agenta. Prewłow zaczął bębnić palcami w stół, zezując na sufit. W końcu się odezwał:

— Agent? Tam nic nie ma... z wojskowego punktu widzenia nic ciekawego... Chociaż... — Urwał i błyskawicznie nacisnął guzik telefonu wewnętrznego. — Przynieście mi pozycje statku Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych z ostatnich dwóch dni.

Marganin uniósł brwi.

— Nie ośmieliliby się wysłać ekspedycji oceanograficznej w pobliże Nowej Ziemi. To przecież radzieckie wody terytorialne.

— Morze Barentsa nie jest naszą własnością — cierpliwie wyjaśnił mu Prewłow. — To wody międzynarodowe.

W tym momencie zjawiła się sekretarka — atrakcyjna blondynka w eleganckim brązowym kostiumie — wręczyła Prewłowowi jakiś skoroszyt i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Prewłow przerzucał kartki w skoroszycie, aż wreszcie znalazł to, czego szukał.

— Jest. Statek NUMA „First Attempt”, ostatnio widziany przez jeden z naszych trawlerów trzysta dwadzieścia pięć mil morskich na południowy zachód od Ziemi Franciszka Józefa.

— To znaczy blisko Nowej Ziemi — powiedział Marganin.

— Dziwne — mruknął Prewłow. — Zgodnie z grafikiem operacyjnym statków oceanograficznych Stanów Zjednoczonych, „First Attempt” powinien w tym czasie prowadzić badania nad planktonem u wybrzeży Karoliny Pomocnej. — Dopił dzin, zdusił niedopałek papierosa i zapalił następnego. — Bardzo interesujący zbieg okoliczności.

— Czego to dowodzi? — spytał Marganin.

— Niczego nie dowodzi, ale pozwala przypuszczać, że ten żołnierz z Nowej Ziemi został zamordowany, a agent, który jest za to odpowiedzialny, uciekł i najprawdopodobniej spotkał się z „First Attempt”. Z tego wynika, że Stanom Zjednoczonym o coś chodzi, skoro statek badawczy NUMA bez wyjaśnień zmienia swój rozkład rejsów.

— A o co może im chodzić?

— Nie mam zielonego pojęcia — odparł Prewłow, odchylając się na krześle do tyłu i gładząc po wąsach. — Każcie zrobić powiększenia zdjęć satelitarnych tego rejonu, wykonanych w czasie zdarzenia, o którym mowa.

Ulice miasta za oknami gabinetu wypełniał już wieczorny mrok, gdy porucznik Marganin położył powiększone zdjęcia na biurku Prewłowa i podał mu silną lupę.

— Wasza dociekliwość przyniosła efekty, towarzyszu kapitanie. Mamy tu coś interesującego.

Prewłow z uwagą studiował fotografie.

— Na statku nie widzę nic niezwykłego — rzekł. — Typowy sprzęt badawczy, nie ma żadnych urządzeń do wykrywania celów wojskowych.

Marganin wskazał zdjęcie wykonane obiektywem szerokokątnym. Statek wyglądał jak niewielka biała plamka na emulsji.

— Proszę zwrócić uwagę na tę maleńką kropkę w prawym górnym rogu, dwa tysiące metrów od „First Attempt”. Prewłow patrzył przez lupę prawie pół minuty.

— Helikopter!

— Tak jest, towarzyszu kapitanie. Dlatego właśnie spóźniłem się z powiększeniami. Pozwoliłem sobie przekazać zdjęcia specjalistom od analiz.

— Chyba to nasz patrol wojsk ochrony pogranicza?

— Nie, towarzyszu kapitanie. Prewłow uniósł brwi.

— Sugerujecie, że helikopter należy do amerykańskiego statku?

— Tak uważają specjaliści — odparł Marganin, kładąc przed Prewłowem dwie inne fotografie. — Przeanalizowaliśmy wcześniejsze zdjęcia z drugiego satelity zwiadowczego. Jak sami widzicie, porównując je, helikopter jest na kursie prowadzącym z Nowej Ziemi w kierunku „First Attempt”. Specjaliści oceniają, że leciał na wysokości trzech metrów z prędkością blisko piętnastu węzłów.

— Najwyraźniej chciał uniknąć wykrycia przez nasze radary — stwierdził Prewłow.

— Zawiadamiamy naszych agentów w Ameryce? — spytał Marganin.

— Nie, jeszcze nie. Nie chcę ryzykować ich ujawnienia, dopóki nie będziemy mieli pewności, o co chodzi Amerykanom.

Wyprostował fotografie i starannie poukładał je w teczce, a potem spojrzął na swoją omegę.

— Zostało mi trochę czasu przed baletem, akurat na lekką kolację. Macie coś jeszcze, poruczniku?

— Tylko akta w sprawie ekspedycji „Lorelei”, badającej prądy morskie. Według ostatnich raportów amerykański batyskaf znajduje się w pobliżu Dakaru, na głębokości pięciu tysięcy metrów.

Prewłow wstał, wziął akta od Marganina i wsunął je sobie pod pachę.

— Przy okazji do nich zajrzę. Prawdopodobnie nie ma tam niczego, co mogłoby interesować wywiad marynarki. Niemniej jednak ich lektura powinna być zajmująca. Myślę, że Amerykanie prowadzą bardzo dziwne i ciekawe badania.

5.

— Cholera jasna, niech to szlag trafi! — syknęła Dana. — Spójrz na te kurze łapki, które robią mi się koło oczu. — Siedziała przy toalecie, przygnębionym wzrokiem wpatrując się w swoje odbicie w lustrze. — Kto to powiedział, że starość jest jak trąd?

Seagram podszedł do niej, odgarnął jej włosy z szyi i pocałował żonę w miękki nagi kark.

— Dopiero co skończyłaś trzydzieści jeden lat, a już chcesz się ubiegać o tytuł najstarszej obywatelki miesiąca.

Spojrziała na jego odbicie w lustrze, oszołomiona tak rzadko okazywanym jej dowodem uczucia.

— Wy, mężczyźni, jesteście w lepszej sytuacji, bo nie macie takich problemów.

— Dlaczego kobiety uważają, że my się nie rozsypujemy? Również mężczyźni cierpią z powodu starczych dolegliwości i kurzych łapek.

— Różnica polega na tym, że wy się nimi nie przejmujecie.

— My jesteśmy bardziej skłonni akceptować to, co nieuchronne — powiedział uśmiechając się. — Ale a propos, kiedy będziesz miała dziecko?

— Ach ty draniu! Nigdy nie rezygnujesz, prawda? — Rzuciła na toaletkę szczotkę do włosów, która uderzyła w szwadron flakoników z kosmetykami, poustawianych na szklanym blacie w równych odstępach. — Rozmawialiśmy o tym już setki razy. Nie mam zamiaru narażać się na upokorzenia związane z ciążą. Nie będę prała obsranych pieluch w umywalce dziesięć razy dziennie. Niech inni zaludniają Ziemię. Ani mi się śni rozmnażać jak jakaś ameba.

— Twoje argumenty są śmieszne. Sama w nie nie wierzysz. Odwróciła się do lustra i nic nie odpowiedziała.

— Dana, dziecko mogłoby nas uratować — rzekł łagodnie. Opuściła głowę, ukrywając twarz w dłoniach.

— Nie zrezygnuję z mojej kariery, dopóki ty nie zrezygnujesz z tego twojego drogiego planu.

Seagram głaskał ją po złocistych włosach i patrzył na jej odbicie w lustrze.

— Twój ojciec był alkohikiem i zostawił was, kiedy miałaś zaledwie dziesięć lat. Twoja matka pracowała za barem i sprowadzała sobie mężczyzn do domu, żeby zarobić na picie. Ty i twój brat byliście traktowani jak zwierzęta, dopóki nie podrośliście na tyle, by uciec z tego śmietnika, który nazywaliście domem. Twój brat stał się szumowiną i zaczął napadać na sklepy z alkoholem i stacje benzynowe, a w rezultacie za morderstwo skazano go na dożywocie w San Quentin. Tylko Bóg jedyny wie, jak bardzo jestem z ciebie dumny, że wyrwałaś się z tego rynsztoka i pracowałaś osiemnaście godzin na dobę, żeby skończyć szkołę i studia. Tak, Dana, miałaś parszywe dzieciństwo i z powodu złych wspomnień teraz boisz się mieć dziecko. Musisz zrozumieć, że ten koszmar nie ma nic wspólnego z przeszłością. Nie możesz pozbawiać swojego syna czy córki szansy, jaką daje życie.

Nie udało mu się jednak skruszyć kamiennego muru, którym Dana się od niego odgradziła. Strząsnęła z siebie rękę męża i z furią zaczęła malować sobie brwi. Skończona dyskusja. Dana zachowywała się tak, jakby była sama.

Kiedy Seagram wyszedł spod prysznicza, stała przed dużym lustrem na drzwiach szafy. Przyglądała się sobie krytycznie, jak artysta po raz pierwszy patrzący na swoje skończone dzieło. Miała na sobie prostą białą sukienkę, która opinała tors, niżej luźno opadając do kostek. Spory dekolt ukazywał bardziej niż dostateczny widok piersi.

— Lepiej się pośpiesz — powiedziała obojętnie, jak gdyby między nimi nigdy nie doszło do kłótni. — Chyba nie chcesz, żeby prezydent na nas czekał.

— Będzie tam ponad dwieście osób. Za spóźnienie nikt nie postawi nam ptaszka na liście obecności.

— Mnie tam wszystko jedno — odparła z nadętą miną — ale niecodziennie otrzymujemy zaproszenie do Białego Domu. Chciałabym zrobić dobre wrażenie przynajmniej tym, że się nie spóźnię.

Seagram westchnął i z trudem przebrnął przez rytuał wiązania muszki i niezręcznego wkładania jedną ręką spinek do mankietów koszuli. Nie cierpiał ubierania się na oficjalne przyjęcia. Dlaczego waszyngtońskie imprezy towarzyskie muszą kosztować tyle nerwów? Dla Dany może były one podniecające, ale on ich nie cierpiał.

Wygłansował buty, przyczesał włosy i wszedł do salonu. Na stoliku do kawy leżała otwarta aktówka, a jej właścicielka siedziała na kanapie, zaczytana w sprawozdaniach. Była tak pochłonięta lekturą, że nawet nie spojrzała na męża.

— Jestem gotów.

— Jeszcze momencik — mruknęła. — Czy mógłbyś tymczasem wyjąć moją etolę?

— Jest pełnia lata. Na diabła chcesz się pocić w futrze? Dana zdjęła okulary w rogowej oprawie.

— Nie sądzisz, że choć jedno z nas powinno pokazać odrobinę klasy? — spytała.

Seagram wyszedł do przedpokoju, podniósł słuchawkę i nakręcił numer Mela Donnera, który odebrał telefon w połowie pierwszego dzwonka.

— Donner, słucham.

— Masz już coś? — spytał Seagram.

— „First Attempt”...

— Czy to ten statek NUMA, który miał zabrać Koplina?

— Taaa. Pięć dni temu nie zawinął do Oslo.

— Rany boskie! Dlaczego?! Przecież Koplin miał tam zejść na ląd i wrócić do Stanów zwykłym samolotem pasażerskim.

— Trudno się czegoś dowiedzieć. Statek, zgodnie z twoimi instrukcjami, zachowuje ciszę radiową.

— To mi dobrze nie wygląda.

— W każdym razie scenariusz tego nie przewidywał.

— Będę na przyjęciu u prezydenta do około jedenastej. Jeżeli czegoś się dowiesz, zadzwoń.

— Możesz na mnie liczyć. Baw się dobrze.

Seagram odkładał słuchawkę, kiedy z salonu wyszła Dana. Spostrzegła jego zatroskaną minę.

— Złe wieści?

— Jeszcze nie jestem pewien. Pocałowała go w policzek.

— Szkoda, że nie żyjemy jak normalni ludzie, bo wtedy mógłbyś mi powiedzieć, co cię martwi.

— Gdybym tylko mógł...

— Tajemnice państwowe? Jakie to potwornie nudne — powiedziała i uśmiechnęła się szelmowsko. — No więc?

— Co „no więc”?

— Nie chcesz być dżentelmenem?

— Przepraszam, zapomniałem. — Wyjął z szafy etolę i narzucił Danie na ramiona. — Mam okropny zwyczaj zapominania o swojej żonie.

Uśmiechnęła się wesoło.

— Za karę o świcie staniesz przed plutonem egzekucyjnym. Chryste, pomyślał Seagram, to może nie być dalekie od prawdy, jeżeli Koplin coś spieprzył na Nowej Ziemi.

6.

Seagramowie dołączyli do tłumu gości zebranych przed drzwiami Sali Wschodniej i czekali na swoją kolejkę do wejścia. Dana bywała już w Białym Domu, ale wciąż jej to imponowało.

Prezydent wyglądał elegancko. Był mężczyzną po pięćdziesiątce, niezwykle przystojnym i bardzo pociągającym. O tym ostatnim świadczył fakt, że obok niego stała Ashley Fleming, najwytworniejsza rozwódka w Waszyngtonie, która witała każdego gościa tak gorąco, jak gdyby odkrywała w nim swojego bogatego kuzyna.

— O, cholera! — syknęła Dana. Seagram spojrzał na nią gniewnie.

— O co ci znowu chodzi?

— O tę babę, która stoi przy prezydencie.

— Tak się składa, że to Ashley Fleming.

— To wiem — szepnęła Dana, chowając się za szerokimi plecami męża. — Spójrz, co ona ma na sobie.

Seagram początkowo się nie zorientował, a potem nagle zrozumiał i wtedy mógł się jedynie zdobyć na opanowanie wybuchu głośniego śmiechu.

— Na Boga, macie identyczne sukienki!

— Nie widzę w tym nic zabawnego — powiedziała Dana ponurym głosem.

— Skąd jest twoja?

— Pożyczyłam ją od Annette Johns.

— Od tej modelki-lesbijki, która mieszka po drugiej stronie ulicy?

— Dostała ją od projektanta mody Claude'a Orsiniego. Seagram chwycił żonę za rękę.

— W takim razie to tylko dowodzi, że moja żona ma dobry gust. Nim Dana zdążyła cokolwiek powiedzieć, kolejka gwałtownie ruszyła do przodu i nagle znaleźli się przed prezydentem.

— Gene, miło cię widzieć — rzekł prezydent, uśmiechając się uprzejmie.

— Dziękuję, panie prezydencie, że nas pan zaprosił. Zna pan moją żonę?

Prezydent badawczo przyjrzał się Danie, błędząc wzrokiem po jej dekolcie.

— Oczywiście. Czarująca, absolutnie czarująca.

Mówiąc to pochylił się ku niej, a potem szepnął jej coś do ucha. Dana ze zdziwienia zrobiła wielkie oczy i zaczerwieniła się po same uszy.

Prezydent wyprostował się i rzekł:

— Pozwolą państwo, że przedstawię naszą wspaniałą panią domu. Pani Ashley Fleming, państwo Seagramowie.

— Cieszę się, że wreszcie panią poznałem — mruknął Seagram. Z równym powodzeniem mógłby mówić do ściany, Ashley Fleming bowiem rozszarpywała wzrokiem sukienkę jego żony.

— To chyba oczywiste, pani Seagram, że jutro z samego rana jedna z nas zacznie sobie szukać nowego projektanta sukienek — odezwała się Ashley słodziutkim głosem.

— O, zapewne nie ja, bo od dziecka ubieram się u Jacques'a Pinneigha — odparła Dana tonem niewiniątka.

Narysowane ołówkiem brwi Ashley Fleming uniosły się pytająco.

— Jacques Pinneigh? Nigdy o nim nie słyszałam.

— Szerzej znany jest jako J.C. Penney — odpowiedziała Dana ze słodkim uśmiechem.

— Za tydzień w jego śródmiejskim sklepie będzie wyprzedaż. Byłoby wspaniale, gdybyśmy mogły pójść tam razem. Dzięki temu nie będziemy musiały wyglądać jak bliźniaczki.

Wyraz oburzenia zastygł na twarzy Ashley Fleming, gdy prezydent dostał ataku kaszlu. Seagram lekko się skłonił, chwycił Danę pod rękę i szybko wmieszał się w tłum gości.

— Musiałś to zrobić? — warknął.

— Nie mogłam się powstrzymać. Ta baba to zwykła uliczna dziwka — stwierdziła Dana, a potem spojrzała na niego oszołomiona. — On mi zrobił niedwuznaczną propozycję — powiedziała niedowierzająco. — Prezydent Stanów Zjednoczonych zrobił mi propozycję...

— O Warrenie Hardingu i Johnie Kennedym również krążyły plotki, że byli kobieciarzami. On niczym się od nich nie różni. Jest tylko mężczyzną.

— Rozpustnik prezydentem. Obrzydliwość.

— Umówisz się z nim? — spytał Seagram z uśmiechem.

— Nie bądź śmieszny! — odcięła się Dana.

— Czy mogę przyłączyć się do kłótni?

Pytanie to padło z ust niskiego mężczyzny o jaskraworudych włosach, ubranego w elegancki granatowy smoking. Nosił dobrze utrzymaną brodę, która barwą pasowała do włosów i przenikliwych brązowych oczu. Seagramowi jego głos wydawał się jakby znajomy, ale twarzy nie pamiętał.

— Zależy po czyjej stronie — powiedział.

— Wiedząc, że pańska żona jest gorącą zwolenniczką ruchu wyzwolenia kobiet, z przyjemnością stanę po stronie męża — odparł nieznajomy.

— Zna pan Danę?

— Powinienem. Jestem jej szefem. Seagram spojrział na niego zaskoczony.

— A więc pan to z pewnością...

— Admirał James Sandecker — przerwała mu Dana ze śmiechem. — Dyrektor Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Panie admirale, przedstawiam panu mojego męża, którego tak łatwo zbić z pantaląku.

— Jestem zaszczycony, panie admirale — rzekł Seagram, wyciągając dłoń. — Nie mogłem doczekać się tej chwili, żeby osobiście podziękować panu za tamtą drobną przysługę.

— To panowie się znają? — spytała zaskoczona Dana. Sandecker skinął głową.

— Rozmawialiśmy ze sobą przez telefon, ale oko w oko jeszcze się nie spotkaliśmy.

Dana wzięła obu mężczyzn pod ręce.

— Dwaj moi ulubieńcy spiskują mi za plecami. Coś podobnego! Seagram spojrział Sandeckerowi w oczy.

— Kiedyś zadzwoniłem do pana admirała z prośbą o pewną informację. I to wszystko. Sandecker poklepał Danę po grzbiecie dłoni i powiedział:

— Nie zechciałaby pani zaskarbić sobie mojej dozgonnej wdzięczności, przynosząc mężowi whisky z wodą?

Dana zawahała się na moment, później lekko pocałowała Sandeckera w policzek i posłusznie ruszyła między grupkami gości stłoczonych wokół baru.

Seagram z podziwem kręcił głową.

— Widzę, że pan umie postępować z kobietami. Gdybym to ja poprosił ją o przyniesienie drinka, naplułaby mi w twarz.

— Ja jej wypłacam pensję, pan nie — rzekł Sandecker.

Wyszli na balkon. Seagram zapalił papierosa, a Sandecker głęboko zaciągnął się ogromnym, churchillowskim cygarem. Powoli szli w milczeniu, aż znaleźli odosobnione miejsce za wysoką kolumną.

— Czy ma pan jakieś wiadomości na temat „First Attempt”? — spytał Seagram półgłosem.

— Dziś po południu, o godzinie trzynastej zero zero naszego czasu przycumował w amerykańskiej bazie łodzi podwodnych w Firth of Clyde.

— To prawie osiem godzin temu. Dlaczego nikt mnie o tym nie zawiadomił?

— Pańskie instrukcje były całkiem wyraźne — chłodno odpowiedział Sandecker. — Żadnej łączności z moim statkiem, dopóki wasz agent nie powróci bezpiecznie na amerykańską ziemię.

— Skąd więc...?

— Moje informacje otrzymałem od pewnego starego znajomego z marynarki. Dzwonił do mnie zaledwie przed półgodziną, wściekły jak diabli, żądając wyjaśnień, dlaczego mój kapitan bez zezwolenia zawinął do portu w bazie marynarki.

— Ktoś musiał coś spieprzyć — stwierdził Seagram kategorycznym tonem. — Pański statek miał zawinąć do Oslo, żeby mój agent mógł zejść na ląd. Pytam się, co u diabła ten statek robi w Szkocji?

Sandecker rzucił Seagramowi twarde spojrzenie.

— Wyjaśnijmy sobie pewną rzecz, panie Seagram. NUMA nie podlega CIA, FBI ani żadnej innej agencji wywiadowczej, a ja nie mam zamiaru ryzykować życia moich ludzi tylko po to, żeby pan mógł myszkować po komunistycznym terytorium, prowadząc jakąś szpiegowską grę. Ja zajmuję się badaniami oceanograficznymi. Następnym razem, gdy będzie pan chciał bawić się w Jamesa Bonda, to niech pan użyje do swojej brudnej roboty marynarki

wojennej albo ochrony wybrzeża. I proszę nie namawiać prezydenta, żeby wyznaczył do tego jeden z nich statków. Czy pan mnie rozumiał, panie Seagram?

— Przepraszam za kłopoty, jakie sprawiłem pańskiej agencji, panie admirale. Nie miałem zamiaru w niczym jej uchybić, proszę jednak zrozumieć mój niepokój.

— Chciałbym pana zrozumieć, ale pan mi wcale tego nie ułatwia — rzekł admirał z nieco łagodniejszą miną. — Byłoby o wiele prościej, gdyby pan dopuścił mnie do tajemnicy i powiedział, o co chodzi.

Seagram odwrócił głowę.

— Przykro mi.

— Rozumiem — rzekł Sandecker.

— Jak pan sądzi, co spowodowało, że „First Attempt” nie zawiązał do Oslo? — spytał Seagram.

— Przypuszczam, że wasz agent uznał powrót cywilnym samolotem z Oslo za zbyt niebezpieczny i postanowił lecieć wojskowym. Nasza baza atomowych łodzi podwodnych w Firth of Clyde leży najbliżej lotniska, a więc prawdopodobnie rozkazał kapitanowi mojego statku badawczego płynąć do Szkocji.

— Chciałbym, żeby pan miał rację. Obawiam się jednak, że ta zmiana ustalonych planów oznacza jedynie kłopoty.

Sandecker zauważył, że Dana stoi ze szklanką w ręku w drzwiach prowadzących na balkon. Szukała ich. Kiedy jej pomachał ręką, dostrzegła go i zaczęła się zbliżać.

— Jest pan szczęśliwym człowiekiem, Seagram. Ma pan mądrą i piękną żonę.

Nagle pojawił się Mel Donner, szybko wyprzedził Danę i dotarł do nich pierwszy. Przeprószył admirała.

— Przed dwudziestoma minutami wylądował samolot z Sidem Koplinem na pokładzie — powiedział cicho. — Zabrano go do szpitala w Walter Reed.

— Dlaczego?

— Został paskudnie postrzelony.

— O Boże — jęknął Seagram.

— Czekaj na mnie samochód. Możemy tam dotrzeć w ciągu kwadransa.

— Dobrze, ale za moment.

Przyciszonym głosem Seagram poprosił admirała, żeby odprowadził Danę do domu i usprawiedliwił go przed prezydentem, a potem ruszył za Donnerem do samochodu.

7.

— Przykro mi, ale dostał środki uspokajające i teraz odwiedzającym nie wolno tam wchodzić — powiedział lekarz pełnym kurtuazji tonem arystokraty z Wirginii, lecz jego szare oczy rzucały gniewne spojrzenia.

— Czy on może mówić? — spytał Donner.

— Jak na człowieka, który odzyskał przytomność przed kilkoma minutami, jest niezwykle ożywiony — odparł lekarz, wciąż patrząc gniewnie. — Jednakże niech to panów nie zwiedzie. Tymczasem nie może grać w tenisa.

— Czy jego stan jest poważny? — spytał Seagram.

— Tak by to można określić. Lekarz, który go operował na pokładzie statku NUMA, wykonał znakomitą robotę. Rana postrzałowa w lewym boku ślicznie się zagoi. Jednakże drugi postrzał spowodował cienkie jak włos pęknięcie czaszki. Pan Koplina przez jakiś czas będzie odczuwał bóle głowy.

— Musimy natychmiast się z nim zobaczyć — oświadczył Seagram kategorycznym tonem.

— Już panu powiedziałem, że jest mi bardzo przykro, ale żadnych wizyt.

Seagram zrobił krok do przodu, stając twarzą w twarz z lekarzem.

— Posłuchaj pan, doktorze. Mój przyjaciel i ja wejdziemy do tej sali, czy to się panu podoba, czy nie. Jeżeli będzie pan próbował nas zatrzymać, przywiążemy pana do jednego z pańskich własnych stołów operacyjnych, a jeżeli zawoła pan personel, to ich zastrzelimy. Gdyby pan wezwał policjantów, może pan być pewien, że po obejrzeniu naszych legitymacji zrobią wszystko, co im każemy. — Seagram przerwał z uśmiechem zadowolenia z siebie. — A teraz, doktorze, wybór należy do pana.

Koplin leżał płasko na łóżku; twarz miał białą jak poduszka pod jego głową, lecz patrzył zdumiewająco przytomnie.

— Nim zaczniecie zadawać pytania, powiem wam, że czuję się okropnie — odezwał się cichym chrapliwym głosem. — Naprawdę. I nie mówcie mi, że dobrze wyglądam, bo bardzo byście zełgali.

Seagram przysunął krzesło do łóżka i uśmiechnął się do Koplina.

— Nie mamy za wiele czasu, Sid, więc jeśli czujesz się na siłach, to od razu zaczniemy.

Koplin ruchem głowy wskazał rurki podłączone do ręki.

— Te lekarstwa przyćmiewają mi umysł, ale postaram się jak najdłużej zachować jego jasność. Donner pokiwał głową.

— Mam pytanie za miliard dolarów — rzekł.

— Znalazłem ślady bizanium, jeśli o to wam chodzi.

— Naprawdę znalazłeś? Jesteś pewien? — spytał Seagram.

— Próby, które przeprowadziłem w terenie, na pewno nie są tak dokładne jak testy laboratoryjne, ale mam stuprocentową pewność, że to bizanium.

— Chwała Bogu — westchnął Seagram i spytał: — Masz jakieś szacunkowe dane dotyczące zasobów?

— Mam.

— Ile... ile kilogramów według twoich obliczeń można wydobyć z Biednej Góry?

— Jeśli będziemy mieli szczęście, to może łyżeczkę do herbaty.

Początkowo Seagram nie zrozumiał tego, co usłyszał. Donner siedział zmrożony z twarzą bez wyrazu, zaciskając dłonie na oparciach fotela.

— Łyżeczkę do herbaty...? — wybełkotał Seagram ponurym głosem. — Jesteś pewien?

— Ciągłe mnie pytasz, czy jestem pewien — odparł Koplin, a jego wymizerowana twarz poczerwieniała z oburzenia. — Jeżeli mi nie wierzysz, to trzeba było wysłać kogoś innego na to zadupie.

— Chwileczkę — odezwał się Donner, kładąc dłoń na ramieniu Koplina. — Nowa Ziemia była naszą jedyną nadzieją. Zapłacił pan za to więcej, niż moglibyśmy od pana oczekiwać. Jesteśmy panu wdzięczni, Sid, naprawdę szczerze wdzięczni.

— Jeszcze nie wszystko stracone — wymamrotał Koplin, walcząc z opadającymi powiekami.

Seagram nie dosłyszał i pochylił się nad nim.

— Coś powiedział, Sid?

— Jeszcze nie przegraliście. Bizanium tam było.

— Jak to, bizanium tam było? — spytał Donner, przysuwając się bliżej.

— Nie ma... wykopali...

— Głupstwa pan opowiada.

— Na zboczu góry natknąłem się na przesiane resztki — powiedział Koplin i zawahał się na moment. — Rozkopałem je...

— Chcesz powiedzieć, że ktoś już wydobył bizanium z Biednej Góry? — spytał Seagram z niedowierzaniem.

— Tak.

— Boże drogi — jęknął Donner. — Rosjanie też na to wpadli.
— Nie... nie... — szepnął Koplín.
Seagram przysunął ucho do jego ust.
— To nie Rosjanie... Seagram i Donner wymienili zdziwione spojrzenia. Koplín lekko zacisnął rękę na dłoni Seagrama.
— To... górniczy... z Kolorado... — wyszeptał, po czym zamknął oczy i zasnął.
Kiedy szli przez parking, w oddali zawyła syrena.
— Jak sądzisz, co on miał na myśli? — spytał Donner.
— To się nie trzyma kupy — niejasno odpowiedział Seagram. — To wszystko w ogóle nie trzyma się kupy.

8.

— Co jest aż tak ważne, że musicie mnie budzić, kiedy mam wolny dzień? — burknął Prewłow.

Nie czekając na odpowiedź, otworzył szerzej drzwi i gestem zaprosił Marganina do mieszkania. Ubrany był w jedwabny japoński szlafrok, twarz miał ściągniętą i zmęczoną.

Idąc za Prewłowem przez salon do kuchni, Marganin fachowym okiem obrzucał meble i pozostałe sprzęty. Osobie zajmującej maleńki, niespełna sześciometrowy pokój w koszarach, mieszkanie to swym ogromem przypominało wnętrze wschodniego skrzydła letniej rezydencji Piotra Wielkiego. Było tam wszystko: kryształowe żyrandole, gobeliny pokrywające ściany od podłogi aż po sufit, francuskie meble. Oczy Marganina spostrzegły również dwa kieliszki i w połowie pustą butelkę chartreuse na kominku, na podłodze zaś, pod kanapą, parę damskich pantofli, zapewne drogich, wyglądały bowiem na zachodnie. Marganin ukradkiem podniósł pasemko włosów i popatrzył na zamknięte drzwi do sypialni. Ta kobieta musi być niezwykle atrakcyjna. Kapitan ma wysokie wymagania.

Prewłow otworzył lodówkę i wyjął dzbanek z sokiem pomidorowym.

— Z dodatkiem odpowiednich składników, jak to robią Amerykanie, jest wspinałym lekarstwem na kaca — mruknął. Pociągnął łyk soku i skrzywił się. — No, a teraz mówcie, o co chodzi.

— Wczoraj wieczorem KGB otrzymało pewną informację od jednego ze swoich agentów w Waszyngtonie. Nie potrafią jej zrozumieć i mają nadzieję, że może my rzucimy na to trochę światła.

Marganin zaczerwienił się widząc, że szlafrok Prewłowa się rozsunał i ukazał nagość kapitana.

— Doskonale — powiedział Prewłow i westchnął. — Kontynuujcie.

— Wiadomość ta brzmi: „Amerykanie nagle zainteresowali się zbieraniem skał. Najtajniejsza operacja pod kryptonimem »Plan Sycylijski«”.

Prewłow spojrzał na niego znad szklanki „Bloody Mary”.

— Cóż to za bzdury? — mruknął. Jednym haustem wypił napój do dna i z trzaskiem odstawił szklankę do zlewozmywaka. — Czyżby towarzysze z naszej wspinałej bratniej instytucji zgłupieli? — powiedział beznamiętnym, wystudiowanym głosem oficjalnego Prewłowa: zimnym, monotonnym, ale z nieznaczną nutką znudzenia i irytacji. — A wy, poruczniku? Po co zawracacie mi głowę tą dziecinadą? Nie mogliście poczekać z tym do jutra, kiedy już będę w pracy?

— Ja... zdawało mi się, że to może być ważne — wyjąkał Marganin.

— Naturalnie — stwierdził Prewłow z zimnym uśmiechem. — Wystarczy, że ci z KGB gwizdną, a już każdy im nadskakuje. Lecz mnie pozorne zagrożenia nie interesują. Fakty, szanowny towarzyszu poruczniku, liczą się tylko fakty. No, a co waszym zdaniem jest takie ważne w tym „Planie Sycylijskim”?

— Wydawało mi się, że to zbieranie skał może mieć związek ze sprawą Nowej Ziemi. Minęło prawie dwadzieścia sekund, nim Prewłow się odezwał.

— Możliwe, bardzo możliwe, ale nie mamy pewności, że ten związek istnieje.

— Ja... ja tylko myślałem...

— Myślenie zostawcie mnie, poruczniku — przerwał mu Prewłow, poprawiając szlafrok. — A teraz, jak już skończyliście z tym lekkomyślnym polowaniem na czarownice, pozwólcie, że wrócę do łóżka.

— Ale jeśli Amerykanie czegoś szukają...

— Dobrze, ale czego? — spytał Prewłow oschłym tonem. — Jaki minerał jest dla nich aż tak cenny, żeby musieli go szukać na terytorium wrogiego państwa?

Marganin wzruszył ramionami.

— Odpowiadacie na to pytanie i macie klucz. — Ton głosu Prewłowa stał się prawie niezauważalnie twardszy. — Ja chcę rozwiązań. Głupie pytania może zadawać każdy chłopski bękart.

Marganin znów się zaczerwienił.

— Amerykanie często nadają swoim kryptonimom jakieś ukryte znaczenie.

— Tak — odparł Prewłow z ironią. — Rzeczywiście. Mają skłonność do reklamy.

Marganin aż podskoczył.

— Zbadałem amerykańskie wyrażenia odnoszące się do Sycylii i wydaje się, że w większości związane są z jakąś obsesją na punkcie pewnego braterstwa chuliganów i gangsterów.

— Gdybyście dokładniej odrobili pracę domową... — Prewłow ziewnął — ...wówczas byście wiedzieli, że to się nazywa mafia.

— Jest również zespół muzyczny, który nazywa się „Sycylijskie Sztylety”.

Prewłow rzucił Marganinowi lodowate spojrzenie.

— No i w Wisconsin jest jeszcze duża przetwórnia żywności, produkująca sycylijski olej do sałatek...

— Dość tego! — uciął Prewłow, podnosząc rękę w geście protestu. — Olej do sałatek, też coś! Nie mam ochoty na głupstwa tak wcześnie rano. — Wskazał frontowe drzwi. — Sądzę, że w biurze macie inne, bardziej interesujące sprawy niż zbieranie skał.

W salonie zatrzymał się przy stoliku, na którym stały szachy z kości słoniowej, i podniósł jedną figurę.

— Powiedzcie mi, poruczniku, gracie w szachy? Marganin pokręcił głową.

— Dawno tego nie robiłem. Trochę grałem, kiedy byłem w Akademii Marynarki Wojennej.

— Czy mówi wam coś nazwisko Izaak Bolesławski?

— Nie, towarzyszu kapitanie.

— Izaak Bolesławski był jednym z największych mistrzów szachowych — powiedział Prewłow takim tonem, jakby zwracał się do ucznia. — Wymyślił wiele sposobów prowadzenia gry. — Niedbałym ruchem rzucił czarnego króla w Marganina, który zręcznie go schwycił. — Szachy to fascynująca gra. Powinniście do niej wrócić.

Podszedł do drzwi sypialni i uchylił je. Potem odwrócił się i obdarzył Marganina obojętnym uśmiechem.

— A teraz proszę mi wybaczyć. Możecie odejść. Do widzenia, poruczniku.

Po wyjściu z bloku, w którym mieszkał Prewłow, Marganin obszedł budynek i znalazł się na jego tyłach. Drzwi garażu były zamknięte na klucz. Porucznik rozejrzył się ukradkiem i tak długo bił pięścią w boczne okno, aż w końcu szyba pękła na kawałki.

Ostrożnie ją powyjmował, wsunął rękę do środka i przekręcił klamkę. Ponownie się rozejrzył, otworzył okno, wspiął się na parapet i zeskoczył do wnętrza garażu.

Obok pomarańczowej lancy Prewłowa stał czarny amerykański ford sedan. Marganin szybko przeszukał oba samochody i zapamiętał numer na tablicy rejestracyjnej forda, który należał do ambasady. Pozdejmował wycieraczki, żeby wszystko wyglądało na robotę włamywacza — w Związku Radzieckim kradzież wycieraczek należała do ulubionych rozrywek w czasie wolnym od pracy — po czym otworzył drzwi garażu od wewnątrz i wyszedł.

Ruszył w powrotną drogę i wkrótce znalazł się przed frontem budynku. Na trolejbus czekał zaledwie trzy minuty. Zapłacił, kierowcy, usiadł i wlepił wzrok w okno. Uśmiechnął się do siebie. To był bardzo owocny poranek.

Marganin wcale nie zaprzętał sobie głowy „Planem Sycylijskim”.

Część II

GÓRNICY
Z KOLORADO

Sierpień 1987 roku

9.

Mel Donner rutynowo sprawdził, czy w sali nie ma elektronicznych urządzeń podsłuchowych, i włączył magnetofon.

— Próba mikrofonu — powiedział obojętnym głosem. — Jeden, dwa, trzy...

Nastawił gałki tonu i głośności, a potem skinął głową Seagramowi.

— Jesteśmy gotowi, Sid — cicho odezwał się Seagram. — Jak się zmęczysz, to powiesz, i do jutra zrobimy przerwę.

Szpitalne łóżko było tak ustawione, że Sid Koplina siedział w nim niemal pionowo. Wygląd mineraloga znacznie się poprawił od ich ostatniego spotkania. Twarz odzyskała normalną barwę, a oczy zdawały się patrzeć bystrzej. Tylko bandaż na łysiej głowie świadczył, że Koplina był ranny.

— Wytrzymam do północy — rzekł. — Wszystko, byle nie ta nuda. Nie znoszę szpitali. Pielęgniarki mają lodowate ręce, a w tym cholernym telewizorze ciągle nawala kolor.

Seagram uśmiechnął się szeroko i położył mikrofon na podółku Koplina.

— Może zaczniesz od wypłynięcia z Norwegii?

— Nic szczególnego się nie działo — odparł Koplina. — Norweski trawler rybacki „Godhawn” zgodnie z planem przeprowadził mój słup na holu na odległość dwustu mil od Nowej Ziemi. Następnie kapitan poczęstował mnie solidną porcją pieczeni reniferowej z sosem, z dodatkiem koziego sera, wspaniałomyślnie zaopatrzył w trzy litry gorzałki, oddał hol i wysłał w drogę przez Morze Barentsa.

— Miałeś jakieś kłopoty z pogodą?

— Żadnych... wasza prognoza meteorologiczna idealnie się sprawdziła. Powietrze było wprawdzie zimniejsze od tyłka białego niedźwiedzia, ale przez całą drogę miałem znakomitą żeglarską pogodę. — Koplina przerwał, żeby podrapać się w nos. — Ten mały słup, który pożyczycie od swoich norweskich kolegów, był świetny. Odzyskaliście go?

Seagram pokręcił głową.

— Musiałbym to sprawdzić, ale jestem pewien, że powinien być zniszczony. W żadnym wypadku nie można było wziąć jachtu na pokład statku badawczego ani też zostawić, żeby dryfował i znalazł się na kursie jakiegoś sowieckiego statku. Sam rozumiesz.

Koplina z żalem pokiwał głową.

— Szkoda. Przywiązałem się do niego.

— Mów dalej, proszę — rzekł Seagram.

— Północną wyspę Nowej Ziemi zobaczyłem drugiego dnia, późnym popołudniem. Siedziałem przy sterze ponad czterdzieści godzin, od czasu do czasu zapadając w drzemkę. Ciągle zamykały mi się oczy. Dobrze, że miałem wódkę. Po paru łykach czułem w żołądku taki żar, że natychmiast się budziłem.

— Nie widziałeś jakichś statków?

— Ani razu żaden statek nie pokazał się na horyzoncie — odparł Koplina i mówił dalej: — Brzeg sprawiał wrażenie, jakby był jedną wielką skalną ścianą. Nie mogłem znaleźć miejsca, w którym dałoby się wylądować, a zaczęło się już ściemniać. Zawróciłem więc na pełne morze, stanąłem w dryf i parę godzin się przespałem. Rano tak długo żeglowałem wzdłuż brzegu, aż znalazłem małą ukrytą zatoczkę, do której wpłynąłem na dieslu.

— Pewnie używałeś jachtu jako bazy?

— Przez następne dwanaście dni. Robiłem dziennie dwie, czasem trzy wycieczki na nartach, prowadząc poszukiwania w terenie, a na pokład wracałem, żeby zjeść gorący posiłek i przespać się w ciepłej koi.

— Do tego czasu nikogo nie widziałeś?

— Trzymałem się z dala od wyrzutni raketowej Kelva i strażnicy Karna. Nie widziałem żadnego śladu Rosjan do ostatniego dnia misji.

— Jak cię wykryli?

— Jakiś Rosjanin wyszedł na patrol z psem, który pewnie przeciął mój ślad i musiał mnie wyniuchać. Nic dziwnego, bo nie kąpałem się prawie od trzech tygodni.

Seagram skwitował to uśmiechem, Donner zaś włączył się do zadawania pytań chłodnym, natarczywym tonem:

— Wróćmy do pańskich wypraw w teren. Co pan znalazł?

— Oczywiście nie byłem w stanie przeszukać na nartach całej wyspy. Skoncentrowałem się na obszarach rokujących jakieś nadzieje, wybranych na podstawie wydruków z komputera satelity. — Koplin spojrział w sufit. — Północna wyspa to przedłużenie łańcuchów górskich Uralu i Półwyspu Jugorskiego; kilka falistych dolin, płaskowyżów i gór... przeważnie pokrytych stałą skorupą lodową. Prawie przez cały czas wieją tam gwałtowne wiatry i dlatego jest potwornie zimno. Poza skalnymi porostami nie znalazłem żadnej roślinności. Jeśli były tam jakieś ciepłokrwiste zwierzęta, to musiały się pochować.

— Trzymajmy się poszukiwań, a opisy przyrody zostawmy na kiedy indziej — rzekł Donner.

— Chcę tylko opisać warunki, w jakich przyszło mi pracować — powiedział Koplin lodowatym tonem, patrząc na Donnera z dezaprobatą. — I wolałbym, żeby mi nie przerywano...

— Naturalnie — wtrącił Seagram. Strategicznie wsunął się z krzesłem między łóżko a Donnera. — To twoja gra, Sid, i my będziemy grali według twoich reguł.

— Dziękuję — odparł Koplin, poprawiając się w łóżku. — Z geologicznego punktu widzenia wyspa jest całkiem interesująca. Opis uskoków i przemieszczeń skał, które kiedyś powstały z osadów na dnie pradawnego morza, wypełniłyby kilka tomów. Z punktu widzenia mineralogii magmatyczna parageneza jest jałowa.

— Mógłby pan to przełożyć na jakiś ludzki język? Koplin uśmiechnął się, pokazując zęby.

— Pochodzenie i geologiczne występowanie jakiegoś minerału nazywa się jego parageneza. Magma natomiast jest źródłem wszelkiej materii; to płynna skała, stopiona pod ciśnieniem, która twardej tworzy skały wulkaniczne, znane powszechnie jako bazalt czy granit.

— Fascynujące — oschle powiedział Donner. — A zatem twierdzi pan, że na Nowej Ziemi nie ma minerałów.

— Jest pan niezwykle spostrzegawczy, panie Donner — rzekł Koplin.

— A jak znalazłeś ślady bizanium? — spytał Seagram.

— Trzynastego dnia myszkowałem po północnym stoku Biednej Góry i natknąłem się na hałdę.

— Na hałdę?

— Na kupę skał, które wydobyto podczas głębieńszyby kopalni. I właśnie w tej hałdzie trafiłem na niewielkie ślady rudy bizanium.

Twarze obu mężczyzn siedzących przy łóżku nagle przybrały śmiertelnie poważny wyraz.

— Wejście do szybu sprytnie zamaskowano — ciągnął Koplin. — Znalezienie go zajęło mi prawie całe popołudnie.

— Chwileczkę, Sid — wtrącił Seagram, dotykając ręki Koplina. — Chcesz powiedzieć, że wejście do tej kopalni zostało ukryte celowo?

— Stary hiszpański sposób. Zasypano otwór wejściowy, tak że stok wzgórza wyglądał całkiem zwyczajnie.

— A czy ta hałda nie powinna leżeć na wprost wejścia? — spytał Donner.

— W normalnych warunkach owszem, lecz w tym wypadku znajdowała się w odległości ponad stu metrów na zachód od wejścia, oddzielona od niego łagodnym wybrzuszeniem zbocza.

— Ale pan jednak to wejście odkrył? — dopytywał się Donner.

— Tor, po którym jeździły wagoniki z rudą, rozebrano, a ślady po szynach i podkładach zostały zasypane, ale mnie udało się odkryć zarys toru, gdy obejrzałem sobie zbocze góry przez lornetkę z odległości półtora kilometra. To, czego nie zauważyłem z bliska, łatwo dostrzegłem z oddali, i wtedy bez trudności ustaliłem, gdzie znajdowała się kopalnia.

— Kto mógł zadać sobie tyle trudu, żeby ukryć opuszczoną kopalnię w Arktyce? — spytał Seagram. — Nie ma w tym ani sensu, ani logiki.

— Masz rację tylko w połowie, Gene — odezwał się Koplina. — Obawiam się, że cel pozostanie tajemnicą, ale to była znakomita robota zawodowców... górników z Kolorado — rzekł powoli, niemal z czcią. — To oni zbudowali tę kopalnię na Biednej Górze. Ładowacze, strzałowi, wiertacze i ci, co płuczą rudę... Kornwalijszczyki, Irlandczycy, Niemcy i Szwedzi. Nie Rosjanie, lecz ludzie, którzy wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych i stali się legendarnymi górnikami z Kolorado, a oni potrafią sobie radzić z najtwardszą skałą. Nikt nie wie, skąd się wzięli na pokrytych lodem stokach Biednej Góry, ale to właśnie oni tam byli, wydobywali bizantium i potem zniknęli w mrokach Arktyki.

Mina Seagrama zdradzała niedowierzanie. Kiedy odwrócił głowę i spojrzał na Donnera, zobaczył taką samą minę.

— Ależ to zakrawa na fantazję, absolutną fantazję — rzekł.

— Fantazję? — powtórzył Koplina jak echo. — Być może, a jednak to prawda.

— Wygląda na to, że jest pan tego całkiem pewien — mruknął Donner.

— Bo jestem. Niezbity dowód zgubiłem w czasie ucieczki przed strażnikiem. Możecie mi wierzyć tylko na słowo, ale skąd te wątpliwości? Jako naukowiec przedstawiam jedynie fakty i nie mam powodów, żeby kłamać. A więc, na waszym miejscu, panowie, po prostu bym uznał, że moje słowa odpowiadają prawdzie.

— Jak już powiedziałem, to twoja gra — rzekł Seagram z bladym uśmiechem.

— Wspomniał pan o jakimś niezbitym dowodzie — odezwał się Donner chłodnym, rzeczowym tonem.

— Kiedy dostałem się do szybu, a skały były luźne i wystarczyło tylko wygrzebać tunel długości jednego metra, w ciemnościach uderzyłem głową w sznur wagoników. W świetle czwartej zapalki zobaczyłem dwie lampy naftowe. W obu jeszcze była nafta i obie zapaliły się przy trzeciej próbie. — Bładoniebieskie oczy Koplina zdawały się patrzeć gdzieś daleko poza ścianę szpitalnej sali. — W świetle lamp ujrzałem deprymujący widok: równo poustawiane narzędzia górnicze, puste wagoniki na rdzewiejącym wąskim torze, świdry gotowe do wiercenia skały... wszystko jakby czekało na kolejną szlachtę, na górników, którzy zajmą się sortowaniem rudy i wywożeniem odpadów na hałdę.

— Czy nie zauważył pan czegoś, co mogłoby wskazywać, że kopalnię opuszczono w pośpiechu?

— Absolutnie nic. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Prycze w bocznym pomieszczeniu były zasłane, kuchnia wysprzątana, garnki i naczynia spokojnie stały na półkach. Nawet muły, które ciągnęły wagoniki, zostały przeprowadzone do sztolni, gdzie fachowo je zastrzelono: każda czaszka miała równą okrągłą dziurkę w samym środku. Nie, powiedziałbym raczej, że kopalnię opuszczano bardzo metodycznie.

— Jeszcze pan nam nie wyjaśnił, jak doszedł do wniosku, że to byli górnicy z Kolorado — powiedział Donner rzeczowym tonem.

— Właśnie do tego zmierzam — odparł Koplina. Trzepnął ręką w poduszkę i ostrożnie przekreślił się na bok. — Wszystko niewątpliwie na to wskazywało. Na cięższym sprzęcie

wciąż widniały znaki fabryczne producentów. Wagoniki wykonała odlewnia Guthriego i Synów z Pueblo w stanie Kolorado, świdry pochodziły z Zakładów Metalurgicznych Thora z Denver, na drobnych narzędziach znajdowały się nazwiska kowali, którzy je wykuli, przeważnie z Central City i Idaho Springs, a to przecież górnicze miasta w Kolorado.

Seagram poruszył się na krześle.

— Rosjanie mogli kupić ten sprzęt w Kolorado i później przewieźć go na wyspę.

— Możliwe — powiedział Koplina. — W kopalni były jednak również inne ślady, które prowadzą do Kolorado.

— Na przykład?

— Po pierwsze, ciało na jednej z prycz.

Seagram zmrużył oczy.

— Ciało...?

— Tak. Z rudymi włosami i rudą brodą — odrzekł Koplina obojętnym tonem. — Pięknie zakonserwowane w temperaturze poniżej zera. Najbardziej interesujący był napis na desce łączącej podpory prycz. Dodam, że wykonano go w języku angielskim i brzmiał następująco: „Tu spoczywa Jake Hobart. Urodzony w tysiąc osiemset siedemdziesiątym czwartym roku. Wspaniały człowiek, który zmarł podczas zamieci dziesiątego lutego tysiąc dziewięćset dwunastego roku”.

Seagram wstał i zaczął krążyć po sali.

— Nazwisko to już jest coś — stwierdził, zatrzymał się i spojrzał na Koplina. — Czy były tam jakieś rzeczy osobiste?

— Nie, nic. Żadnego ubrania. Dziwne, ale etykiety na puszkach od konserw były francuskie... Jednak na ziemi wałało się z pięćdziesiąt pustych opakowań po tytoniu do żucia „Mile-Hi”. Ostatnim elementem układanki, który niepodważalnie dowodzi, że to górniczy z Kolorado, był wyblakły i pożółkły egzemplarz „Rocky Mountain News”, z datą siedemnasty listopada tysiąc dziewięćset jedenastego roku. To właśnie ten dowód, który zgubiłem.

Seagram wyjął paczkę papierosów i przytknięciem wysunął jednego. Donner wyciągnął zapalniczkę i podał mu ogień. Seagram podziękował skinieniem głowy.

— Istnieje więc szansa, że Rosjanie nie mają bizanium — rzekł.

— I jeszcze jedno — spokojnie powiedział Koplina. — Prawa górna ćwiartka trzeciej strony gazety została równiutko wycięta. Może to nic nie znaczyć, ale z drugiej strony dobrze byłoby sprawdzić w starych zszywkach. Niewykluczone, że czegoś się dowiecie.

— W tej sytuacji rzeczywiście niewykluczone — potwierdził Seagram, życzliwie patrząc na Koplina. — Dzięki tobie mamy teraz kupę roboty.

Donner pokiwał głową.

— Natychmiast zamawiam bilet na najbliższy lot do Denver. Jeżeli mi się poszczęści, to powinienem wrócić z paroma odpowiedziami.

— Najpierw sprawdź tę gazetę, a potem spróbuj się czegoś dowiedzieć o Jake'u Hobarcie. Ja przejrzę stare wojskowe archiwa. Skontaktuj się również z jakimś miejscowym specjalistą od historii górnictwa na Zachodzie i poszukaj nazwisk producentów, które podał nam Sid. Choć to mało prawdopodobne, może jednak któryś z nich utrzymał się w branży do dzisiaj.

Seagram podniósł się z krzesła i spojrzał na Koplina.

— Nigdy nie będziemy w stanie ci się odwdziżyć za to, co dla nas zrobiłeś — powiedział ciepło.

— Myślę, że ci górniczy wykopali blisko tonę wysokoprocentowej rudy bizanium z wnętrza tej cholerniej góry — rzekł Koplina, pocierając dłonią miesięczny zarost na brodzie. — Ktoś musiał gdzieś schować tę rudę na potem. Chociaż... jeśli się nie pokazała od tysiąc dziewięćset dwunastego roku, to być może zaginęła na dobre. Ale jeśli ją znajdziecie, dla mnie wystarczającym podziękowaniem będzie niewielka próbka do mojej kolekcji.

— Masz to załatwione.

— A skoro mówimy o podziękowaniach, to podaj mi adres tego faceta, który uratował mi życie, bo chcę wysłać mu skrzynkę starego wina. Nazywa się Dirk Pitt.

— Aha, masz na myśli tego lekarza, który cię operował na pokładzie statku badawczego?

— Nie. Mam na myśli tego człowieka, który zabił rosyjskiego strażnika i jego psa, a potem zabrał mnie z wyspy.

Donner i Seagram popatrzyli na siebie jak rażeni piorunem. Pierwszy odezwał się Donner.

— Zabił rosyjskiego strażnika?! Mój Boże, to koniec!

— Ależ to niemożliwe! — zawołał Seagram, który wreszcie odzyskał mowę. — Kiedy dopłynąłeś do statku NUMA, byłeś sam.

— Kto ci to powiedział?

— No... nikt. Ale sądziliśmy...

— Nie jestem Supermanem — przerwał mu Koplín sarkastycznie. — Ten strażnik poszedł moim śladem, zbliżył się na dwieście metrów i dwukrotnie mnie postrzelił. Nie byłem w stanie uciec psu, a potem przepłynąć słupem pięćdziesiąt mil na pełnym morzu.

— Skąd się wziął ten Dirk Pitt?

— Nie mam zielonego pojęcia. Ten żołnierz dosłownie ciągnął mnie do dowódcy strażnicy, kiedy Pitt wyłonił się z zadymki jak jakiś nordycki bóg zemsty, a potem spokojnie, jak gdyby robił to codziennie przed śniadaniem, zastrzelił najpierw psa, a później żołnierza.

— No, teraz dopiero sowiecka propaganda podniesie raban — jęknął Donner.

— Niby dlaczego? — spytał Koplín. — Przecież nie było żadnych świadków. Ten żołnierz i pies są już prawdopodobnie przysypani półtorametrową warstwą śniegu i może nigdy nie zostaną odnalezieni. A jeśli nawet, to co? Któż zdoła cokolwiek udowodnić? Obaj bez powodu wpadacie w panikę.

— Ten facet piekielnie ryzykował — powiedział Seagram.

— I bardzo dobrze — mruknął Koplín. — Gdyby nie on, to zamiast leżeć tutaj bezpiecznie i przyjemnie w izolatce szpitalnej, leżałbym w izolatce więziennej, gdzie Rosjanie wypruwaliby ze mnie flaki, żeby się czegoś dowiedzieć o Sekcji Meta i bizanium.

— Ma pan rację — przyznał Donner.

— Podaj nam jego rysopis — zażądał Seagram. — Twarz, budowę, ubranie... wszystko, co pamiętasz.

Koplín zrobił, co mu kazano. Przedstawił opis miejscami niezbyt dokładny, ale na ogół zdumiewająco dobrze zapamiętał Pitta.

— Czy rozmawiałeś z nim w drodze na statek NUMA?

— Nie mogłem, bo straciłem przytomność, jak tylko mnie podniósł, a odzyskałem ją dopiero w Waszyngtonie, w tym szpitalu. Donner uniósł rękę w stronę Seagrama.

— Powinniśmy natychmiast zająć się tym facetem. Seagram skinął głową.

— Zacznę od admirała Sandeckera. Pitt musi być w jakiś sposób związany z tym statkiem badawczym. Może ktoś w NUMA go zidentyfikuje.

— Zastanawia mnie, co on wie — powiedział Donner ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

Seagram nie odpowiedział. Jego myśli krążyły wokół tajemniczej postaci z pokrytej śniegiem wyspy w Arktyce. Dirk Pitt. W duchu powtarzał sobie to nazwisko. Wydawało mu się dziwnie znajome.

10.

Telefon zadzwonił dziesięć minut po północy. Sandecker otworzył jedno oko, którym przez kilka chwil rzucał mordercze spojrzenia na aparat. Wreszcie po ósmym dzwonku zrezygnowany podniósł słuchawkę.

— Tak, co jest? — spytał z pretensją.

— Tu Gene Seagram, panie admirale. Czyżbym wyciągnął pana z łóżka?

— Nie, do cholery, skądże. — Admirał ziewnął. — Nigdy się nie kładę, zanim nie napiszę pięciu rozdziałów mojej autobiografii, nie włamię się przynajmniej do dwóch sklepów z alkoholem i nie zgwałcę żony jakiegoś ministra. No dobra, o co chodzi, Seagram?

— Jest pewna sprawa.

— Niech pan o niej zapomni. Już nigdy nie będę narażał ani moich ludzi, ani moich statków, żeby ratować pańskich agentów uciekających z terytorium nieprzyjaciela.

— Wcale nie o to chodzi.

— Więc o co?

— Potrzebuję informacji o pewnym człowieku.

— Ale dlaczego zwraca się pan z tym do mnie, i to w środku nocy?

— Sądzę, że pan może go znać.

— Jak się nazywa?

— Dirk Pitt. Prawdopodobnie dwa „t” na końcu.

— Niech pan zaspokoï ciekawość starszego pana i powie mi, dlaczego pan uważa, że właśnie ja powinienem go znać?

— Nie mam żadnych dowodów, ale jestem pewien, że on ma jakieś powiązania z NUMA.

— Mam pod sobą ponad dwa tysiące ludzi. Nie dałbym rady zapamiętać wszystkich nazwisk.

— A czy mógłby pan sprawdzić? Koniecznie muszę z nim porozmawiać.

— Seagram — mruknął ze złością Sandecker — przyczepił się pan do mnie jak gównu do okrętu. A nie przyszło panu do głowy, żeby zadzwonić do mojego personalnego w czasie normalnych godzin urzędowania?

— Strasznie pana przepraszam — odparł Seagram — ale tak się złożyło, że pracuję do późnej nocy i...

— Dobra, jeżeli znajdę tego faceta, to każę mu się z panem skontaktować.

— Byłbym bardzo wdzięczny — powiedział Seagram beznamiętnym tonem. — A propos, ten człowiek, którego pańscy ludzie uratowali na Morzu Barentsa, czuje się całkiem dobrze. Chirurg z „First Attempt” wykonał pierwszorzędną robotę, usuwając mu ten pocisk.

— Jak on się nazywał? Koplina?

— Tak. Za parę dni powinien już wstać.

— Wtedy niewiele brakowało, Seagram. Gdyby Rosjanie się zorientowali, to mielibyśmy teraz ładny bigos.

— Cóż mi wypada powiedzieć? — bezradnie odezwał się Seagram.

— Może pan powiedzieć „dobranoc”, żebyśmy mógł z powrotem zasnąć — mruknął Sandecker. — Przedtem jednak niech mi pan powie, co wspólnego ma z tym wszystkim Pitt?

— Kiedy rosyjski strażnik złapał Koplina, ten facet nagle wyłonił się z zawieci, zabił strażnika, przewiózł Koplina po wzburzonym morzu na odległość pięćdziesięciu mil, nie mówiąc o zatamowaniu krwotoku z jego ran, i w jakiś sposób odstawił go na pański statek, gotowego do operacji.

— Co pan zamierza zrobić, kiedy go pan znajdzie?

— To już nasza sprawa.

— Rozumiem — rzekł Sandecker. — No cóż, dobranoc, panie Seagram.

— Dziękuję panu, admirale. Do widzenia.

Sandecker odłożył słuchawkę i przez parę chwil siedział z wyrazem rozbawienia na twarzy.

— Zabił rosyjskiego strażnika i uratował amerykańskiego agenta. Dirk Pitt... ty szczywany sukinsynu!

11.

Poranny samolot United Airlines wylądował na lotnisku Stapleton w Denver o godzinie ósmej. Mel Donner przeszedł przez salę odbioru bagaży, usiadł za kierownicą wynajętego avisa plymoutha i ruszył w piętnastominutową przejażdżkę West Colfax Avenue, gdzie pod numerem 400 mieściła się redakcja „Rocky Mountain News”. W czasie jazdy coraz to spoglądał na plan miasta rozłożony obok niego na przednim siedzeniu.

Dotychczas nigdy jeszcze nie był w Denver i trochę się zdziwił, widząc unoszący się nad miastem całun smogu. Sądził, że brudno-brązowe czy brudnoszare chmury wiszą tylko nad takimi metropoliami jak Los Angeles i Nowy Jork, ale Denver wyobrażał sobie jako miasto od tego wolne, pełne kryształowego powietrza, żyjące w majestacie Purpurowych Gór. Tymczasem nawet to ostatnie go rozczarowało, gdy zobaczył, że Denver leży na skraju wielkich równin, przynajmniej o czterdzieści kilometrów od najbliższych gór.

Zaparkował samochód i odnalazł drogę do biblioteki gazety. Dziewczyna za kontuarem spojrzała na Donnera zza łezkowatych szkielek i uśmiechnęła się życzliwie, pokazując nierówne zęby.

— Słucham pana?

— Czy macie egzemplarz waszej gazety z siedemnastego listopada tysiąc dziewięćset jedenastego roku?

— Ojej! Z takich zamierzonych czasów... — powiedziała krzywiąc usta. — Mogę panu dać jedynie fotokopię, bo oryginał jest w Stanowym Towarzystwie Historycznym.

— Potrzebna mi tylko trzecia strona.

— Proszę chwileczkę poczekać. Odszukanie mikrofilmu i wykonanie odbitki potrwa około piętnastu minut.

— Dziękuję. A przy okazji, nie mają państwo przypadkiem spisu przedsiębiorstw w Kolorado?

— Oczywiście, że mamy.

Sięgnęła pod kontuar i położyła spis na poplamionym plastikowym blacie.

Donner usiadł i zabrał się do studiowania spisu, a tymczasem dziewczyna zniknęła, by odszukać to, o co prosił. Nie znalazł odlewni Guthriego i Synów z Pueblo. Przejechał kciukiem po kartkach do litery „z”. Nie było również Zakładów Metalurgicznych Thora w Denver. Pomyślał, że trudno oczekiwać, aby obie firmy jeszcze działały po niemal osiemdziesięciu latach.

Kiedy minął kwadrans, a dziewczyna nie wracała, Donner dla zabicia czasu zaczął leniwie przewracać kartki spisu. Z wyjątkiem Kodaka, Martina Marietty i Gatesa Rubbera nie znalazł tam zbyt wielu przedsiębiorstw, o których by słyszał. Nagle zeszytniał. Pod literą „f” natknął się na Fabrykę Wyrobów Metalowych Jensena i Thora w Denver. Wyrwał tę kartkę, wsunął ją do kieszeni i rzucił spis na blat kontuaru.

— Proszę, to dla pana — powiedziała dziewczyna, która tymczasem wróciła. — Należy się pięćdziesiąt centów.

Donner zapłacił i szybko przeczytał tytuł w górnym prawym rogu reprodukcji starej gazety. Artykuł opisywał katastrofę w kopalni.

— Czy właśnie tego pan szukał? — spytała dziewczyna.

— To mi musi wystarczyć — odparł i wyszedł.

Fabryka Wyrobów Metalowych Jensena i Thora leżała między stacją rozrządową Burlington-Northern a brzegiem rzeki South Platte. To ogromne monstrum z falistej blachy oszpeciłoby każdy krajobraz poza okolicą, w której było usytuowane. Wewnątrz hall fabrycznej suwnice przenosiły pordzewiałe rury ogromnej długości z jednego miejsca na drugie, a stemplownice waliły z nieznośnym łoskotem, który Donnerowi niemal rozrywał bębenki. Biuro oddzielały od hall dźwiękoszczelne betonowe ściany z wysokimi łukowatymi oknami.

Atrakcyjna sekretarka o wydatnym biuście zaprowadziła Donnera przez pokryty puszystym dywanem hall do przestronnego gabinetu, wyłożonego boazerią. Carl Jensen Młodszy wyszedł zza biurka i przywitał się z gościem. Ten najwyżej dwudziestoosmioletni mężczyzna nosił długie włosy, równo przycięte wąsy i miał na sobie drogi garnitur w kratkę. Wyglądał dokładnie jak absolwent Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, Donner nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

— Dziękuję, że pan poświęcił swój czas na spotkanie ze mną, panie Jensen.

Jensen uśmiechnął się ostrożnie.

— Sprawa wygląda na ważną. Jakże mógłbym odmówić tak wysoko postawionej osobie z Waszyngtonu?

— Jak już powiedziałem panu przez telefon, sprawdzam tylko pewne dawne akta.

Uśmiech na twarzy Jensena przygasł.

— Mam nadzieję, że pan nie jest z Urzędu Skarbowego? Donner przecząco pokręcił głową.

— Nic podobnego. Zainteresowanie rządu ma charakter czysto historyczny. Chciałbym przejrzeć wasze księgi sprzedaży z okresu od lipca do listopada tysiąc dziewięćset jedenastego roku, jeżeli jeszcze państwo je mają.

— Proszę sobie ze mnie nie żartować — roześmiał się Jensen.

— Zapewniam pana, że to poważna prośba.

Jensen spojrział na niego wzrokiem pozbawionym wyrazu.

— Czy jest pan pewien, że trafił pod właściwy adres?

— Jestem, jeżeli pańska firma jest spadkobierczynią odlewni Thora — bez wahania odparł Donner.

— To dawna spółka mojego pradziadka — potwierdził Jensen. — Mój ojciec wykupił ją w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku i zmienił nazwę.

— Czy państwo mają jeszcze jakieś związane z nią dokumenty? Jensen wzruszył ramionami.

— Jakiś czas temu wyrzuciliśmy wszystkie starocie. Gdybyśmy przechowywali wszystkie dowody sprzedaży od czasu, gdy mój pradziadek otworzył odlewnię w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym roku, potrzebowalibyśmy magazynu wielkości stadionu Bronco wyłącznie do tego celu.

Donner wyciągnął chusteczkę do nosa i wytarł sobie z twarzy kropelki potu. Zrezygnowany siedział w fotelu.

— Jednakże dzięki dalekowzroczności Carla Jensena Starszego — ciągnął Jensen — mamy wszystkie nasze dawne dokumenty na mikrofilmach.

— Na mikrofilmach?

— To jedyne wyjście. Po pięciu latach wszystko fotografujemy. Pracujemy nowoczesnie.

Donner nie wierzył własnemu szczęściu.

— A więc dostanę dowody sprzedaży z drugiego półroczna tysiąc dziewięćset jedenastego roku?

Jensen nie odpowiedział. Pochylił się nad biurkiem, połączył z sekretarką i rzucił jej kilka słów do mikrofonu. Potem odchylił się do tyłu w swoim dyrektorskim fotelu.

— Czy mógłbym tymczasem poczęstować pana kawą, panie Donner?

— Wolałbym coś ciut mocniejszego.

— Od razu widać, że jest pan z wielkiego miasta — powiedział Jensen. Wstał i podszedł do świecącego lustrami barku, z którego wyjął butelkę chivas regal. — Denver to niemal pipidówka. Tutaj ludzie na ogół krzywo patrzą na barki w gabinetach. Miejscowym zwyczajem, chcąc ugościć jakąś ważną osobę, zaprasza się ją na dużą coca-colę i suty obiad do eleganckiej restauracji. Ale tak się szczęśliwie złożyło dla naszych lepszych klientów z innych miast, że terminowałem na Madison Avenue.

Donner jednym haustem opróżnił podaną mu szklanę.

Jensen obrzucił go taksującym spojrzeniem i ponownie ją napenił.

— Proszę mi powiedzieć, panie Donner, czego właściwie państwo szukają?

— Nic ważnego — odparł Donner.

— Czyżby? Chyba rząd nie wysyłałby nikogo tak daleko tylko po to, żeby dla żartu liczył pozycje w dowodach sprzedaży sprzed siedemdziesięciu sześciu lat?

— Rząd często załatwia swoje tajne sprawy w dziwny sposób.

— Tajne sprawy z tysiąc dziewięćset jedenastego roku? — powiedział Jensen, kręcąc głową z niedowierzaniem. — Naprawdę zdumiewające.

— Powiedzmy, że po prostu próbujemy rozwikłać pewne przestępstwo, którego sprawca korzystał niegdyś z usług pańskiego pradziadka.

Jensen uśmiechnął się i kurtuazyjnie udał, że bierze to kłamstwo za dobrą monetę.

Do gabinetu tanecznym krokiem weszła czarnowłosa dziewczyna w długiej spódnicy i botkach, rzuciła Jensenowi uwodzicielskie spojrzenie, położyła na biurku kserokopię, po czym się wycofała.

Jensen podniósł kartkę i przeczytał ją.

— Odlewnia mojego przodka musiała przechodzić kryzys w okresie od czerwca do listopada. Niewiele sprzedała w ciągu tych miesięcy. Czy interesuje pana jakaś szczególna pozycja, panie Donner?

— Sprzęt górniczy.

— Tak, to musi być to... świdry. Zamówione dziesiątego sierpnia i odebrane przez nabywcę pierwszego listopada — powiedział Jensen i pokazał zęby w szerokim uśmiechu. — Ktoś chyba sobie z pana zażartował.

— Nie rozumiem.

— Nabywcą albo, jak pan mnie poinformował, przestępcą... — tu Jensen zawiesił głos, żeby wywołać większe wrażenie — ...był rząd USA.

12.

Główną kwaterę Sekcji Meta zakonspirowano w starym niepozornym budynku z żuzłobetonu przy waszyngtońskiej stoczni marynarki wojennej. Duży szyld, z którego pod działaniem palącego słońca i wilgoci luszczyla się farba, skromnie reklamował Spółkę Transportowo-Magazynową Smitha.

Rampy załadownicze sprawiały wrażenie całkiem normalnych, skrzynie i pudła stały w strategicznych punktach, a ciężarówki, zaparkowane na placu za wysokim, pięciometrowym ogrodzeniem z siatki drucianej, wyglądały z przebiegającej nie opodal Suitland Parkway akurat tak, jak powinny wyglądać ciężarówki na chodzie. Tylko dokładniejsza lustracja wykazałaby, że to stare wraki z rdzewiejącymi silnikami, w środku puste i zakurzone. Na taki widok serce rośnie każdemu scenografowi filmowemu.

Gene Seagram przeczytał sprawozdania na temat wykupu działek pod budowę instalacji przewidzianych w „Planie Sycylijskim”. Było ich w sumie czterdzieści sześć — najwięcej na północy, wzdłuż granicy z Kanadą, i prawie tyle samo na wybrzeżu Atlantyku. Ale już nad Pacyfikiem jedynie osiem, a na granicy z Meksykiem i nad Zatoką Meksykańską zaledwie cztery. Wszystkie transakcje przebiegły gładko — w każdym wypadku nabywcą był rzekomy sektor rozwoju energetyki, co nie powinno budzić żadnych podejrzeń. Instalacje zaprojektowano w taki sposób, by przypominały niewielkie elektrownie. Z zewnątrz wyglądały tak, że nawet najbardziej podejrzliwe osoby niczego by nie zauważyły.

Seagram akurat czytał preliminarz kosztów budowy, gdy zadzwonił telefon. Z przyzwyczajenia starannie włożył sprawozdania z powrotem do teczki, wsunął ją do szuflady biurka i podniósł słuchawkę.

— Seagram, słucham.

— Czołem, panie Seagram.

— Kto mówi?

— Major McPatrick z Centralnego Archiwum Wojskowego. Prosił pan, żebym zadzwonił pod ten numer, jeżeli znajdę coś na temat górnika o nazwisku Jake Hobart.

— Tak, oczywiście. Przepraszam, ale myślałem byłem gdzie indziej.

Seagram próbował wyobrazić sobie mężczyznę na drugim końcu linii. Absolwent West Point, pod trzydziestkę — tyle zdradzał sposób mówienia i młodzieńczy głos. Prawdopodobnie zostanie generałem przed czterdziestym piątym rokiem życia, oczywiście pod warunkiem, że potrafi nawiązać odpowiednie kontakty w czasie pracy w Pentagonie.

— Co pan znalazł, majorze?

— Dane tego człowieka. Jego pełne nazwisko brzmi: Jason Cleveland Hobart. Urodził się dwudziestego trzeciego stycznia tysiąc osiemset siedemdziesiątego czwartego roku w Vinton w stanie Iowa.

— Przynajmniej rok się zgadza.

— Zawód też. Faktycznie był górnikiem.

— Co poza tym?

— Wstąpił do wojska w maju tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego ósmego i służył w Pierwszym Pułku Ochotników z Kolorado na Filipinach.

— Powiedział pan „z Kolorado”?

— Tak jest. — McPatrick przerwał na chwilę i Seagram usłyszał szelest przewracanych kartek. — Hobart ma wspaniałą kartotekę z okresu działań wojennych. Awansował na sierżanta. Był ciężko ranny w czasie starć z powstańcami filipińskimi i dwukrotnie został odznaczony za waleczność.

— Kiedy go zdemobilizowano?

— W tamtych czasach nazywali to „zmustrowaniem” — powiedział McPatrick tonem eksperta. — Hobarta zwolniono z wojska w październiku tysiąc dziewięćset pierwszego roku.

— Czy to już wszystko, co pan ma na jego temat?

— Nie. Wdowa po nim wciąż pobiera rentę.

— Chwileczkę — przerwał mu Seagram. — To żona Hobarta jeszcze żyje?

— Co miesiąc, dokładnie jak w zegarku, odbiera gotówką pięćdziesiąt dolarów czterdzieści centów.

— Musi mieć ponad dziewięćdziesiąt lat. To prawie niespotykane, żeby wdowa po weteranie wojny amerykańsko-hiszpańskiej wciąż jeszcze pobierała rentę. Zdawałoby się, że większość takich pań już od dawna powinna leżeć w grobie.

— Ależ skądże, na listach rencistów mamy jeszcze prawie setkę wdów po uczestnikach wojny secesyjnej. Żadnej z nich jeszcze nie było na świecie, kiedy Grant zdobywał Richmond. W tamtych czasach krótkotrwałe małżeństwa słodkich nastolatków z bezzębnymi starcami, weteranami Wielkiej Armii Republikańskiej, były całkiem normalne.

— Sądziłem, że wdowa ma prawo do renty jedynie wówczas, gdy jej mąż zginie na polu walki.

— Niekoniecznie — odparł McPatrick. — Rząd wypłaca renty wdowie w dwóch wypadkach. Po pierwsze, jeżeli śmierć nastąpi w czasie służby. To oczywiście obejmuje śmierć na polu walki albo wskutek nieuleczalnej choroby czy ran będących wynikiem służby odbywanej w okresie ustalonym przez Kongres. Po drugie, w wypadku śmierci nie związanej ze służbą. Weźmy za przykład pana. Przez ustalony okres służył pan w marynarce w czasie wojny w Wietnamie. Upoważnia to pańską obecną lub przyszłą żonę do pobierania niewielkiej renty, gdyby nawet za czterdzieści lat przejechała pana ciężarówka.

— Uwzględnij to w moim testamencie — powiedział Seagram, zirytowany faktem, że do jego wojskowych akt personalnych ma dostęp byle urzędnik w Pentagonie. — Wracajmy do Hobarta.

— Teraz dochodzimy do dziwnego przeoczenia ze strony archiwum wojskowego.

— Przeoczenia?

— W kartotece Hobarta brak wzmianki o ponownym wstąpieniu do wojska, lecz odnotowano, że „zginął w służbie ojczyzny”. Nie ma nic o przyczynie śmierci, jedynie data... siedemnasty listopada tysiąc dziewięćset jedenastego roku. Seagram nagle zeszytniał.

— Z wiarygodnych źródeł wiem, że Jake Hobart zmarł jako cywil dziesiątego lutego tysiąc dziewięćset dwunastego roku.

— Jak już wspominałem, nie ma nic o przyczynie śmierci, ale zapewniam pana, że Hobart umarł jako żołnierz, a nie cywil, siedemnastego listopada. Mam tutaj w jego kartotece list z dwudziestego piątego lipca tysiąc dziewięćset dwunastego roku od Henry'ego Stimsona, ministra wojny za prezydentury Tafta. W liście tym przyznaje żonie Jasona Hobarta pełną wdowią rentę do końca życia. Pozostaje tajemnicą, w jaki sposób Hobart zasłużył sobie na osobiste zainteresowanie ministra wojny, ale właściwie nie ma wątpliwości, że jednak się zasłużył. Tylko żołnierz o znakomitej reputacji mógł być tak szczególnie potraktowany, a nie górnik węglowy.

— On nie był górnikiem węglowym — warknął Seagram.

— To bez znaczenia.

— Macie adres pani Hobart?

— Gdzieś tu jest. — McPatrick zawahał się na chwilę. — Pani Adeline Hobart, Calle Aragon 261-B, Laguna Hills, Kalifornia. Ona mieszka w tym dużym domu starców na wybrzeżu koło Los Angeles.

— To byłoby mniej więcej wszystko — powiedział Seagram. — Bardzo dziękuję za pomoc w tej sprawie, panie majorze.

— Nie chciałbym niczego sugerować, panie Seagram, ale wydaje mi się, że tu chodzi o dwóch różnych ludzi.

— Chyba ma pan rację — odparł Seagram. — Wygląda na to, że poszedłem niewłaściwym tropem.

— Gdybym w przyszłości mógł w czymś pomóc, to proszę bez wahania do mnie dzwonić.

— Z pewnością to zrobię — mruknął Seagram. — Jeszcze raz dziękuję.

Odłożywszy słuchawkę, zgarbił się i ukrył twarz w dłoniach. Siedział tak bez ruchu chyba dwie pełne minuty, a później położył ręce na stole i, zadowolony z siebie, pokazał zęby w szerokim uśmiechu.

Dwóch ludzi mogło oczywiście mieć identyczne nazwisko i rok urodzenia, a nawet pracować w tym samym zawodzie i mieszkać w jednym stanie. Ta część zagadki to być może zbieg okoliczności, ale między tymi ludźmi istniał pewien tajemniczy związek, który przemawiał za tym, że to jedna osoba: zgodnie z zapisem w kartotece Hobart zginął tego

samego dnia, kiedy ukazała się gazeta znaleziona przez Sida Koplina w kopalni na Biednej Górze — 17 listopada 1911 roku.

Seagram włączył interkom i powiedział do sekretarki:

— Barbaro, połącz mnie z hotelem „Brown Palace” w Denver i poproś Mela Donnera.

— Czy mam mu zostawić jakąś wiadomość, gdyby go nie było?

— Tylko żeby po powrocie do mnie zadzwonił pod prywatny numer.

— Już się robi.

— I jeszcze jedno. Zarezerwuj mi miejsce w samolocie United Airlines do Los Angeles na jutro rano.

— Dobrze.

Wyłączył interkom i zadumany rozparł się w fotelu. Myślał o tym, że Adeline Hobart ma ponad czterdzieści lat, i błagał Boga, żeby mimo zaawansowanego wieku zachowała sprawność umysłu.

13.

Dormer zwykle nie zatrzymywał się w śródmiejskich hotelach. Wolał podmiejskie motele, mniej rzucające się w oczy i otoczone zielenią, ale Seagram się uparł, uzasadniając to tym, że osobie prowadzącej dochodzenie łatwiej nawiązać kontakt z miejscowymi ludźmi, gdy im powie, że ma pokój w najstarszym i najbardziej prestiżowym hotelu. Na myśl o prowadzeniu dochodzenia Donnerowi robiło się niedobrze. Gdyby pięć lat temu któryś z jego kolegów profesorów Uniwersytetu Południowej Kalifornii powiedział mu, że mając doktorat z fizyki, będzie zajmował się takimi tajnymi sprawami, to wówczas by pękł ze śmiechu. Teraz jednak wcale nie miał ochoty się śmiać. „Plan Sycylijski” był zbyt ważny dla interesów kraju, żeby ryzykować jakiś przeciek przy korzystaniu z pomocy ludzi z zewnątrz. Donner i Seagram sami go opracowali i przygotowywali. Postanowiono również, że dopóki to będzie możliwe, sami będą się wszystkim zajmować.

Donner zostawił wynajętego plymoutha dozorca parkingu, przeciął Tremont Place i przez staromodne obrotowe drzwi hotelu wszedł do przyjemnego, pełnego ozdób hallu, gdzie młody wąsaty zastępca dyrektora wręczył mu kartkę z wiadomością, nawet się nie uśmiechając. Donner odebrał ją bez słowa podziękowania i ruszył w stronę wind.

Kiedy wszedł do pokoju, zatrzasnął za sobą drzwi, cisnął klucze wraz z wiadomością od Seagrama na biurko i włączył telewizor. Miał za sobą długą męczącą podróż, a jego organizm funkcjonował jeszcze według czasu waszyngtońskiego. Przez telefon zamówił sobie kolację do pokoju, zsunął buty, rozluźnił krawat i położył się na łóżku.

Chyba już po raz dziesiąty zaczął czytać fotokopię strony starej gazety. Jej lektura byłaby bardzo ciekawa, gdyby Donnera interesowały reklamy urzędów do strojenia fortepianów, elektryczne pasy przepuklinowe, lekarstwa na różne dziwne dolegliwości, a także artykuły redakcyjne, podkreślające zdecydowanie rady miejskiej Denver w oczyszczaniu takiej to a takiej ulicy z domów grzesznej rozrywki, czy też intrygujące drobne ogłoszenia, które napawały przerażeniem niewinne czytelniczki na początku XX wieku.

RAPORT KORONERA

W ubiegłym tygodniu osoby przybyłe do kostnicy miejskiej w Paryżu zaskoczył widok zagadkowej gumowej protezy, wystawionej tam, aby ktoś ją rozpoznał. Okazuje się, że w Sekwanie znaleziono zwłoki elegancko ubranej kobiety, prawdopodobnie w wieku około pięćdziesięciu lat, lecz jej ciało uległo już takiemu rozkładowi, że nie można było go przechowywać. Stwierdzono, że ofiara miała amputowaną lewą nogę, a zamiast niej pomysłowo wykonaną gumową protezę, którą wystawiono w nadziei, że umożliwi to identyfikację jej właścicielki.

Donner skwitował uśmiechem tę osobliwą historię i przeniósł wzrok na prawy górny róg, którego według relacji Koplina brakowało w gazecie znalezionej przez niego na Nowej Ziemi.

KATASTROFA W KOPALNI

Dziś wczesnym rankiem doszło do straszliwej tragedii: wybuch dynamitu w kopalni „Little Angel” koło Central City spowodował zawał, który stał się pułapką dla dziewięciu górników z pierwszej zmiany, łącznie ze znanym i szanowanym inżynierem górnictwa, Joshua Haysem Brewsterem.

Wyczerpani do nieprzytomności członkowie grupy ratunkowej utrzymują, że nie ma żadnej nadziei odnalezienia górników żywych. Bill Mahoney, nieustraszony sztygar z kopalni „Satan”, dokonywał nadludzkich wysiłków, by dotrzeć do uwięzionych górników, ale przeszkodziła mu w tym woda zalewająca główny szyb.

„Moi biedni koledzy na pewno już nie żyją”, oświadczył reporterom Mahoney na miejscu katastrofy. „Woda zalała drugi poziom powyżej miejsca, w którym pracowali. Na pewno utonęli jak szczury, zanim do nich dotarło, co się stało.”

Milczący, pełen smutku tłum, zgromadzony pod bramą kopalni, żałośnie jęknął na wieść, że tym razem nie będzie można wydobyć ciał górników i urządzić im przyzwoitego pochówku.

Według informacji uzyskanych z wiarygodnych źródeł, inżynier Brewster zamierzał ponownie uruchomić kopalnię, która pozostawała nieczynna od 1881 roku. Jego przyjaciele i związani z nim biznesmeni mówią, że Brewster często powtarzał, jakoby w czasie pierwszych prac wydobywczych nie natrafiono na główną żyłę, i chwalił się, że to on ją odkryje.

Poproszony o komentarz Ernest Bloeser, dawny właściciel kopalni „Little Angel”, obecnie na emeryturze, powiedział na ganku swojego domu w Golden: „Tę kopalnię prześladował pech od chwili, gdy ją uruchomiłem. Okazało się, że natrafiliśmy jedynie na żyłę niskoprocentowej rudy, która nie przyniosła żadnego dochodu.” Pan Bloeser stwierdził ponadto: „Uważam, że Brewster całkowicie się mylił. Tam nigdy nie było śladu macierzystej żyły. Dziwię się, że człowiek z jego reputacją mógł w ten sposób myśleć.”

Z ostatnich doniesień z Central City wynika, że skoro taka jest wola boska, to kopalnia będzie zasypana, stając się na wieki grobem zaginionych górników, którzy już nigdy nie ujrzą światła dziennego.

Ta straszliwa katastrofa zebrała ponure żniwo. Na liście ofiar znalazły się następujące osoby:

Joshua Hays Brewster z Denver

Alvin Coulter z Fairplay

Thomas Price z Leadville

Charles P. Widney z Cripple Creek

Vernon S. Hall z Denver

John Caldwell z Central City

Walter Schmidt z Aspen

Warner E. O'Deming z Denver

Jason C. Hobart z Boulder

Niech Bóg ma w swojej opiece dusze tych śmiałych, utrudzonych znojną pracą ludzi.

Ilekróć Donner przebiegał wzrokiem po stronie zadrukowanej staromodną gazetową czcionką, zawsze w końcu wracał do ostatniego nazwiska na liście zaginionych górników. Powoli, jak w transie, położył fotokopię na kolanach, podniósł słuchawkę telefonu i zaczął nakręcać numer, którego długość świadczyła, że będzie to połączenie międzymiastowe.

14.

— „Monte Cristo”! — wykrzyknął Harry Young z zachwytem. — Z całego serca polecam „Monte Cristo”. Również sałatka z roquefortem jest doskonała. Ale najpierw chciałbym martini, bardzo wytrawne, z dżinem.

— Kanapka „Monte Cristo” i sałatka z roquefortem. Przyjęłam — powiedziała młoda kelnerka, tak pochylona nad stolikiem, że uniosła się jej mini-spódniczka, odsłaniając białe majtki. — A szanowny pan co zamawia?

— Wezmę to samo — odparł Donner kiwając głową. — Tylko że ja zacznę od manhattanu z lodem.

Patrząc znad okularów, Young odprowadził wzrokiem kelnerkę śpieszącą do kuchni.

— Żeby tak ktoś chciał mi zrobić z niej prezent gwiazdkowy — rzekł z uśmiechem.

Young był kościsty i niski. Ten żwawy siedemdziesięcioośmioletni *bon vivant*, okiem eksperta pożądliwie spoglądający na kobiety, dawniej byłby uważany za przesadnie wystrojonego, podstarzałego głupca. W niebieskim golfie i wzorzystej sportowej marynarce siedział przy stoliku w łoży naprzeciwko Donnera.

— Panie Donner! — powiedział uszczęśliwiony. — To dla mnie prawdziwa przyjemność. „Broker” jest moją ulubioną restauracją. — Machnął ręką, wskazując wyłożone boazerią ściany i loże. — Wie pan, dawniej był tu skarbiec banku.

— Zauważyłem to, kiedy musiałem się schylić, wchodząc przez pięciotonowe drzwi.

— Powinien pan przyjść tu na kolację. Podają doskonałe krewetki — rzekł Young, rozpromieniając się na samą myśl.

— Będę o tym pamiętał w czasie mojej następnej wizyty.

— A teraz proszę mi powiedzieć, o co panu chodzi? — powiedział Young, patrząc uważnie na Donnera.

— Mam kilka pytań.

Brwi Younga uniosły się ponad okulary.

— Coś takiego! Teraz dopiero naprawdę mnie pan zaintrygował. Czyżby pan był z FBI? Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, powiedział pan tylko, że reprezentuje rząd federalny.

— Nie jestem z FBI. Zajmuję się opieką społeczną. Do moich obowiązków należy weryfikacja zażaleń w sprawie rent.

— A więc cóż ja mogę dla pana zrobić?

— W tej chwili prowadzę dochodzenie w sprawie wypadku w kopalni, w którym przed siedemdziesięciu sześciu laty zginęło dziewięciu górników. Potomek jednej z ofiar złożył zażalenie dotyczące wysokości renty. Przyjechałem tu, by sprawdzić, czy zażalenie to jest uzasadnione. Stanowe Towarzystwo Historyczne poleciło mi pana jako chodzącą encyklopedię historii górnictwa na Zachodzie.

— Lekka przesada — odparł Young. — Niemniej jednak to mi pochlebia.

Kelnerka przyniosła drinki. Sączyli je przez minutę. Donner bez pośpiechu oglądał wiszące na ścianach zdjęcia królów srebra w Kolorado z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Wszyscy sportretowani mężczyźni mieli tak bezczelny wyraz twarzy, wynikający z bogactwa, że sprawiali wrażenie, jakby swoimi aroganckimi spojrzeniami chcieli stopić soczewki obiektywu.

— Panie Donner, proszę mi powiedzieć, na jakiej podstawie można kwestionować wysokość renty przyznanej za wypadek sprzed siedemdziesięciu sześciu lat?

— Zdaje się, że wdowa nie otrzymała wszystkiego, co jej się należało — odparł Donner, wchodząc na niepewny grunt. — Jej córka, że tak powiem, żąda wyrównania.

— Rozumiem — rzekł Young. W zamyśleniu patrząc zza stolika, zaczął machinalnie postukiwać łyżeczką w talerzyk. — Który górnik pana interesuje spośród tych, co zginęli w katastrofie w „Little Angel”?

— Moje gratulacje — powiedział Donner, unikając wzroku Younga i machinalnie rozkładając serwetkę. — Znakomicie pan trafił.

— To naprawdę nic trudnego. Wypadek w kopalni przed siedemdziesięciu sześciu laty. Zginęło dziewięciu górników. To mogła być tylko katastrofa w kopalni „Little Angel”.

— Ten górnik nazywał się Brewster.

Young jeszcze przez chwilę patrzył na Donnera, potem przestał stukać łyżeczką w talerzyk i grzotnął nią w blat stolika.

— Joshua Hays Brewster — powiedział półgłosem. — Syn Williama Bucka Brewstera i Hettie z domu Masters, urodzony w Sidney w stanie Nebraska czwartego... a może piątego kwietnia tysiąc osiemset siedemdziesiątego ósmego roku.

Donner wytrzeszczył oczy.

— Skąd pan to wszystko wie?

— O, wiem znacznie więcej — odparł Young z uśmiechem. — Inżynierowie górniczy, czyli „brygada w sznurowanych butach”, jak ich niegdyś nazywano, stanowią raczej zamknięty klan. To jedna z tych nielicznych profesji, w których zawód przechodzi z ojca na syna, a synowie żenią się z siostrami i córkami innych inżynierów górników.

— Czy mam przez to rozumieć, że jest pan spokrewniony z Joshuą Haysem Brewsterem?

— Był moim wujem — rzekł Young, uśmiechając się od ucha do ucha.

Pod Donnerem jakby rozstąpiła się ziemia.

— Wygląda na to, że ma pan ochotę na następnego drinka — stwierdził Young i dał znak kelnerce, żeby przyniosła jeszcze jedną kolejkę. — Chyba nie muszę dodawać, że nie istnieje żadna córka, kwestionująca wysokość renty. Brat mojej matki umarł jako bezdzietny kawaler.

— Kłamstwo nie popłaca — oznajmił Donner z niepewnym uśmiechem. — Przepraszani, że wprowadziłem pana w błąd, równocześnie zapędzając się w koziego róg.

— Czy może mi pan wszystko wyjaśnić?

— Wolałbym nie.

— Ale pan rzeczywiście pracuje dla rządu? — spytał Young.

Donner pokazał mu swoją legitymację.

— Czy mogę więc zapytać, dlaczego prowadzicie dochodzenie w sprawie mojego dawno zmarłego wuja?

— Wolałbym nie — powtórzył Donner. — W każdym razie nie teraz.

— Czego pan chce się dowiedzieć?

— Wszystkiego, co panu wiadomo na temat Joshui Haysa Brewstera i wypadku w „Little Angel”.

Przyniesiono drinki wraz z sałatką. Donner musiał przyznać, że przyprawiono ją doskonale. Jedli w milczeniu. Kiedy Young skończył, wytarł swoje mikroskopijne siwe wąsy, odetchnął głęboko i wygodnie oparł się o ścianę łoża.

— Mój wuj był typowym przedstawicielem grupy ludzi, którzy na początku dziewiętnastego wieku kierowali kopalniami, pełnym zapału białym drobnomieszczaninem. Gdyby nie niewielki wzrost, a mierzył sobie zaledwie niecałe sto sześćdziesiąt centymetrów, z łatwością mógłby uchodzić za pierwowzór literackiej postaci szlachetnego, energicznego inżyniera górnika, który odznaczał się odwagą, lubił ryzyko i nosił wyglansowane długie buty, bryczesy i kapelusz z szerokim rondem.

— W pańskich ustach wygląda na bohatera starego serialu, nadawanego w sobotnie poranki.

— Fikcyjny bohater nigdy by mu nie dorównał — powiedział Young. — Dzisiaj oczywiście jest to wąska specjalizacja, ale inżynier dawnej szkoły musiał być twardy jak skała, którą drążył, i musiał znać się na wszystkim, bo był równocześnie mechanikiem, elektrykiem, poszukiwaczem, metalurgiem, geologiem, prawnikiem i rozjemcą między dusigroszami z zarządu a prostymi górnikami. Tylko tacy ludzie mogli kierować kopalnią i taki był Joshua Hays Brewster.

Donner milczał, powolnym ruchem obracając alkohol w szklance.

— Po ukończeniu wyższej szkoły górniczej — ciągnął Young — wuj uprawiał swój zawód w Klondike, Australii i Rosji, zanim w tysiąc dziewięćset ósmym powrócił w Góry Skaliste, by kierować „Sour Rock” i „Buffalo”, to jest dwiema kopalniami należącymi do grupy francuskich finansistów, którzy nigdy na oczy nie oglądali Kolorado.

— To Francuzi mieli działki w Stanach?

— Tak. Zainwestowali ogromny kapitał na Zachodzie. Złoto i srebro, bydło, owce, grunty. Cokolwiek by pan wymienił, na wszystkim trzymali łapę.

— Co opętało Brewstera, że chciał ponownie uruchomić „Little Angel”?

— To jakaś bardzo dziwna historia — odparł Young. — Ta kopalnia nie przedstawiała żadnej wartości. „Alabama Burrow”, położona o trzysta metrów od niej, dała dwa miliony dolarów w srebrze, zanim pompy przestały sobie radzić z podnoszącym się poziomem wody. Tam właśnie trafiono na wysokowydajną żyłę. „Little Angel” nigdy nawet się nie zbliżyła do takiej wydajności. — Young przerwał, pociągnął ze szklanki, a potem zapatrzył się w nią, jak gdyby w kostkach lodu majaczył jakiś niewyraźny obraz. — Kiedy o swoim zamiarze wuj zaczął informować każdego, kto tylko chciał tego słuchać, wówczas ludzie, którzy go znali, byli zaszokowani. Tak, panie Donner, zaszokowani. Joshua Hays Brewster był bowiem człowiekiem ostrożnym, człowiekiem, który wszystko rozpracowywał do najdrobniejszych szczegółów. Każde posunięcie dokładnie sobie kalkulował, nigdy nie ryzykując, jeżeli nie miał szans powodzenia. W jego wypadku publiczne rozgłaszanie takiego niedorzecznego przedsięwzięcia było nie do pomyślenia. Sam ten fakt wszyscy uznali za czyn szaleńca.

— Może znalazł jakieś ślady, które innym umknęły? Young przecząco pokręcił głową.

— Panie Donner, przez ponad sześćdziesiąt lat sam pracowałem jako geolog, i to nie najgorszy. Zszedłem tam jeszcze raz i zbadałem „Little Angel” aż do zalanych poziomów, a potem przeszukałem każdy dostępny cal w „Alabama Burrow” i powiadam panu jasno i wyraźnie: teraz nie ma tam żadnej nie wyeksploatowanej żyły srebra, ani nie było w tysiąc dziewięćset jedenastym.

Kelnerka przyniosła kanapki „Monte Cristo” i zabrała talerze po sałatce.

— Czy pan sugeruje, że pański wuj postradał zmysły?

— Owszem, taka możliwość przyszła mi do głowy. W owych czasach lekarze na ogół jeszcze nie umieli rozpoznawać guzów mózgu.

— Ani załamania nerwowego.

Young łączywie zabrał się do swojej kanapki i dopił drugie martini, — Jak tam pańska „Monte Cristo”, panie Donner?

Donner zmusił się do przełknięcia kilku kęsów.

— Doskonała, a pańska?

— Niebo w gębie. Czy nie zechciałby pan usłyszeć mojej prywatnej teorii? Nie będzie pan musiał silić się na grzeczność, może się pan śmiać bez skrępowania. Wszyscy reagują śmiechem, kiedy im to mówię.

— Obiecuję, że nie będę się śmiał — odparł Donner śmiertelnie poważnym tonem.

— Niech pan macza kanapkę w dżemie, panie Donner. Będzie smaczniejsza. A więc, jak już wspomniałem, mój wuj był człowiekiem bardzo skrupulatnym i bystrym obserwatorem, który krytycznie podchodził do swojej pracy, otoczenia i swoich osiągnięć. Zebrałem większość jego notatników i zapisków, które zajmują sporo miejsca w regale w moim gabinecie. Na przykład, jego uwagi na temat kopalni „Sour Rock” i „Buffalo” liczą sobie pięćset dwadzieścia siedem stron dokładnych szkiców oraz ładnie i czytelnie napisanych komentarzy. Jednakże na kartkach notatnika zatytułowanego „Kopalnia »Little Angel«” nie ma a b s o l u t n i e n i c.

— Nic nie zostawił na temat „Little Angel”? Może choć jakiś list? Young wzruszył ramionami i pokręcił głową.

— Wygląda na to, że nie miał czego zapisywać. Jak gdyby on i jego ludzie zeszli do kopalni i nigdy nie zamierzali wracać na powierzchnię.

— Co pan sugeruje?

— Może to zabrzmiało idiotycznie — oznajmił Young — ale przemknęła mi przez głowę myśl o zbiorowym samobójstwie. Dokładnie zbadałem sprawę ustalając, że każdy z tych dziewięciu ludzi był albo kawalerem, albo wdowcem. W większości wypadków jako wędrowni samotnicy pod byle pretekstem przenosili się z jednej kopalni do drugiej, gdy im się znudziło albo gdy rozczarował ich sztygar czy dyrekcja. Oni nie mieliby po co żyć, gdyby starość nie pozwoliła im już pracować w kopalni.

— Ale przecież Jason Hobart miał żonę — wtrącił Donner.

— Jak to?! — zawołał Young, wytrzeszczając oczy. — W aktach żadnego z nich nie znalazłem śladu żony.

— Niech mi pan wierzy na słowo.

— Jezus Maria! Gdyby mój wuj o tym wiedział, to nigdy by nie zatrudnił Hobarta.

— A niby dlaczego?

— Czy pan tego nie rozumie? On potrzebował ludzi, którzy nie mieli przyjaciół czy bliskich krewnych, żeby nikt się nimi nie interesował, gdyby zniknęli.

— Wyraża się pan niejasno — rzekł Donner stanowczym tonem.

— Krótko mówiąc, ponowne otwarcie kopalni „Little Angel” było po prostu pretekstem, mistyfikacją, a całą tragedię upozorowano. Jestem przekonany, że mój wuj zwariował. Nigdy się nie dowiemy, co spowodowało jego chorobę psychiczną, ale tak bardzo zmienił mu się charakter, że właściwie stał się zupełnie innym człowiekiem.

— Rozdwojenie jaźni?

— Właśnie. Zmieniła się jego moralność, gdzieś zniknęło całe ciepło i serdeczność w traktowaniu przyjaciół. Kiedy byłem młodszy, rozmawiałem z ludźmi, którzy go pamiętali. Wszyscy byli zgodni w jednej sprawie, a mianowicie, że ten Joshua Hays Brewster, którego znali i kochali, umarł na długo przed katastrofą w „Little Angel”.

— A na czym polegała mistyfikacja?

— Pomimo obłędu mój wuj wciąż był przecież inżynierem górnikiem. Bywało, że w ciągu paru minut potrafił określić, czy opłaca się eksploatować daną kopalnię, czy nie, więc doskonale wiedział, że „Little Angel” nie przedstawiała żadnej wartości. Jego zamiarem wcale nie było znalezienie tam wysokowydajnej żyły kruszcu. Nie mam najmniejszego pojęcia, o co mu chodziło w tej grze, panie Donner, ale jestem pewien, że gdyby ktokolwiek wypompował wodę z dolnych poziomów szybu w tej starej kopalni, to nie znajdzie tam żadnych kości ludzkich.

Donner dopił swojego drinka i pytająco spojrzał na Younga.

— A zatem sądzi pan, że tych dziewięciu ludzi, którzy zeszli do kopalni, po prostu uciekło? Young się uśmiechnął.

— Właściwie to nikt nie widział, żeby tam wchodził, panie Donner. Całkiem słusznie przypuszczano, że utonęli w kopalni, ponieważ później nikt już o nich nie słyszał.

— Brak dostatecznych dowodów — powiedział Donner.

— O, dowodów mam o wiele więcej — odparł Young z zapałem.

— Słucham więc.

— Po pierwsze: najniższe położone wyrobisko w kopalni „Little Angel” znajdowało się o dobre sto metrów ponad średnim poziomem wody gruntowej. W najgorszym wypadku występowały tam jedynie umiarkowane przecieki wód powierzchniowych. Dolne poziomy szybu już przedtem były zalane wodą, która zebrała się w nich od czasu pierwszego zamknięcia kopalni. A zatem wybuch dynamitu nie mógł spowodować nagłego jej zalania i utonięcia mojego wuja i jego ludzi.

Po drugie: sprzęt znaleziony w kopalni po wypadku to kupa starego szmelcu. Ci ludzie byli zawodowcami, panie Donner, i nigdy by nie zeszli pod ziemię z byle jakim ekwipunkiem.

Po trzecie: chociaż mój wuj każdemu opowiadał, że ponownie uruchamia kopalnię, to jednak ani razu nie rozmawiał na ten temat z jej właścicielem, Ernestem Bloeserem. Krótko mówiąc udawał, co było nie do pomyślenia u człowieka znanego z nienagannej postawy etycznej.

Po czwarte: pierwsza informacja o tym, że mogło dojść do katastrofy, pojawiła się dopiero następnego dnia po południu, kiedy to niejaki Bill Mahoney, sztygar z kopalni „Satan”, pod drzwiami swojego domu znalazł kartkę, w której napisano: „Pomocy! Przyjdź natychmiast do kopalni »Little Angel«!” Zadziwiający sposób podnoszenia alarmu, nie uważa pan? Kartka była naturalnie bez podpisu.

Po piąte: szeryf z Central City oświadczył, że mój wuj dał mu listę osób, które zeszły do kopalni, z prośbą o przekazanie prasie, gdyby doszło do wypadku. Co najmniej dziwne przecucie. To wyglądało tak, jakby wuj Joshua chciał mieć pewność, że nikt nie popełni omyłki przy identyfikacji ofiar.

Donner odsunął talerz i wypił szklanekę wody.

— Uważam, że pańska teoria jest ciekawa, ale nie w pełni przekonująca.

— Chwileczkę, panie Donner, bo ostatni dowód, chyba najważniejszy, zachowałem na koniec. Pół roku po tragedii moi rodzice wyjechali na wycieczkę po Europie i widzieli mojego wuja na peronie dworca w Southampton w Anglii. Moja matka często opowiadała, jak podeszła do niego i wykrzyknęła: „Mój Boże, Joshua, czy to naprawdę ty”? Twarz jej brata była zarośnięta i śmiertelnie blada. Patrzył szklistym wzrokiem. „Zapomnijcie o mnie”, odparł, a potem odwrócił się i uciekł. Mój ojciec pobiegł za nim, ale on wkrótce zniknął mu w tłumie na peronie.

— Logicznie można by to wytłumaczyć najzwyczajniejszą pomyłką.

— Siostra, która nie poznaje własnego brata? — sarkastycznie spytał Young. — Ależ panie Donner, nie poznałby pan swojego brata w tłumie?

— Obawiam się, że nie. Byłem jedynakiem.

— A szkoda. Ominęła pana jedna z największych radości w życiu.

— Przynajmniej z nikim nie musiałem dzielić się zabawkami. Przyszła kelnerka z rachunkiem i Donner rzucił jej na tacę swoją kartę kredytową.

— Z tego, co pan mówi, wynika więc, że katastrofa w „Little Angel” służyła za przykrywkę.

— To tylko moja teoria — odparł Young i wytarł sobie usta serwetką. — Oczywiście w żaden sposób nie można tego udowodnić, ale ciągle mam wrażenie, że za tym wszystkim stało Societe des Mines de Lorraine.

— A co to była za firma?

— Była i jest dla Francji tym, czym Krupp dla Niemiec, Mitsubishi dla Japonii czy Anaconda dla Stanów Zjednoczonych.

— Ale co wspólnego ma ze sprawą to Societe, jakże mu tam?

— To właśnie ci francuscy finansisci zatrudnili Joshuę Haysa Brewstera jako inżyniera kierującego pracami poszukiwawczymi. Tylko oni mieli wystarczający kapitał, by zapłacić dziewięciu ludziom za zniknięcie z powierzchni ziemi.

— Ale po co? Czym się kierowali? Young bezradnie rozłożył ręce.

— Bo ja wiem...? — Pochylił się do przodu; jego oczy zdawały się płonąć. — Wiem jednak, że musieli im zapłacić i użyć pewnych wpływów, by wywieźć ich wraz z moim wujem w jakieś piekielne miejsce poza granicami kraju.

— W jakim celu? Żeby jedli darmowe obiady na koszt rządu?

— Na pewno nie dla śmiechu — półgłosem odparł Young.

Donner pokiwał głową i nic nie odpowiedział. Ten stary mężczyzna, siedzący po drugiej stronie stolika, dodał tylko jeszcze jeden element do zagadki rudobrodego kościotrupa z kopalni na Biednej Górze, a to w żadnym wypadku nie było zabawne.

15.

Kiedy stewardesa odrzutowca United Airlines uśmiechnęła się na pożegnanie, Seagram odpowiedział jej tym samym i zszedł po schodkach na płytę międzynarodowego lotniska w Los Angeles. Do głównego budynku miał jakieś czterysta metrów. Wreszcie dotarł do frontowego hallu i w przeciwieństwie do Donnera, który wynajął samochód w firmie numer dwa, wolał firmę numer jeden i wziął lincolna z Hertz. Skręcił w Century Boulevard, minął kilka skrzyżowań i wjechał na autostradę prowadzącą do San Diego. Bezchmurne niebo i tylko nieznaczny smog pozwalały mu dostrzec zamglone szczyty Sierra Mądre. Prowadził spokojnie, jadąc prawym pasem setką, a obok przemykali miejscowi kierowcy z szybkością stu dwudziestu i stu trzydziestu kilometrów na godzinę, jak zwykle nie zwracając uwagi na znaki drogowe, które ograniczały prędkość do dziewięćdziesięciu kilometrów. Wkrótce minął rafinerie w Torrance oraz położone za nimi szyby naftowe wokół Long Beach i znalazł się w Pomarańczowym Hrabstwie, gdzie krajobraz nagle stał się płaski, ukazując morze szeregowych domków.

Jechał jeszcze nieco ponad godzinę, nim skręcił w kierunku „Świata Wolnego Czasu”. Sceneria była idylliczna: pola golfowe, baseny pływackie, stajnie, elegancko przystrzyżone trawniki i tereny parkowe. Wszędzie widziało się starców na rowerach.

Zatrzymał samochód przy głównej bramie, gdzie umundurowany strażnik w starszym wieku odnotował jego przyjazd i pokazał mu drogę do domku Calle Aragon numer 261-B. Był to niewielki malowniczy bliźniak, usytuowany na zboczu wzgórza z widokiem na wspaniały park. Seagram zostawił lincolna przy krawężniku, wszedł do patio z krzewami różanymi i nacisnął dzwonek. Kiedy drzwi się otworzyły i ujrzał Adeline Hobart, rozwiały się wszelkie jego obawy, gospodyni bowiem stanowczo nie wyglądała na swoje lata.

— Pan Seagram? — spytała beztroskim, wesołym głosem.

— Tak. Pani Hobart?

— Proszę wejść — rzekła wyciągając do niego rękę. Ucisnęła jego dłoń jak mężczyzna. — Mój Boże, nikt w ten sposób się do mnie nie zwracał od ponad siedemdziesięciu lat. Kiedy pan zadzwonił w sprawie Jake'a, tak mnie to zaskoczyło, że zapomniałam wziąć gerital.

Adeline była dość korpulentną kobietą, ale mimo nadwagi poruszała się sprawnie. Jej niebieskie oczy śmiały się przy każdym zdaniu, a twarz miała ciepły, łagodny wyraz. Wypisz, wymaluj ideał sympatycznej siwowłosej staruszki.

— Nie wygląda pani na osobę używającą geritalu — rzekł Seagram.

— Jeżeli to ma być komplement, to go kupuję — odparła wskazując ręką fotel, w gustownie urządzonej saloniku. — Proszę się rozgościć. Zostanie pan na obiad, prawda?

— Będę zaszczycony, jeżeli tylko nie sprawię tym kłopotu.

— Oczywiście, że nie. Bert ugania się po polu golfowym i miło mi będzie mieć towarzystwo.

Seagram podniósł zdziwiony wzrok.

— Bert?

— To mój mąż.

— A ja miałem wrażenie...

— Że wciąż jestem panią Hobart — dokończyła z niewinnym uśmiechem. — Prawda jest jednak taka, że sześćdziesiąt dwa lata temu wyszłam za Bertranda Austina.

— A czy wojsko o tym wie?

— Ależ oczywiście, że tak. Dawno temu wysłałam kilka listów do Ministerstwa Wojny z zawiadomieniem o zmianie mojego stanu cywilnego, ale oni za każdym razem odpowiadali grzecznie, lecz wymijająco, i w dalszym ciągu przysyłają mi czeki.

— Mimo że ponownie wyszła pani za męża? Adeline wzruszyła ramionami.

— Jestem tylko człowiekiem, panie Seagram. Niby dlaczego miałabym się z nimi kłócić? Skoro uparcie przysyłają pieniądze, któż chciałby im tłumaczyć, że zwariowali?

— Lukratywne rozwiązanie. Skinęła głową.

— Nie przeczę. Szczególnie gdy się weźmie pod uwagę te dziesięć tysięcy dolarów, które otrzymałam po śmierci Jake'a. Seagram pochylił się do przodu, mrużąc oczy.

— To wojsko wypłaciło pani odszkodowanie w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów? Czy to nie lekka przesada jak na rok tysiąc dziewięćset dwunasty?

— Byłam wtedy zaskoczona nie mniej od pana — rzekła. — Przyznaję, że ta kwota stanowiła wówczas małą fortunę.

— Czy do przekazu dołączono jakieś wyjaśnienia?

— Żadnych — odparła. — Wciąż jeszcze mam przed oczami ten czek, nawet po tylu latach. Miał napis „Wypłata dla wdowy” i był wystawiony na moje nazwisko. I tyle.

— Może zaczniemy od początku...

— Od czasu, gdy poznałam Jake'a?

Seagram skinął głową.

Na kilka chwil Adeline zapałała się w dal.

— Poznałam go tej strasznej zimy tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku. Było to w Leadville w stanie Kolorado, a ja dopiero co skończyłam szesnaście lat. Mój ojciec akurat wyjeżdżał służbowo do zagłębia kruszonośnego, by zbadać możliwość zainwestowania w kilka działek, a ponieważ zbliżało się Boże Narodzenie i miałam parę dni ferii, zgodził się zabrać ze sobą mamę i mnie. Ledwie pociąg dojechał do dworca w Leadville, kiedy w górskich rejonach Kolorado rozpułała się największa burza śnieżna od czterdziestu lat. Trwała dwa tygodnie i proszę mi wierzyć, wcale nie było wesoło, szczególnie jeśli się weźmie pod uwagę fakt, że Leadville leży na wysokości ponad trzech kilometrów.

— To musiała być wielka przygoda dla szesnastoletniej dziewczyny.

— I była. Tato krążył po hotelowym hallu jak lew w klatce. Mama po prostu siedziała i się martwiła, ale ja uważałam, że jest cudownie.

— A Jake?

— Pewnego dnia próbowaliśmy z mamą przejść na drugą stronę ulicy do domu towarowego, a wiatr dał z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę przy temperaturze pięciu stopni poniżej zera, gdy nagle ni stąd, ni zowąd pojawia się jakiś ogromny brutal, chwyta każdą z nas jedną ręką w pole, przenosi przez zasy i stawia na progu sklepu tak bezczelnie, jak tylko można sobie wyobrazić.

— I to był Jake?

— Tak — odparła z rezerwą. — To był Jake.

— Jak wyglądał?

— Był mężczyzną postawnym, o szerokich barach, mierzył sobie ponad metr osiemdziesiąt. Jako młody chłopak pracował w walijskich kopalniach. Bez trudu z dużej odległości poznawało się go w tłumie. Miał jaskraworude włosy i takąż brodę, a do tego zawsze się śmiał.

— Rude włosy i rudą brodę?

— Tak. Był bardzo dumny, że się wyróżnia wśród innych.

— Cały świat kocha ludzi, którzy się śmieją. Adeline uśmiechnęła się szeroko.

— Mogę panu powiedzieć, że z mojej strony na pewno nie była to miłość od pierwszego wejrzenia. Jake przypominał mi wielkiego niezgrabnego niedźwiedzia. Nie należał do mężczyzn, o jakich marzą młode panienki.

— Ale pani za niego wyszła. Skinęła głową.

— Zalecał się do mnie przez cały czas trwania zamieci, a kiedy wreszcie czternastego dnia zza chmur wyrzało słońce, wtedy przyjąłem jego oświadczenia. Moi rodzice oczywiście się wściekali, ale Jake zdobył sobie również ich.

— Niedługo była pani mężatką.

— Po raz ostatni widziałam go w rok później.

— Tego dnia, kiedy on i jego koledzy zginęli w „Little Angel” — powiedział Seagram bardziej twierdząco niż pytająco.

— Tak — odparła ze smutkiem. Unikając wzroku Seagrama, spojrzała w stronę kuchni.

— O Boże, zupełnie zapomniałam. Lepiej przygotuję nam jakiś obiad. Pan przecież musi umierać z głodu, panie Seagram.

Wyraz rzeczowości znikł z twarzy Seagrama, w którego oczach pojawiły się nagle błyski podniecenia.

— Jake kontaktował się z panią po wypadku w „Little Angel”, prawda, pani Austin?

Adeline cofnęła się, jakby szukała schronienia w poduszkach fotela. Po jej łagodnej twarzy przemknął cień lęku.

— Nie rozumiem, o czym pan mówi.

— Myślę, że pani rozumie — powiedział cicho.

— Nie... nie, pan się myli.

— Czego się pani boi? Jej ręce zaczęły drżeć.

— Powiedziałam panu wszystko, co mogłam.

— Wie pani więcej, znacznie więcej, pani Austin — powiedział, wyciągnął ręce i chwycił jej dłonie. — Czego się pani boi? — powtórzył.

— Przysięgam, że dochowam tajemnicy — wyszeptała.

— Czy może mi pani to wyjaśnić?

— Pracuje pan dla rządu, panie Seagram — powiedziała z wahaniem. — Pan wie, co to znaczy dochować tajemnicy.

— Kto to był? Jake? Czy to on poprosił panią o milczenie? Przecząco pokręciła głową.

— A więc kto?

— Nie mogę panu powiedzieć... Proszę mi wierzyć — rzekła błagalnie. — Niczego nie mogę panu powiedzieć.

Seagram wstał i spojrzał na nią z góry. Jakby przybyło jej lat; pogłębiły się zmarszczki na jej starczej skórze. Zamknęła się jak ślimak w muszli. Pomyślał, że potrzebna jej będzie łagodna kuracja wstrząsowa, by się otworzyła.

— Czy mogę skorzystać z telefonu?

— Tak, oczywiście. Najbliższy aparat jest w kuchni.

Upłynęło siedem minut, nim w słuchawce zabrzmiał znajomy głos. Seagram szybko wyjaśnił sytuację i przekazał swoją prośbę, a potem odwrócił się przodem do pokoju.

— Pani Austin, czy może pani na chwileczkę tu przyjść? Nieśmiało podeszła do niego.

— Ktoś pragnie z panią rozmawiać — rzekł podając jej słuchawkę. Ostrożnie wzięła ją z ręki Seagrama.

— Halo — szepnęła. — Tu Adeline Austin.

Na krótką chwilę w jej oczach pojawiło się zmieszanie, które z wolna przekształciło się w niekłamaną zdumienie. Milcząc, bez przerwy kiwała głową, jak gdyby miała przed sobą osobę, której głos dochodził ze słuchawki. Wreszcie pod koniec jednostronnej rozmowy zdołała wykrztusić kilka słów:

— Tak, panie prezydencie... zrobię to. Do widzenia. Powoli odłożyła słuchawkę i stała oszołomiona jak w transie.

— Czy... czy to naprawdę był prezydent Stanów Zjednoczonych?

— Tak. Jeśli pani sobie życzy, można to sprawdzić. Wystarczy zadzwonić do Białego Domu i poprosić Gregga Collinsa, który jest głównym asystentem pana prezydenta. To właśnie on mnie z nim połączył.

— Niech pan sobie wyobrazi, że prezydent poprosił mnie o pomoc — oznajmiła, z niedowierzaniem kręcąc głową. — Wprost nie mogę uwierzyć, że to prawda.

— Prawda, pani Austin. Proszę mi wierzyć, że każda informacja, jakiej pani nam udzieli na temat swojego pierwszego męża i dziwnych okoliczności jego śmierci, przyniesie krajowi ogromne korzyści. Wiem, że to brzmi banalnie, ale...

— Któż by odmówił prezydentowi? — przerwała mu Adeline.

Na jej twarz powrócił miły uśmiech, ustało drżenie rąk. Odzyskała równowagę, przynajmniej na zewnątrz.

Seagram delikatnie ujął ją pod rękę i odprowadziwszy z powrotem do pokoju, posadził na fotelu.

— Teraz już może mi pani powiedzieć, co łączyło Jake'a Hobarta z Joshua Haysem Brewsterem.

— Jake był specjalistą od materiałów wybuchowych, czyli strzałowym, jednym z najlepszych w tym zawodzie. Znał dynamit jak kowal kuźnię, a ponieważ pan Brewster przyjmował do swojej brygady tylko najlepszych, to często do wysadzania skał wynajmował Jake'a.

— Czy Brewster wiedział, że Jake był żonaty?

— Dziwi mnie, że pan o to pyta. Mieliśmy niewielki domek w Boulder, daleko od górniczych obozów, bo Jake nie chciał, by ktokolwiek wiedział, że ma żonę. Twierdził, że sztygarzy w kopalniach nie zatrudniliby strzałowego, który byłby żonaty.

— A więc Brewster, nie wiedząc o rzeczywistym stanie cywilnym Jake'a, przyjął go jako strzałowego do kopalni „Little Angel”?

— Wiem, że tak pisali w gazetach, panie Seagram, lecz ani Jake, ani żaden z pozostałych członków tej brygady w ogóle nigdy nie był w kopalni „Little Angel”.

Seagram wraz z fotelem tak blisko przysunął się do Adeline, że ich kolana prawie się stykały.

— A zatem ta katastrofa istotnie była mistyfikacją — rzekł chrapliwie.

Spojrzała na niego.

— To pan... to pan już wie?

— Podejrzewaliśmy, że tak było, ale nie mamy żadnych dowodów.

— Jeśli chodzi o dowody, panie Seagram, to zaraz je przyniosę.

Wstała, odmówiła przyjęcia pomocy oferowanej jej przez Seagrama i zniknęła w sąsiednim pokoju. Wróciła ze starym pudełkiem po butach i z nabożeństwem zaczęła je otwierać.

— W dniu poprzedzającym zejście do kopalni „Little Angel” Jake zabrał mnie do Denver i pohulaliśmy sobie po sklepach. Nakupował mi modnych strojów, biżuterii, a potem zaprosił na szampana do najlepszej restauracji w mieście. Ostatnią noc spędziliśmy w apartamencie dla nowożeńców w hotelu „Brown Palace”. Zna pan ten hotel?

— W tej chwili mieszka tam mój znajomy.

— Nad ranem Jake powiedział mi, żebym nie wierzyła w to, co usłyszę czy przeczytam w gazetach o jego śmierci w wypadku górniczym, i że wyjeżdża na kilka miesięcy do pracy gdzieś w Rosji. Powiedział, że po jego powrocie będziemy bardzo bogaci, bogatsi, niż moglibyśmy sobie wymarzyć. Później powiedział coś, czego nigdy nie zrozumiałam.

— A mianowicie co?

— Powiedział, że wszystkim zajmują się Francuzi i że kiedy to się skończy, będziemy mieszkać w Paryżu. — Na twarzy Adeline pojawił się wyraz rozmarzenia. — Rano już go nie

było. Na jego poduszce znalazłam kartkę z napisem „Kocham Cię, Ad” oraz kopertę zawierającą pięć tysięcy dolarów.

— Czy nie domyśla się pani, skąd pochodziły te pieniądze?

— Absolutnie. W tym czasie mieliśmy na koncie w banku jedynie około trzystu dolarów.

— I to była ostatnia wiadomość od niego?

— Nie — odparła podając Seagramowi wyblakłą pocztówkę z podkolorowanym zdjęciem wieży Eiffla. — Otrzymałam ją przez pocztę mniej więcej po miesiącu

Droga Ad! Tu pada deszcz i piwo jest okropne. Czuję się dobrze i chłopcy też. Nie martw się. Jak sama widzisz, wcale nie zginąłem. Wiesz kto.

Charakter pisma wyraźnie wskazywał na niepewną rękę. Na znaczku był stempel z Paryża z datą 1 grudnia 1911 roku.

— Po tygodniu otrzymałam następną kartkę — rzekła wręczając ją Seagramowi.

Kartka przedstawiała Sacre Coeur, lecz znaczek naklejono w Hawrze.

Droga Ad! Płyniemy do Arktyki. Przez jakiś czas nie będę pisał. Bądź dzielna. Francuzi dobrze nas traktują. Dobre jedzenie, dobry statek. Wiesz kto.

— Czy pani jest pewna, że to pismo Jake'a? — spytał Seagram.

— Absolutnie. Mam dokumenty i stare listy od niego. Jeśli pan sobie życzy, to można je porównać.

— Nie ma potrzeby, Ad. — Seagram zauważył, że się uśmiechnęła, kiedy użył tego zdrobnienia. — Miała pani od niego jeszcze jakieś wiadomości?

Skinęła głową.

— Trzecią i ostatnią. Jake pewnie zrobił sobie zapas pocztówek z Paryża. Ta przedstawia Sainte-Chapelle, ale wysłano ją z Aberdeen w Szkocji czwartego kwietnia tysiąc dziewięćset dwunastego roku.

Droga Ad! To miejsce jest okropne. Strasznie tu zimno. Nie wiadomo, czy przeżyjemy. Jeśli jakoś zdołam dostarczyć Ci tę kartkę, to nie zostaniesz bez opieki. Z Bogiem. Jake.

Z boku ktoś dopisał innym charakterem:

Szanowna Pani Hobart! Burza zabrała nam Jake'a. Po chrześcijańsku oddaliśmy mu ostatnią przysługę. Przesyłamy wyraz współczucia. V.H.

— V.H. to zapewne Vernon Hall — rzekł Seagram.

— Tak. Verb i Jake przyjaźnili się ze sobą.

— A co nastąpiło potem? Kto kazał pani przysięgać milczenie?

— Jakies dwa miesiące później, to było chyba w czerwcu, w naszym domku w Boulder zjawił się pułkownik Patman czy Patmore... nie pamiętam dokładnie... i powiedział, że na zawsze muszę zachować w tajemnicy moje kontakty z mężem po wypadku w kopalni „Little Angel”.

— Czy podał jakieś powody? Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie. Powiedział po prostu, że mam milczeć w interesie kraju, a potem wręczył mi ten czek na dziesięć tysięcy dolarów i odjechał.

Seagram z ulgą zagłębił się w fotelu, jakby uwolniony od ogromnego ciężaru. Wydawało się nieprawdopodobne, że ta dziewięćdziesięcioletnia staruszka może mieć klucz do miejsca ukrycia zaginionej rudy wartości miliarda dolarów, a jednak miała.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

— Ta propozycja obiadowa była bardzo kusząca. Kiedy Adeline odpowiedziała mu uśmiechem, wówczas dostrzegł w jej oczach figlarne błyski.

— Jak powiadał Jake, furda obiad. Najpierw napijmy się piwa.

16.

Nad horyzontem wciąż jeszcze połyskiwały szkarłatne promienie zachodzącego słońca, kiedy łoskot odległego grzmotu zapowiedział zbliżanie się burzy z piorunami. Było gorąco i Seagram z przyjemnością wystawiał twarz na podmuchy łagodnej bryzy, siedząc na tarasie „Balboa Bay Club” i sącząc koniak po kolacji.

Była godzina ósma. O tej porze snobowaci mieszkańcy Newport Beach rozpoczynali wieczorne życie towarzyskie. Seagram zdążył już się zanurzyć w klubowym basenie i zjeść wcześniejszą kolację. Teraz siedział, słuchając pomruków nadchodzącej burzy. Naładowane elektrycznością powietrze stało się parne, ale wiatr jeszcze się nie zerwał ani nie padało. Błyskawica niczym fotograficzny flesz oświetliła statki wycieczkowe, które krążyły po zatoce, włączywszy zielone i czerwone światła pozycyjne. Ich pomalowane na biało kadłuby przypominały Seagramowi sunące po falach widma. Jak zygzakowaty widelec spadający z chmur, błyskawica ponownie rozcięła wieczorne niebo. Seagram zobaczył, że zetknęła się z ziemią gdzieś za dachami domów na Balboa Island, i niemal w tej samej chwili do jego uszu dotarł grzmot pioruna, rozdzierający bębunki niczym salwa armatnia.

Wszyscy zaczęli nerwowo przenosić się do jadalni. Wkrótce Seagram stwierdził, że tylko on pozostał na tarasie, rozkoszując się widokiem fajerwerków matki natury. Skończył koniak, odchylił głowę do tyłu i czekał na kolejną błyskawicę. Po chwili rozbłysła, oświetlając jakąś postać nie opodal stolika. W tym krótkim błysku Seagram zdążył zauważyć, że był to wysoki czarnowłosy mężczyzna, który wpatrywał się weń zimnym, przenikliwym wzrokiem. Teraz jednak nieznajomego kryły ciemności.

Kiedy grzmot się przetoczył, głos dochodzący z mroku spytał:

— Pan Gene Seagram?

Seagram zaczekał, aż jego wzrok przyzwyczai się do ciemności.

— Tak.

— Podobno pan mnie szukał.

— Ale ja pana nie znam.

— Przepraszam. Jestem Dirk Pitt.

Niebo znów rozbłysło i Seagram zobaczył uśmiechniętą twarz.

— Coś mi się wydaje, panie Pitt, że ma pan zwyczaj pojawiania się w dramatycznej scenerii. Czy ta burza to również pańska robota? Pitt zaśmiał się przy akompaniamencie grzmotu.

— Tego jeszcze nie opanowałem, ale robię już postępy w doprowadzaniu do rozstąpienia się Morza Czerwonego. Seagram wskazał ręką wolne krzesło.

— Nie usiądzie pan?

— Dziękuję.

— Zaproponowałbym panu coś do picia, ale kelnerka najwyraźniej boi się burzy.

— Najgorsze już przechodzi — spokojnie rzekł Pitt opanowanym głosem, spoglądając w niebo.

— Jak pan mnie tu znalazł!

— Etapami — odparł Pitt. — Najpierw zadzwoniłem do pańskiej żony w Waszyngtonie, która powiedziała mi, że wyjechał pan służbowo do „Świata Wolnego Czasu”, a to tylko parę kilometrów stąd. Od strażnika przy bramie dowiedziałem się, że wpuszczał niejakiego Gene'a

Seagrama do pani Adeline Austin. Z kolei ona wspomniała, że poleciła panu „Balboa Bay Club”, kiedy zdecydował pan przelżyć powrotny lot do Waszyngtonu na jutro i zatrzymać się tutaj. Dalej to już proste.

— Pańska wytrwałość mi pochlebia.

— Drobiazg — odparł Pitt, skinąwszy głową.

— Szczęśliwym zbiegiem okoliczności obaj znaleźliśmy się w tym samym miejscu — rzekł Seagram.

— Zawsze o tej porze roku biorę sobie parę dni urlopu, żeby trochę pożeglować na desce. Moi rodzice mają dom po drugiej stronie zatoki. Właściwie mogłem skontaktować się z panem wcześniej, ale admirał Sandecker powiedział, że to nic pilnego.

— To pan zna admirała?

— Jest moim szefem.

— A więc pracuje pan w NUMA?

— Tak. Jestem w agencji dyrektorem do zadań specjalnych.

— Pańskie nazwisko wydawało mi się jakby znajome. Chyba moja żona wspominała kiedyś o panu.

— Dana?

— Tak. Czy pan z nią pracował?

— Tylko raz. Zeszłego lata przewoziłem samolotem zaopatrzenie na Wyspę Pitcairna, kiedy wraz ze swoim zespołem archeologów NUMA nurkowałem w poszukiwaniu eksponatów z „Bounty”.

Seagram spojrzał na Pitta.

— A więc admirał powiedział panu, że kontakt ze mną to nic pilnego.

Pitt się uśmiechnął.

— Z tego co wiem, rozdrażnił go pan jakimś telefonem w środku nocy.

Czarne chmury przesunęły się nad morze i piorun uderzył w Catalinę po drugiej stronie przesmyku.

— Skoro już się spotkaliśmy, to może się dowiem, czego pan sobie ode mnie życzy — odezwał się Pitt.

— Proszę mi powiedzieć o Nowej Ziemi.

— Niewiele mam do powiedzenia — odparł Pitt wymijająco. — Kierowałem ekspedycją, która miała zabrać pańskiego człowieka. Kiedy się nie zjawił w ustalonym czasie, pożyczyłem sobie helikopter i poleciałem na rozpoznanie w stronę tej rosyjskiej wyspy.

— Rzykował pan. Rosjanie mogli pan wykryć radarem.

— Wziąłem to pod uwagę. Leciałem na wysokości trzech metrów z prędkością zredukowaną do piętnastu węzłów. Gdyby nawet mnie wykryli, to na ekranie wyglądałbym jak mały kuter rybacki.

— Co się wydarzyło, kiedy dotarł pan do wyspy?

— Tak długo leciałem wzdłuż wybrzeża, aż znalazłem słup Koplina przycumowany w zatoczce. Posadziłem helikopter na pobliskiej plaży i zacząłem go szukać. I właśnie wtedy zza ściany pędzonego wiatrem, wirującego śniegu usłyszałem strzały.

— Jakim sposobem trafił pan na Koplina i rosyjskiego strażnika? W taką zamieć musiało to przypominać szukanie igły w zamrożonym stogu siana.

— Igły nie szczekają — odparł Pitt. — Poszedłem za głosem szczekającego psa, który naprowadził mnie na Koplina i strażnika.

— Którego pan oczywiście zamordował — stwierdził Seagram.

— Przypuszczam, że prokurator mógłby zasugerować to sądowi — odpowiedział Pitt z teatralnym gestem. — Z drugiej strony, w tej sytuacji chyba jednak należało to zrobić.

— A gdyby również strażnik był moim agentem?

— Towarzysze broni zazwyczaj nie ciągną się brutalnie za kark po śniegu, szczególnie wtedy, gdy jeden z nich jest ciężko ranny.

— A pies, musiał go pan zabijać?

— Przyszło mi do głowy, że gdybym go zostawił własnemu losowi, to mógłby sprowadzić patrol szukający ciała jego pana, a tak prawdopodobnie żadnego z nich nie znajdą.

— Czy zawsze nosi pan pistolet z tłumikiem?

— Admirał Sandecker już nieraz prosił mnie o wykonanie jakiejś brudnej roboty poza moimi normalnymi obowiązkami — odparł Pitt.

— Rozumiem, że przed odwiezieniem Koplina na pokład statku zniszczył pan jego słup — rzekł Seagram.

— I to dość sprytnie — odpowiedział Pitt, ale w tonie jego głosu nie było cienia przechwałki. — Przedziurawiłem kadłub, postawiłem żagle i skierowałem jacht na pełne morze. Chyba zatonął jakieś trzy mile od brzegu.

— Był pan zbyt pewny siebie — gniewnie odezwał się Seagram. — Ośmielił się pan wtrącać w nie swoje sprawy. Bez upoważnienia podejmując ogromne ryzyko, tylko pan obudził czujność Rosjan, a przy tym z zimną krwią zamordował człowieka i zabił jego psa. Gdyby wszyscy Amerykanie byli tacy, panie Pitt, należałoby nam współczuć.

Pitt wstał, pochylił się nad stolikiem i spojrzał Seagramowi prosto w oczy.

— Jest pan niesprawiedliwy — rzekł patrząc lodowatym wzrokiem. — O czymś pan zapomniał. To ja oddałem litr własnej krwi pańskiemu przyjacielowi Koplino wi, kiedy go operowano. To ja wydałem rozkaz, żeby statek nie płynął do Oslo, lecz wziął kurs do portu, z którego było najbliżej do lotniska wojskowego USA. I nie kto inny, tylko ja przekonałem komendanta bazy, żeby dał nam swój własny samolot transportowy, którym Koplino wrócił do Stanów. Na koniec, panie Seagram, ten krwiozerczy i pomyłony Pitt przyznaje się do winy... przyznaje się do ocalenia tego, co pozostało z tej waszej zakichanej misji szpiegowskiej w Arktyce. Nie oczekiwałem triumfalnej parady na Broadwayu ani złotego medalu. Wystarczyłoby mi zwykłe podziękowanie, słyszę natomiast chamskie uwagi i złośliwości. Nie wiem, o co wam chodzi, Seagram, ale w jednej sprawie mam pełną jasność: jesteś idiotą pierwszej klasy. I powiem ci najgrzeczniej, jak tylko potrafię: odpierdol się.

Po tych słowach Pitt odwrócił się i zniknął w mroku.

17.

Profesor Piotr Barszow wbił żyłaste palce w swoje siwiejące włosy i nad biurkiem wycelował w Prewłowa ustnik fajki z pianki morskiej.

— Nie, nie. Zapewniam was, kapitanie, że człowiek, którego wysłałem na Nową Ziemię, nie miał halucynacji.

— Ale tunel...? — z niedowierzaniem mruknął Prewłow. — Nieznany, nigdzie nie zarejestrowany tunel na radzieckiej ziemi? Nigdy bym nie pomyślał, że to możliwe.

— Niemniej jednak to fakt — odparł Barszow. — Pierwsze wskazówki uzyskaliśmy ze zdjęć lotniczych. Mój geolog, który dotarł do wejścia, twierdzi, że to bardzo stary tunel, sprzed jakichś siedemdziesięciu, osiemdziesięciu lat.

— Skąd on się tam wziął?

— Lepiej byłoby zapytać, kapitanie, kto go wykopał i po co.

— Twierdzenie, że Instytut Geologii w Leonogradzie nie ma go w swoich rejestrach? — spytał Prewłow. Barszow przecząco pokręcił głową.

— Nie ma tam ani jednego słowa na ten temat. Być może wam jednak udałoby się znaleźć jakiś ślad w dawnych aktach Ochrony.

— Ochrony? A, tej tajnej policji carskiej — powiedział Prewłow i po chwili dodał: — Nie, to mało prawdopodobne. Ich interesowała jedynie rewolucja. Nie zawracaliby sobie głowy jakąś tajną kopalnią.

— Tajną? Tego nie możecie być pewni.

— Wybaczcie mi, profesorze, ale we wszystkim dopatruję się makiawelskich motywów.

Barszow wyjął fajkę z poślódkłych zębów i zaczął ją nabijać.

— Czytywałem o opuszczonych kopalniach na półkuli zachodniej, ale pierwszy raz słyszę o czymś takim w Związku Radzieckim. Niemal wygląda tak, jak byśmy otrzymali tę osobliwość w darze od Amerykanów.

— Skąd ten pomysł? — spytał Prewłow, odwracając głowę i ponownie spoglądając na Barszowa. — Czy oni mają z tym coś wspólnego?

— Może tak, może nie. Sprzęt znaleziony w tym tunelu wyprodukowano w Stanach Zjednoczonych.

— Trudno uznać to za dowód nie do obalenia — powiedział Prewłow sceptycznie. — Sprzęt ten mógł być zwyczajnie od nich kupiony i używany przez kogoś innego.

Barszow się uśmiechnął.

— Słuszna uwaga, kapitanie, tylko że w tunelu znaleziono ciało jakiegoś mężczyzny i dysponuję niezbitymi dowodami, że jego epitafium napisano w języku amerykańskim.

— Interesujące — rzekł Prewłow.

— Przepraszam, że teraz nie jestem w stanie przedstawić wam dokładniejszych danych — powiedział Barszow. — Rozumiecie, moje informacje są po prostu z drugiej ręki. Rano znajdziecie na swoim biurku szczegółowy raport w sprawie tego odkrycia na Nowej Ziemi, a moi ludzie będą do waszej dyspozycji na wypadek dalszego śledztwa.

— Marynarka Wojenna jest wam wdzięczna za współpracę, profesorze.

— Instytut w Leonogradzie zawsze gotów służyć ojczyźnie — odpowiedział Barszow, wstał i sztywno się uklonił. — Jeśli tymczasem to wszystko, kapitanie, to wróć do siebie.

— Jeszcze jedno, profesorze.

— Tak?

— Nie wspomnieliście, czy wasi geolodzy znaleźli tam jakieś minerały.

— Nic, co mogłoby mieć jakąkolwiek wartość.

— W ogóle nic?

— Ślady niklu i cynku, a także niewielką radioaktywność, wskazującą na obecność uranu, toru i bizanium.

— Te dwa ostatnie chyba nie są mi znane.

— Tor można przekształcić w paliwo nuklearne, kiedy zbombarduje się go neutronami — wyjaśnił Barszow. — Używa się go również do wytwarzania różnych stopów magnezowych.

— A bizanium?

— Niewiele o nim wiadomo. Jeszcze nie znaleziono takiej jego ilości, która pozwoliłaby przeprowadzić konstruktywne eksperymenty. — Barszow popukał fajkę w popielniczkę. — Dotychczas jedynie Francuzi interesowali się tym pierwiastkiem.

Prewłow podniósł wzrok na profesora.

— Francuzi?

— Wydali już miliony franków na ekspedycje geologiczne, które szukają go po całym świecie. Z tego co wiem, żadna z nich jeszcze nie odnotowała sukcesu.

— Wydaje się, że oni wiedzą coś, czego nie wiedzą nasi uczeni. Barszow wzruszył ramionami.

— Nie we wszystkich dziedzinach badań naukowych przewożymy światu, kapitanie. W przeciwnym wypadku to nie Amerykanie, lecz my jeździlibyśmy po powierzchni Księżyca.

— Jeszcze raz wam dziękuję, profesorze. Cieszę się na wasz raport.

18.

Cztery przecznice od budynku Marynarki Wojennej, na parkowej ławce odpoczywał porucznik Marganin, od niechcienia czytając tomik poezji. Było południe i park wypełniały tłumy urzędników jedzących drugie śniadanie na trawie między równymi rzędami drzew. Co jakiś czas porucznik podnosił oczy i obrzucał taksującym spojrzeniem przechodzące ładne dziewczyny.

O wpół do pierwszej jakiś gruby mężczyzna w wygniecionym garniturze usiadł na drugim końcu ławki i zabrał się do jedzenia razowej bułki, popijając ją zupą pomidorową. Odwrócił głowę do Marganina i uśmiechnął się szeroko.

— Chcesz kawałek bułki, marynarzu? — spytał jowialnie i poklepał się po wydatnym brzuchu. — Wystarczy dla dwóch. Moja żona uporczywie mnie przekarmia, żebym był gruby i nie biegał za młodymi dziewczynami.

Marganin przecząco pokręcił głową i wrócił do czytania.

Mężczyzna wzruszył ramionami i wydawało się, że ugryzł kawałek bułki. Zaczął energicznie poruszać szczękami, ale tylko udawał, że je — w ustach nie miał nic.

— Jest coś dla mnie? — mruknął między poruszeniami szczęk. Marganin gapił się w książkę, którą lekko uniósł, by zasłonić sobie usta.

— Prewłow ma romans z kobietą o czarnych, krótko przyciętych włosach, która nosi drogie pantofle numer sześć na płaskim obcasie i lubi likier chartreuse. Jeździ samochodem ambasady amerykańskiej. Numer USA sto czterdzieści sześć.

— Jesteś tego pewien?

— Niczego nie wymyślam — mruknął Marganin, nonszalancko odwracając kartkę. — Radzę natychmiast wykorzystać moje informacje. To może być ta wtyczka, której szukamy.

— Zidentyfikujemy ją przed zachodem słońca — powiedział grubas i zaczął siorbać zupę. — Masz coś jeszcze?

— Potrzebuję danych na temat „Planu Sycylijskiego”.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

Marganin opuścił książkę i przetarł oczy, zasłaniając ręką usta.

— To plan obrony powiązany z Narodową Agencją Badań Morskich i Podwodnych.

— Oni są bardzo czuli na punkcie takich przecieków.

— Powiedz im, żeby się nie martwili. Będziemy ostrożni. Spotkamy się za sześć dni. Męska toaleta w restauracji „Borodino”. Za dwadzieścia siódma wieczorem.

Marganin zamknął książkę i się przeciągnął.

Gruby mężczyzna na potwierdzenie siorbnął łyk zupy, jakby w ogóle nie zwracał uwagi na porucznika, który wstał i wolnym krokiem ruszył w stronę budynku Marynarki Wojennej.

19.

Sekretarz prezydenta uśmiechnął się kurtuazyjnie i wstał zza biurka. Był młodym wysokim mężczyzną z wyrazem gorliwości na sympatycznej twarzy.

— Oczywiście, pani Seagram. Proszę tędy.

Zaprowadził Danę do windy i odsunął się na bok, przepuszczając ją przed sobą. Dana przybrała obojętną minę i patrzyła przed siebie. Gdyby sekretarz coś wiedział albo

podejrzewał, wówczas w myślach rozbierałby ją do naga. Zerknęła na niego — nieodgadzionym wzrokiem spoglądał na zapalające się i gasnące światełka z numerami pięter.

Drzwi windy się otworzyły i sekretarz zaprowadził Danę korytarzem do jednego z pokojów na trzecim piętrze.

— Stoi na kominku — powiedział. — Znaleźliśmy go w piwnicy, w nie oznakowanej skrzyni. Piękna robota. Prezydent uparł się, żeby go tu przynieść, by mógł go podziwiać.

Dana zmrużyła oczy, patrząc na model żaglowca, który stał w szklanej gablotce na kominku.

— Mamy nadzieję, że uda się pani rzucić trochę światła na jego historię — ciągnął sekretarz. — Jak pani widzi, ani na kadłubie, ani na tej zakurzonej obudowie nie ma żadnej nazwy.

Dana niepewnie zbliżyła się do kominka, by lepiej przyjrzeć się modelowi. Była zmieszana, bo nie tego się spodziewała. Kiedy sekretarz zadzwonił do niej rano, to powiedział po prostu, że prezydent pyta, czy nie mogłaby wpaść do Białego Domu około drugiej. Teraz miała dziwne uczucie — ni to ulgi, ni zawodu.

— To handlowy statek z początku osiemnastego wieku — oznajmiła. — Będę musiała zrobić parę szkiców i porównać je z dawnymi aktami w archiwum marynarki.

— Admirał Sandecker powiedział, że jeśli ktokolwiek potrafi go zidentyfikować, to jedynie pani.

— Admirał Sandecker?

— Tak, właśnie on polecił panią prezydentowi — odparł sekretarz, kierując się ku drzwiom. — Notatnik i ołówek leżą na stoliku nocnym przy łóżku. Muszę wracać na swoje miejsce. Proszę się czuć swobodnie i zostać tu tak długo, jak będzie trzeba.

— Ale czy panu prezydentowi...

— Teraz gra w golfa. Nikt pani nie będzie przeszkadzał. Kiedy pani skończy, proszę po prostu zjechać windą na parter.

Nim Dana zdążyła odpowiedzieć, sekretarz odwrócił się i wyszedł.

Dana ciężko usiadła na łóżku i westchnęła. Po telefonie od sekretarza prezydenta natychmiast pojechała do domu, wzięła wonną kąpiel i starannie przebrała się w białą dziewczęcą sukienkę i czarną bieliznę. Wszystko to na nic — prezydent nie miał zamiaru iść z nią do łóżka, chciał tylko, żeby ustaliła, jaki statek przedstawia ten przeklęty model.

Całkowicie przegrana poszła do łazienki i przyjrzała się swojej twarzy w lustrze. Kiedy wróciła do sypialni, drzwi na korytarz były zamknięte, a przy kominku stał prezydent. Opalony, ubrany w koszulkę polo i sportowe spodnie, wyglądał młodzieńczo.

Zaskoczona Dana wytrzeszczyła oczy. Przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć.

— Miał pan grać w golfa — wreszcie odezwała się niezbyt mądrze.

— Tak jest napisane w moim rozkładzie dnia.

— A więc sprawa tego modelu...

— To bryg „Roanoke” z Wirginii — rzekł prezydent, kiwnąwszy głową w stronę modelu. — Jego stępkę położono w tysiąc siedemset dwudziestym ósmym roku. Wszedł na skały przy Nowej Szkocji w tysiąc siedemset czterdziestym trzecim. Ten model zbudował mój ojciec czterdzieści lat temu, wzorując się na rycinie.

— Zadał pan sobie tyle trudu, żeby zobaczyć się ze mną bez świadków? — spytała oszołomiona.

— To chyba jasne, prawda?

Patrzyła na niego. Zaczerwieniła się, kiedy spojrzał jej w oczy.

— Widzi pani — ciągnął — chciałem sobie z panią porozmawiać sam na sam, żeby nikt nam nie przerywał i nie przeszkadzał. Wokół Dany zawirował pokój.

— Pan... chce pan tylko porozmawiać?

Przez chwilę patrzył na nią zdziwiony, a potem się roześmiał.

— To mi pochlebia, pani Seagram. Nigdy jednak nie zamierzałem pani uwieść. Obawiam się, że moja opinia podrywacza jest nieco przesadzona.

— Ale na przyjęciu...

— Chyba teraz rozumiem — rzekł prezydent, wziął Danę za rękę i podprowadził do fotela. — Kiedy szepnąłem pani, że muszę się z nią zobaczyć sam na sam, to pani wzięła mnie za starego rozpustnika. Proszę mi wybaczyć, ale miałem inne zamiary.

Westchnęła.

— A ja się zastanawiałam, co mężczyzna, który mógłby mieć każdą kobietę na jedno kiwnięcie palcem, widział w nijakiej trzydziestoletniej mężatce, która jest podmorskim archeologiem.

— Jest pani wobec siebie niesprawiedliwa — powiedział, nagle poważniejąc. — Pani jest naprawdę bardzo ładna.

Dana znowu się zaczerwieniła.

— Od lat nikt się do mnie nie zalecał.

— Być może dlatego, że uczciwi mężczyźni na ogół nie zalecają się do mężatek.

— Chciałabym w to wierzyć.

Prezydent przysunął sobie fotel i usiadł naprzeciwko niej. Siedziała sztywno z rękami w małych zaciśniętych kolanach. Pytanie, które padło, całkowicie ją zaskoczyło.

— Proszę mi powiedzieć, pani Seagram, czy jeszcze go pani kocha?

Spojrzała na prezydenta zdziwionym wzrokiem.

— Kogo?

— Męża, oczywiście.

— Gene'a?

— Tak, Gene'a — odparł uśmiechając się. — Chyba że ma pani gdzieś w ukryciu jakiegoś innego małżonka.

— A dlaczego pan o to pyta?

— Gene jest bliski załamania. Dana wyglądała na zaskoczoną.

— On dużo pracuje, ale nie sądzę, żeby był bliski załamania nerwowego.

— Nie w znaczeniu klinicznym, skądże — powiedział prezydent. — On jednak żyje w ogromnym napięciu. Gdyby poza dużym obciążeniem pracą miał jeszcze jakieś poważne kłopoty małżeńskie, to mógłby się załamać. Nie mogę do tego dopuścić, przynajmniej póki nie doprowadzi do końca pewnego ściśle tajnego planu o ogromnym znaczeniu dla całego państwa.

— To właśnie ten przeklęty tajny plan stanął między nami — wybuchnęła Dana ze złością.

— Tak, i parę innych rzeczy, jak na przykład to, że nie chce pani mieć dziecka.

— A pan skąd o tym wie?

— Mamy swoje sposoby. Zresztą nieważne, skąd. Chodzi o to, żeby pani nie opuściła Gene'a przez najbliższe szesnaście miesięcy i otaczała go jak największą miłością.

Dana nerwowo zaciskała i otwierała dłonie.

— Czy to naprawdę jest tak bardzo ważne? — spytała słabym głosem.

— Tak, to naprawdę bardzo ważne — odparł prezydent. — Pomoże mi pani?

W milczeniu pokiwała głową.

— Dobrze. — Poklepał ją po rękach. — Być może wspólnie uda nam się utrzymać Gene'a w formie.

— Postaram się, panie prezydencie. Spróbuję, skoro to aż tak ważne. Niczego więcej nie mogę obiecać.

— Mam do pani pełne zaufanie. — Ale na dziecko się nie zgadzam — powiedziała z uporem.

Obdarzył ją tym swoim słynnym uśmiechem, tak często uwiecznianym przez fotoreporterów.

— Mogę wypowiedzieć wojnę, mogę wysłać żołnierzy na śmierć, ale nawet jako prezydent Stanów Zjednoczonych nie mam takiej władzy, która pozwoliłaby mi zmusić kobietę do tego, żeby zaszła w ciążę.

Dana po raz pierwszy się roześmiała. Rozmawiając w cztery oczy z człowiekiem dysponującym tak ogromną władzą, miała dziwne uczucie. Władza w istocie działała na nią jak afrodyzjak i Dana była gorzko rozczarowana, że prezydent nie poszedł z nią do łóżka.

Teraz wstał i wziął ją za ramię.

— Muszę już iść. Za parę minut mam spotkanie z moimi doradcami ekonomicznymi. — Zaczął prowadzić Danę ku drzwiom, lecz nagle zatrzymał się, przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował w usta. Potem puścił ją, zajrzał głęboko w oczy i rzekł: — Jest pani bardzo ponętą kobietą, pani Seagram. Proszę o tym nie zapominać.

Odprowadził ją do windy.

20.

Dana czekała przed halą dworca lotniczego, kiedy Seagram wysiadał z samolotu.

— Co się stało? — spytał przyglądając jej się badawczo. — Od wieków nie przyjeżdżałaś po mnie na lotnisko.

— Nagły przypływ uczucia — odparła z uśmiechem.

Seagram odebrał swój bagaż i oboje poszli na parking. Dana mocno trzymała męża pod ramię. Spotkanie z prezydentem wydawało jej się teraz odległym snem. Z trudem przypominała sobie, że inny mężczyzna uznał ją za pociągającą, a nawet pocałował.

Usiadła za kierownicą i wyjechała na autostradę. Godziny szczytu już minęły i jazda w wiejskim pejzażu Wirginii sprawiała Danie przyjemność.

— Znasz Dirka Pitta? — spytał Gene, przerywając milczenie.

— Tak. Jest u admirała Sandeckera dyrektorem do zadań specjalnych. A o co chodzi?

— Chcę się dostać do tyłka temu sukinsynowi. Spojrzała na niego zdziwiona.

— A co ty masz z nim wspólnego?

— Zawalił mi pewną sprawę w naszym planie. Dana zacisnęła dłonie na kierownicy.

— Niełatwo dostać mu się do tyłka — rzekła.

— Niby dlaczego?

— Pitt to cała legenda w NUMA. Jego zasługi dla agencji ustępują tylko temu, czego dokonał podczas wojny.

— No to co?

— Jest ulubieńcem admirała Sandeckera.

— Zapominasz, że mam lepsze dojście do prezydenta niż admirał Sandecker.

— Lepsze niż senator George Pitt z Kalifornii? — spytała obojętnie.

Gene spojrzał na żonę.

— To jakaś rodzina?

— Ojciec i syn.

Seagram zgarbił się i przez następne kilka kilometrów milczał z markotną miną.

Dana położyła prawą dłoń na jego kolanie. Kiedy zatrzymała samochód na czerwonym świetle, pochyliła się i pocałowała męża.

— Czego ty ode mnie chcesz? — spytał.

— Chcę cię przekupić.

— Ile mnie to będzie kosztowało? — mruknął.

— Mam świetny pomysł — oświadczyła Dana. — Najpierw pójdziemy na ten nowy film z Marlonem Brando, potem możemy zjeść superkolację z homarem w „Old Potomac Inn”, a później pojedziemy do domu, zgasimy światło i...

— Zawieź mnie do biura — odparł Seagram. — Czeka mnie praca.

— Gene, proszę — błagała. — Musisz się tak forsować? Możesz to zrobić jutro.

— Nie, teraz!

Przepaść między nimi była nie do pokonania i od tej chwili wszystko miało wyglądać inaczej.

21.

Seagram spojrział na metalową aktówkę, leżącą na jego biurku, a potem na oficerów, którzy przed nim stali, pułkownika i kapitana.

— To na pewno to? Pułkownik skinął głową.

— Tak jest. Wyszukał i sprawdził sam dyrektor archiwum Ministerstwa Obrony, proszę pana.

— Szybko się z tym uwinęliście. Dziękuję. Pułkownik nie zdradzał ochoty do wyjścia.

— Przepraszam, ale mamy czekać i osobiście zwrócić te akta w Ministerstwie Obrony.

— Z czyjego rozkazu?

— Ministra — odparł pułkownik. — Zgodnie z polityką Ministerstwa Obrony, nad wszelkimi materiałami, zakwalifikowanymi do piątej kategorii utajnienia, należy mieć stały nadzór.

— Rozumiem — powiedział Seagram. — Czy mógłbym zapoznać się z zawartością teczki w samotności?

— Tak. Zaczekam z moim adiutantem obok, muszę jednak bardzo pana prosić, aby w tym czasie nikt ani nie wchodził do pańskiego gabinetu, ani go nie opuszczał.

Seagram skinął głową.

— W porządku. Czujcie się jak u siebie, panowie. Moja sekretarka poda wam kawę i drinki.

— Dziękujemy za uprzejmość.

— A, jeszcze jedno — powiedział Seagram, uśmiechając się blado. — Mam tu prywatną łazienkę, więc proszę się nie denerwować, jeśli na chwilę tam pójdę.

Kiedy drzwi się zamknęły, Seagram przez jakiś czas siedział bez ruchu. Ostateczne potwierdzenie pięcioletniej pracy leżało przed nim na biurku. A może nie? Może te dokumenty zaprowadzą do kolejnej tajemnicy albo, co gorsza, w ślepy zaułek? Włożył kluczyk do zamka i otworzył aktówkę. Wewnątrz znajdowały się cztery skoroszyty i niewielki notatnik. Na skoroszytach widniały następujące napisy:

CD5C 7665 1911	Raport o naukowej i finansowej wartości rzadkiego pierwiastka bizanium
CD5C 7687 1911	Korespondencja między ministrem wojny a Joshua Haysem Brewsterem w sprawie możliwości zdobycia bizanium
CD5C 7720 1911	Memorandum ministra wojny do prezydenta w sprawie funduszy na tajny plan wojskowy 371-990-R85
CD5C 8039 1912	Raport o zakończeniu dochodzenia w sprawie okoliczności zniknięcia Joshui Haysa Brewstera.

Notatnik był zatytułowany zwyczajnie: „Dziennik Joshui Haysa Brewstera”.

Logika nakazywała zbadać najpierw zawartość skoroszytów, lecz Seagram wygodniej usadowił się w fotelu i otworzył dziennik.

W cztery godziny później położył go starannie na skoroszytach i nacisnął guzik z boku interkomu. Prawie natychmiast odsunęła się płyta we wnęce ściany i do gabinetu wszedł mężczyzna w białym fartuchu technika.

— Jak szybko uda się panu to wszystko skopiować? Technik przerzucił kartki notatnika i zajrzał do skoroszytów.

— Potrzebuję jakichś czterdziestu pięciu minut. Seagram skinął głową.

— Dobrze. Proszę się niezwłocznie do tego zabrać. W pokoju obok ktoś czeka na oryginały.

Kiedy płyta się zasunęła, znużony Seagram wstał i chwiejnym krokiem poszedł do łazienki. Zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. Wykrzywił twarz w dziwnym grymasie.

— O Boże, nie — jęknął. — To nie fair... to nie fair. Potem schylił się nad miską klozetową i zwymiotował.

22.

Prezydent przywitał Seagrama i Donnera w drzwiach swojego gabinetu w Camp David.

— Przepraszam, że zaprosiłem was tutaj na siódmą rano, ale mogłem się z wami spotkać tylko o tej porze.

— Nie ma sprawy, panie prezydencie — powiedział Donner. — Jeśli o mnie chodzi, o tej porze zwykle uprawiam jogging.

Prezydent rzucił ubawione spojrzenie na korpulentną postać Donnera.

— Kto wie? Może uchroniłem pana od zawału? — rzekł i roześmiał się na widok zbolalej miny Donnera, a potem gestem zaprosił ich do gabinetu. — Wchodźcie, wchodźcie, siadajcie i czujcie się jak u siebie w domu. Zamówiłem lekkie śniadanie.

Usiedli pod ogromnym oknem, wychodzącym na marylandzkie wzgórza. Wniesiono kawę z półmiskiem słodkich bułeczek i prezydent poczęstował swych gości.

— No cóż, mam nadzieję, że tym razem przyszlście dla odmiany z dobrymi wieściami. „Plan Sycylijski” to nasza jedyna nadzieja, żeby przerwać ten wariacki wyścig zbrojeń z Rosjanami i Chińczykami — powiedział prezydent i przetarł oczy gestem znużenia. — To chyba największa głupota od początku istnienia ludzkości, szczególnie wobec tragicznego i absurdalnego faktu, że dysponujemy środkami, które pozwoliłyby nam wzajemnie się zniszczyć ponad pięć razy — dodał rozkładając bezradnie ręce. — To byłoby tyle na temat smutnej strony naszej rzeczywistości. Przypuszczam, że powiecie mi, na czym stoimy.

Trzymając w ręku kopie dokumentów z archiwum Ministerstwa Obrony, Seagram rzucił prezydentowi nad stolikiem do kawy spojrzenie zaspanych oczu.

— Pan, panie prezydencie, oczywiście ma informacje o naszych dotychczasowych postępach.

— Tak, zapoznałem się z raportami na temat waszego dochodzenia. Seagram podał prezydentowi kopię dziennika Brewstera.

— Myślę, że zainteresuje pana opis tej pasjonującej sprawy z początku dwudziestego wieku. Pierwszy wpis nosi datę ósmego lipca tysiąc dziewięćset dziesiątego roku i dotyczy wyjazdu Joshui Haysa Brewstera z gór Tajmyr w północnej Syberii, gdzie spędził dziewięć miesięcy, uruchamiając kopalnię ołowiu dla cara Rosji, w ramach kontraktu ze swoim pracodawcą, Societe des Mines de Lorraine. Dalej opisuje, jak jego statek, niewielki parowiec kabotażowy, w rejsie do Archangielska zablądził we mgle i wszedł na mieliznę przy górnej wyspie Nowej Ziemi. Na szczęście statek to wytrzymał i rozbitkom udało się przetrwać w jego oblodzonym kadłubie do chwili, gdy w miesiąc później uratowała ich rosyjska fregata.

Do tego czasu Brewster prowadził poszukiwania na wyspie. Osiemnastego dnia natknął się na jakąś dziwną skałę na stoku Biednej Góry. Jeszcze nigdy nie widział skały o takiej budowie, zabrał więc kilka jej próbek do Stanów Zjednoczonych. Ostatecznie dotarł do Nowego Jorku po sześćdziesięciu dwóch dniach od wyjazdu z kopalni w Tajmyrze.

— A zatem już wiemy, jak odkryto bizanium — powiedział prezydent.

Seagram skinął głową i mówił dalej:

— Brewster przekazał swojemu pracodawcy wszystkie próbki poza jedną, którą zachował sobie po prostu na pamiątkę. Po kilku miesiącach, nie otrzymawszy żadnej wiadomości na ich temat, spytał amerykańskiego dyrektora Societe des Mines de Lorraine, co się stało z próbkami, które zebrał na Biednej Górze. W odpowiedzi usłyszał, że uznano je za bezwartościowe i wyrzucono. Wzbudziło to w Brewsterze podejrzenie, więc przekazał swoją próbkę do analizy Urzędowi Górnictwa w Waszyngtonie. Ze zdziwieniem dowiedział się, że było tam bizanium, przedtem prawie całkowicie nie znany pierwiastek.

— Czy Brewster poinformował Societe des Mines de Lorraine o miejscu znalezienia bizanium? — spytał prezydent.

— Nie. Bardzo sprytnie to załatwił, udzielając tylko mglistych wskazówek co do miejsca. Właściwie powiedział im nawet, że znajduje się ono na dolnej wyspie, wiele kilometrów na południe.

— Jaki cel miał ten wybieg?

— To normalna taktyka poszukiwaczy — odparł Donner. — Zachowując w tajemnicy rzeczywiste miejsce cennego znaleziska, odkrywca może wynegocjować wyższy procent swojego udziału w zyskach z przyszłej kopalni.

— Słusznie — mruknął prezydent. — Ale dlaczego w tysiąc dziewięćset dziesiątym roku Francuzi wszystko zataili? Co takiego dostrzegli w bizanium, czego nikt inny nie zauważył przez następne siedemdziesiąt lat?

— Po pierwsze, jego podobieństwo do radu — rzekł Seagram. — Societe des Mines przekazało próbki Brewstera do Instytutu Radowego w Paryżu, gdzie naukowcy stwierdzili, że pewne własności bizanium i radu są identyczne.

— A ponieważ uzyskanie jednego grama radu kosztowało pięćdziesiąt tysięcy dolarów — wtrącił Donner — rząd francuski nagle dostrzegł szansę zachowania jedynych znanych złóż fantastycznie drogiego pierwiastka wyłącznie dla siebie.

— Tak jest, panie prezydencie. W tysiąc dziewięćset dziesiątym roku jedna uncja bizanium była warta milion czterysta tysięcy dolarów.

Prezydent podniósł się wolno i spojrzał w okno.

— Co dalej zrobił Brewster?

— Przekazał tę informację Ministerstwu Wojny — odparł Seagram. Wyjął i otworzył skoroszyt z dokumentami w sprawie funduszy na tajny plan wojskowy 371-990-R85. — Gdyby chłopcy z CIA poznali całą tę historię, to byłiby dumni ze swych poprzedników. Kiedy generałowie z dawnego wywiadu wojskowego zorientowali się, czym dysponuje Brewster, postanowili przechytrzyć Francuzów, wykręcając im największy numer stulecia. Kazano Brewsterowi poinformować Societe des Mines, że zna skład próbek skały, i tak ich skołować, by sobie pomyśleli, że chce założyć syndykat i wydobywać bizanium na własną rękę. Miał zabojadów w garści i oni o tym wiedzieli, zdążyli już bowiem ustalić, że dane dotyczące lokalizacji złóża były fałszywe. Bez Brewstera nie zdobyliby bizanium. To takie proste. Nie mieli innego wyjścia, jak tylko mianować go naczelnym inżynierem i dopuścić do udziału w zyskach.

— A dlaczego nasz rząd sam się tym nie zajął? — spytał prezydent. — Dlaczego pozwolił zrobić to Francuzom?

— Z dwóch powodów — odpowiedział Seagram. — Po pierwsze, bizanium znajdowało się na terytorium innego państwa, a więc kopalnia musiałaby działać w sekrecie. Gdyby

Rosjanie złapali górników, wtedy wszystko spadłoby na Francuzów, a nie Amerykanów. Po drugie, w tamtych czasach Kongres żałował pieniędzy dla wojska. Po prostu brakowało funduszków na takie przedsięwzięcie w Arktyce, bez względu na potencjalne zyski.

— Coś mi się wydaje, że Francuzi grali znaczonymi kartami.

— Obie strony to robiły, panie prezydencie. Nie ma żadnych wątpliwości, że Brewster zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział, że kiedy już uruchomi kopalnię i zacznie dostarczać rudę, to wówczas on i jego ludzie zostaną zabici przez płatnych morderców, wynajętych przez Societe des Mines. Przecież to jasno wynikało z faktu, że Francuzi tak fanatycznie upierali się przy zachowaniu wszystkiego w tajemnicy. I jeszcze jeden drobny szczegół. To właśnie oni, a nie Brewster, wykombinowali tę katastrofę w kopalni „Little Angel”.

— Musi pan przyznać, że wszystko rozegrali po mistrzowsku — rzekł Donner. — Ta mistyfikacja w „Little Angel” pozwalała im później bezkarnie zabić Brewstera i wszystkich jego ludzi. W każdym razie, któż mógłby kogokolwiek oskarżyć o zamordowanie dziewięciu górników w Arktyce, skoro podano do publicznej wiadomości, że zginęli w katastrofie w Kolorado pół roku wcześniej?

— Prawie na pewno możemy założyć, że Societe des Mines wysłało naszych bohaterów do Nowego Jorku wynajętą salonką — ciągnął Seagram. — Atlantyk przepłynęli prawdopodobnie pod przybranymi nazwiskami na pokładzie jakiegoś francuskiego statku.

— Chciałbym, żebyście panowie wyjaśnili mi pewną sprawę — powiedział prezydent. — Czytając wasz raport zauważyłem, że według Donnera sprzęt górniczy, który znaleziono na Nowej Ziemi, został zamówiony za pośrednictwem rządu amerykańskiego. Coś mi tu nie pasuje.

— To kolejny wybieg Francuzów — odparł Seagram. — Również z dokumentów Jensena i Thora wynika, że sprzęt wiertniczy opłacono czekiem wystawionym przez bank w Waszyngtonie. Okazuje się, że konto, z którego dokonano wypłaty, należało do ambasadora Francji. To po prostu jeszcze jeden fortel dla zamaskowania prawdziwej operacji.

— Wykorzystywali każdą okazję, prawda? Seagram skinął głową.

— Wszystko dobrze sobie zaplanowali, ale przy całej swojej przebiegłości nawet nie przypuszczali, że mogą zostać wyprowadzeni w pole.

— Dotarli aż do Paryża, a co potem? — dopytywał się prezydent.

— Spędzili dwa tygodnie w biurze Societe, zamawiając zaopatrzenie i dokonując ostatnich przygotowań. Kiedy wszystko było już gotowe, wówczas wsiedli na francuski statek w Hawrze i wypłynęli na kanał La Manche. Dwanaście dni statek przebiegał się przez krę lodową na Morzu Barentsa, zanim w końcu rzucił kotwicę przy Nowej Ziemi. Kiedy ludzi i sprzęt bezpiecznie przetransportowano na ląd, Brewster zaczął realizować tajny plan wojskowy i kazał kapitanowi statku zaopatrzeniowego wrócić po rudę nie wcześniej niż w pierwszym tygodniu czerwca, to znaczy za niespełna siedem miesięcy.

— A plan był taki, że górnicy wraz z bizanium mieli zniknąć na długo przed powrotem statku Societe des Mines.

— Właśnie. Wykonali go dwa miesiące wcześniej. Tylko pięć miesięcy zajęło im wyrwanie cennego pierwiastka z wnętrza pokrytej lodem góry. Była to harówka ponad ludzkie siły. Wiercili i wysadzali litą granitową skałę w temperaturze kilkunastu stopni poniżej zera, przy silnym lodowatym wietrze. Za pobyt tam ludzie płacili straszną cenę. Jake Hobart zablądził w czasie zamieci śnieżnej i zmarzył na śmierć, a pozostałym nieznośnie doskwierało przemęczenie i mróz. Według słów samego Brewstera „był to lodowy czyściec, niewart nawet splunienia”.

— To cud, że wszyscy nie zginęli — rzekł prezydent.

— Tylko tacy twardzi ludzie jak oni mogli to przeżyć — powiedział Seagram. — W końcu dopięli swego. Wydarli ziemi najrzadszy minerał w świecie i nikt nie odkrył ich

obecności na tym pustkowi. Była to wzorowa operacja, przeprowadzona niepostrzeżenie i wymagająca najwyższych umiejętności inżynierskich.

— A więc, opuścili wyspę, zabierając rudę ze sobą?

— Tak, panie prezydencie — odparł Seagram, kiwając głową. — Ukryli hałdę wraz z torami kolejki do przewożenia rudy i zamaskowali wejście do kopalni. Potem przenieśli rudę na brzeg, skąd załadowali ją na niewielki trzymasztowy parowiec, wysłany przez Ministerstwo Wojny rzekomo na ekspedycję polarną. Statkiem dowodził porucznik Pratt z Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych.

— Ile rudy zabrali?

— Według szacunków Sida Koplina było tego około pół tony wysokoprocentowej rudy.

— A po przeróbce?

— Jakieś pięćset uncji.

— A zatem więcej, niż potrzebujemy do realizacji „Planu Sycylijskiego” — stwierdził prezydent.

— Więcej, niż potrzebujemy — potwierdził Donner.

— Udało im się dotrzeć do Stanów Zjednoczonych?

— Nie, panie prezydencie. Francuzi jakoś zorientowali się w ich grze i cierpliwie czekali, aż Amerykanie skończą brudną i niebezpieczną robotę, żeby w odpowiednim momencie wkroczyć na scenę i przechwycić łup. Kilka mil od południowych wybrzeży Norwegii, zanim porucznik Pratt położył statek na kursie do Nowego Jorku, nasi rodacy zostali zaatakowani przez jakiś tajemniczy parowy kuter bez bandery.

— Nie ma bandery, nie ma międzynarodowego skandalu — powiedział prezydent. — Francuzi przygotowali się na każdą okoliczność.

Seagram się uśmiechnął.

— Ale nie tym razem, panie prezydencie. Oszukali się i nie zdobyli statku. Jak większość Europejczyków, nie docenili starej jankeskiej pomysłowości; nasze Ministerstwo Wojny też przygotowało się na każdą ewentualność. Nim Francuzi zdążyli po raz trzeci wystrzelić do amerykańskiego statku, załoga porucznika Pratta błyskawicznie rozebrała fałszywą nadbudówkę i odpowiedziała ogniem ukrytego tam pięciocalowego działka.

— I bardzo dobrze — skomentował prezydent. — Teddy Roosevelt wykrzyknąłby: „Brawo!”

— Bitwa trwała prawie do zmierzchu — ciągnął Seagram. — Prattowi udało się trafić w kocioł Francuza i kuter stanął w płomieniach. Statkowi amerykańskiemu też się dostało, zaczął brać wodę. Jeden członek załogi Pratta był zabity, a czterech ciężko rannych. Po naradzie Brewster i Pratt postanowili skierować się do najbliższego zaprzyjaźnionego portu, zostawić rannych na lądzie i stamtąd wysłać rudę do Stanów. O świcie minęli falochron szkockiego portu Aberdeen.

— Dlaczego po prostu nie przeładowali rudy na jakiś amerykański okręt wojenny? Chyba tak byłoby bezpieczniej, niż wysłać ją statkiem handlowym?

— Trudno powiedzieć — odparł Seagram. — Najwyraźniej Brewster obawiał się, że Francuzi mogliby kanałami dyplomatycznymi zażądać zwrotu rudy, a tym samym zmusić Amerykanów, by się przyznali do kradzieży i zrezygnowali z bizanum. Dopóki miał je Brewster, dopóty nasz rząd mógł udawać, że nie ma pojęcia o całej aferze.

Prezydent pokręcił głową.

— Ten Brewster to musiał być kawał faceta.

— Dziwne, ale miał niespełna metr sześćdziesiąt wzrostu — rzekł Donner.

— Mimo to wspaniały człowiek. Trzeba być wielkim patriotą, żeby przejść przez takie piekło, nie kierując się osobistym interesem. Pragnęłoby się, żeby Bóg pozwolił mu bezpiecznie wrócić do kraju.

— To smutne, ale jego odyseja jeszcze się nie skończyła. — Seagramowi zaczęły drżeć dłonie. — Francuski konsulat w tym porcie wyszpiewował górników z Kolorado. Pewnej nocy, zanim zdążyli przeładować bizanium na ciężarówkę, w ciemnościach znieacka zaatakowali ich na nabrzeżu francuscy agenci. Nie padł ani jeden strzał. W robocie były wyłącznie pięści, noże i pałki. Dla twardych robotników z Cripple Creek, Leadville i Fairplay bijatyka to nie nowina. Odpłacili pięknym za nadobne, wrzucając sześciu ludzi do basenu portowego, a reszta napastników rozplynęła się w mroku. Był to jednak zaledwie początek. Górnicy mieli wrażenie, że są atakowani na każdym skrzyżowaniu dróg, w każdej miejscowości, na każdym rogu ulicy, zza każdego drzewa i w każdym wejściu. Te pirackie napady trwały bez przerwy, znacząc trasę nieustannej ucieczki przez Wielką Brytanię krwią trupów i rannych. Bójki przybrały charakter wojny na wyczerpanie; ludzie z Kolorado mieli przeciwko sobie potężną organizację, rzucającą do walki pięciu nowych napastników na miejsce każdego z nich, których wyeliminowali. Taktyka ta zaczęła przynosić efekty. John Caldwell, Alvin Coulter i Thomas Price zginęli pod Glasgow. Charlesa Widneya zabili w Newcastle, Waltera Schmidta niedaleko Staffordu, a wamera O'Deminga w Birmingham. Górników było coraz mniej, a ich krew krzepła na brukach ulic daleko od kraju. Przeżyli tylko Vernon Hall i Joshua Hays Brewster, którym udało się dowieźć bizanium do portu oceanicznego w Southampton. Prezydent gryzł wargi i zaciskał pięści.

— I wtedy Francuzi wygrali...?

— Nie, panie prezydencie. Francuzi nigdy nawet nie dotknęli bizanium — powiedział Seagram i wziął do ręki dziennik Brewstera, otwierając go na końcu. — Przeczytam panu ostatni wpis. Nosi datę dziesiątego kwietnia tysiąc dziewięćset dwunastego roku.

Teraz czeka mnie tylko pochwalna mowa pogrzebowa, bo jestem prawie martwy. Dzięki Bogu, owa cenna ruda, którą z taką desperacją wydzieraliśmy z wnętrza tej przeklętej góry, leży bezpiecznie pod pokładem statku. Zostanie tylko Vernon, by opowiedzieć tę historię, gdyż ja za godzinę odpływam do Nowego Jorku wielkim parowcem linii „White Star”. Wiedząc, że ruda jest zabezpieczona, zostawiam ten dziennik pod opieką Jamesa Rodgersa, zastępcy konsula Stanów Zjednoczonych w Southampton, który dopilnuje, by dotarł do odpowiednich władz w wypadku, gdybym ja również zginął. Niech Bóg da wieczne odpoczywanie tym, którzy odeszli przede mną. Jakże chciałbym wrócić do Southby.

W gabinecie zapadła martwa cisza. Prezydent odwrócił się od okna i na powrót usiadł w fotelu. Przez chwilę nie mówił nic, a potem spytał:

— Czy to znaczy, że bizanium znajduje się w Stanach Zjednoczonych. Czy to możliwe, że Brewster...

— Obawiam się, że nie, panie prezydencie — półgłosem odparł Seagram z pobladłą twarzą i czołem pokrytym kropelkami potu.

— Proszę jaśniej! — powiedział prezydent. Seagram wziął głęboki oddech.

— Ponieważ, panie prezydencie, jedynym parowcem linii „White Star”, który wypłynął z Southampton dziesiątego kwietnia tysiąc dziewięćset dwunastego roku, był „Titanic”.

— „Titanic”! — powtórzył zaskoczony prezydent. Nagle wszystko zrozumiał. — Zgadza się — rzekł bezbarwnym głosem. — To by wyjaśniało, dlaczego na tyle lat wszelki słuch o bizanium zaginął.

— Los okrutnie się obszedł z górnikami z Kolorado — wymamrotał Donner. — Przelewali krew i ginęli tylko po to, by wysłać rudę statkiem, który miał zatonać na środku oceanu.

Ponownie zapadła cisza, jeszcze głębsza niż poprzednio.

Prezydent siedział z twarzą szarą jak popiół.

— I co teraz zrobimy, panowie?

Chyba przez dziesięć sekund żaden z nich nie zareagował, dopiero potem Seagram niepewnie wstał i spojrzał na prezydenta. Napięcie ostatnich dni oraz ból porażki wycisnęły na nim swoje piętno. Nie mieli innego wyjścia ani żadnego wyboru — musieli wszystko doprowadzić do końca. Seagram chrząknął.

— Podnieśmy „Titanica” — wybąkał.

Prezydent i Donner spojrzeli na niego, unosząc głowy.

— Na Boga, tak! — rzekł Seagram głosem, który nagle stał się twardy i zdecydowany.
— Trzeba wydobyć „Titanica”!

Część III

CZARNA OTCHŁAŃ

Wrzesień 1987 roku

23.

Groźna, nieprzenikniona czerń wypełniała iluminator, uniemożliwiając jakikolwiek kontakt wzrokowy z otoczeniem. Albert Giordino uważał, że wystarczy zaledwie pięć minut, by całkowity brak światła doprowadził ludzki umysł do rozkojarzenia. Miał wrażenie, że z zamkniętymi oczami spada z ogromnej wysokości w bezkسیężycową noc do głębokiej czarnej przepaści.

Kiedy kropelka potu ściekła mu z brwi i wpadła do lewego oka, aż go zapiekło, wówczas otrząsnął się z tego wrażenia, wytarł sobie twarz rękawem i delikatnie położył dłoń na tablicy sterowniczej, która znajdowała się tuż przed nim. Dotykał różnych znajomych kształtów, aż wreszcie jego palce dotarły do celu. Przesunął dźwignię do góry.

Reflektory umieszczone na kadłubie batyskafu rzuciły snop światła w wieczną noc. Choć poza granicami strumienia jasności woda nadal miała kolor granatowoczarny, to jednak małe organizmy, które tam się unosiły, odbijały światło i było je widać w promieniu kilku metrów od iluminatora. Odwracając twarz, by nie zaparować grubej szyby z pleksiglasu, Giordino westchnął głęboko, a potem znów oparł się wygodnie o miękką tapicerkę fotela sternika. Minęła niemal cała minuta, nim pochylił się nad tablicą sterowniczą i zaczął ożywiać wewnątrz pogrążonego w ciszy statku. Badawczym wzrokiem patrzył na rzędy zegarów, aż chwytliwe wskazówki zatrzymały się w odpowiednich pozycjach, sprawdził wskaźniki obwodów elektrycznych upewniając się, że ich zielonkawe błyski przekazują mu informację o właściwym funkcjonowaniu instalacji, i włączył układy elektryczne „Safony I”.

Obrócił się z fotelem i rzucił leniwe spojrzenie w stronę rufy przez centralnie biegnący korytarz. Być może dla Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych był to najnowszy i największy w świecie podwodny statek badawczy, lecz dla Giordina, kiedy ujrzał go po raz pierwszy, wyglądał jak ogromne cygaro na łyżwie.

„Safony I” nie zbudowano po to, by konkurować z okrętami podwodnymi. Miała określoną funkcję: służyła do badania dna oceanu. Każdy centymetr kwadratowy jej wnętrza wykorzystano do maksimum, by pomieścić siedmioosobową załogę oraz dwie tony sprzętu i instrumentów badawczych. „Safona I” nigdy nie wystrzeli żadnego pocisku ani nie będzie przecinała morza z szybkością siedemdziesięciu węzłów, ale mogła działać tam, gdzie żadna inna łódź podwodna nie ośmieliłaby się zanurzyć: osiem kilometrów pod powierzchnią oceanu. Giordino nigdy jednak nie czuł się całkiem spokojny. Spojrzał na głębokościomierz i skrzywił się widząc, że wskazuje prawie cztery tysiące sto metrów. Ciśnienie w wodzie wzrasta o jedną atmosferę co dziesięć metrów głębokości. Ponownie się skrzywił, kiedy przeliczył to w pamięci: blisko 410 atmosfer, co oznaczało, że na każdy centymetr kwadratowy czerwonej farby, pokrywającej grubo tytanowy kadłub „Safony I”, działa obecnie ciśnienie 410 kilogramów.

— Może filiżankę świeżych osadów?

Giordino podniósł wzrok na poważną twarz Omara Woodsona, fotografa ekspedycji. W jego rękę zobaczył kubek parującej kawy.

— Wasz szef od zaworów i przełączników powinien otrzymać ten wywar dokładnie przed pięcioma minutami.

— Przepraszam, ale jakiś idiota wyłączył światło — odparł Woodson, wręczając mu kubek. — Wszystko sprawdziłeś?

— Na tablicy wszystko w porządku — odpowiedział Giordino. — Odstawiłem baterię rufową, żeby sobie odpoczęła. Przez najbliższe osiemnaście godzin będziemy korzystali z baterii na śródkręciu.

— Całe szczęście, że po wyłączeniu nie nadzialiśmy się na jakąś sterczącą skałę.

— Chyba żartujesz. — Giordino rozparł się w fotelu, zamrugał oczami i ziewnął, elegancko przysłaniając dłonią usta. — W ciągu ostatnich godzin sonar nie wykrył przedmiotu większego od piłki baseballowej. Dno jest tu płaskie jak brzuch mojej dziewczyny.

— Chciałeś powiedzieć piersi — rzekł Woodson. — Widziałem jej zdjęcie.

Woodson uśmiechnął się, co u niego należało do rzadkości.

— Nikt nie jest doskonały — przyznał Giordino. — Biorąc jednak pod uwagę fakt, że jej ojciec jest bogatym hurtownikiem napojów alkoholowych, chyba mogę udawać, że nie widzę jej wad...

Przerwał, gdy do sterowni zajrzał Rudi Gunn, dowódca wyprawy. Był niski i chudy, a jego wytrzeszczone oczy, powiększone przez szkła w rogowej oprawie i rzucające baczne spojrzenia znad rzymskiego nosa, nadawały mu wygląd niedożywionej sowy, która wkrótce zastrajkuje. Jego wygląd jednak mylił, Gunn bowiem był serdeczny i uprzejmy. U wszystkich, którzy kiedykolwiek służyli pod jego komendą, cieszył się ogromnym szacunkiem.

— Nie macie innych tematów? — spytał uśmiechając się wyrozumiale.

Woodson zrobił śmiertelnie poważną minę.

— Ciągle to samo. On znów się podnieca tą swoją dziewczyną.

— Po pięćdziesięciu jeden dniach w tym pływającym pudle nawet własna babcia by mu wybaczyła takie błyski w oczach — rzekł Gunn.

Pochylił się nad Giordinem i spojrział w iluminator. Przez parę sekund nie widział nic poza mętным błękitem, a dopiero później stopniowo zaczął rozróżniać czerwonawy szlam na dnie, tuż pod „Safona I”. Przez krótką chwilę jakaś jasnoczerwona krewetka, wielkości zaledwie trzech centymetrów, płynęła w strumieniu światła, by potem zniknąć w ciemnościach.

— Cholera, szkoda, że nie możemy wyjść i trochę sobie pospacerować — rzekł Gunn, odsuwając się od iluminatora. — Może byśmy coś ciekawego znaleźli.

— Pewnie to samo, co w samym środku pustyni Mojave — mruknął Giordino. — Czyli absolutnie nic. — Wyciągniętą ręką popukał we wskaźnik. — Chociaż tutaj jest zimniej. Zaledwie dwa i pół stopnia.

— Wspaniałe miejsce do zwiedzania — rzekł Woodson. — Ale nie chciałbym spędzić tu jesieni swego życia.

— Jest coś na sonarze? — spytał Gunn.

— Przed nami i po bokach nic. Od paru godzin profil jest równy jak stół.

Gunn gestem znużenia zdjął okulary i przetarł oczy.

— Dobra, panowie. Wygląda na to, że nasza misja się kończy. Jeszcze z dziesięć godzin i na powierzchnię. — Odruchowo spojrział na sufit. — Czy baza ciągle jest z nami?

Giordino skinął głową.

— Wisi nad nami.

Jedno spojrzenie na wahającą się strzałkę przetwornika upewniło go, że statek baza płynie śladem „Safony I”, trzymając ją na sonarze.

— Nawiąż kontakt — powiedział Gunn — i zawiadom ich, że rozpoczynamy wynurzenie o godzinie dziewiątej zero zero. To da im wystarczająco dużo czasu na przygotowanie się do przyjęcia nas na pokładzie i do wzięcia „Safony I” na hol przed zachodem słońca.

— Ja tam już prawie zapomniałem, jak wygląda zachód słońca — mruknął Woodson. — Warto by iść na plażę, poopalać się trochę i poderwać parę dorodnych ślicznotek w bikini. Pan Woodson ma już dość tych dziwnych podmorskich krajobrazów.

— Dzięki Bogu zbliżamy się do końca — rzekł Giordino. — Jeszcze jeden tydzień zaniknięcia w tej przerośniętej parówce i zacząłbym gadać do kwiatków w doniczkach.

Woodson spojrział na niego.

— Przecież nie mamy tu żadnych kwiatków w doniczkach.

— To postaraj się o ich fotografie. Gunn się uśmiechnął.

— Wszyscy zasługujecie na przyzwoity odpoczynek. Nieźle się spisaliście. Dane, które zebraliśmy, powinny dostarczyć zajęcia tym z laboratorium na dłuższy czas.

Giordino odwrócił twarz do Gunna i popatrzył na niego.

— Ta misja była jednym wielkim piekłem, Rudi — powiedział wolno.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi — rzekł Gunn.

— Chodzi mi o to, że był to źle obsadzony dramat. Przyjrzyj się swojej załodze — machnął ręką w stronę czterech mężczyzn pracujących w części rufowej batyskafu: Bena Drummera, kościstego południowca, który używał niezrozumiałego akcentu z Alabamy; Ricka Spencera, niskiego blondyna z Kalifornii, stale pogwizdującego przez zaciśnięte zęby; Sama Merkera, kosmopolity i mieszczucha, pośrednika z Wall Street, oraz Henry'ego Munka, łagodnego głupka o wiecznie zaspanych oczach, który najwyraźniej pragnął być gdziekolwiek, byle nie na pokładzie „Safony I”. — Ci faceci na rufie, ty, Woodson i ja, wszyscy jesteśmy technikami, mechanikami od śrub i nakrętek. Brak wśród nas doktorów.

— Pierwsi ludzie na Księżycu też nie byli intelektualistami — odparował Gunn. — To właśnie mechanicy od śrubek i nakrętek sprawdzają sprzęt. Wy, panowie, przeprowadziliście próby z „Safoną I”, wykazaliście jej możliwości. Następnym razem przejadą się nią oceanografowie. Ta misja wam zostanie zapisana jako wielkie naukowe osiągnięcie.

— Ja tam nie nadaję się na bohatera — oznajmił Giordino.

— Ani ja, kolego — dodał Woodson. — Ale musisz przyznać, że to pozwoli wyciągnąć niezły szmal ze sprzedaży polisy ubezpieczeniowej na życie.

— On nie widzi korzyści, jakie mu to da — rzekł Gunn. — Tylko pomyśl, jakie historyjki będziesz mógł nawijać swoim dziewczynom.

Tylko pomyśl, jak te ślicznotki będą oczarowane, kiedy im opowiesz o swoim bezbłędnym prowadzeniu największej podwodnej sondy dwudziestego wieku.

— Bezbłędnym? — odezwał się Giordino. — W takim razie powiedz mi, dlaczego prowadzę to cudo techniki, krążąc nad dnem o pięćset mil od wyznaczonego kursu?

Gunn wzruszył ramionami.

— Rozkazy...

Giordino wbił w niego wzrok.

— Mielśmy być w Basenie Labradorским, a tymczasem admirał Sandecker w ostatniej chwili zmienia nam kurs i każe badać denne równiny w głębinach w pobliżu Wielkiej Ławicy Nowofundlandzkiej. To nie ma sensu.

Gunn uśmiechnął się jak sfinks. Przez pewien czas nikt się nie odzywał, lecz Gunn nie musiał być wyjątkowo przenikliwy, by wiedzieć, jakie myśli kłębią im się w głowach. Miał pewność, że te same, co jemu. Tak jak on, cofnęli się o trzy miesiące w czasie i o dwa tysiące mil w przestrzeni, by ponownie znaleźć się w centrali Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych w Waszyngtonie, gdzie admirał James Sandecker opisywał najbardziej niewiarygodną operację podmorską tego dziesięciolecia.

— Jasny gwint — grzmiał admirał Sandecker. — Oddałbym moją całoroczną pensję za to, żeby móc być z wami.

Giordino pomyślał, że to czysta retoryka. Siedział na miękkiej skórzanej kanapie i dostrajał się do atmosfery odprawy u Sandeckera, leniwie puszczać kółka dymu z gigantycznego cygara, które wziął z pudełka stojącego na ogromnym biurku gospodarza, gdy tymczasem wszyscy skupiali uwagę na ściennej mapie Oceanu Atlantyckiego.

— No więc, oto on. — Sandecker po raz drugi głośno zaszurał pałeczką po mapie. — Prąd Lorelei. Powstaje przy zachodnim końcu Afryki, płynie na północ wzdłuż Grzbietu

Środkowoatlantyckiego, potem skręca na wschód między Ziemią Baffina a Grenlandią i kończy się w Basenie Labradorским.

— Nie jestem specjalistą od oceanografii, panie admirale — odezwał się Giordino — ale wygląda na to, że Lorelei miesza się z Golszstromem.

— Nic podobnego. Golszstrom jest prądem powierzchniowym, a Lorelei ma najzimniejszą, a więc najcięższą wodę w oceanie i płynie na głębokości przeciętnie tysiąca trzystu metrów.

— A zatem Lorelei płynie pod Golszstromem — powiedział cicho Spencer, który po raz pierwszy zabrał głos.

— Bardzo słusznie — rzekł Sandecker, uśmiechnął się i mówił dalej: — Ocean zasadniczo składa się z dwóch warstw wody: wody powierzchniowej, czyli górnej, ogrzewanej przez słońce i dokładnie mieszanej przez wiatry, oraz warstwy zimnej, bardzo gęstej, która z kolei dzieli się na warstwę średnią, głęboką i denną. Te dwie zasadnicze warstwy nigdy się ze sobą nie mieszają.

— To brzmi ponuro i odstręczająco — powiedział Munk. — Już sam fakt, że jakiś facet z wisielczym humorem nazwał go imieniem reńskiej nimfy, która wabiła żeglarzy, by wpadali na skały, każe mi uważać ten prąd za ostatnie miejsce na ziemi, w jakim chciałbym się znaleźć.

Na ptasią twarz Sandeckera powoli wpełzał bezlitosny uśmiech.

— Przyzwyczajajcie się do tej nazwy, panowie, gdyż w samym środku tego prądu spędzimy pięćdziesiąt dni. To znaczy w y spędzicie.

— A niby co będziemy robić? — wyzywająco spytał Woodson.

— Nazwa ekspedycji dokładnie brzmi: „Splyw z prądem Lorelei”. Opuście się w batyskafie pięćset mil na północny zachód od Dakaru i rozpocznicie podwodny rejs z prądem. Waszym głównym zadaniem będzie sprawdzenie batyskafu i jego wyposażenia. Jeśli w ich funkcjonowaniu nie dojdzie do zakłóceń, które wymagałyby skrócenia misji, to wypłyniecie na powierzchnię gdzieś w połowie września, mniej więcej w środku Basenu Labradorskiego.

Merker odchrząknął cicho.

— Jeszcze żaden batyskaf nie przebywał tak długo na takiej głębokości.

— Chcesz się wycofać, Sam?

— No... nie.

— Udział w ekspedycji jest dobrowolny. Nikt was do tego nie zmusza.

— A dlaczego my, panie admirale? — spytał Ben Drummer, podnosząc swoje chude ciało z podłogi, na której był wygodnie usadowiony. — Ja jestem mechanikiem okrętowym, Spencer specjalistą od wyposażenia, a Merker od instalacji. Moim zdaniem nic tam po nas.

— Wszyscy jesteście fachowcami w poszczególnych dziedzinach. Woodson jest również fotografem. Na pokładzie „Safony I” będzie znajdował się różnego rodzaju sprzęt fotograficzny. Munk najlepiej w agencji zna się na instrumentach. Wszyscy znajdziecie się pod komendą Rudiego Gunna, który dowodził kolejno wszystkimi statkami badawczymi NUMA.

— No, a ja? — spytał Giordino.

Sandecker zerknął na cygaro sterczące z ust Giordina, poznał, że pochodzi z jego zapasów, i rzucił pilotowi miazdzące spojrzenie, które zostało całkowicie zignorowane.

— Jako zastępca szefa realizacji projektów badawczych będziesz z ramienia agencji kierował wyprawą. Przydasz się też do sterowania batyskafem.

Giordino uśmiechnął się sardonicznie, wytrzymując spojrzenie admirała.

— Moja licencja pilota daje mi prawo prowadzenia samolotów, a nie łodzi podwodnych.

Sandecker lekko zeszywniał.

— Chyba musisz po prostu zdać się na moją ocenę, prawda? — rzekł chłodnym tonem. — Poza tym głównie chodzi o to, że stanowicie najlepszą załogę, jaką w tej chwili mam pod ręką. Wszyscy uczestniczyliście w ekspedycji na Morzu Beauforta. Macie ogromne doświadczenie, wykazaliście się odpowiednimi zaletami i pomysłowością. Możecie obsługiwać każdy instrument i wszelkiego rodzaju sprzęt oceanograficzny, jaki dotychczas wynaleziono. Dane, które przywieziecie, prześlemy naukowcom do analizy. I jeszcze raz powtarzam: udział w wyprawie jest naturalnie dobrowolny.

— Naturalnie — jak echo powtórzył Giordino z twarzą całkowicie pozbawioną wyrazu. Sandecker wrócił na swoje miejsce za biurkiem.

— Pojutrze zbierzecie się w naszym porcie w Key West, by rozpocząć trening. Wytwórnia samolotów w Pelholme przeprowadziła już gruntowne próby podwodne z batyskafem, więc pozostaje wam tylko zapoznać się ze sprzętem i programem eksperymentów, które przeprowadzicie w czasie ekspedycji.

Spencer gwizdnął przez zęby.

— Wytwórnia samolotów? Święty Boże, a cóż oni mogą wiedzieć o batyskafach?

— Chciałbym was uspokoić — zaczął cierpliwie wyjaśniać Sandecker. — W Pelholme przestawili się z technologii lotniczej na morską dziesięć lat temu. Od tego czasu zbudowali cztery podwodne laboratoria do badań środowiska i dwa niezwykle udane batyskafy dla Marynarki Wojennej.

— Wolałbym, żeby ten im się udał — powiedział Merker. — Byłbym niepokieszony, gdyby zaczął przeciekać na głębokości pięciu kilometrów.

— Chciałeś powiedzieć, że ze strachu narobiłbyś w majtki — mruknął Giordino.

Munk przetarł oczy, a potem spojrzął pod stopy, jakby dywan przypominał mu dno morskie. Kiedy się odezwał, mówił bardzo powoli:

— Czy ta wycieczka jest naprawdę niezbędna, panie admirale? Sandecker z powagą pokiwał głową.

— Tak. Oceanografowie muszą dokładnie poznać trasę Lorelei, by rozszerzyć wiedzę o krążeniu wody w głębi oceanów. Wierzcie mi, ta wyprawa ma takie samo znaczenie, jak wysłanie pierwszego człowieka na orbitę okołozemską. Poza testowaniem najnowocześniejszego batyskafu na świecie, waszym zadaniem będzie filmowanie i nanoszenie na mapę obszarów, których nie widziało oko ludzkie. Pragnę rozwiązać wasze wątpliwości. „Safona I” ma kadłub zbudowany z wykorzystaniem najnowszych osiągnięć nauki w dziedzinie bezpieczeństwa. Osobiście gwarantuję wam bezpieczną i wygodną podróż.

Łatwo mu to mówić, leniwie pomyślał Giordino. Jego tam nie będzie.

24.

Henry Munk poruszył swoim muskularnym ciałem, by zmienić pozycję na długim winylowym materacu, i powstrzymując ziewnięcie, spojrzął przez rufowy iluminator „Safony I”. Płaskie, nie kończące się dno było tak interesujące jak książka z nie zadrukowanymi kartkami, lecz Munk rozkoszował się myślą, że przed nim nikt jeszcze nie widział żadnego z tych niewielkich wybrzuszeń, które od czasu do czasu dostrzegał, ani żadnego z mieszkańców tego świata, przepływających za szybą z grubego pleksiglasu. Była to skromna, lecz zadowalająca nagroda za długie godziny nudy, jakie spędzał na odczytywaniu wskazań instrumentów umieszczonych po obu stronach jego stanowiska.

Niechętnie oderwał oczy od iluminatora i przeniósł wzrok na instrumenty: wielofunkcyjny czujnik, który podczas całej wyprawy nieustannie zapisywał na taśmie magnetycznej zasolenie, temperaturę i ciśnienie wody oraz prędkość rozchodzenia się w niej fal dźwiękowych; przyrząd do badania struktury dna i mierzenia grubości osadów za pomocą

fal akustycznych; grawimetr, co czterysta metrów dokonujący pomiaru ciśnienia; urządzenie śledzące prędkość i kierunek prądu Lorelei; magnetometr, który mierzył i rejestrował pole magnetyczne dna i dewiacje spowodowane skupiskami metali.

Munk omal tego nie przegapił. Ruch był tak niewielki — rylec drgnął zaledwie o milimetr — że Munk w ogóle by go nie zauważył, gdyby nie spojrział tam akurat w tym momencie. Natychmiast przysunął twarz do iluminatora i popatrzył na dno morza, potem odwrócił się i zawołał Giordina, który siedział przy konsoli sternika:

— Zatrzymaj się!

Giordino zrobił pół obrotu wraz z fotelem i spojrział w stronę rufy.

— Odczytałeś coś? — spytał.

— Minęliśmy jakiś metalowy przedmiot. Cofnij batyskaf, żebyśmy mogli lepiej się przyjrzeć.

— Cofam — powiedział Giordino na tyle głośno, by Munk go usłyszał.

Włączył dwa silniki zamontowane po obu stronach kadłuba na śródokręciu, nastawiając je na „pół wstecz”. „Safona I”, niesiona prądem o szybkości dwóch węzłów, przez dziesięć sekund wisiała w miejscu, jakby nie miała ochoty ruszać się o własnych siłach, a potem wolno i mozolnie zaczęła się cofać pod prąd. Gunn i pozostali członkowie załogi stłoczyli się przy wejściu do tunelu Munka.

— Co widzisz? — spytał Gunn.

— Nie jestem pewien — odparł Munk. — Coś sterczy z dna jakieś dwadzieścia metrów za rufą. W świetle reflektorów rufowych widać tylko jakiś niewyraźny kształt.

Wszyscy czekali.

Zdawało się, że minęła cała wieczność, zanim Munk ponownie się odezwał:

— Dobra, widzę.

— Włącz obie denne kamery stereoskopowe i stroboskop — zwrócił się Gunn do Woodsona. — Musimy to sfilmować. Woodson skinął głową i ruszył w stronę swojego sprzętu.

— Czy możesz to opisać? — spytał Spencer.

— Wygląda jak wystający z mułu lejek.

Bezosobowy głos Munka, docierający z głębi tunelu z instrumentami, zdradzał podniecenie.

— Lejek? — sceptycznie spytał Gunn. Drummer zajrzał Gunnowi przez ramię.

— Jaki lejek?

— Normalny, taki do wlewania płynów, baranie — odparł rozeźlony Munk. — Mijamy go teraz prawą burtą. Powiedz Giordinowi, żeby zatrzymał batyskaf, kiedy ten lejek pokaże się w iluminatorach dziobowych.

Gunn przeszedł do Giordina.

— Czy możesz utrzymać nas w tej pozycji? — spytał.

— Spróbuję, ale jeśli prąd zacznie obracać batyskaf w poprzek, to może nas znieść i stracimy kontakt wzrokowy z tym, co tam się znajduje.

Gunn przeszedł na dziób i położył się na gumowej podłodze. Razem z Merkerem i Spencerem patrzył przez jeden z czterech iluminatorów dziobowych. Prawie natychmiast dojrzeli ten przedmiot. Jego wygląd zgadzał się z opisem Munka: z dennego mułu wystawał odwrócony lejek o średnicy około piętnastu centymetrów. Był w zdumiewająco dobrym stanie. Choć zmatowiały, to jednak wyglądał jak nowy. Nie miał żadnych uszkodzeń i ani śladu rdzy.

— Utrzymuję batyskaf w tej pozycji — odezwał się Giordino — ale nie mogę zagwarantować, że to potrwa długo.

Nie odwracając się od iluminatora, Gunn skinął ręką na Woodsona, który pochylał się nad parą kamer i nastawiał ostrość na przedmiot leżący na dnie morza.

— Omar? — rzekł Gunn.

— Mam go i strzelam.

Gunn nie odpowiedział. Całkowicie skupiony, nosem niemal dotykał szyby iluminatora.

Merker pytająco zmrużył oczy.

— Co z nim robimy, Rudi? Myślę, że powinniśmy go zabrać. Jego słowa w końcu dotarły do Gunna.

— Tak, tak, oczywiście — mruknął nieprzytomnie.

Merker zdjął z wieszaka metalową skrzynkę, połączoną z przednią ścianką batyskafu półtorametrowym kablem, i usadowił się przed środkowym iluminatorem. Ze skrzynki wystawało kilka dźwigienek otaczających niewielki okrągły guzik. Było to urządzenie do kierowania manipulatorem, dwustukilogramowym mechanicznym ramieniem, które groteskowo zwisało z dolnej części dziobu „Safony I”.

Merker nacisnął guzik, uruchamiając manipulator. Potem zaczął sprawnie przebierać palcami po dźwigienkach i mechanizm z cichym warkotem wyciągnął dwumetrowe ramię na całą długość. Do lejka sterującego z dna zabrakło około dwudziestu centymetrów.

— Potrzeba mi jeszcze jakieś ćwierć metra.

— Dobrze, przygotuj się — odparł Giordino. — Ale ruch do przodu może zmienić naszą pozycję.

Lejek zbliżał się do nierdzewnego chwytaka manipulatora z irytującą powolnością. Merker delikatnie opuścił nad nim kleszcze, a następnie poruszył inną dźwigienką i kleszcze się zamknęły, ale zrobił to zbyt późno — prąd zaczął obracać batyskaf w poprzek. Chwytnak minął lejek o centymetr i w zamkniętych kleszczach nie było nic.

— Znosi nas w lewo! — wykrzyknął Giordino. — Nie mogę utrzymać pozycji!

Palce Merkera szybko poruszały dźwigienkami manipulatora. Będzie musiał jeszcze raz spróbować, ale teraz w locie. Jeżeli chybi, to ponowne odnalezienie lejka w warunkach ograniczonej widoczności może okazać się prawie niemożliwe. Czoło Merkera pokryło się potem, mięśnie rąk miały napięte.

Uniósł ramię manipulatora i obrócił je o sześć stopni w prawo, żeby skompensować przesunięcie „Safony I” w przeciwnym kierunku! Znów poruszył dźwigienką, opuszczając chwytak, którego szczęki zwały się prawie w tym samym momencie. Między nimi tkwił lejek.

Udało się.

Manewrując ostrożnie manipulatorem, Merker stopniowo wyciągał lejek z mułu. Pot zalewał mu oczy, ale nie zwracał na to uwagi. Nie miał czasu do stracenia — jeden błąd i lejek pozostanie w mule na zawsze. Wreszcie wyrwał go ze śluzowatego osadu i zbliżył do iluminatorów.

— O Boże! — szepnął Woodson. — To wcale nie lejek.

— Wygląda na jakąś trąbkę — stwierdził Merker. Gunn pokręcił głową.

— To kornet — rzekł.

— Skąd wiesz? — spytał Giordino, który opuścił swoje miejsce przy konsoli i teraz patrzył w iluminator, zaglądając Gunnowi przez ramię.

— Kiedyś w szkolnej orkiestrze grałem na kornecie. Wszyscy już sami widzieli, że Gunn ma rację. Bez trudu rozpoznali instrument po wygiętych rurkach, wentylach i ustniku.

— Wygląda na mosiężny — odezwał się Merker.

— Właśnie dlatego magnetometr Munka ledwo go wykrył — dodał Giordino. — Żelazo jest tylko w ustniku i tłoczkach wentylów.

— Ciekaw jestem, jak długo tam leżał? — spytał Drummer.

— Mnie bardziej by interesowało, skąd on się tam wziął — powiedział Merker.

— Najwyraźniej ktoś wyrzucił go za burtę z płynącego statku — obojętnie rzekł Giordino. — Pewnie jakiś dzieciak, który nie znosi lekcji muzyki.

— Może gdzieś tu jest również jego właściciel — mruknął Merker, nie podnosząc wzroku. Spencer się wzdrygnął.

— Też sobie wymyślił — rzekł.

We wnętrzu „Safony I” zapadło milczenie.

25.

Antyczny trzysilnikowy samolot Forda, znany w historii lotnictwa jako „Błazana Gęś”, wyglądał zbyt niezgrabnie na to, by w ogóle mógł latać, a mimo to wykonał ostatni skręt z wdziękiem i majestatycznie niczym albatros, podchodząc do lądowania na pasie krajowego lotniska w Waszyngtonie.

Pitt cofnął trzy manetki gazu i stare ptaszysko siadło na betonie z delikatnością jesiennego liścia, opadającego na wysoką trawę. Samolot podkołował do hangarów NUMA w północnej części lotniska, gdzie czekający nań pracownik obsługi naziemnej zablokował koła i wykonał rutynowy gest, jakby podrzynał sobie gardło. Pitt wyłączył zapłon i obserwował srebrne łopatki śmigieł, które obracały się coraz wolniej i zatrzymały, błyszcząc w przedwieczornym słońcu. Zdjął słuchawki, powiesił je na wolancie, po czym odciągnął zasuwkę i otworzył boczne okienko.

Ze zdumienia zmarszczył opalone czoło. Na płycie lotniska stał jakiś mężczyzna, gwałtownie wymachując rękami.

— Mogę wejść na pokład?! — zawołał Gene Seagram.

— Ja zejść! — odkrzyknął mu Pitt.

— Nie, proszę tam zostać!

Pitt wzruszył ramionami, cofając się na swój fotel. W ciągu zaledwie kilku sekund Seagram wszedł na pokład samolotu i otworzył drzwi prowadzące do kabiny pilota. Miał na sobie modny brązowy garnitur z kamizelką, mocno jednak wygnieciony, co jednoznacznie wskazywało, że jego właściciel nie widział łóżka przynajmniej od dwudziestu czterech godzin.

— Skąd pan wytrzasnął tak wspaniałą starą maszynę? — spytał Seagram.

— Natknąłem się na nią w Keflaviku, kiedy byłem w Islandii — odparł Pitt. — Udało mi się ją odkupić za przyzwoitą cenę i przetransportować z powrotem do Stanów.

— Przepiękna.

Pitt wskazał Seagramowi pusty fotel drugiego pilota.

— Naprawdę tutaj chciał pan rozmawiać? Za parę minut słońce tak nagrzej kabinę, że będzie gorąco jak w piecu.

— To, co chcę powiedzieć, nie zajmie wiele czasu — rzekł Seagram, usiadł i głęboko westchnął.

Pitt przyjrzał mu się badawczo. Seagram wyglądał na człowieka dumnego w przymusowej sytuacji, na człowieka, który niechętnie zdecydował się na tę rozmowę, ale nie miał innego wyjścia...

Nie odwrócił twarzy do Pitta, kiedy zaczął mówić, lecz niespokojnie patrzył w przednią szybę.

— Przypuszczam, że zastanawia się pan, co ja tu robię.

— Przyznaję, przyszło mi to do głowy.

— Potrzebna mi pańska pomoc.

A więc to tak. Nawet nie wspomniał o ostrych słowach z przeszłości. Bez żadnych wstępów, prosto z mostu powiedział, o co chodzi. Pitt zmrużył oczy.

— Mam powody sądzić, że moje towarzystwo jest panu równie miłe jak syfilis.

— Nieważne, co obaj sądzimy. Chodzi o to, że nasz rząd na gwałt potrzebuje pańskich talentów.

— Na gwałt...? Talentów...? — Pitt nie ukrywał zdziwienia. — Zgrywa się pan.

— Proszę mi wierzyć, wolałbym, żeby tak było, ale admirał Sandecker zapewnia mnie, że tylko pan ma jakiegokolwiek szansę wykonania pewnej bardzo delikatnej roboty.

— A co to za robota?

— Wydobyć „Titanica”.

— No jasne! Nic bardziej nie mogłoby mi urozmaicić monotonii życia, jak wydobyć...

— Pitt urwał w pół zdania i wytrzeszczył oczy. Krew uderzyła mu do głowy. Jego głos przeszedł w chrapliwy szept: — Jakiego statku?

Seagram spojrzał na niego ubawiony.

— „Titanica”. Czy pan o nim słyszał?

Przez dobre dziesięć sekund panowało całkowite milczenie. Pitt siedział zupełnie oszołomiony. W końcu się odezwał:

— Czy pan zdaje sobie sprawę, co mi pan proponuje?

— Absolutnie.

— To niewykonalne. — Mina Pitta wyrażała brak wiary, a jego głos w dalszym ciągu chrypiał: — Nawet gdyby to było technicznie możliwe, a nie jest, to i tak kosztowałoby setki milionów dolarów... no i te nie kończące się korowody z dawnymi właścicielami i agencjami ubezpieczeniowymi, jeśli chodzi o prawa do wydobytego mienia.

— Problemy techniczne rozpracowuje w tej chwili ponad dwustu inżynierów i naukowców — wyjaśniał Seagram. — Sama operacja zostanie sfinansowana przez rząd z tajnego funduszu. O stronę prawną może się pan nie martwić. Według prawa międzynarodowego statek, który zatonął i nie można go odzyskać, staje się legalną własnością każdego, kto zdecyduje się na jego wydobyć. — Odwrócił się i znów patrzył w przednią szybę. — Pan nawet nie wie, Pitt, jak ważne jest to przedsięwzięcie. „Titanic” znaczy więcej niż tylko skarby czy wartości historyczne. Głęboko w jego ładowniach ukryte jest coś, co ma żywotne znaczenie dla zapewnienia bezpieczeństwa naszego kraju.

— Wybacz pan, ale wygląda to na lekką przesadę.

— Być może, a jednak to fakt. Pitt pokręcił głową.

— Toż to czysta fantazja. „Titanic” leży na głębokości prawie pięciu kilometrów. Ciśnienie wynosi tam kilkaset kilogramów na centymetr kwadratowy, panie Seagram, nie decymetr czy metr, ale centymetr kwadratowy. Trudności i przeszkody są ponad ludzką wyobraźnię. Nikt jeszcze nie próbował wydobyć „Andrei Dorii” czy „Lusitani”... a one leżą na głębokości zaledwie stu metrów.

— Skoro potrafimy wysłać człowieka na Księżyc, to damy sobie radę z wydobyć „Titanica” — argumentował Seagram.

— Tego się nie da porównać. Zanim czterotonowa kapsuła znalazła się na Księżycu, minęło dziesięć lat. Podniesienie z dna czterdziestu pięciu tysięcy ton stali to zupełnie co innego. Samo odszukanie wraku może potrwać wiele miesięcy.

— Poszukiwania już się prowadzi.

— Nic nie słyszałem... — ...o akcji poszukiwawczej — dokończył za niego Seagram. — I nie powinien pan. Dopóki wymaga tego bezpieczeństwo, dopóty operacja ta pozostanie tajna. Nawet pański zastępca, Albert Giordano...

— Giordino.

— Faktycznie, Giordino, dziękuję panu. W tej właśnie chwili kieruje sondą badawczą nad dnem Atlantyku, absolutnie nie zdając sobie sprawy z rzeczywistego charakteru swojej misji.

— Ale przecież wyprawa z prądem Lorelei... pierwotną misją „Safony I” miało być prześledzenie trasy tego prądu.

— Nieprzypadkowa zbieżność. Zaledwie na kilka godzin przed opuszczeniem batyskafu na wodę admirał Sandecker mógł wydać rozkaz, by skierował się w rejon ostatniej znanej pozycji „Titanica”.

Pitt odwrócił się i obserwował odrzutowiec pasażerski, odrywający się od głównego pasa startowego lotniska.

— Ale dlaczego ja? Czym sobie zasłużyłem na zaproszenie do wzięcia udziału w najbardziej szalonym przedsięwzięciu stulecia?

— Pan nie ma być tylko gościem, mój drogi panie Pitt. Będzie pan kierował całością prac związanych z wydobywaniem wraku. Pitt spojrzał na Seagrama.

— Ale wciąż pozostaje pytanie, dlaczego ja? — powiedział z uporem.

— Zapewniam pana, że ten wybór nie wzbudza mojej radości - rzekł Seagram. — Skoro jednak Narodowa Agencja Badań Morskich i Podwodnych jest największym w kraju uznanym autorytetem w dziedzinie oceanografii, skoro czołowi eksperci od wydobywania wraków są jej pracownikami i skoro pan jest jej dyrektorem do zadań specjalnych, to wybór padł na pana.

— Teraz zaczyna mi świtać. Po prostu zajmuję niewłaściwe stanowisko w niewłaściwym czasie.

— Może pan to sobie dowolnie interpretować — rzekł Seagram znużonym głosem. — Muszę jednak przyznać, że pańskie dotychczasowe konto, jeśli chodzi o doprowadzanie trudnych zadań do pomyślnego końca, jest doprawdy imponujące. — Wyjął chusteczkę i wytarł sobie czoło. — Jeszcze jednym czynnikiem, który w istotny sposób przemawiał za panem, było to, że uważa się pana w pewnym sensie za eksperta od „Titanica”.

— Zbieranie i studiowanie informacji o „Titanicu” jest tylko moim hobby, niczym więcej. Trudno, żeby to dawało mi kwalifikacje do nadzorowania prac związanych z wydobywaniem wraku.

— Jednak admirał Sandecker ma pana, że użyję jego słów, za geniusza w kierowaniu ludźmi i koordynowaniu działań logistycznych — powiedział Seagram i niepewnie spojrzał na Pitta. — Podejmuje się pan tego zadania?

— Pan myśli, że sobie z nim nie poradzę, prawda, Seagram?

— Szczerze mówiąc tak, ale kiedy człowiek wisi na włosku nad przepaścią, to nie krytykuje tego, kto przychodzi mu na ratunek. Pitt uśmiechnął się nieznacznie.

— Pańska wiara we mnie jest wzruszająca.

— No więc?

Przez kilka chwil Pitt siedział zamyślony. Wreszcie prawie niezauważalnie skinął głową i spojrzał w oczy Seagramowi.

— Zgoda, przyjacielu, jestem do waszej dyspozycji, ale nie mówcie hop, dopóki ten stary zardzewiały wrak nie zostanie przycumowany w nowojorskim doku. W Las Vegas nie ma bukmachera, który by dał jakąkolwiek szansę tej zwariowanej eskapadzie. Kiedy odszukamy „Titanica”, jeżeli w ogóle go znajdziemy, to może się okazać, że jego kadłub jest zbyt zniszczony, aby dał się podnieść. Nie ma jednak rzeczy niemożliwych i choć nawet się nie domyślam, co jest aż tak cenne dla rządu, żeby usprawiedliwiało te zabiegi, to spróbuję, Seagram. Nic więcej nie mogę obiecać.

Uśmiechnął się szeroko i wstał,

— Skończyłem przemówienie. A teraz wyjdźmy z tego piekarnika i poszukajmy sobie jakiegoś klimatyzowanego koktajlbaru z miłym chłodkiem, gdzie postawi mi pan drinka. Przynajmniej w ten sposób należałoby uczcić to, że udało się panu wykonać najtrudniejsze tajne zadanie roku.

Seagram był zbyt wyczerpany, żeby zdobyć się na coś więcej niż tylko wzruszenie ramion w bezradnym geście, wyrażającym zgodę.

John Vogel z początku potraktował kornet zwyczajnie, jak jeszcze jeden przedmiot do konserwacji. Ten model nie należał do rzadkości. W jego konstrukcji nie zauważył nic szczególnego, co mogłoby wzbudzić zainteresowanie kolekcjonera — zresztą w tym stanie właściwie nikogo by nie zainteresował. Wciśnięte wentyle były skorodowane i zakleszczone; mosiądz stracił swą barwę pod warstwą jakiegoś dziwnego brudu, a z błota wypełniającego rurki dobywała się nieprzyjemna rybia woń.

Vogel uznał, że instrument nie zasługuje na to, by on się nim zajmował, i postanowił przekazać go jednemu ze swoich asystentów. Sam wprost uwielbiał przywracać pierwotny wygląd instrumentom egzotycznym: starym chińskim i rzymskim fanfaram o długich prostych rurach i świdrujących tonach, pogiętym instrumentom blaszanym, niegdyś należącym do sław z początków jazzu, wszystkim tym, z którymi wiązał się kawałek historii muzyki. Mozolnie je naprawiał z cierpliwością zegarmistrza, wkładając w to cały swój kunszt, aż błyszczały jak nowe i wydawały jasne, czyste tony.

Zawinął kornet w starą powłoczkę i oparł o ścianę swojego gabinetu.

Cicho zabrzmiał dźwięczny gong interkomu.

— Tak, Mary, o co chodzi?

— Mam na linii admirała Jamesa Sandeckera z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych — odezwała się sekretarka głosem przypominającym zgrzyt paznokcia skrobiącego po tablicy. — Mówi, że to pilne.

— Dobra, dawaj go — powiedział Vogel i podniósł słuchawkę telefonu.

— Panie Vogel, tu James Sandecker.

Fakt, że Sandecker sam nakręcił numer jego telefonu i nie chełpił się swoim admiralskim stopniem, bardzo Vogla zdziwił.

— Słucham, panie admirale, czym mogę służyć?

— Czy pan już to otrzymał?

— A co miałem otrzymać?

— Starą trąbkę.

— A, ten kornet — powiedział Vogel. — Rano znalazłem go na biurku bez żadnych informacji. Myślałem, że to jakiś dar dla muzeum.

— To moja wina, panie Vogel. Powinienem był pana uprzedzić, ale nie miałem czasu.

Przynajmniej szczerze usprawiedliwienie, pomyślał Vogel.

— Co mógłbym dla pana zrobić, admirale?

— Byłbym wdzięczny, gdyby pan zbadał tę rzecz i powiedział mi, co panu o niej wiadomo. Data produkcji i tak dalej.

— Pan mi pochlebia, admirale, ale dlaczego zwraca się pan z tym do mnie?

— Skoro jest pan kustoszem Działu Muzycznego Muzeum imienia George'a Waszyngtona, to wybór ten wydaje się logiczny. Poza tym jeden z naszych wspólnych znajomych powiedział mi, że świat stracił drugiego Harry'ego Jamesa, kiedy pan postanowił poświęcić się pracy naukowej.

Mój Boże, prezydent, pomyślał Vogel. Punkt dla Sandeckera. Zna właściwych ludzi.

— Można by o tym dyskutować — rzekł Vogel. — Kiedy chciałby pan mieć moją opinię?

— W dogodnym dla pana terminie.

Vogel uśmiechnął się do siebie. Taka uprzejma prośba wymaga dodatkowych starań.

— Najdłużej trwa kąpiel usuwająca korozję. Przy odrobinie szczęścia powinienem mieć coś dla pana jutro rano.

— Dziękuję, panie Vogel — rzekł ucieszony Sandecker. — Jestem panu bardzo wdzięczny.

— Czy dysponuje pan jakimiś informacjami dotyczącymi miejsca i czasu znalezienia kornetu? Mogłyby mi się przydać.

— Wolałbym tego nie mówić. Moi ludzie woleliby mieć pańską opinię bez żadnych wskazówek czy sugestii z naszej strony.

— Chcecie porównać wasze ustalenia z moimi, czy o to panu chodzi?

— Chcemy, by pan potwierdził nasze nadzieje i oczekiwania, panie Vogel, nic więcej — dobitnie powiedział Sandecker.

— Zrobię, co tylko będę mógł, panie admirale. Kłaniam się.

— Powodzenia.

Przez kilka minut Vogel siedział z ręką na telefonie, gapiąc się na zawinięty w powłóczkę instrument w kącie gabinetu. Później nacisnął guzik interkomu.

— Mary, do końca dnia z nikim mnie nie łącz i wyślij kogoś po niezbyt dużą pizzę z boczkami i dwa litry burgunda „Galio”.

— Znów ma pan zamiar się zamknąć w tym starym, zatęchłym warsztacie? — zaskrzeczała Mary.

— Tak — odparł Vogel z westchnieniem. — To będzie długi dzień.

Najpierw sfotografował kornet w kilku różnych ujęciach. Potem dokładnie go zmierzył i zbadał ogólny stan widocznych części, łącznie ze zmatowieniem powierzchni i występującymi na niej zanieczyszczeniami, zapisując każdą obserwację w dużym notesie. Przyglądał się kornetowi okiem profesjonalisty z coraz większym zainteresowaniem. Był to instrument wysokiej klasy, wykonany z mosiądzu dobrej jakości. Mała średnica czary głosowej i wentyli wskazywała, że został wyprodukowany przed 1930 rokiem. To, co Vogel początkowo wziął za korozję, okazało się kruchą skorupą błota, które odpryskiwało pod lekkim naciskiem gumowej łyżki.

Następnie zanurzył instrument w roztworze środka do zmiękczenia wody, łagodnie mieszając płyn i co jakiś czas zmieniając kąpiel, by usunąć brud. Zanim minęła północ, kornet był całkowicie rozmontowany. Wtedy Vogel rozpoczął żmudne przecieranie powierzchni metalu rozcieńczonym kwasem chromowym, by przywrócić mosiądzwowi blask. Po wielokrotnym płukaniu na czarze głosowej zaczął się powoli ukazywać bogaty spiralny ornament i ozdobny napis.

— Na Boga! — wykrzyknął Vogel. — Toż to prezent.

Wziął lupę i zaczął studiować napis. Kiedy ją odkładał i sięgał po słuchawkę, trzęsły mu się ręce.

27.

Dokładnie o godzinie ósmej Johna Vogla wprowadzono do gabinetu Sandeckera na ostatniej kondygnacji dziesięciopiętrowego, pokrytego szkłem przeciwsłonecznym budynku NUMA, gdzie mieściła się centrala agencji. Vogel miał zaczerwienione oczy i nawet nie próbował ukryć ziewnięcia.

Sandecker wyszedł zza biurka i uściśnął gościowi rękę. Niski, przysadzisty admirał musiał odchylić głowę do tyłu i podnieść wzrok, by spojrzeć mu w oczy. Vogel był mężczyzną słusznego wzrostu, o dobrodusznej twarzy i łysinie okolonej puszkami potarganych siwych włosów. Patrzył brązowymi oczami niczym święty Mikołaj i uśmiechał się ciepło. Miał na sobie starannie wyprasowaną marynarkę, lecz spodnie były wygniecione i poniżej kolan pokryte tysiącami drobnych plamek. Uśmiechnął się jak pijaczyna.

— Miło mi pana poznać — przywitał go Sandecker.

— Cała przyjemność po mojej stronie, panie admirale — odparł Vogel, stawiając na dywanie czarny futerał. — Przepraszam za mój niechlujny wygląd.

— Właśnie chciałem powiedzieć, że wygląda pan, jakby miał za sobą ciężką noc.
— Skoro się lubi swoją pracę, to czas i niewygody się nie liczą.
— Istotnie — rzekł Sandecker, odwrócił się i ruchem głowy wskazał niskiego jak karzeł mężczyznę, który stał w kącie gabinetu. — Czy mogę, panie Vogel, przedstawić panu komandora Rudiego Gunna?

— Naturalnie, bardzo mi miło — powiedział Vogel z uśmiechem. — Byłem jednym z wielu milionów tych, którzy codziennie śledzili w gazetach pańską wyprawę z prądem Lorelei. Należą się panu gratulacje, komandorze. To wspaniały wyczyn.

— Dziękuję — odparł Gunn.

Sandecker wskazał drugiego mężczyznę, który siedział na kanapie.

— A to mój dyrektor do zadań specjalnych, pan Dirk Pitt. Vogel skłonił się uśmiechniętemu Pittowi.

— Miło mi, panie Pitt. Pitt wstał i się odklonił.

— Mnie również, panie Vogel.

Vogel usiadł i wyciągnął starą, obtłuczoną fajkę.

— Nie mają panowie nic przeciwko temu, że sobie zapalę?

— Ależ skądże — powiedział Sandecker i wyjął churchillowskie cygaro ze specjalnej szkatułki, utrzymującej odpowiednią wilgotność. — Ja zrobię to samo.

Vogel zapalił fajkę, wyprostował się i rzekł:

— Proszę mi powiedzieć, panie admirale, czy ten kornet został znaleziony na dnie północnego Atlantyku?

— Tak, na południe od Wielkich Ławic przy Nowej Fundlandii — odparł Sandecker i ze zdziwieniem spojrzał na Vogla. — Jak pan to odgadł?

— Prosta dedukcja.

— Co pan może nam o nim powiedzieć?

— Właściwie sporo. Zacznę od tego, że jest to wysokiej klasy instrument, wykonany dla zawodowego muzyka.

— A zatem to mało prawdopodobne, żeby należał do amatora? — spytał Gunn, pamiętając słowa Giordina wypowiedziane na pokładzie „Safony I”.

— Tak — zdecydowanie odparł Vogel. — Mało prawdopodobne.

— Czy mógłby pan określić czas i miejsce produkcji? — zapytał Pitt.

— Tysiąc dziewięćset jedenasty rok, przypuszczalnie październik lub listopad. Wykonała go bardzo znana i świetna firma angielska Boosey Hawkes.

Sandecker spojrzał na niego z szacunkiem.

— Wspaniale się pan spisał, panie Vogel. Szczerze mówiąc, mieliśmy wątpliwości, czy kiedykolwiek się dowiemy, w jakim kraju go wykonano, a tym bardziej kto był producentem.

— Zapewniam, że nie ma w tym żadnej mojej zasługi — rzekł Vogel. — Widzicie, panowie, ten kornet był prezentem.

— Prezentem?

— Tak. Każdy metalowy przedmiot, wykonany ze szczególnym mistrzostwem i przez to bardzo poszukiwany, często zaopatruje się w grawerowany napis, upamiętniający jakieś niezwykle wydarzenie lub wybitne zasługi.

— Powszechnie praktykują to producenci broni — skomentował Pitt.

— A także twórcy znakomitych instrumentów muzycznych. W tym wypadku był to prezent dla pracownika w uznaniu jego zasług. Data wręczenia, wytwórca, ofiarodawca i obdarowany... wszystko to zostało przepięknie wygrawerowane na czarze głosowej kornetu.

— Więc mógłby nam pan powiedzieć, do kogo należał? — spytał Gunn. — Czy napis jest czytelny?

— Ależ oczywiście — odparł Vogel, pochylił się i otworzył futerał. — Proszę, mogą panowie przeczytać sami.

Położył kornet na biurku Sandeckera. Przez dłuższą chwilę trzech mężczyzn w milczeniu wpatrywali się w instrument — jego błyszcząca złocista powierzchnia odbijała promienie słoneczne wpadające przez okno. Kornet wyglądał jak nowy. Każdy centymetr jego powierzchni dokładnie wypolerowano, a bogaty ornament przedstawiający fale morskie, wygrawerowany na rurze i czarze głosowej, był tak wyraźny jak w dniu, kiedy go wyryto. Sandecker spojrział nad kornetem na Vogla, z powątpiewaniem unosząc brwi.

— Panie Vogel, chyba nie dostrzega pan powagi sytuacji. Nie mam ochoty na kawały.

— Przyznaję, że nie dostrzegam powagi sytuacji — oschłym tonem rzekł Vogel. — Dostrzegam natomiast mnóstwo zbędnych emocji. Proszę mi wierzyć, admirale, to żaden kawał. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny poświęciłem prawie wyłącznie odnawianiu pańskiego znaleziska. — Rzucił na biurko pękaty skoroszyt. — Oto moja pełna dokumentacja ze zdjęciami i szczegółowym opisem wszystkich czynności. Są tam również koperty zawierające próbki usuniętych przeze mnie rozmaitych osadów i błota, a także części, które musiałem wymienić. Niczego nie przeoczyłem.

— Bardzo pana przepraszam — powiedział Sandecker. — Wydaje się jednak niepojęte, że to ten sam instrument, który panu wczoraj przekazaliśmy. — Sandecker przerwał i wymienił spojrzenia z Pittem. — Widzi pan, myśleliśmy...

— ...że kornet zbyt długo leżał na dnie morza — dokończył za niego Vogel. — Doskonale zdaję sobie sprawę, do czego pan zmierza, admirale. Przyznam, że mnie również zadziwia nadzwyczajny stan tego instrumentu. Pracowałem już nad wieloma instrumentami muzycznymi, które przeleżały w słonej wodzie zaledwie trzy do pięciu lat, a prezentowały się znacznie gorzej niż ten. Nie jestem oceanografem, trudno mi więc rozwiązać tę zagadkę. Jednakże mogę panu powiedzieć z dokładnością co do jednego dnia, jak długo ten kornet leżał w morzu i jak doszło do tego, że się tam znalazł.

Wyciągnął rękę i podniósł instrument. Potem włożył na nos okulary bez oprawy i zaczął głośno czytać.

— „Grahamowi Farleyowi wraz ze szczerymi wyrazami uznania dla jego wspaniałej gry, służącej rozrywce naszych pasażerów — wdzięczny zarząd »White Star Line«”.

Zdjął okulary i uśmiechnął się do Sandeckera.

— Kiedy odsłoniłem słowa „White Star Line”, to dziś wczesnym rankiem wyciągnąłem z łóżka jednego z moich znajomych, by rozejrzał się po archiwach morskich. Zadzwoił ledwie pół godziny przed moim wyjściem do pańskiego biura. — Vogel przerwał, wyjął chusteczkę i wytarł sobie nos. — Wygląda na to, że Graham Farley cieszył się dużą popularnością na liniach „White Star”. Przez trzy lata grał na kornecie jako solista na jednym z ich statków... chyba na „Oceanicu”. Kiedy nowy luksusowy liniowiec „White Star” miał wyruszyć w dziewiczy rejs, wówczas zarząd tego towarzystwa pozbiierał najlepszych muzyków z pozostałych swoich statków i utworzył zespół uważany w owym czasie za najlepszą orkiestrę na morzu. Grahama wybrano oczywiście jako jednego z pierwszych. Tak, panowie, ten kornet bardzo długo przeleżał na dnie Oceanu Atlantyckiego... ponieważ Graham Farley grał na nim rankiem 15 kwietnia 1912 roku, kiedy fale pochłonęły i jego, i „Titanica”.

Każdy zareagował inaczej na nieoczekiwaną relację Vogla: Sandecker zrobił minę na poły zamyśloną, na poły ponurą, Gunn patrzył twardym wzrokiem, a wyraz twarzy Pitta zdradzał jedynie zdawkowe zainteresowanie.

— „Titanic” — powtórzył Sandecker, jakby napawał się brzmieniem imienia pięknej kobiety. Rzucił Voglowi przenikliwe spojrzenie, w którym zdziwienie wciąż mieszało się z powątpiewaniem. — Niewiarygodne.

— A jednak to fakt — obojętnie stwierdził Vogel. — Komandorze Gunn, przypuszczam, że kornet znalazła „Safona I”?

— Tak, pod koniec rejsu.

— Wygląda na to, że wasza podwodna ekspedycja otrzymała premię. Szkoda, że nie natknęliście się na sam statek.

— Szkoda — odparł Gunn, unikając wzroku Vogla.

— Ciągłe nie daje mi spokoju stan tego instrumentu — odezwał się Sandecker. — Nigdy bym nie przypuszczał, że coś może przeżyć w morzu siedemdziesiąt pięć lat i nie nosić prawie żadnych śladów zniszczenia.

— Brak korozji to rzeczywiście intrygująca sprawa — odparł Vogel. — Mosiądz jest odporny, ale dziwne, że części zawierające żelazo przetrwały w zdumiewająco dobrym stanie. Ustnik, jak panowie widzą, jest prawie nietknięty.

Gunn patrzył na kornet niczym na relikwię.

— Czy można na nim grać?

— Tak — odpowiedział Vogel. — I chyba nawet bardzo pięknie.

— Próbował pan?

— Nie... nie próbowałem — rzekł Vogel, z nabożeństwem przebierając palcami po wentylach. — Dotychczas zawsze sprawdzałem każdy instrument, odnawiany przeze mnie czy moich asystentów. Tym razem jednak nie mogę.

— Nie rozumiem — powiedział Sandecker.

— Ten instrument jest związany z drobnym, lecz bohaterskim epizodem największej morskiej tragedii w historii ludzkości — odparł Vogel. — Wystarczy nieco wyobraźni, by ujrzeć Grahama Farleya i jego kolegów z orkiestry, jak muzyką uspokajają przerażonych pasażerów, nie myśląc o własnym bezpieczeństwie, kiedy statek pogrąża się w lodowatym oceanie. Ostatnią melodię na tym kornecie grał bardzo odważny człowiek. Gdyby kiedykolwiek kto inny na nim zagrał, uznałbym to niemal za świętokradztwo.

Sandecker uważnie przyjrzał się Voglowi, jakby widział go po raz pierwszy w życiu.

— „Jesień” — mruknął Vogel, jak gdyby mówił do siebie. — „Jesień”, stary hymn. To była ostatnia melodia, jaką grał Graham Farley na tym kornecie.

— A nie „Coraz bliżej Ciebie, Panie”? — z wolna spytał Gunn.

— Nic podobnego — rzekł Pitt. — Właśnie „Jesień” była ostatnią melodią, graną przez orkiestrę „Titanica” tuż przed zatonięciem.

— Chyba musiał pan dokładnie przestudiować historię „Titanica” — stwierdził Vogel.

— Ten statek i jego tragiczny los jest jak choroba zakaźna — odparł Pitt. — Kiedy już człowiek się tym zainteresuje, to trudno mu opanować tę gorączkę.

— Sam statek raczej niezbyt mnie interesuje, ale legenda orkiestry „Titanica” zawsze działała na moją wyobraźnię historyka zajmującego się muzykami i instrumentami — powiedział Vogel. Włożył kornet do futerału, zamknął go i podał przez biurko Sandeckerowi. — Jeśli nie ma pan już więcej pytań, to chciałbym teraz zjeść przyzwoite śniadanie i położyć się do łóżka. To była ciężka noc.

Sandecker wstał.

— Jesteśmy pańskimi dłużnikami, panie Vogel.

— W cichości ducha miałem nadzieję, że pan to powie. — W łagodnych oczach Vogla pojawiły się błyski przebiegłości. — Jest pewien sposób na spłacenie tego długu.

— To znaczy?

— Przekazanie kornetu w darze Muzeum Waszyngtona. Byłby głównym eksponatem w dziale muzyki.

— Przekażę go panu, jak tylko specjaliści z naszego laboratorium zbadają instrument i zapoznają się z pańską opinią.

— Dziękuję w imieniu dyrekcji muzeum.

— Jednakże nie jako dar...

— Nie rozumiem.

— Nazwijmy to stałym depozytem — powiedział Sandecker z uśmiechem. — W ten sposób oszczędzimy sobie kłopotów, gdybyśmy kiedykolwiek potrzebowali go na jakiś czas.

— Zgoda.

— I jeszcze jedno — rzekł Sandecker. — Nie zawiadamialiśmy prasy o tym znalezisku. Wolałbym, żeby na razie pan również tego nie robił.

— Nie rozumiem, czym się kierujecie, ale oczywiście zastosuję się do waszych życzeń.

Kustosz pożegnał się i wyszedł.

— Cholera! — zaklął Gunn, gdy tylko drzwi się zamknęły. — Musieliśmy minąć wrak „Titanica” o rzut kamieniem.

— Z pewnością niewiele brakowało — zgodził się Pitt. — Sonar „Safony” ma zasięg dwustu metrów, a więc „Titanic” musiał znajdować się po prostu trochę dalej.

— Gdybyśmy tylko mieli więcej czasu. Szkoda, cholera, że nie wiedzieliśmy, czego szukamy.

— Nie zapominajcie — odezwał się Sandecker — że waszym głównym celem było przetestowanie „Safony I” i zbadanie prądu Lorelei, a przy tym wykonaliście ogromną robotę. Informacje, które zebraliście o prądach głębokowodnych, dostarczą oceanografom zajęcia na najbliższe dwa lata. Żałuję tylko, że nie mogliśmy wam powiedzieć, o co nam chodziło, ale Gene Seagram i jego agenci bezpieczeństwa upierają się, żeby sprawa „Titanica” pozostawała ściśle tajna, dopóki prace nad jego wydobyciem nie będą zaawansowane.

— Zbyt długo nie uda nam się utrzymać tego w tajemnicy — rzekł Pitt. — Wkrótce wszystkie środki masowego przekazu na świecie zwręszą tę największą sensację od czasu otwarcia grobowca Tutenchamona.

Sandecker wyszedł zza biurka i stanął przy oknie. Kiedy się odezwał, mówił tak cicho, jakby jego słowa niósł wiatr z dużej odległości.

— Kornet Grahama Farleya.

— Co takiego, panie admirale?

— Kornet Grahama Farleya — powtórzył zamyślony Sandecker. — Jeśli ta stara trąbka jest jakąś wskazówką, to „Titanic” może tam leżeć w takim samym stanie jak tej nocy, kiedy zatonął.

28.

Dla postronnego obserwatora, stojącego na brzegu, czy pasażerów statku wycieczkowego, który płynął w górę rzeki Rappahannock, trzech przygarbieni mężczyźni w starej, zniszczonej łodzi wiosłowej wyglądali jak zwykli niedzielni wędkarze. Ubrani byli w spłowiałe koszule i drelichowe spodnie, na głowach mieli sportowe kapelusze, obwieszane normalnymi w tej sytuacji girlandami różnych muszek i haczyków. Scena była typowa aż po siatkę na ryby z sześcioma piwami, kołyszącymi się na wodzie przy burcie.

Najniższy z całej trójki, rudowłosa mężczyzna o szczupłej twarzy, siedział na rufie i wydawał się drzemać, niedbale trzymając wędkę. Obok, niecały metr od wodnicy łodzi, kiwał się biało-czerwony spławik. Drugi wędkarz po prostu czytał jakiś magazyn, trzeci zaś co jakiś czas machinalnie rzucał srebrną błysk. Był gruby i miał wydatny brzuch, który wystawał z rozpiętej koszuli. Z jego jowialnej, okrągłej twarzy leniwie patrzyły niebieskie oczy. Sprawiał wrażenie dobrodusznego dziadka.

Admirał Joseph Kemper mógł sobie pozwolić na dobroduszny wygląd. Kiedy ktoś dysponuje tak niewiarygodną władzą, nie musi rzucać hipnotycznych spojrzeń ani ziać ogniem jak smok. Z uśmiechem popatrzył na drzemiącego rudzielca.

— Wiesz, Jim, uderza mnie w tobie brak zrozumienia dla ducha wędkarstwa.

— To chyba najbardziej bezcelowe zajęcie, jakie człowiek kiedykolwiek wymyślił — odparł Sandecker.

— A pan, panie Seagram? Prawie nie zamoczył pan wędki od chwili, gdy rzuciliśmy kotwicę.

Seagram spojrział na Kempera znad magazynu.

— Jeżeli w tej zanieczyszczonej wodzie przeżyła jakaś ryba, to musi wyglądać jak mutant z taniego dreszczowca i jeszcze gorzej smakować.

— Ponieważ to właśnie panowie mnie tutaj zaprosili, zaczynam podejrzewać jakieś szachrajstwo — rzekł Kemper.

— Spokojnie, Joe, ciesz się, że oddychasz tym wspaniałym powietrzem — odparł Sandecker. — Na parę godzin zapomnij, że jesteś szefem sztabu marynarki wojennej.

— Przy tobie nietrudno. Jesteś jedyną znaną mi osobą, która traktuje mnie z góry.

Sandecker uśmiechnął się szeroko.

— Nie możesz być całe życie lizany przez wszystkich w tyłek. Uważaj mnie po prostu za dobre lekarstwo. Kemper westchnął.

— Kiedy przeszedłeś do rezerwy, miałem nadzieję, że pozbyłem się ciebie na dobre.

— Zdaję sobie sprawę, że po korytarzach Pentagonu tańczono z radości, kiedy odszedłem.

— Powiedzmy raczej, że nikt nie wylewał łez z powodu twojego odejścia. — Kemper powoli kręcił kołowrotkiem, nawijając żyłkę z błyską. — Dobra, Jim, zbyt długo cię znam, żebym nie wyczuł w tym jakiejś gry. O co wam chodzi, panowie?

— Szukamy „Titanica” — obojętnie odparł Sandecker. Kemper w dalszym ciągu kręcił kołowrotkiem.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Kemper znów rzucił błyską.

— Po co? Żeby zrobić parę zdjęć reklamowych?

— Nie, żeby wydobyć go na powierzchnię. Kemper przestał nawijać żyłkę. Odwrócił się i popatrzył na Sandeckera.

— „Titanica”?

— Tak.

— Jim, chłopie, tym razem naprawdę zerwałeś się z cum. Chcesz, żebym uwierzył...

— To nie bajka — przerwał mu Seagram. — Polecenie wydobycia wraku wydał bezpośrednio Biały Dom.

Kemper badawczo spojrział na Seagrama.

— A więc mam uważać, że reprezentujecie prezydenta?

— Tak, panie admirale. Zgadza się.

— Muszę stwierdzić, że ma pan dość dziwny sposób załatwiania spraw, panie Seagram. Czy nie zechciałby pan wyświadczyć mi tej grzeczności i wyjaśnić...

— Właśnie po to tu jesteśmy, panie admirale, żeby wszystko wyjaśnić.

— Jim, ty też uczestniczysz w tej grze? — spytał Kemper Sandeckera.

Sandecker skinął głową.

— Tak, ale pan Seagram tym kieruje i trzyma wszystko w tajemnicy.

— Dobra, Seagram, wchodź pan na mównicę. Po co ten cały cyrk i dlaczego tak nagle chcecie wydobyć ten stary wrak?

— Po kolei, panie admirale. Zacznę od tego, że jestem szefem ściśle tajnej komórki rządowej, która nazywa się Sekcja Meta.

— Nigdy o niej nie słyszałem — rzekł Kemper.

— Nie figurujemy w żadnych wykazach urzędów federalnych. O naszej działalności nie ma nic nawet w aktach CIA, FBI ani Państwowego Zarządu Transportu Morskiego.

— Tajny trust mózgow — wtrącił Sandecker.

— Jesteśmy czymś więcej niż zwykłym trustem mózgow — powiedział Seagram. — Nasi ludzie przygotowują koncepcje futurystyczne, a następnie próbują je realizować.

— To musi kosztować miliony dolarów — stwierdził Kemper.

— Skromność nie pozwala mi wymienić dokładnej wysokości naszego budżetu, panie admirale, muszę jednak przyznać, że mamy do dyspozycji sumę nieco większą od jedyńki z dziewięcioma zerami.

— Mój Boże! — odezwał się Kemper półgłosem. — Powiada pan ponad miliard dolarów do dyspozycji komórki, o której istnieniu nikt nic nie wie? Zaczyna mnie to interesować, panie Seagram.

— Mnie również — kwaśno stwierdził Sandecker. — Dotychczas szukał pan pomocy NUMA za pośrednictwem Białego Domu, próbując sprawiać wrażenie, że jest pan asystentem prezydenta. Po co te makiawelskie wybiegi?

— Dla bezpieczeństwa. Na wyraźne życzenie prezydenta, panie admirale, na wypadek przecieków na Kapitol. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnie jego administracja, byłoby polowanie na czarownice w Kongresie z powodu finansów Sekcji Meta.

Kemper i Sandecker spojrzeli na siebie i pokiwali głowami, a potem przenieśli wzrok na Seagrama w oczekiwaniu dalszego ciągu.

— Otóż Sekcja Meta opracowała system obrony pod kryptonimem „Plan Sycylijski”...

— „Plan Sycylijski”?

— Kryptonim ten wywodzi się od nazwy pewnej strategii szachowej, znanej jako obrona sycylijska. Przy opracowywaniu tego planu oparto się na wariacie zasady masera. Na przykład, jeśli przepuścić fale dźwiękowe o pewnej częstotliwości przez jakiś ośrodek zawierający pobudzone atomy, to wówczas można osiągnąć niezwykle wysoką emisję tego dźwięku.

— Podobnie jak z promieniem lasera — skomentował Kemper.

— Do pewnego stopnia — odparł Seagram. — Z tym że laser emituje bardzo wąski strumień światła, nasze urządzenie natomiast szerokie pole fal dźwiękowych w kształcie wachlarza.

— Poza rozrywaniem bębenków, do czego to służy? — spytał Sandecker.

— Jak pan zapewne pamięta ze szkoły podstawowej, panie admirale, fale dźwiękowe rozchodzą się kuliście, bardzo podobnie do fal, które powstają na stawie, gdy wrzuca się do wody kamyk. My możemy wzmocnić fale dźwiękowe ponad milion razy. Kiedy wyzwoli się tę straszliwą energię, wówczas rozchodzi się ona w atmosferze, popychając przed sobą cząsteczki powietrza z niepowstrzymaną siłą i zbijając je w litą ścianę nie do przebicia o powierzchni setek kilometrów kwadratowych. — Seagram przerwał, żeby podrapać się w nos. — Nie będę zanudzał panów równaniami ani szczegółami technicznymi oprzyrządowania, gdyż są zbyt skomplikowane, żeby je tutaj omawiać, ale sami panowie widzą, jakie możliwości otwiera nasz plan. Każda nieprzyjacielska rakietka, wystrzelona w kierunku Ameryki, w zetknięciu z tą niewidzialną barierą ochronną natychmiast przestanie istnieć na długo przed osiągnięciem celu.

— A... czy ten plan jest realny? — zapytał Kemper z wahaniem.

— Tak, panie admirale. Zapewniam pana, że to da się zrealizować. Nawet już w tej chwili buduje się pewną liczbę instalacji, które pozwolą zatrzymać zmasowany atak rakietowy.

— Chryste! — wykrzyknął Sandecker. — Broń ostateczna?!

— „Plan Sycylijski” nie jest bronią. To czysto naukowa metoda zabezpieczania naszego państwa.

— Aż trudno to sobie uzmysłowić — rzekł Kemper.

— Wystarczy, że pan sobie wyobrazi grzmot, jaki powstaje, gdy odrzutowiec przekracza szybkość dźwięku, wzmocniony dziesięć milionów razy.

Kemper sprawiał wrażenie oszołomionego.

— Lecz ten grzmot... czy on nie doprowadzi do totalnych zniszczeń na Ziemi?

— Nie. Energia jest kierowana w przestrzeń i dla osoby znajdującej się na poziomie morza będzie tak samo nieszkodliwy jak zwykły odległy grzmot.

— Ale co to wszystko ma wspólnego z „Titanikiem”?

— Pierwiastek, który jest niezbędny do uzyskania optymalnego poziomu emisji dźwięku, to bizanium, i właśnie tu leży pies pogrzebany, panowie, ponieważ jedyne na świecie znane zasoby rudy bizanium wysłano do Stanów Zjednoczonych w roku 1912 na pokładzie „Titanica”.

— Rozumiem — powiedział Kemper, kiwając głową. — A więc brak bizanium jest ostatnią przeszkodą na drodze do uruchomienia waszego systemu obrony?

— Jego funkcjonowanie umożliwia jedynie budowa atomowa tego właśnie pierwiastka. Wprowadziliśmy wszystkie znane właściwości bizanium do komputera, który obliczył, że nasze szansę mają się jak trzydzieści dwa tysiące do jednej.

— Ale po co wydobywać cały statek? — spytał Kemper. — Dlaczego po prostu nie rozwalić grodzi i nie wydobyć samego bizanium?

— Drogę do ładowni musielibyśmy torować sobie ładunkami wybuchowymi. To stwarzałoby zbyt wielkie niebezpieczeństwo utracenia rudy na zawsze. Prezydent i ja uważamy, że dodatkowy koszt, wynikający z podniesienia kadłuba, to nic w porównaniu z ryzykiem jej utracenia.

Kemper ponownie rzucił błysk.

— Przyznaję, brzmi to rozsądnie, panie Seagram, ale skąd pan wie, czy „Titanic” znajduje się w stanie, który pozwala na wydobycie go w całości? Po siedemdziesięciu pięciu latach na dnie może być przecież kupą przerdzewiałego żelastwa.

— Moi ludzie mają własną teorię na ten temat — odezwał się Sandecker. Odłożył wędkę, wziął kasetę z przyborami i wyjął z niej jakąś kopertę. — Obejrzyj je sobie.

Podał Kemperowi kilka zdjęć formatu pocztówkowego.

— Wygląda to na jakieś podwodne śmietnisko — stwierdził Kemper.

— Właśnie — potwierdził Sandecker. — Co jakiś czas kamery naszego batyskafu trafiają na przedmioty wyrzucone za burtę z przepływających statków. — Ręką wskazał pierwsze zdjęcie. — To piecyk z galery, znaleziony na głębokości tysiąca trzystu metrów w okolicach Bermudów. Następnie blok silnika samochodowego, sfotografowany na dwóch kilometrach koło Aleutów. Ani jednego, ani drugiego nie sposób datować. A tu samolot z drugiej wojny światowej, grunman F4F, odkryty na trzech kilometrach w pobliżu Islandii. Dokopaliśmy się do jego historii. Spadł do morza siedemnastego marca tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku z powodu braku paliwa. Pilot wyszedł z tego bez szwanku.

Kemper oglądał kolejną fotografię w ręce wyciągniętej na całą długość.

— A cóż to jest, u diabła?

— To sfotografowano tuż po wykryciu przez „Safonę I”, w czasie spływu z prądem Lorelei. Początkowo wyglądało na zwykły kuchenny lejek, a okazało się trąbką.

Sandecker pokazał Kemperowi zdjęcie wykonane przez Vogla po odnowieniu instrumentu.

— To kornet — poprawił go Kemper. — Twierdzisz, że wydobyty przez „Safonę”?

— Tak. Z głębokości czterech kilometrów. Leżał na dnie od tysiąc dziewięćset dwunastego roku. Kemper uniósł brwi.

— Chcesz mi wmówić, że on jest z „Titanica”?

— Mogę ci pokazać niezbite dowody.

Kemper westchnął i oddał zdjęcie Sandeckerowi. Zwiesił ramiona w geście zmęczenia jak człowiek, który już nie jest młody i czuje, że o wiele za długo dźwigał ogromny ciężar. Z siatki na ryby wyciągnął puszkę piwa. Strzeliła podczas otwierania.

— Czego te zdjęcia dowodzą? — spytał. Sandecker uśmiechnął się nieznacznie.

— Zdjęcie samolotu mieliśmy przed nosem od dwóch lat... Widzisz, jak dawno temu został znaleziony... Zupełnie jednak przeoczyliśmy to, co ono sugeruje. No pewnie, że padały uwagi o doskonałym stanie samolotu, lecz żaden z moich oceanografów zupełnie nie zorientował się, jakie to ma znaczenie. Dopiero wówczas, gdy „Safona I” wydobyla tę trąbkę, wszystko do nas dotarło.

— Nie rozumiem — powiedział Kemper bezbarwnym głosem.

— Po pierwsze — ciągnął Sandecker — samolot F4F w dziewięćdziesięciu procentach zbudowany jest z aluminium, na które słona woda, jak ci wiadomo, działa piekielnie żrąco. Jednakże ten samolot, choć przeleżał w morzu ponad czterdzieści lat, wygląda jak w dniu, w którym opuścił fabrykę. To samo z tą trąbką. Przebywała pod wodą prawie osiemdziesiąt lat, a świeci jak lustro.

— Czym to wytłumaczyć? — zapytał Kemper.

— W tej chwili dwóch najlepszych oceanografów NUMA przepuszcza dane przez komputery. Według wstępnej hipotezy jest to wynik połączenia różnych czynników: braku szkodliwego wpływu organizmów morskich na tak dużych głębokościach, niskiego zasolenia, czyli niskiej zawartości soli w wodzie przydennej, oraz zmniejszonej zawartości tlenu, co ogranicza utlenianie się metali. Albo jeden z tych czynników, albo wszystkie razem opóźniają pogarszanie się stanu wraków leżących na dużych głębokościach. Więcej się dowiemy, kiedy obejrzymy sobie „Titanica”, jeżeli uda nam się go znaleźć.

Kemper przez chwilę się zastanawiał.

— No dobrze, a czego chcecie ode mnie?

— Ochrony — odparł Seagram. — Jeśli Sowietci zważą, o co nam chodzi, to zdecydują się na wszystko, oczywiście oprócz wojny, by nas powstrzymać i zgarnąć bizaniam dla siebie.

— O to może pan być spokojny — rzekł Kemper, którego głos nagle stwardniał. — Rosjanie dobrze się zastanowią, nim rozkrwawią sobie nosy po naszej stronie Atlantyku. Zapewnimy bezpieczeństwo pracom związanym z wydobyciem „Titanica”, panie Seagram. Gwarantuję to panu.

Sandecker lekko się uśmiechnął.

— Skoro już jesteś taki wspaniałomyślny, to co byś powiedział o wypożyczeniu „Modoca”?

— „Modoca”? — powtórzył Kemper. — To najlepszy statek ratowniczy, jakim dysponuje Marynarka Wojenna do operacji na dużych głębokościach.

— Moglibyśmy wykorzystać go wraz z załogą — naciskał Sandecker.

Kemper przetoczył sobie chłodną puszkę po spoconym czole.

— Dobra. Macie „Modoca” z załogą, a poza tym dostaniecie tyle ludzi i sprzętu, ile będziecie potrzebowali. Seagram westchnął z ulgą.

— Dziękujemy, panie admirale. Jesteśmy bardzo wdzięczni.

— To interesujące przedsięwzięcie, ale najeżone trudnościami — stwierdził Kemper.

— Nic nie przychodzi łatwo — powiedział Seagram.

— Jaki będzie wasz następny krok? Na to pytanie odpowiedział Sandecker:

— Spuścimy na dno kamery telewizyjne, by zlokalizować wrak i zorientować się w uszkodzeniach.

— Tylko Bóg jeden wie, co znajdziecie... — Kemper nagle urwał i pokazał ręką podskakujący na wodzie sęp Sandeckera. — O rany, Jim, chyba złapałeś rybę!

Sandecker leniwie wychylił się za burtę.

— Istotnie — powiedział z uśmiechem. — Miejmy nadzieję, że z „Titanikiem” tak samo nam się poszczęści.

— Obawiam się, że ta nadzieja może się okazać kosztownym bodźcem — rzekł Kemper z poważną miną.

Pitt zamknął dziennik Joshui Haysa Brewstera i spojrzał przez stół konferencyjny na Mela Donnera.

— A więc to tak.

— To wszystko prawda i tylko prawda — stwierdził Donner.

— Ale jest pan pewien, że bizanium, czy jak to się tam zwie, nie straciło swoich właściwości, przebywając w morzu tyle lat? Donner pokręcił głową.

— Któż to może wiedzieć? Nikt jeszcze nie miał wystarczającej ilości tego pierwiastka, by móc z całą pewnością określić, jak reaguje w różnych warunkach.

— A zatem może okazać się do niczego.

— Nie, jeśli jest zamknięty w skarbcu „Titanica”. Ten skarbiec jest wodoszczelny.

Pitt oparł się wygodnie i spojrzał na dziennik.

— To piekielne ryzyko.

— Zdajemy sobie z tego sprawę.

— To tak, jakby dzieci chciały wydobyć czołg z dna jeziora Erie za pomocą paru lin i tratwy.

— Zdajemy sobie z tego sprawę — powtórzył Donner.

— Same koszty podniesienia „Titanica” są niewyobrażalne.

— Proszę je określić. — w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku CIA zapłaciła ponad trzysta milionów dolarów za podniesienie jedynie dziobu rosyjskiej łodzi podwodnej. Nie jestem w stanie określić, ile może kosztować wydobywanie pasażerskiego liniowca o wyporności czterdziestu sześciu tysięcy ton z głębokości czterech kilometrów.

— Więc niech pan zgaduje.

— Kto płaci za tę operację?

— Finansami zajmuje się Sekcja Meta — rzekł Donner. — Proszę mnie traktować jak swojego bankiera. Pan mi powie, ile trzeba na rozpoczęcie prac wydobywczych, a ja już zadbam o to, żeby odpowiednie fundusze na ten cel znalazły się w rocznym budżecie przeznaczonym na działalność NUMA.

— Na początek powinno wystarczyć jakieś dwieście pięćdziesiąt milionów.

— To trochę mniej, niż wynika z naszych szacunków — zauważył Donner. — Proponuję, żeby pan się nie ograniczał. Po prostu, tak na wszelki wypadek, dołożę panu jeszcze pięćset.

— Tysięcy?

— Nie — odpowiedział Donner z uśmiechem. — Milionów.

Kiedy strażnik otworzył bramę, Pitt wyjechał, zatrzymał samochód na skraju drogi i spojrzał na siatkę okalającą Spółkę Transportowo-Magazynową Smitha.

— Nie do wiary — powiedział do siebie. — W ogóle nie chce się wierzyć.

Następnie powoli i z dużym trudem, jakby starał się przeciwstawić rozkazom hipnotyzera, przesunął dźwignię biegów do przodu i ruszył w powrotną drogę do miasta.

29.

Był to dzień szczególnie uciążliwy dla prezydenta. Najpierw te nie kończące się spotkania z kongresmanami opozycyjnych partii, kiedy usiłował ich przekonać, w większości wypadków na próżno, by poparli jego nową ustawę o zmianie przepisów w sprawie podatku dochodowego. Później przemówienie na zjeździe niemal wrogo do niego nastawionych gubernatorów stanów, a potem ta burzliwa rozmowa z agresywnym i aroganckim sekretarzem stanu.

Teraz, tuż po dziesiątej, załatwiał kolejną nieprzyjemną sprawę. Siedział w miękkim fotelu, w prawej ręce trzymając drinka, lewą zaś drapiąc po długich uszach swojego basseta o smutnych oczach.

Warren Nicholson, dyrektor CIA, oraz Marshall Collins, jego główny doradca do spraw zagrożeń ze strony Kremla, siedzieli naprzeciwko prezydenta na dużej rozkładanej kanapie.

Prezydent pociągnął niewielki łyk ze szklanki, a potem obrzucił obu mężczyzn surowym spojrzeniem.

— Czy któryś z panów zdaje sobie sprawę, o co mnie prosicie? Collins nerwowo wzruszył ramionami.

— Tak całkiem szczerze, panie prezydencie, to nie, ale jasne jest, że w tym wypadku cel uświęca środki. Osobiście uważam, że obecny tu pan Nicholson ma najbardziej szatański pomysł pod słońcem. Jego realizacja przyniesie nam zdumiewające korzyści.

— Ale za ogromną cenę — rzekł prezydent. Nicholson pochylił się do przodu.

— Proszę mi wierzyć, panie prezydencie, że to się opłaci.

— Łatwo panu powiedzieć. Żaden z was nie ma zielonego pojęcia, czym jest „Plan Sycylijski”. Collins pokiwał głową.

— Oczywiście, że nie, panie prezydencie. Jego tajemnica jest dobrze strzeżona. Dlatego był to dla nas szok, kiedy dowiedzieliśmy się o jego istnieniu za pośrednictwem KGB, a nie od naszych służb bezpieczeństwa.

— Jak panowie sądzą, co Rosjanie mogą wiedzieć?

— Trudno to określić z całkowitą pewnością — odparł Nicholson — ale z tych kilku informacji, jakie do nas dotarły, wynika, że KGB zna jedynie kryptonim planu.

— Niech to szlag trafi! — ze złością mruknął prezydent. — Jak mogło dojść do tego przecieku?

— Zaryzykowałbym twierdzenie, że to przeciek przypadkowy — powiedział Collins. — Moi ludzie w Moskwie natychmiast by się zorientowali, gdyby sowiecki wywiad rozpracowywał jakiś supertajny amerykański plan obrony.

Prezydent spojrział na Collinsa.

— A skąd ta pewność, że plan dotyczy obrony?

— Skoro przedsięwzięto takie środki bezpieczeństwa, jak pan sugeruje, to wydaje się oczywiste, że chodzi o nową broń. Nie mam wątpliwości, że wkrótce również Rosjanie dojdą do tego samego wniosku.

— Muszę się zgodzić z rozumowaniem Collinsa — odezwał się Nicholson.

— Ale to daje nam przewagę.

— Kontynuujcie.

— Zaczniemy przekazywać sowieckiemu wywiadowi marynarki wojennej informacje o „Planie Sycylijskim” w niewielkich dawkach. Jeżeli złapią przynętę... — Nicholson wykonał dłońmi gest przypominający zamykanie pułapki — ...to wówczas dosłownie będziemy mieli w rękach jedną z najważniejszych sowieckich służb, zbierających informacje.

Basset prezydenta ułożył się na podłodze i spokojnie drzemał, znudzony rozmową prowadzoną przez ludzi. Prezydent przez kilka chwil w zamyśleniu patrzył na zwierzę zastanawiając się, co czynić. Decyzja była bardzo trudna. Miał wrażenie, że wbija nóż w plecy wszystkim swoim przyjaciółom z Sekcji Meta.

— Poproszę osobę, która kieruje planem, żeby przygotowała wstępne sprawozdanie — odezwał się w końcu. — Pan, Nicholson, powie mi, gdzie i w jaki sposób chcecie dostarczyć je Rosjanom, żeby niczego nie podejrzewali. Jeśli chodzi o jakiegokolwiek dalsze informacje na temat „Planu Sycylijskiego”, to będzie się pan kontaktował tylko i wyłącznie ze mną. Jasne?

Nicholson skinął głową.

— Sam załatwię kontakt z Rosjanami. Prezydent jakby zapadł się w sobie.

— Chyba nie muszę panom uświadamiać przykrego faktu — powiedział zmęczonym głosem — że jeśli sprawa się wyda, to zostaniemy uznani za zdrajców.

30.

Sandecker pochylił się nad dużą plastyczną mapą dna północnego Atlantyku, bawiąc się trzymaną w rękę pałeczką do pokazywania szczegółów. Spojrzał na Gunna, a potem na Pitta, którzy stali po drugiej stronie zminiaturyzowanego krajobrazu dna morza.

— Nie mogę tego zrozumieć — rzekł po chwili milczenia. — Jeśli ta trąbka ma być jakąś wskazówką, to „Titanic” nie leży tam, gdzie należało się spodziewać.

Gunn wziął pisak z filcową końcówką i zrobił niewielki znaczek na mapie.

— Według pozycji przesłanej tuż przed zatonięciem statek znajdował się tutaj, na 41°46'N — 50°14'W.

— A gdzie znaleźliście tę trąbkę? Gunn postawił drugi znaczek.

— Kiedy wykryliśmy kornet Farleya, statek baza „Safony I” znajdował się na powierzchni dokładnie w tym miejscu, w odległości około sześciu mil na południowy wschód.

— W odległości sześciu mil? Jak to możliwe?

— Jest pewna niezgodność w materiałach dowodowych, jeśli chodzi o pozycję „Titanica” w chwili zatonięcia — rzekł Pitt. — Według relacji kapitana „Mount Tempie”, jednego ze statków śpieszących na ratunek, liniowiec znajdował się dalej na wschód, a on brał namiar ze Słońca, co jest znacznie dokładniejsze od pozycji zliczonej, którą ustalił czwarty oficer „Titanica” zaraz po zderzeniu z górą lodową.

— Ale statek, który zabrał rozbitków, zdaje mi się, że to była „Carpathia” — powiedział Sandecker — płynął kursem na pozycję podaną przez radiooperatora „Titanica” i po czterech godzinach wszedł w bezpośredni kontakt z łodziami ratunkowymi.

— Jest jednak pewna wątpliwość, czy „Carpathia” rzeczywiście płynęła tak długo, jak sądził jej kapitan — odparł Pitt. — Jeżeli się pomylił, to łodzie mogły być dostrzeżone o kilka mil na południowy wschód od pozycji podanej przez radio „Titanica”.

Sandecker leniwie postukiwał pałeczką w barierkę wokół makiety.

— No więc mamy dylemat, panowie. Czy powinniśmy skoncentrować poszukiwania dokładnie na 41°64'N — 50° 14'W, czy też sześć mil dalej na południowy wschód od miejsca znalezienia trąbki Farleya? Jeśli przegramy, to tylko Bóg jeden wie, ile hektarów dna Oceanu Atlantyckiego będziemy musieli przeorać kamerami telewizyjnymi, zanim odnajdziemy ten wrak. Co ty na to, Rudi?

Gunn odpowiedział bez wahania:

— Skoro „Safona I” nie odnalazła „Titanica” w sąsiedztwie podanej pozycji, to uważam, że powinniśmy opuścić kamery w pobliżu miejsca znalezienia kornetu Farleya.

— A co ty sądzisz, Dirk?

Pitt milczał przez kilka chwil. Wreszcie się odezwał:

— Ja głosuję za odłożeniem tego na czterdzieści osiem godzin. Sandecker niepewnie spojrzał na niego zza makiety.

— Nie możemy sobie pozwolić na zmarnowanie nawet jednej godziny, a ty mówisz o czterdziestu ośmiu. Pitt podniósł na niego wzrok.

— Proponuję więc, żebyśmy dali sobie spokój z kamerami telewizyjnymi i od razu zrobili następny krok.

— To znaczy?

— Poślijmy batyskaf z załogą. Sandecker pokręcił głową.

— Nie ma sensu. Kamera telewizyjna, kierowana ze statku na powierzchni, może spenetrować obszar pięciokrotnie większy niż wolno poruszający się batyskaf, i to w czasie o połowę krótszym.

— Nie, jeżeli zawczasu jak najdokładniej ustalimy położenie wraku.

Twarz Sandeckera pociemniała.

— A jak ty sobie wyobrażasz dokonanie takiego cudu?

— Pozbieramy wszystkie dostępne informacje na temat ostatnich godzin „Titanica”: prędkość statku, sprzeczne dane dotyczące jego pozycji, prądy morskie, ką, pod jakim zatonął, miejsce znalezienia kornetu... dosłownie wszystko, i rzucimy na komputery. Przy odrobinie szczęścia otrzymane wyniki zaprowadzą nas wprost do wraku.

— To logiczne — przyznał Gunn.

— A tymczasem stracimy dwa dni — powiedział Sandecker.

— Nic nie stracimy, admirale. Zyskamy — z przekonaniem stwierdził Pitt. — Admirał Kemper wypożyczył nam „Modoca”, który teraz stoi na cumach w Norfolk, wyekwipowany i gotowy do wypłynięcia.

— Oczywiście ze „Ślimakiem Morskim”! — wypalił Gunn.

— Właśnie — rzekł Pitt. — „Ślimak Morski” jest najnowszym batyskafem marynarki wojennej, przeznaczonym specjalnie do podwodnych operacji ratunkowych, i w tej chwili czeka na pokładzie rufowym „Modoca”. W ciągu dwóch dni Rudi i ja doprowadzimy statek z batyskafem do rejonu przypuszczalnego położenia wraku i będziemy gotowi do rozpoczęcia poszukiwań.

Sandecker podrapał się palczką w brodę.

— A ja, kiedy komputery odwalą swoją robotę, przekażę wam skorygowaną pozycję wraku. Czy o to chodzi?

— Tak jest. O to chodzi.

Sandecker odszedł od makiety i usiadł w fotelu. Potem spojrzął na zdeterminowane twarze Pitta i Gunna.

— Dobra, panowie, róbcie po swojemu.

31.

Mel Donner oparł się o dzwonek u drzwi domu Seagrama przy Chevy Chase, tłumiąc ziewnięcie.

Seagram otworzył drzwi i wyszedł na frontowy ganek. Skinęli sobie głowami bez zwykłych porannych żartów i podeszli do krawężnika, gdzie stał samochód Donnera.

Seagram wsiadł i zaczął tępyim wzrokiem spoglądać w boczne okno. Miał podkrążone oczy. Donner wrzucił bieg.

— Wyglądasz jak Frankenstein przed ożywieniem — odezwał się Donner. — Pracowałeś do późnej nocy?

— Właściwie to wróciłem do domu dosyć wcześniej — odparł Seagram. — Gruby błąd. Powinienem być dłużej zostać w pracy, a tak mieliśmy z Daną więcej czasu na kłótnie. Ostatnio jest dla mnie cholernie miła, do tego stopnia, że chce mi się łązić po ścianach. W końcu miałem tego dość i zamknąłem się w gabinecie. Zasnąłem przy biurku. Cały jestem połamany.

— Dziękuję ci — powiedział Donner z uśmiechem. Seagram odwrócił się zdziwiony.

— Za co mi dziękujesz?

— Za utwierdzenie w przekonaniu, że lepiej pozostać kawalerem. Podczas jazdy w godzinach szczytu zatłoczonymi ulicami Waszyngtonu obaj milczeli.

— Gene — wreszcie odezwał się Donner. — Wiem, że jesteś drażliwy na tym punkcie i jeśli chcesz, to powiedz mi, żebym się odpieprzył, ale wyglądasz mi na faceta, który męczy się na własne życzenie.

Seagram nie odpowiedział, więc Donner kuł żelazo, póki gorące: .

— Dlaczego nie weźmiesz sobie z tydzień lub dwa urlopu i nie zabierzesz Dany na jakąś spokojną słoneczną plażę? Wyjechałbyś z Waszyngtonu na jakiś czas. Budowa instalacji obronnych posuwa się naprzód bez kłopotów, a w sprawie bizanium już nic więcej nie możemy zrobić ponad to, że usiądziemy i będziemy się modlić, by chłopcy Sandeckera uratowali je z „Titanica”.

— Jestem teraz potrzebny bardziej niż kiedykolwiek — stanowczo odparł Seagram.

— Tylko wmawiasz sobie, że jesteś taki ważny. W tej chwili nie mamy żadnego wpływu na rozwój wydarzeń. Seagram uśmiechnął się ponuro.

— Jesteś bliższy prawdy, niż ci się wydaje. Donner spojrzał na niego.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nie mamy żadnego wpływu — powtórzył Seagram apatycznie. — Prezydent kazał mi załatwić dla Rosjan przeciek informacji o „Planie Sycylijskim”.

Donner zatrzymał samochód przy krawężniku i z osłupiałą miną popatrzył na Seagrama.

— Warren Nicholson z CIA przekonał prezydenta, że może sterować działalnością najważniejszych służb wywiadowczych Rosjan, przekazując im fragmenty tajnych danych o planie.

— Nie wierzę w ani jedno słowo — rzekł Donner.

— To niczego nie zmienia, czy wierzysz, czy nie — opryskliwie stwierdził Seagram.

— Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, co Rosjanom przyjdzie z niewielkich fragmentów? Bez naszych równań i obliczeń musieliby pracować co najmniej dwa lata, żeby móc przystąpić do realizacji tego systemu. A bez bizanium cała ta koncepcja jest nic niewarta.

— Gdyby pierwsi położyli łapę na bizanium, mogliby zbudować skuteczny system w ciągu trzydziestu miesięcy.

— Wykluczone. Admirał Kemper nigdy by do tego nie dopuścił. Na pewno zmusiłby Rosjan do pośpiesznego odwrotu, gdyby spróbowali porwać „Titanica”.

— A przypuścimy — mruknął Seagram — tylko przypuścimy, że Kemperowi kazano się wycofać i nie reagować?

Donner pochylił się nad kierownicą. Z niedowierzaniem przecierał dłonią czoło.

— Chcesz, bym uwierzył, że prezydent Stanów Zjednoczonych pracuje dla komunistów?

— Jak mogę chcieć, żebyś w cokolwiek uwierzył, kiedy ja sam nie wiem, w co mam wierzyć? — powiedział Seagram, w geście zmęczenia wzduszając ramionami.

32.

Paweł Marganin, któremu wysoki wzrost i biały mundur oficera marynarki wojennej nadawały władczy wygląd, głęboko wciągnął do płuc wieczorne powietrze i wszedł do bogato zdobionego hallu restauracji „Borodino”. Podał swoje nazwisko kierownikowi sali, który zaprowadził go do stolika zajmowanego zwykle przez Prewłowa. Kapitan już tam siedział, przeglądając gruby plik dokumentów w tekturowej teczce. Na chwilę podniósł wzrok, rzucił Marganinowi znudzone spojrzenie i powrócił do lektury zawartości teczki.

— Czy pozwolicie usiąść, towarzyszu kapitanie?

— Chyba że chcecie wziąć ścierkę i posprzątać naczynia ze stolika — odpowiedział Prewłow, nie przerywając czytania. — Oczywiście, siadajcie.

Marganin zamówił wódkę i czekał, aż Prewłow się odezwie. Minęły prawie trzy minuty, zanim kapitan wreszcie odłożył teczkę i zapalił papierosa.

— Powiedzcie mi, poruczniku, czy śledziliście tę wyprawę z prądem Lorelei?

— Szczegółowo nie. Po prostu przejrzałem sobie raport na jej temat przed przekazaniem go wam.

— Szkoda — rzekł Prewłow wyniosłym tonem. — Tylko pomyślcie, poruczniku, batyskaf, który może przepłynąć tysiąc pięćset mil nad dnem oceanu, w ciągu prawie dwóch miesięcy ani razu nie wynurzając się na powierzchnię. Radzieccy uczeni byłiby szczęśliwi, gdyby udało im się osiągnąć choć połowę tego.

— Szczerze mówiąc, towarzyszu kapitanie, uważam ten raport za nudnawy.

— Nudnawy? Też coś! Gdybyście dokładnie go przestudiowali w czasie jednego z tych rzadkich momentów, kiedy sumiennie i z poświęceniem traktujecie swoją pracę, to być może zauważylibyście, że w ostatnich dniach wyprawy doszło do dziwnego zejścia z kursu.

— Mnie nie udało się dopatrzeć ukrytego znaczenia w zwykłej zmianie kursu.

— Dobry pracownik wywiadu zawsze szuka ukrytego znaczenia we wszystkim, Marganin.

Zganiiony porucznik niespokojnie zerknął na zegarek i spojrzął w stronę męskiej toalety.

— Uważam, że powinniśmy to sprawdzić, czymkolwiek Amerykanie są tak zainteresowani w pobliżu Wielkiej Ławicy koło Nowej Fundlandii — ciągnął Prewłow. — Ze względu na tę sprawę z Nową Ziemią chcę, żeby dobrze się przyjrzano każdej operacji przeprowadzonej przez Narodową Agencję Badań Morskich i Podwodnych, zaczynając od minionego półrocza. Moja intuicja mi podpowiada, że Amerykanom chodzi o coś, co może oznaczać kłopoty dla naszej ojczyzny. — Prewłow skinął na przechodzącego kelnera i wskazał swój pusty kieliszek. Odchylił się do tyłu i westchnął. — Wszystko zawsze wygląda inaczej, niż się wydaje, prawda? Nasza robota jest niezwykła i trudna, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że każdy przecinek, każda kropka na byle świstku może zawierać istotną wskazówkę, prowadzącą do jakiejś tajemnicy. Ale właśnie najmniej oczywisty kierunek poszukiwań często prowadzi do właściwej odpowiedzi.

Kelner przyniósł Prewłowowi koniak. Kapitan przepłukał sobie usta alkoholem i przełknął go jednym haustem.

— Czy mogę przeprosić was na chwilę, towarzyszu kapitanie? — nagle zapytał Marganin.

Kiedy Prewłow podniósł wzrok, porucznik ruchem głowy wskazał męską toaletę.

— Oczywiście.

Marganin wszedł do wysokiego pomieszczenia, wyłożonego kafelkami, i stanął przed pisuarem. Nie był sam. Pod drzwiami kabiny dostrzegł parę butów z pofałdowanymi nogawkami spodni. Spokojnie zaczekał, aż usłyszał szum spuszczonej wody. Wówczas podszedł do umywalki i zaczął powoli myć ręce, obserwując w lustrze, jak ten sam gruby mężczyzna, który siedział na ławce w parku, zapina pasek i zbliża się do niego.

— Przepraszam, marynarzu — rzekł grubas. — Coś ci wypadło.

Podał Marganinowi niewielką kopertę.

Marganin wziął ją bez wahania i wsunął do kieszeni munduru.

— Ale ze mnie gapa. Dziękuję.

Kiedy Marganin sięgał po ręcznik, grubas pochylił się nad umywalką.

— W tej kopercie jest bombowa informacja — odezwał się cicho. — Nie zlekceważcie jej.

— Potraktowana zostanie należycie.

33.

List leżał dokładnie na środku biurka w gabinecie. Seagram włączył lampę, opadł na fotel i zaczął czytać.

Drogi Gene!

Kocham Cię. Banalny sposób zaczynania listu, ale to prawda. Wciąż Cię kocham z całego serca.

W ciągu ostatnich pełnych napięcia miesięcy rozpaczliwie próbowałam zrozumieć Cię i pocieszyć. Bardzo cierpiałam czekając, aż Ty zaakceptujesz moją miłość i troskliwość. W zamian nie oczekiwałam niczego poza drobnym dowodem uczucia z Twojej strony. Pod wieloma względami jestem silna, Gene, ale nie mam ani siły, ani cierpliwości, żeby walczyć z Twoją lekceważącą obojętnością. Żadna kobieta tego nie potrafi. Z utęsknieniem wspominam nasze pierwsze dni, owe spokojne dni, kiedy nasze wzajemne zainteresowanie sobą było o wiele ważniejsze od spraw zawodowych. Wówczas żyło się znacznie prościej. Każde z nas prowadziło zajęcia na uniwersytecie, śmialiśmy się i kochali, jak gdyby to miało być po raz ostatni w życiu. Może ja sama wbiłam klin między nas, bo nie chciałam mieć dzieci. Być może dziecko sprawiłoby, że bardziej zbliżylibyśmy się do siebie. Nie wiem. Mogę jedynie żałować tego, czego nie zrobiłam. Wiem tylko, że będzie lepiej dla nas obojga, jeżeli na jakiś czas się rozstaniemy, w obecnej chwili bowiem życie pod jednym dachem wyzwała w nas więcej złośliwości i egoizmu, niż kiedykolwiek mogliśmy się spodziewać. Przeprowadzam się do Marie Sheldon, która pracuje w NUMA jako morski geolog. Jest tak miła, że oddała mi wolny pokój w swoim domu w Georgetown do czasu, gdy odzyskam równowagę psychiczną. Proszę, żebyś nie próbował kontaktować się ze mną, bo powiemy sobie jeszcze gorsze rzeczy. Błagam, Gene, daj mi trochę czasu na przemyślenie wszystkiego.

Podobno czas leczy wszystkie rany. Módlmy się, żeby tak było. Nie zostawiłabym Cię, Gene, gdybyś uważał, że jestem Ci naprawdę potrzebna. Sądzę, że w ten sposób zmniejszę presję związaną z Twoim stanowiskiem. Wybacz mi kobiecą słabość, ale z drugiej strony — z mojej — wszystko wygląda tak, jak gdybyś mnie od siebie odpychał. Miejmy nadzieję, że przyszłość pozwoli przetrwać naszej miłości. Powtarzam: kocham Cię.

Dana

Seagram przeczytał list cztery razy, nie mogąc oderwać oczu od kartek pokrytych równym pismem. Wreszcie zgasił lampę i siedział w ciemnościach.

34.

Dana Seagram stała przed otwartą szafą, po kobiecemu zastanawiając się, co ma na siebie włożyć, kiedy usłyszała pukanie do drzwi sypialni.

— Dana? Chyba już jesteś gotowa?

— Wejdz, Marie.

Marie Sheldon mówiła głębokim głosem. Była niską szczupłą kobietą, pełną energii. Miała żywe niebieskie oczy, zgrabny perkaty nos i szopę rozjaśnionych blond włosów. Byłaby bardzo ładna, gdyby nie kwadratowa broda.

— Codziennie rano mam to samo — powiedziała Dana z irytacją. — Gdybym tylko potrafiła się zorganizować i przygotować sobie ubranie wieczorem, ale zawsze odkładam wszystko na ostatnią chwilę.

Marie podeszła bliżej.

— A może włożysz tę niebieską spódniczkę?

Dana zdjęła spódniczkę z wieszaka, lecz po chwili rzuciła ją na dywan. .

— Cholera! Bluzkę od niej zaniósłam do pralni.

— Uważaj, bo zaczniesz się pienić.

— Nic na to nie poradzę — odparła Dana. — Ostatnio nic mi nie wychodzi.

— Chcesz powiedzieć, że od czasu, gdy opuściłaś męża.

— Nie musisz mi prawić kazań.

— Spokojnie, kochanie. Jeśli chcesz wyładować na kimś złość, to stań przed lustrem.

Dana zachowywała się jak zbyt mocno nakręcona lalka. Marie zauważyła, że jej przyjaciółka jest bliska płaczu, więc strategicznie zaczęła się wycofywać.

— Uspokój się. Masz jeszcze trochę czasu. Zejdę na dół i rozgrzeję silnik.

Dana odczekała, aż ucichną kroki Marie, weszła do łazienki i połknęła dwie kapsułki librium. Kiedy środek uspokajający zaczął działać, włożyła na siebie lnianą turkusową sukienkę, przyczesła włosy, wsunęła stopy w pantofle na płaskim obcasie i zeszła na dół.

W drodze do NUMA była ożywiona i dziarsko przytupywała w takt muzyki płynącej z samochodowego radia.

— Jedna pigułka czy dwie? — od niechcienia spytała Marie.

— Mm...?

— Spytałam, czy wzięłaś jedną pigułkę, czy dwie. Można się bezpiecznie założyć, że coś łyknęłaś, skoro w jednej chwili zmieniasz się z wścieklicy w niewiniątko.

— To przez twoje kazanie.

— Dobra, ale uprzedzam, koleżanko, że jeżeli znajdę cię któregoś wieczoru na podłodze z powodu przedawkowania, to spokojnie zwinę manatki i cichutko, ukradkiem się oddalę, bo nie znoszę scen towarzyszących nagłemu zgonowi.

— Przesadzasz.

Marie spojrzała na Danę.

— Czyżby? Opychasz się tym świństwem jak hipochondryk witaminami.

— Czuję się bardzo dobrze — przekornie powiedziała Dana.

— Cholernie dobrze. Jesteś klasycznym przypadkiem sfrustrowanej baby w emocjonalnej depresji, a to najgorszy gatunek.

— Trzeba czasu, żeby rany się zabiłiły.

— Rany, do jasnej cholery! Ty masz poczucie winy.

— Nie będę się oszukiwała twierdząc, że zrobiłam najlepszą rzecz, opuszczając Gene'a, ale jestem przekonana, że postąpiłam słusznie.

— Nie sądzisz, że on cię potrzebuje?

— Miałam nadzieję, że wyciągnie do mnie rękę, lecz za każdym razem, kiedy jesteśmy sami, pryhamy na siebie jak uliczne koty. On się zamknął przede mną, Marie. To znów ta sama stara, męcząca historia. Kiedy mężczyzna taki jak Gene staje się niewolnikiem swojej pracy, otacza się murem nie do przebicia. A idiotycznym powodem, niewiarygodnie idiotycznym powodem jest to, że według niego podzielenie się ze mną swoimi problemami automatycznie postawiłoby również mnie na linii ognia. Mężczyzna bierze na siebie niewdzięczny ciężar odpowiedzialności, a my, kobiety, nie. Traktujemy życie doraźnie. Nigdy nie planujemy naprzód jak mężczyźni. — Twarz Dany ściągnęła się i posmutniała. — Mogę więc teraz tylko czekać i wrócić do niego, kiedy padnie w tym swoim prywatnym boju. Wtedy i tylko wtedy, jestem tego pewna, mój powrót będzie mile widziany.

— Ale wtedy może już być za późno — rzekła Marie. — Z tego, co mówisz, wynika, że Gene jest idealnym kandydatem na pacjenta szpitala dla nerwowo chorych albo na zawałowca. Gdybyś miała odrobinę charakteru, to mimo wszystko zostałabyś przy nim do końca.

Dana pokręciła głową.

— Nie potrafię znieść, że on mnie odrzuca. Dopóki spokojnie się nie zejdziemy, dopóty inaczej będę sobie układała życie.

— Czy to wiąże się z innym mężczyzną?

— Tylko platonicznie — odparła Dana z wymuszonym uśmiechem. — Ani myślę odgrywać wyzwoloną kobietę i wskakiwać na każdego penisa, który mi się napatoczy.

— Możesz sobie wybrzydzać i opowiadać różne rzeczy, kochanie, ale w praktyce rzecz ma się zupełnie inaczej. Zapominasz, że jesteśmy w Waszyngtonie. Przypada nas tu osiem na jednego chłopca. Tylko wielkie szczęściary mogą sobie pozwolić na przebieranie.

— Jeśli coś się trafi, to się trafi. Nie mam zamiaru uganiać się za chłopcami. A poza tym wyszłam z wprawy. Już zapomniałam, jak się flirtuje.

— Z uwodzeniem mężczyzn jest jak z jazdą na rowerze — odpowiedziała Marie ze śmiechem. — Gdy raz się nauczysz, to już nigdy nie zapomnisz.

Ustawiła samochód na wielkim otwartym parkingu NUMA. Po schodach weszły do hallu, gdzie włączyły się w strumień pracowników śpieszących korytarzami i windami do swoich pokoi.

— A może zjemy razem lunch? — spytała Marie.

— Świetnie.

— Przyprawię paru kolegów, żebyś mogła sobie na nich potrenować.

Nim Dana zdążyła zaprotestować, Marie wtopiła się w tłum. W czasie jazdy windą Dana z wyraźną przyjemnością poczuła, że serce jej bije mocniej.

35.

Sandecker zatrzymał samochód na parkingu Akademii Oceanografii w Alexandrii, wygramolił się zza kierownicy i podszedł do mężczyzny stojącego przy elektrycznym wózku golfowym.

— Pan admirał Sandecker?

— Tak.

— Doktor Murray Silverstein — przedstawił się niski łysiejący grubas, wyciągając rękę. — Cieszę się, że mógł pan przyjechać, panie admirał. Sądzę, że mamy coś, co może się przydać.

Sandecker wszedł do wózka.

— Jesteśmy wdzięczni za każdą przydatną informację. Silverstein przesunął dźwignię i ruszyli asfaltową alejką.

— Wczoraj wieczorem przeprowadziliśmy serię szeroko zakrojonych prób. Nie mogę obiecywać matematycznej dokładności, ale uzyskane wyniki są co najmniej interesujące.

— Mielicie jakieś problemy?

— Trochę. Główną przeszkodą, która nie pozwoliła nam otrzymać dokładnych wyników, lecz tylko przybliżone, jest brak pewnych danych. Na przykład, nigdy nie udało się ustalić, pod jakim kątem „Titanic” wszedł dziobem pod wodę, kiedy tonął. Tylko ten jeden nieznan czynnik zwiększa obszar poszukiwań o dziesięć kilometrów kwadratowych.

— Nie rozumiem. Czyżby stalowy czterdziestotysięcznik nie tonął pionowo?

— Niekoniecznie. Tonąc „Titanic” wszedł pod wodę pod ostrym kątem około siedemdziesięciu ośmiu stopni i wpadł w korkociąg, a ciężar wody, która wypełniła jego komorę dziobową, nadał mu prędkość od czterech do pięciu węzłów. Trzeba też uwzględnić siłę bezwładności wynikającą z ogromnej masy statku oraz fakt, że musiał pokonać głębokość czterech kilometrów, zanim uderzył w dno. Obawiam się, że wylądował poziomo na dnie w sporej odległości od punktu wyjściowego na powierzchni.

Sandecker wytrzeszczył oczy na oceanografa.

— A skąd tak dokładnie wiecie, pod jakim kątem tonął „Titanic”? Na informacjach podawanych przez rozbitków na ogół trudno polegać.

Silverstein wskazał ręką wysoki betonowy budynek po prawej stronie.

— Tam pan znajdzie odpowiedź, admirał — rzekł zatrzymując wózek przed frontowym wejściem. — Chodźmy, zademonstruję panu, jak w praktyce wygląda to, o czym mówię.

Sandecker ruszył za nim krótkim korytarzem do sali, która na jednej ścianie miała duże okno z akrylu. Silverstein dał znak admirałowi, żeby się zbliżył. Zza okna pomachał im nurek z aparatem do oddychania na plecach. Sandecker odpowiedział mu tym samym.

— Ten basen ma średnicę dziesięciu metrów, a jego stalowe ściany wznoszą się na wysokość sześćdziesięciu metrów — objaśniał Silverstein rzeczowym tonem. — Wyposażony jest w komorę ciśnieniową do wchodzenia i wychodzenia, która znajduje się przy dnie, oraz pięć śluz powietrznych usytuowanych na różnych poziomach, co umożliwia nam obserwowanie eksperymentów na rozmaitych głębokościach.

— Rozumiem — powoli rzekł Sandecker. — Symulowaliście opadanie „Titanica” na dno oceanu.

— Tak. Zaraz to panu pokazemy. — Silverstein podniósł słuchawkę aparatu telefonicznego, który stał na półce pod oknem w ścianie basenu. — Owen, zademonstruj nam opadanie w ciągu trzydziestu sekund.

— Macie specjalny model „Titanica”?

— Oczywiście nie nadaje się do wystawienia w muzeum morskim — odparł Silverstein — ale w zmniejszonej skali prawie idealnie odpowiada oryginałowi kształtem, wagą i wypornością. Znakomita robota garncarza.

— Garncarza?

— To ceramika — odpowiedział Silverstein, wykonując nieokreślony gest. — Możemy ulepić i wypalić dwadzieścia glinianych modeli w czasie potrzebnym do wykonania jednego z metalu. — Ujął Sandeckera za ramię i podprowadził go do okna. — Już jest.

Sandecker spojrzał w górę i zobaczył jakiś smukły kształt o długości ponad jednego metra, z wolna opadający w wodzie i poprzedzony jakby deszczem okrągłych kamyków. Admirał zauważył, że nie próbowano zadbać o dokładność szczegółów. Model wyglądał jak gładki kawał nie polewanej gliny: był zaokrąglony z jednego końca, zwężał się z drugiego, a na górze miał trzy rurki, odpowiadające kominom

„Titanica”. Gdy model dotarł do dna basenu, przez szybę usłyszeli odgłos uderzenia.

— Czy na wyniki waszych obliczeń nie mają wpływu niedokładności w wykonaniu modelu? — spytał Sandecker.

— Owszem, błąd w wykonaniu mógłby je zmienić — odparł Silverstein, spoglądając na Sandeckera. — Jednak zapewniam pana, admirale, że niczego nie przeoczyliśmy.

Sandecker ręką wskazał na model.

— Prawdziwy „Titanic” miał cztery kominy, a wasz ma tylko trzy.

— Tuż przed zatonięciem — rzekł Silverstein — rufa „Titanica” się uniosła i statek przyjął pozycję pionową. Wskutek nadmiernego napięcia nie wytrzymały odciągi komina numer jeden. Pękły i komin zwałił się przez prawą burtę.

Sandecker pokiwał głową.

— Moje gratulacje, doktorze. Powinienem był się zastanowić, nim zakwestionowałem dokładność waszych eksperymentów.

— To naprawdę drobiazg. A poza tym miałem okazję pochwalić się swoją fachowością. — Odwrócił się w stronę okna i podniósł ręce z wyciągniętymi do góry kciukami. Nurek przywiązał model do linki biegnącej ku powierzchni basenu. — Powtórzę próbę i wyjaśnię panu, jak doszliśmy do naszych wniosków.

— Wyjaśnienia może pan zacząć od tych kamyków.

— Odgrywają one rolę kotłów — powiedział Silverstein.

— Kotłów?

— To również doskonała symulacja. Widzi pan, kiedy rufa „Titanica” sterczała w niebo, jego kotły wyrwały się ze swych łóż, przebiły grodzie i poleciały na dziób. Wszyscy mówili, że były ciężkie, a na statku znajdowało się ich dwadzieścia dziewięć. Niektóre z nich miały pięć metrów średnicy i prawie siedem metrów długości.

— Ale pańskie kamyki wypadły z modelu.

— Tak. Nasze obliczenia wskazują, że przynajmniej dziewiętnaście kotłów przebiło dziób i opadło na dno, odłączywszy się od kadłuba.

— Skąd ta pewność?

— Ponieważ tak ogromny balast, przesunięty ze śródokręcia do dziobowych przedziałów statku, pociągnąłby „Titanica” pionowo w dół, pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Tymczasem z relacji rozbitków, którzy przeżyli katastrofę i obserwowali wszystko z łodzi ratunkowych, a pod tym względem są raczej zgodne, wynika, że wkrótce po tym, jak ucichł ogłuszający łoskot kotłów, które opadały w szalonym pędzie, rufa nieco się uniosła, nim statek ostatecznie zatonął. Fakt ten wskazuje, przynajmniej moim zdaniem, że „Titanic” stracił kotły, a pozbawiony ich ciężaru, uniósł się nieco i zatonął, jak już wspomniałem, pod kątem siedemdziesięciu ośmiu stopni.

— I te kamyki potwierdzają pańską teorię?

— Co do joty. — Silverstein znów sięgnął po telefon. — Jak tylko będziesz gotowy, Owen — powiedział do słuchawki i odłożył ją na widełki. — Owen Dugan to mój asystent, który siedzi na górze. W tej chwili ustawia model przy tamtej pionowej linii, którą pan widzi na ścianie basenu. Kiedy woda zacznie wpływać przez otwory specjalnie wywiercone w dziobie, wówczas model zacznie się zanurzać, aż nachylenie osiągnie pewien kąt, kamyki przetoczą się do dziobu i wypadną przez drzwiczki zaopatrzone w sprężynkę.

Jak na rozkaz kamyki zaczęły opadać na dno basenu, a tuż za nimi opadał wolno sam model. Uderzył w dno około trzech i pół metra od linii. Nurek zrobił w tym miejscu maleńki znaczek, a następnie uniósł rękę i palcami pokazał odcinek około dwóch centymetrów.

— No i proszę, panie admirale, sto dziesięć prób, a model nigdy nie wylądował dalej niż dziesięć centymetrów od wyznaczonego miejsca.

Sandecker przez dłuższą chwilę wpatrywał się w basen. Potem odwrócił się do Silversteina.

— A więc, gdzie szukamy?

— Według pracowników naszego działu fizyki, którzy wspaniale wszystko obliczyli — odparł Silverstein — najlepiej szukać o tysiąc trzysta metrów na południowy wschód od punktu, gdzie „Safona I” znalazła kornet. Jednakże w dalszym ciągu są to tylko przypuszczenia.

— Skąd pewność, że również kornet nie opadał pod kątem? Silverstein udał, że robi obrażoną minę.

— Nie docenia pan mojego perfekcjonizmu, admirale. Nasze obliczenia byłyby do niczego bez dokładnej znajomości drogi kornetu w czasie opadania na dno oceanu. W moich rachunkach znajdzie pan paragon na dwa kornety z lombardu Moego. Po serii testów w basenie wywieźliśmy te instrumenty na dwieście mil od przylądka Hatteras i wrzuciliśmy do wody o głębokości czterech kilometrów. Mogę panu pokazać wykresy naszego sonaru. Oba kornety wylądowały w promieniu pięćdziesięciu metrów od pionowej linii, przeprowadzonej z punktu wyjściowego.

— Nie chciałem pana urazić — spokojnie rzekł Sandecker. — Jeśli daruje mi pan tę przenośnię, to mam przekonanie głębokie jak ten ocean, że mój brak wiary będzie mnie kosztował skrzynkę chardonnay Roberta Mondaviego z rocznika osiemdziesiątego czwartego.

— Z osiemdziesiątego pierwszego — odparł Silverstein z szerokim uśmiechem.

— Nie znoszę postrzeleńców o wyrafinowanych gustach.

— Proszę pomyśleć, jak pospolity byłby bez nas świat.

Sandecker nie odpowiedział. Podszedł do okna basenu i zapatrzył się na ceramiczny model „Titanica”. Silverstein zbliżył się do admirała.

— Ten statek to bez wątpienia fascynujący temat.

— Właśnie. Dziwna rzecz z tym „Titanikiem” — półgłosem odezwał się Sandecker. — Kiedy już człowiek ulegnie jego czarowi, nie może myśleć o niczym innym.

— Ale dlaczego? Czym on tak działa na wyobraźnię, że nie można się z tego wyzwolić?

— Bo wszyscy przy nim czują się mali — odpowiedział Sandecker. — Jest największym legendarnym skarbcem w historii nowożytnej, a przy tym tak niedostępnym. Nawet zwykła fotografia tego statku podnosi człowiekowi poziom adrenaliny we krwi. Fakt, że się zna jego historię, że się wie, kto należał do jego załogi i spacerował po jego pokładach w ciągu tych kilku krótkich dni jego istnienia... oto, co tak pobudza wyobraźnię, doktorze Silverstein. „Titanic” jest ogromnym archiwum epoki, która na zawsze minęła. Tylko Bóg jeden wie, czy zdołamy sprawić, by znów ujrział światło dzienne, ale przysięgam, że spróbujemy.

36.

Z zewnątrz „Ślimak Morski” odznaczał się opływowymi kształtami i gładką powierzchnią, lecz Pittowi, który ze względu na swój wzrost musiał nienaturalnie wykręcać członki, by usiąść na miejscu sternika, wewnątrz wydawało się klaustrofobicznym koszmarem, pełnym rur i elektrycznych przewodów. Batyskaf miał siedem metrów długości i przypominał cylinder z zaokrąglonymi końcami, jak jego ospały imiennik. Był pomalowany na jaskrawożółty kolor; w dziobie znajdowały się cztery duże iluminatory, osadzone parami, na grzbiecie zaś dwa bardzo silne reflektory, podobne do niewielkich anten radarowych.

Pitt, który wszedł do batyskafu jako ostatni członek załogi, odwrócił się do Giordina, zajmującego miejsce po jego prawej stronie.

— Zanurzamy się? Giordino błysnął zębami w uśmiechu.

— Tak. Zaczynamy.

— A co ty na to, Rudi?

Leżący przy dolnym iluminatorze Gunn podniósł wzrok i skinął głową.

— Jeśli ty jesteś gotów, to ja też.

Pitt powiedział coś do mikrofonu i spojrzał na niewielki ekran telewizyjny nad tablicą sterowniczą, na którym widać było, jak żurawik „Modoca” unosi „Ślimaka Morskiego” z jego łoża na pokładzie, łagodnie przesuwając za burtę i opuszczając do wody. Kiedy tylko nurek odczepił linę nośną, Pitt z trzaskiem otworzył zawór balastowy i batyskaf zaczął się powoli zanurzać we wzburzonych falach, tworzących głębokie doliny.

— Zegar włączony — oznajmił Giordino. — Godzina do dna, dziesięć godzin na szukanie, dwie na powrót i pięciogodzinna rezerwa na wszelki wypadek.

— Rezerwę wykorzystamy na poszukiwania — rzekł Pitt.

Giordino doskonale zdawał sobie sprawę, co to oznaczało. Jeżeli na głębokości czterech kilometrów zdarzy się jakiś wypadek, to wówczas nie będzie żadnego ratunku. Zostanie im jedynie modlitwa o szybką śmierć, bo inaczej będą się powoli dusić w potwornych męczarniach. Właściwie wolałyby znów być na pokładzie „Safony I”, ciesząc się nieskrępowaną swobodą, jaką dawało jej wygodne wnętrze, i bezpieczeństwem, które zapewniał jej system podtrzymywania życia. Wyprostował się i patrzył, jak woda coraz bardziej ciemnieje w miarę zanurzania się „Ślimaka Morskiego” w głębinie. Myślał o pełnym tajemnic człowieku, który kierował batyskafem.

Cofnął się pamięcią do szkolnych lat, kiedy to razem z Pittem sami budowali sobie samochody wyścigowe, którymi później pędzili po odludnych polnych drogach za Newport Beach w Kalifornii. Znał Pitta jak nikt na świecie, lepiej nawet niż jakakolwiek kobieta. Pitt w pewnym sensie miał dwie przeciwstawne osobowości. Jeden Dirk Pitt był sympatyczny, zrównoważony, pełen humoru; z niewymuszoną serdecznością traktował każdego, kogo spotkał. Ten drugi zaś był sprawnie działającą maszyną — rzadko popełniał błędy i często

zamykał się w sobie, stawał się obcy i pełen rezerwy. Jeżeli istniał jakiś klucz do tego, co łączyło owe dwie osobowości, to Giordino jeszcze go nie znał.

Teraz skoncentrował uwagę na głębokościomierzu. Strzałka wskazywała czterysta metrów. Wkrótce przekroczyli sześćset metrów i znaleźli się w świetle wiecznej nocy. Giordino nacisnął przełącznik: zapłonęły zewnętrzne reflektory, wycinając w ciemnościach jasną, podnoszącą na duchu ścieżkę.

— Jak myślisz, czy mamy szansę znalezienia statku przy pierwszej próbie? — spytał.

— Jeżeli wyniki obliczeń komputerowych przysłane nam przez admirała Sandeckera odpowiadają rzeczywistości, to „Titanic” powinien leżeć gdzieś na studziesięciostopniowym łuku, o tysiąc trzysta metrów od miejsca, w którym wydobyliście kornet.

— No to wspaniale — sarkastycznie mruknął Giordino. — Nie będziemy szukali igły w stogu siana, lecz co najwyżej ryjkowca albinosa na polu bawełny.

— On znów zaczyna dzień od krakania — rzekł Gunn.

— Nie zwracajmy na niego uwagi, to wysiadzie — zażartował Pitt. Giordino skrzywił się i skinął głową w stronę wodnej pustki.

— No pewnie, po prostu wysadziecie mnie na następnym skrzyżowaniu.

— Odnajdziemy ten stary wrak — zdecydowanie stwierdził Pitt. Wskazał podświetlony zegar na tablicy sterowniczej. — Zastanówmy się, teraz jest szóstą czterdzieści. Przewiduję, że znajdziemy się nad pokładem „Titanica” przed obiadem, powiedzmy około jedenastej czterdzieści.

Giordino spojrział na Pitta z ukosa.

— Odezwał się wielki pocieszyciel.

— Trochę optymizmu nigdy nie zaszkodzi — rzekł Pitt.

Podregulował zewnętrzne kamery i włączył lampę stroboskopową. Przez chwilę migotała światłem oślepiającym jak błyskawica, wyławiając miliony zawieszonych w wodzie planktonowych żyjątek.

Czterdzieści minut później, kiedy zeszli na trzy kilometry, Pitt przekazał „Modocowi” meldunek, podając głębokość i temperaturę — dwa stopnie. Trzej mężczyźni patrzyli zafascynowani, jak niewielki diabeł morski z wolna przepływa przed iluminatorami; maleńka świecąca kulka nad jego głową wyglądała jak samotna boja świetlna.

Na głębokości 3775 metrów zobaczyli dno oceanu; mieli wrażenie, że zbliża się do „Ślimaka Morskiego”, jakby był zawieszony w miejscu. Pitt włączył silniki napędowe i tak ustawił stery, że batyskaf przestał opadać, ruszając poziomym kursem nad bladoczerwonym mułem, który pokrywał dno.

Nieprzyjemną ciszę przerwał rytmiczny szum elektrycznych silników „Ślimaka Morskiego”. Początkowo Pitt z trudem rozróżniał rzeźbę dna — zdawało się, że obraz jest dwuwymiarowy — widział jedynie płaszczyznę ginącą z oczu poza zasięgiem światła reflektorów.

Nie dało się zauważyć żadnych żywych istot, choć na pewno tam były. Zygzakowate ślady mieszkańców głębin krzyżowały się ze sobą, biegnąc we wszystkich kierunkach w dennym mułe. Można by pomyśleć, że dopiero co powstały, ale morze potrafi być zwodnicze. Głębokowodne pająki, strzykwy czy rozgwiazdy równie dobrze mogły zostawić je przed kilkoma minutami, jak i setki lat temu — grubość warstwy mułu, złożonego z opadających na dno mikroskopijnych szczątków zwierząt i roślin, zwiększa się w tempie od jednego do dwóch centymetrów na tysiąc lat.

— Jakie śliczne stworzonko — odezwał się Giordino, wyciągając rękę.

Wzrok Pitta pobiegł za palcem Giordina i wyłowił dziwne granatowoczarne zwierzę, które wydawało się krzyżówką mątwy z ośmiornicą. Miało osiem ramion połączonych błoną jak palce kaczki i patrzyło na „Ślimaka Morskiego” parą okrągłych oczu, które stanowiły niemal trzecią część jego ciała.

— To mątwą wampir — poinformował wszystkich Gunn.
— Zapytaj jej, czy nie ma krewnych w Transylwanii — powiedział Giordino, pokazując w uśmiechu zęby.

— Wiesz — rzekł Pitt — ona dziwnie przypomina mi twoją dziewczynę.

— Tę bez cycków? — wtrącił Gun.

— Widziałeś ją?

— Używajcie sobie, łachudry — mruknął Giordino — ale ona za mną szaleje, a jej ojciec poi mnie najlepszymi trunkami.

— Najlepszymi trunkami — pogardliwie parsknął Pitt. — Bourbon „Old Cesspool”, dżin „Hun Attila” i wódka „Tijuana”. Któż, u licha, kiedykolwiek słyszał o takich gatunkach?

Przez następne kilka godzin wewnątrz „Ślimaka Morskiego” rozbrzmiewało zjadliwą drwiną i humorem. Właściwie wszystko to było udawane, lecz pozwalało łatwiej znosić męczącą monotonię. Szukanie wraków na dnie morza, tak ciekawie przedstawiane w książkach, w rzeczywistości jest zajęciem nudnym i wyczerpującym. Niewygoda z powodu ciasnoty pomieszczeń, wysoka wilgotność powietrza i dotkliwy chłód we wnętrzu batyskafu dodatkowo sprzyjają wypadkom w wyniku błędów człowieka, które mogą okazać się kosztowne i fatalne w skutkach.

Pitt pewną ręką prowadził „Ślimaka Morskiego” niespełna półtora metra nad dnem. Giordino skoncentrował uwagę na układzie podtrzymującym życie, Gunn zaś obserwował sonar i magnetometr. Teraz wszystko zależało od cierpliwości i uporu, połączonych z ową szczególną mieszanką wiecznego optymizmu i zamiłowania do nieznanego, wspólną dla wszystkich poszukiwaczy skarbów.

— Wygląda, jakbyśmy mieli przed sobą kupę kamieni — odezwał się Pitt.

Giordino spojrział przez iluminatory.

— Po prostu leżą sobie w mule. Ciekaw jestem, skąd się tam wzięły.

— Chyba to balast wyrzucony z jakiegoś starego żaglowca.

— Pochodzą raczej z gór lodowych — rzekł Gunn. — Góry lodowe unoszą wiele skał i kamieni, które opadają na dno, kiedy lód się topi... — Przerwał swój wykład. — Czekaście... mam silny sygnał na sonarze.

— Jaki namiar?

— Sto trzydzieści siedem.

— Jest, sto trzydzieści siedem — powtórzył Pitt, poruszając dźwigniami.

„Ślimak Morski” pochylił się w pełnym wdzięku skręcie, jakby był samolotem, i wszedł na nowy kurs. Giordino z uwagą wpatrywał się przez ramię Gunna w świetliste zielone koła na ekranie sonaru. Mała pulsująca kropka jasności wskazywała, że trzysta metrów poza zasięgiem widoczności znajduje się jakiś nieruchomy obiekt.

— Nie rób sobie nadziei — cicho powiedział Gunn. — Cel jest zbyt mały jak na statek.

— A twoim zdaniem, co to jest?

— Trudno powiedzieć. Długość nie więcej niż siedem, osiem metrów, wysokość około dwóch pięt. To może być wszystko...

— Na przykład jeden z kotłów „Titanica” — wtrącił Pitt. — Powinny być gdzie tutaj, rozrzucone po całym dnie.

— Zostaniesz prymusem — rzekł Gunn podnieconym głosem. — Mam identyczne echo w namiarze sto piętnaście. I jeszcze jedno na sto sześćdziesiąt. To ostatnie ma długość około dwudziestu metrów.

— Wygląda na komin — powiedział Pitt.

— Boże! — szepnęła Gunn. — Mam tu tyle ech co na złomowisku.

Nagle z mroku na skraju czerni w aureoli niesamowitego światła wyłonił się okrągły obiekt, przypominający ogromny grobowiec. Wkrótce trzy pary oczu, patrzące z wnętrza

batyskafu, mogły rozróżnić ruszty potężnego kotła, a potem rzędy nitów przy spawach i plątaninę rozerwanych rur, którymi niegdyś płynęła para.

— Chciałbyś być palaczem obsługującym w tamtych czasach takie maleństwo? — mruknął Giordino.

— Złapałem następne — odezwał się Gunn. — Nie, czekajcie... echo jest coraz większe. Podaję długość... pięćdziesiąt metrów... sto...

— No, jeszcze — prawie modlił się Pitt.

— Sto pięćdziesiąt... dwieście... dwieście pięćdziesiąt. Mamy go! Mamy!

— Jaki namiar? — spytał Pitt z zaschniętymi ustami.

— Dziewięćdziesiąt siedem — odparł Gunn szeptem.

Przez następne kilka minut, kiedy „Ślimak Morski” skracał dystans dzielący go od obiektu, nikt już się nie odzywał. Wszyscy mieli twarze pełne oczekiwania, pobladłe i spięte. Pittowi boleśnie waliło serce i miał wrażenie, że jakaś wielka łapa ściska mu żołądek, w którym czuł ogromny ciężar. Uświadomił sobie, że prowadzi batyskaf zbyt blisko dna. Poruszył dźwigniami, nie odrywając oczu od iluminatora. Co znajdują? Stary, pordzewiały wrak w ogóle nie nadający się do wydobycia? Strzaskany, połamany kadłub, tkwiący po nadbudówki w mule? I wtedy, wyężając wzrok, dostrzegł ogromny cień, złowieszczo wyłaniający się z ciemności.

— Boże Wszzechmogący! — szepnął Giordino z podziwem. — Trafiliśmy prosto w dziób.

Kiedy zbliżyli się na odległość piętnastu metrów, Pitt zmniejszył obroty silnika i ustawił „Ślimaka Morskiego” na kursie równoległym do linii wodnej pechowego statku. Wrak widziany z tej odległości oszałamiał swoim ogromem. Chociaż od zatonięcia minęło prawie osiemdziesiąt lat, to jednak statek w jakiś zdumiewający sposób nie uległ korozji; złoty pas wokół dwustupięćdziesięciodwumetrowego kadłuba błyszczał w świetle potężnych reflektorów. Pitt poruszył dźwigniami i batyskaf się uniósł, przepływając nad ośmiotonową kotwicą na lewej burcie. Wówczas z łatwością mogli odczytać wielkie złote litery, które wciąż z dumą głosiły, że statek nazywa się „Titanic”.

Urzeczony Pitt wziął do ręki mikrofon i nacisnął włącznik nadajnika.

— „Modoc”, „Modoc”. Tu „Ślimak Morski”... czy mnie słyszysz?

Radiooperator „Modoca” odpowiedział prawie natychmiast:

— „Ślimak Morski”, tu „Modoc”. Słyszę cię. Odbiór. Pitt pokręcił gałką głośności, by przyciszyć trzaski.

— „Modoc”, zawiadomcie centralę NUMA, że znaleźliśmy duże „t”. Powtarzam, znaleźliśmy duże „t”. Głębokość trzy tysiące siedemset sześćdziesiąt metrów. Godzina jedenasta czterdzieści dwie.

— Jedenasta czterdzieści dwie? — jak echo powtórzył Giordino. — Ach, ty mądralino. Pomyliłeś się tylko o dwie minuty.

Powtórne narodziny

„Titanic” leżał w niesamowicie spokojnej czarnej głębi, ukazując ponure ślady swojej tragedii. Niemal stumetrowe rozdarcie prawej burty, skutek kolizji z górą lodową, ciągnęło się od forpiku po kotłownię numer pięć, a dziury ziejące w dziobie poniżej linii wodnej świadczyły, z jaką miazdzącą siłą kotły rozbijały kolejne grodzie, zanim wypadły z kadłuba w wodę.

Statek tkwił głęboko w mule, nieco pochylony na lewą burtę, z dziobem skierowanym na południe, jak gdyby wciąż jeszcze rozpaczliwie próbował wydostać się na powierzchnię i dotrzeć do portu przeznaczenia. Światło reflektorów batyskafu tańczyło po widmowych nadbudówkach, rzucając długie, upiorne cienie na rozległe tekowe pokłady. Na wysokich burtach widać było równe rzędy iluminatorów, gdzieniegdzie pootwieranych. Statek, pozbawiony kominów, miał teraz niemal nowoczesny opływowy kształt. Trzech pierwszych, licząc od dziobu, w ogóle nie było, dwa prawdopodobnie zostały zniesione podczas opadania na dno: komin numer cztery leżał za pokładem łodziowym. Poza przeżartymi rdzą odciągami kominów, przewieszonymi przez reling jak węże, na pokładzie łodziowym znajdowało się jedynie kilka dużych nawiewników, jakby trzymających straż przy żurawikach, na których niegdyś wisiały szalupy ratunkowe tego wielkiego liniowca.

Było w nim jakieś chorobliwe piękno. Członkowie załogi batyskafu niemal widzieli jadalnię i salony zalane światłem, wypełnione tłumami beztrioskich, śmiejących się pasażerów. Wyobrażali sobie biblioteki statku zawalone książkami, palarnie pełne błękitnej mgiełki dymu z cygar, orkiestrę grającą ragtime z przełomu wieków; pasażerów spacerujących po pokładach: bogaczy, sławnych ludzi, mężczyzn w eleganckich strojach wieczorowych, kobiety w barwnych długich sukniach, niańki z dziećmi ściskającymi ukochane zabawki; Astorów, Guggenheimów i Strausów w pierwszej klasie, średnio zamożną burżuazję, nauczycieli, księży, studentów i pisarzy w drugiej, w trzeciej zaś emigrantów, irlandzkich chłopów z rodzinami, drwali, piekarzy, krawców i górników z zapadłych wsi w Szwecji, Rosji i Grecji. Na koniec prawie dziewięćsetosobową załogę, od oficerów po kucharzy, stewardów, chłopców od wind i pracowników maszynowni.

W ciemnościach za drzwiami i iluminatorami znajdowały się bogato wyposażone wnętrza. Jak teraz wygląda pływalnia, kort do squasha, turecka łaźnia? Czy w sali recepcyjnej nadal wiszą choćby zbutwiałe resztki wspaniałego gobelinu? Co się stało z zegarem z brązu nad głównymi schodami, z kryształowymi kandelabrami w eleganckiej kawiarni „Cafe Parisien” i finezyjnie zdobionym sufitem jadalni pierwszej klasy? Być może szczątki kapitana Edwarda J. Smitha wciąż leżą gdzieś na mostku? Jakie tajemnice ujawni ten wrak, który niegdyś był ogromnym pływającym pałacem, jeżeli kiedykolwiek znów ujrzy światło słońca?

Kamery nieustannie błyskały lampami stroboskopowymi, kiedy niewielki batyskaf krążył jak intruz wokół ogromnego kadłuba. Duża, ponad półmetrowa ryba z ogonem niczym u szczura, wielkimi oczami i potężną głową, przepłynęła nad pochylonymi pokładami, okazując całkowitą obojętność błyskom światła reflektorów „Ślimaka Morskiego”.

Wydawało się, że minęło wiele godzin, zanim batyskaf, z twarzami załogi wciąż przylepionymi do iluminatorów, uniósł się nad dachem sali klubowej pierwszej klasy, zawisł tam na kilka chwil i pozostawił niewielką elektroniczną kapsułę sygnalizacyjną. Jej impulsy niskiej częstotliwości będą wskazywały drogę do wraka przyszłym wyprawom. Potem batyskaf łagodnie skierował się w górę, wygasivszy reflektory.

„Titanic” znowu został sam. Wkrótce pojawią się przy nim inne statki głębinowe i ludzie ponownie będą pracowali przy jego stalowym kadłubie, jak tyle lat temu na wielkich pochylniach stoczni Harlanda i Wolffa w Belfaście.

Później być może, lecz tylko być może, statek ten mimo wszystko dotrze do swojego pierwotnego portu przeznaczenia.

Część IV

„TITANIC”

Maj 1988 roku

37.

Sekretarz Generalny KPZR, Georgij Antonow, z namaszczeniem zapalił fajkę i przyjrzał się osobom siedzącym dokoła długiego mahoniowego stołu konferencyjnego.

Z prawej strony miał admirała Borysa Słojuka, szefa wywiadu sowieckiej marynarki wojennej, i jego asystenta, kapitana Prewłowa. Naprzeciw nich siedzieli Władimir Polewoj, dyrektor wydziału KGB, który zajmował się tajemnicami obcych mocarstw, oraz Wasilij Tilewicz, marszałek Związku Radzieckiego i główny szef bezpieczeństwa.

Antonow z miejsca przystąpił do rzeczy.

— Otóż wydaje się, że Amerykanie są zdecydowani wydobyć „Titanica” na powierzchnię — powiedział i zajrzał do leżących przed nim dokumentów. — Wygląda to na duże przedsięwzięcie. Dwa statki zaopatrzeniowe, trzy pomocnicze, cztery głębinowe. — Popatrzył na admirała Słojuka i Prewłowa. — Czy mamy w tym rejonie jakiegoś obserwatora?

Prewłow skinął głową.

— Oceanograficzny statek badawczy „Michaił Kurkow” pod komendą kapitana Iwana Parotkina krąży po tym obszarze.

— Towarzysza Parotkina znam osobiście — dodał Słojuk. — To dobry marynarz.

— Skoro Amerykanie wydają setki milionów dolarów na wydobycie siedemdziesięciosześcioletniej kupy złomu, to muszą mieć jakiś ważny powód — powiedział Antonow.

— Jest powód — odparł admirał Słojuk poważnym tonem. — Powód, który zagraża istocie naszego bezpieczeństwa. — Skinął na Prewłowa i kapitan zaczął rozdawać czerwone teczki z napisem „Plan Sycylijski” osobom siedzącym po drugiej stronie stołu, pierwszą wręczając Antonowowi. — Dlatego właśnie poprosiłem was o to spotkanie. Moi ludzie zdobyli ogólny zarys przygotowywanego przez Amerykanów nowego tajnego systemu obrony. Myślę, że uznacie go za szokujący, jeśli nie przerażający.

Wszyscy, łącznie z Antonowem, otworzyli teczki i zaczęli czytać. Przez jakieś pięć minut sekretarz generalny był zajęty lekturą, od czasu do czasu spoglądając na Słojuka. Twarz Anionowa odzwierciedlała jego kolejne reakcje, począwszy od profesjonalnego zainteresowania, poprzez szczerze zakłopotanie i zdumienie, a skończywszy na całkowitym zaszokowaniu.

— To niewiarygodne, towarzyszu admirale, absolutnie niewiarygodne.

— Czy taki system obrony jest możliwy? — spytał marszałek Tilewicz.

— To samo pytanie zadałem pięciu spośród naszych najwybitniejszych naukowców. Wszyscy byli zgodni co do tego, że teoretycznie taki system jest możliwy, ale pod warunkiem posiadania dostatecznie silnego źródła energii.

— A wy sądzą, że to źródło znajduje się w ładowniach „Titanica”? — zapytał Tilewicz.

— Jesteśmy tego pewni, towarzyszu marszałku. Jak wspomniałem w raporcie, istotnym elementem, niezbędnym do realizacji „Planu Sycylijskiego”, jest mało znany pierwiastek pod nazwą bizanium. Wiemy, że siedemdziesiąt sześć lat temu Amerykanie wykradli z rosyjskiej ziemi całe światowe zasoby tego pierwiastka. Na szczęście dla nas mieli pecha... wysłali go statkiem, który zatonął.

Antonow z niedowierzaniem kręcił głową.

— Jeżeli to, co twierdzicie w swoim raporcie, jest prawdą, Amerykanie mają możliwość strącania naszych rakiet międzykontynentalnych z taką samą łatwością, z jaką pastuch kóz odgania muchy.

Słojuk z powagą pokiwał głową.

— Obawiam się, że to przerażająca prawda. Skonsternowany Polewoj z podejrzliwą miną pochylił się nad stołem.

— Twierdzicie tu, że waszym informatorem jest wysoko postawiony pracownik ministerstwa obrony Stanów Zjednoczonych.

— Zgadza się — odparł Prewłow, z szacunkiem skłoniwszy głowę. — Rozczarował się do rządu amerykańskiego z powodu afery Watergate i od tego czasu przysyła mi wszelkie materiały, które uważa za istotne.

Antonow świdrującym wzrokiem spojrzął na Prewłowa.

— Myślicie, że oni zdołają to zrobić, kapitanie Prewłow?

— Wydobyć „Titanica”?

Antonow potwierdził skinieniem głowy.

Prewłow wytrzymał jego spojrzenie.

— Proszę sobie przypomnieć, jak w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku Centralna Agencja Wywiadowcza z powodzeniem przeprowadziła próbę wydobywania naszego atomowego okrętu podwodnego z głębokości ponad pięciu kilometrów w pobliżu Hawajów... chyba CIA nazwała to „Operacją Jennifer”... ja nie mam prawie żadnych wątpliwości, że Amerykanie dysponują technicznymi możliwościami doprowadzenia „Titanica” do portu nowojorskiego. Tak, towarzyszu Antonow, jestem głęboko przekonany, że to zrobią.

— Nie podzielam waszej opinii — rzekł Polewoj. — Statek wielkości „Titanica” to nie to samo, co okręt podwodny.

— Ja bym poparł kapitana Prewłowa — odezwał się Słojuk. — Amerykanie mają denerwujący zwyczaj realizowania tego, co sobie założą.

— A ten „Plan Sycylijski”? — Polewoj nie dawał za wygraną. — Poza kryptonimem KGB nie otrzymało żadnych szczegółowych danych na ten temat. Skąd wiecie, czy Amerykanie nie wymyślili sobie tego planu, żeby blefować w czasie negocjacji w sprawie ograniczenia zbrojeń nuklearnych?

Antonow postukał kostkami dłoni w blat stołu.

— Amerykanie nie blefują. Towarzysz Chruszczow stwierdził to dwadzieścia pięć lat temu w czasie kryzysu kubańskiego. Nie wolno nam lekceważyć nawet najmniejszej możliwości, że uruchomią ten system, gdy tylko wydobędą bizanium z ładowni „Titanica”. — Przerwał i przez chwilę ssał ustnik fajki. — Proponuję, żebyśmy się teraz zastanowili, w jaki sposób temu zaradzić.

Polewoj popukał palcami w teczkę z raportem o „Planie Sycylijskim”.

— Tylko sabotaż. Musimy uniemożliwić im przeprowadzenie operacji wydobywania statku. Nie ma innego wyjścia.

— Nie wolno nam wywołać incydentu o międzynarodowych reperkusjach — zdecydowanym tonem oświadczył Antonow. — Nie ma mowy o otwartej akcji militarnej. Nie chcę pogorszenia stosunków radziecko-amerykańskich w kolejnym roku złych zbiorów. Zrozumiano?

— Nie możemy nic zrobić, dopóki nie przenikniemy na teren operacji — upierał się Tilewicz.

Polewoj spojrzął przez stół na Słojuka.

— Jakie kroki podjęli Amerykanie w celu zabezpieczenia operacji?

— Krążownik atomowy „Junona”, uzbrojony w wyrzutnię pocisków kierowanych, przez całą dobę patroluje ten obszar w zasięgu wzroku od statków ratowniczych.

— Czy mogę zabrać głos? — spytał Prewłow niemal uniżonym tonem. Nie czekał na odpowiedź. — Należy uwzględnić fakt, towarzysze, że już tam przeniknęliśmy.

Antonow podniósł wzrok.

— Proszę jaśniej, kapitanie.

Prewłow spojrział w bok na swojego przełożonego. Admirał Słojuk przyzwolił lekkim skinieniem głowy.

— W załodze NUMA prowadzącej prace wydobywcze mamy dwóch zakonspirowanych funkcjonariuszy — wyjaśnił Prewłow. — To niezwykle utalentowany zespół. Od dwóch lat przekazuje nam ważne dane oceanograficzne zbierane przez Amerykanów.

— Bardzo dobrze. Wasi ludzie świetnie się spisują, Słojuk — rzekł Antonow, lecz w jego głosie nie było ciepła. Ponownie spojrział na Prewłowa. — Sugerujecie, kapitanie, że wymyśliliście jakiś plan?

— Tak, towarzyszu, wymyśliłem.

Kiedy Prewłow wszedł do swojego gabinetu, za jego biurkiem w niedbalej pozie siedział Marganin, w którego zachowaniu zaszła pewna zmiana. Już nie wyglądał na zwykłego podlizującego się asystenta, z którym kapitan się rozstał przed zaledwie kilkoma godzinami. Był jakby bardziej śmiały, okazywał więcej pewności siebie. Widziało się to w jego wzroku. Tymi oczami, dotychczas o niepewnym spojrzeniu, patrzył człowiek, który wie, czego chce.

— Jak tam konferencja, kapitanie? — spytał nie podnosząc się z fotela.

— Chyba mogę śmiało powiedzieć, że wkrótce nadejdzie taki dzień, kiedy będziecie tytułowali mnie admirałem.

— Muszę przyznać, że wasz płodny umysł ustępuje tylko waszej zarozumiałości.

Uwaga ta zaskoczyła Prewłowa. Twarz mu pobladła z ledwie hamowanego gniewu, a kiedy zaczął mówić, nie trzeba było mieć wyjątkowo wrażliwego słuchu czy bujnej wyobraźni, by w tonie jego głosu wyczuć wściekłość:

— Ośmielacie się mnie obrażać?!

— No pewnie. Bez wątpienia dopuściliście się oszustwa wobec towarzysza Antenowa, dając mu do zrozumienia, że to wasz geniusz wykrył cel „Planu Sycylijskiego” i wydobywania „Titanica”, podczas gdy w rzeczywistości to mój informator przekazał tę wiadomość. I najprawdopodobniej powiedzieliście im o swoim cudownym planie wyrwania bizanium z rąk Amerykanów. Krótko mówiąc, Prewłow, nie jesteście niczym więcej, jak tylko pozbawionym talentu złodziejem.

— Dość tego! — powiedział Prewłow lodowatym tonem, wyciągając palec w stronę Marganina. Nagle zeszywniał i całkowicie się opanował. Znow stał się ostrożny i układny jak prawdziwy zawodowiec. — Oj, sparzycie się kiedyś na tej swojej niesubordynacji, Marganin — powiedział. — Już ja się o to postaram, żebyście tysiące razy tego pożałowali jeszcze przed końcem tego miesiąca.

Marganin nic nie odrzekł. Na jego ustach pojawił się tylko lodowaty uśmiech.

38.

— No i skończyła się tajemnica — powiedział Seagram, rzucając Sandeckerowi gazetę na biurko. — To dzisiejsza gazeta poranna. Kupiłem ją niecałe piętnaście minut temu.

Sandecker odwrócił ją i spojrział na pierwszą stronę. Nie musiał patrzeć dalej — wszystko znajdowało się na pierwszej kolumnie.

— „NUMA wydobywa »Titanica«” — przeczytał na głos. — No cóż, przynajmniej nie musimy już chodzić na paluszkach. „Kosztowna próba wydobywania pechowego liniowca.” Trzeba przyznać, że to się nieźle czyta. „Z dobrze poinformowanych źródeł dowiedzieliśmy się dzisiaj, że Narodowa Agencja Badań Morskich i Podwodnych prowadzi szeroko zakrojone prace nad próbą wydobywania »Titanica«, który wpadł na górę lodową i zatonął na środkowym

Atlantyku piętnastego kwietnia tysiąc dziewięćset dwunastego roku, co pociągnęło za sobą śmierć ponad półtora tysiąca osób. To ogromne przedsięwzięcie otwiera nową erę w wydobywaniu statków z dużych głębokości i stanowi bezprecedensową próbę w historii poszukiwania skarbów."

— Kosztowne polowanie na skarb — powiedział Seagram pochmurniejac. — Prezydent będzie tym zachwycony.

— Dają nawet moje zdjęcie — rzekł Sandecker. — Nie jestem na nim zbyt do siebie podobny. Pewnie wzięli je z archiwum, bo chyba jest sprzed pięciu, sześciu lat.

— Wybrali sobie najgorszy moment — stwierdził Seagram. — Gdyby tak za trzy tygodnie... Pitt powiedział, że za trzy tygodnie spróbuje go podnieść.

— Niech pan nie mówi hop. Pitt i jego ludzie pracują nad tym od dziewięciu miesięcy. Dziewięć ciężkich miesięcy zmagania z zimowymi sztormami, których Atlantyck im nie szczęśli, borykania się z niepowodzeniami i pokonywania trudności technicznych, jakie się pojawiały. To zakrawa na cud, że aż tyle dokonali w tak krótkim czasie. A jeszcze mnóstwo rzeczy może nie wyjść. Niewykluczone, że w kadłubie są niewidoczne pęknięcia i rozwali się w czasie podnoszenia z dna albo że jest za bardzo przyspany do mułu i w ogóle nigdy nie da się oderwać. Na pańskim miejscu nie byłbym tak zadowolony, dopóki na własne oczy bym nie zobaczył, jak „Titanic” na holu mija Statuę Wolności.

Seagram wyglądał na urażonego. Widząc jego minę, admirał uśmiechnął się szeroko i poczęstował go cygarem. Odmówił.

— Ale równie dobrze może wypłynąć na powierzchnię jak po maśle — odezwał się Sandecker pocieszająco.

— Właśnie. Co mi się najbardziej w panu podoba, admirale, to ten umiarkowany optymizm.

— Lubię być przygotowany na rozczarowanie. Wówczas łatwiej je znieść.

Seagram nie odpowiedział. Przez dłuższą chwilę milczał. W końcu się odezwał:

— A więc będziemy się martwić o „Titanica” we właściwym czasie. Wciąż jednak mamy do rozważenia problem prasy. Jak sobie z nim poradzimy?

— Nic prostszego — beztrząsco powiedział Sandecker. — Zrobimy to, co robi każdy normalny polityk, kiedy żądni sensacji dziennikarze ujawniają jego nieczyste sprawy.

— To znaczył — spytał Seagram znużonym głosem.

— Zorganizujemy konferencję prasową.

— Ależ to szaleństwo. Kiedy Kongres i podatnicy się dowiedzą, że wywaliliśmy na to ponad trzy czwarte miliarda dolarów, wówczas zatańczą z nami jak tornado w Kansas.

— Trzeba więc udawać wariata i do publicznej wiadomości podać tylko połowę kosztów wydobywania. Kto się w tym połapie? Nie sposób wykryć prawdziwych danych.

— W dalszym ciągu to mi się nie podoba — rzekł Seagram. — Ci waszyngtońscy dziennikarze są mistrzami od zadawania podchwytliwych pytań w czasie konferencji prasowych. Rozpracują pana jak amen w pacierzu.

— Nie miałem na myśli siebie — powoli odparł Sandecker.

— No to kogo? Z pewnością nie mnie. Jestem nic nie znaczącym człowiekiem, który oficjalnie nie ma z tym nic wspólnego. Chyba pan nie zapomniał?

— Myślałem o kimś innym. O kimś, kto się nie orientuje w naszych zakulisowych matactwach, kto jest autorytetem w sprawach zatopionych statków i kogo prasa będzie traktowała z największym szacunkiem i kurtuazją.

— A skąd pan weźmie taki wzór doskonałości?

— Szalenie się cieszę, że pan użył tego określenia — chytrze powiedział Sandecker. — Widzi pan, myślałem o pańskiej żonie.

Dana Seagram stała za pulpitem w pozie znamionującej pewność siebie i zręcznie odpowiadała na pytania zadawane jej przez ponad osiemdziesięciu dziennikarzy, siedzących w audytorium centrali NUMA. Nieustannie się uśmiechała jak zadowolona z siebie kobieta, która wie, że jest akceptowana. Miała na sobie spódnicę z jednego kawałka materiału i sweter z głębokim dekoltem w serek, z wykwintnym akcentem w postaci niewielkiego naszyjnika z mahoniem. Fakt, że była wysoka, pociągająca i elegancka, z punktu dawał jej przewagę nad dziennikarzami, którzy sprawiali wrażenie inkwizytorów.

Z lewej strony sali wstała jakaś siwowłosa kobieta i pomachała ręką.

— Mogę, doktor Seagram? Dana z wdziękiem skinęła głową.

— Proszę pani, czytelnicy mojej gazety, „Chicago Daily”, pragnęliby się dowiedzieć, dlaczego rząd wydaje miliony na wydobywanie starego, zardzewiałego wraku. Czy nie lepiej byłoby przeznaczyć te pieniądze na coś innego, powiedzmy na opiekę społeczną czy na tak bardzo potrzebne dofinansowanie miast?

— Z przyjemnością to pani wyjaśnię — odpowiedziała Dana. — Zaczę od tego, że wydobywanie „Titanica” nie jest wyrzucaniem pieniędzy w błoto. Budżet operacji opiewa na dwieście dziewięćdziesiąt milionów dolarów, a naszym dotychczasowym wydatkiem jeszcze daleko do tej sumy. Sporo nam brakuje do wykonania planu.

— Czy nie uważa pani, że to mnóstwo pieniędzy?

— Nie, jeżeli się uwzględni ewentualne zyski. Widzi pani, „Titanic” jest najprawdziwszym magazynem skarbów. Szacunkowo ich wartość oblicza się na przeszło trzysta milionów dolarów. Na jego pokładzie w dalszym ciągu znajduje się mnóstwo kosztowności pasażerów, w samych tylko kabinach luksusowych ich wartość ocenia się na ćwierć miliona dolarów. Następnie wyposażenie statku, meble i cenne ozdoby, z których część mogła się zachować. Każdy kolekcjoner z przyjemnością zapłaciłby od pięciuset do tysiąca dolarów za porcelanową filiżankę czy kryształowy kielich z zastawy w jadalni pierwszej klasy. Nie, proszę państwa, akurat w tym szczególnym wypadku przedsięwzięcie rządowe nie jest, przepraszam za wyrażenie, okradaniem podatnika. Będziemy mieli zyski w dolarach i zyski w historycznej wartości przedmiotów z minionej epoki, nie mówiąc już o ogromnym bogactwie cennych danych dla potrzeb nauki i techniki morskiej.

— Czy można, doktor Seagram? — spytał z końca sali wysoki mężczyzna o ściągniętej twarzy. — Nie mieliśmy czasu na zapoznanie się z informacjami dla prasy, które pani wcześniej rozdała, a więc czy moglibyśmy prosić o podanie szczegółów technicznych operacji?

— Cieszę się, że pan o to zapytał — odpowiedziała Dana i uśmiechnęła się. — Naprawdę, bo pańskie pytanie daje mi okazję do zaprezentowania państwu kilku przezroczy, które powinny wyjaśnić wiele tajemnic tego przedsięwzięcia. — Zwróciła się w stronę kulis: — Proszę zgasić światło.

Światła przygasły i na ekranie, zawieszonym wysoko za pulpitem, ukazało się pierwsze przezrocze.

— Zaczę od zestawu ponad osiemdziesięciu styków, przedstawiających „Titanica” na dnie morza. Na szczęście statek osiadł równo, z lekkim przechyłem na lewą burtę, co zapewnia dogodny dostęp podczas uszczelniania stumetrowego rozdarcia, które jest wynikiem kolizji z górą lodową.

— Czy możliwe jest uszczelnienie rozdarcia o takich rozmiarach na tak ogromnej głębokości?

Ukazało się następne przezrocze, przedstawiające mężczyznę trzymającego coś, co przypominało dużą kroplę płynnego plastyku.

— W odpowiedzi na to pytanie — rzekła Dana — doktor Amos Stanford demonstruje opracowaną przez siebie substancję pod nazwą hydrostal. Jak sama nazwa wskazuje,

hydrostal jest substancją półpłynną, która w ciągu dziewięćdziesięciu sekund od zetknięcia z wodą osiąga twardość stali, przylegając do metalu, jakby była przyspawana.

Informacja ta wywołała falę szeptów, która ogarnęła całą salę.

— W strategicznych punktach wokół wraku rozmieszczono kuliste zbiorniki aluminiowe o średnicy trzech metrów wypełnione hydrostalem — ciągnęła Dana. — Są one tak skonstruowane, że batyskaf może połączyć się z każdym zbiornikiem, podobnie jak prom kosmiczny z laboratorium orbitalnym, a następnie podpłynąć z nim do miejsca pracy, gdzie członkowie załogi wypuszczają hydrostal za pomocą specjalnej dyszy, która pozwala na dokładne celowanie.

— W jaki sposób wypompowuje się hydrostal ze zbiornika?

— Żeby to zilustrować, użyję następnego porównania: duże ciśnienie, panujące na takiej głębokości, wypycha substancję uszczelniającą z aluminiowego zbiornika poprzez dyszę do otworu, który ma być zaślepiony, co bardzo przypomina wyciskanie pasty do zębów z tubki.

Dana gestem poprosiła o kolejne przezrocze.

— Tutaj widzimy rysunek oceanu w przekroju, przedstawiający statki pomocnicze na powierzchni oraz batyskafy skupione wokół wraku na dnie. W operacji biorą udział cztery załogowe pojazdy podwodne. „Safona I”, którą państwo zapewne pamiętają z wyprawy z prądem Lorelei, aktualnie łąta uszkodzenia kadłuba w prawej burcie, spowodowane przez górę lodową, a także na dziobie, w miejscach zniszczonych przez wypadające kotły „Titanica”. Jej młodsza i nowocześniejsza siostra, „Safona II”, uszczelnia mniejsze otwory, takie jak nawiewniki, drzwi oraz iluminatory. Batyskaf marynarki wojennej „Ślimak Morski” odcina zbędne elementy: maszty, osprzęt i ostatni komin, który przewrócił się na pokład łodziowy od strony rufy. Wreszcie „Sonda Głębinowa”, batyskaf należący do spółki naftowej „Uranus”, instaluje zawory bezpieczeństwa w kadłubie i nadbudówkach „Titanica”.

— Czy nie zechciałaby pani wyjaśnić, w jakim celu instaluje się te zawory?

— Oczywiście — odparła Dana. — Kiedy kadłub zacznie wznosić się ku powierzchni, powietrze wpompowane do jego wnętrza będzie się rozprężyło wraz ze spadkiem ciśnienia wody morskiej na zewnątrz. Gdyby stopniowo nie zmniejszono ciśnienia we wnętrzu kadłuba, powietrze prawdopodobnie rozsądziłoby „Titanica”, rozrywając go na kawałki. I właśnie te zawory są po to, żeby zapobiec takiej katastrofalnej ewentualności.

— A zatem do podniesienia wraku NUMA zamierza wykorzystać sprężone powietrze?

— Tak. Na statku pomocniczym „Koziorożec” znajdują się dwa kompresory o wydajności pozwalającej wypchnąć z kadłuba „Titanica” dostateczną ilość wody, by go podnieść.

— Doktor Seagram — odezwał się jakiś głos. — Reprezentuję "Science Today" i przypadkowo wiem, że ciśnienie wody tam, gdzie leży „Titanic”, przekracza czterysta atmosfer. Wiem również, że największe sprężarki mają wydajność, która pozwala osiągnąć ciśnienie o wartości niespełna trzystu atmosfer. Jak państwo zamierzają pokonać tę trudność?

— Główna jednostka na pokładzie „Koziorożca” pompuje powietrze z powierzchni rurą o wzmocnionych ściankach do sprężarki pomocniczej, która znajduje się wewnątrz wraku. Owa sprężarka pomocnicza wyglądem przypomina gwiazdzisty silnik samolotowy, w którym cylindry rozchodzą się promieniście od centralnej osi. Również tutaj wykorzystaliśmy ogromne ciśnienie panujące na dużych głębokościach, w tym wypadku jako napęd tej sprężarki, dodatkowo wspomagany elektrycznością i powietrzem pompowanym z powierzchni. Przepraszam, że nie mogę przedstawić państwu szczegółowego opisu, ale jestem archeologiem, a nie inżynierem. Jednakże admirał Sandecker będzie później do państwa dyspozycji i z pewnością udzieli wyczerpującej odpowiedzi na wszystkie pytania dotyczące spraw technicznych.

— A co z zassaniem? — upierał się głos z „Science Today”. — Czy po tylu latach leżenia w mule „Titanic” nie będzie zbyt mocno przywarty do dna?

— Rzeczywiście będzie — odparła Dana i gestem poprosiła o światło.

Kiedy się zapaliło, oślepią ją blaskiem przez kilka chwil mrugała oczami, zanim zobaczyła, kto jej zadawał te pytania. Był to szatyn w średnim wieku; na nosie miał duże okulary w metalowej oprawce.

— W momencie, gdy obliczenia wykażą, że wewnątrz wraku znajduje się dostateczna ilość powietrza, by wynieść go na powierzchnię, wówczas dostarczająca je rura zostanie odłączona od kadłuba i w osady wokół kilu „Titanica” zacznie się nią wtłaczać specjalny elektrolit, przygotowany przez spółkę Myers-Lentz. W wyniku reakcji chemicznej, powodującej rozpad cząsteczek osadów, powstanie piany, która zniesie tarcie statyczne i tym samym pozwoli wrakowi oderwać się od dna.

Jeszcze jeden mężczyzna podniósł rękę.

— Jeżeli ta operacja zakończy się powodzeniem i „Titanic” zacznie się wznosić ku powierzchni, to czy nie istnieje możliwość, że statek odwróci się do góry dnem? W czasie czterokilometrowej drogi pozbawionemu równowagi obiektowi o ciężarze czterdziestu pięciu tysięcy ton trudno będzie zachować prawidłową pozycję.

— Ma pan rację. Rzeczywiście istnieje możliwość, że wrak odwróci się do góry dnem, ale w jego dolnych ładowniach zamierzamy zostawić wystarczającą ilość wody, która temu zapobiegnie, pełniąc rolę balastu.

Podniosła się jakaś młoda kobieta o męskim wyglądzie i pomachała ręką.

— Doktor Seagram, jestem Connie Sanchez z tygodnika „Wyższość Kobiet”. Moje czytelniczki pragnęłyby się dowiedzieć, jakie pani rozwinęła w sobie mechanizmy obronne, by móc na co dzień skutecznie konkurować z egoistycznymi grupkami, którzy zdominowali ten zawód?

Pytanie to sprawiło, że zebrani w sali dziennikarze z zażenowaniem umilkli. Boże, pomyślała Dana, prędzej czy później musiało do tego dojść. Odsunęła się od pulpitu i stanęła w niedbałej, prawie kuszącej pozie.

— Moja odpowiedź, pani Sanchez, absolutnie nie nadaje się do publikacji.

— A więc robi pani unik — stwierdziła Connie Sanchez z uśmiechem wyższości.

Dana udała, że go nie zauważyła.

— Po pierwsze uważam, że nie potrzebuję żadnych mechanizmów obronnych. Moi koledzy wystarczająco szanują mnie za inteligencję, by liczyć się z moim zdaniem. Nie muszę chodzić bez stanika czy pokazywać nóg, żeby zwracali na mnie uwagę. Po drugie wolę konkurować na dobrze znanym mi gruncie swojej własnej płci, co nie powinno nikogo dziwić, jeżeli uwzględni się fakt, że stu czternastu spośród czterystu czterdziestu naukowców w NUMA to kobiety. A po trzecie, pani Sanchez, jedyne głupie osoby, jakie miałam pecha spotkać w życiu, reprezentowały żeńską część rodu ludzkiego.

Na chwilę sala osłupiała z wrażenia. Krępującą ciszę przerwał nagle jakiś głos.

— Brawo, pani doktor! — wykrzyknęła drobna siwowłosa dziennikarka z „Chicago Daily”. — Ale ją pani załatwiła!

Szmer aplauzu przeszedł w burzę oklasków. Zaprawieni w bojach waszyngtońscy dziennikarze wyrażali swoje uznanie owacją na stojąco.

Connie Sanchez siedziała na swoim miejscu czerwona ze złości, miotając lodowate spojrzenia. Zauważywszy, że jej wargi układają się w słowo „suka”, Dana odpowiedziała ironicznym uśmiechem zadowolenia z siebie, co dobrze potrafią robić jedynie kobiety. Jak słodkie jest schlebianie, pomyślała.

Od wczesnego ranka nieustannie wiało z północnego wschodu. Późnym popołudniem wiatr stęzał do wichury o prędkości czterdziestu pięciu węzłów, która tak wzburzyła ocean, że statki uczestniczące w operacji podnoszenia wraku podskakiwały na falach jak papierowe kubki. Sztorm przyniósł ze sobą falę paraliżującego zimna znad pustkowi poza kołem polarnym. Nikt nie odważył się wyjść na oblodzone pokłady. Nie jest tajemnicą, że to wiatr odbiera ciepło ciała. Ludzie odczuwają większy chłód i gorzej znoszą temperaturę pięciu stopni poniżej zera przy wietrze o prędkości trzydziestu pięciu węzłów niż wówczas, gdy mróz sięga dwudziestu pięciu stopni, ale nie wieje. Wiatr szybciej pozbawia ciepła, niż organizm je wytwarza — to nieprzyjemne zjawisko znane jest jako tzw. czynnik oziębiający.

Joel Farquar, specjalista od pogody, wypożyczony przez „Koziorożca” z Federalnego Zarządu Służb Meteorologicznych, zdawał się nie zwracać uwagi na sztorm szalejący za oknami centrali operacyjnej, kiedy obserwował instrumenty odbierające sygnały z satelitów meteorologicznych, które co dwadzieścia cztery godziny przysyłały z kosmosu zdjęcia północnego Atlantyku.

— No i jaką przyszłość wroży nam twój przewidujący umysł? — spytał Pitt, próbując utrzymać równowagę na rozkołysanej podłodze.

— Za godzinę sztorm znacznie słabnąć — odparł Farquar. — Nim jutro wstanie słońce, szybkość wiatru powinna spaść do dziesięciu węzłów.

Farquar nie podniósł wzroku, kiedy mówił. Ten pracowity niski mężczyzna o czerwonej twarzy był całkowicie pozbawiony poczucia humoru i życzliwości. Cieszył się jednak szacunkiem wszystkich uczestników operacji ze względu na pełen poświęcenia stosunek do pracy i fakt, że jego prognozy zawsze dokładnie się sprawdzały.

— Nawet najlepiej opracowane plany... — mruknął Pitt do siebie. — Kolejny stracony dzień. Cztery razy w tygodniu musimy przerywać i zostawiać na boi rurę do pompowania powietrza.

— To Bóg zsyła sztormy — obojętnie stwierdził Farquar. Kiwnął głową w stronę dwóch rzędów monitorów telewizyjnych, które zajmowały całą przednią ścianę centrali operacyjnej na „Koziorożcu”. — Przynajmniej im to w ogóle nie przeszkadza.

Pitt spojrział na ekrany, które pokazywały batyskafy spokojnie pracujące przy wraku, cztery kilometry pod powierzchnią niespokojnego morza. Ich samowystarczalność była błogosławieństwem dla całego przedsięwzięcia. Z wyjątkiem „Ślimaka Morskiego”, którego maksymalny czas zanurzenia wynosił tylko osiemnaście godzin, teraz bezpiecznie umocowanego do pokładu „Modoca”, pozostałe trzy batyskafy mogły przebywać przy „Titanicu” pięć dni z rzędu i dopiero po tym okresie wracały na powierzchnię dla wymiany załóg. Pitt odwrócił się do Ala Giordina, pochylonego nad dużym stołem z mapami.

— Jaki jest szyk statków pomocniczych?

Giordino wskazał ręką małe, pięciocentymetrowe modele rozrzucone po mapie.

— „Koziorożec” jak zwykle w środku. „Modoc” z dziobu na kursie, a „Bomberger” wlecze się trzy mile za rufą.

Pitt spojrział na model „Bombergera”. Był to nowy statek, specjalnie skonstruowany do wydobywania wraków z dużych głębokości.

— Każ jego kapitanowi zbliżyć się na jedną milę.

Giordino kiwnął głową w stronę łysego radiooperatora, który siedział przed nadajnikiem, dla bezpieczeństwa przypięty do pochylego pulpitu.

— Słyszałeś, Curley? Przekaż „Bombergerowi”, żeby się zbliżył na milę z rufy.

— A co ze statkami zaopatrzeniowymi? — spytał Pitt.

— Żadnych problemów. Taka pogoda to małe piwo dla tak dużych łajb jak one. „Alhambra” zajmuje swoją pozycję z lewej burty, a „Monterey Park” jest tam, gdzie powinien być, z prawej.

Pitt ruchem głowy wskazał mały czerwony model.

— Widzę, że nasi rosyjscy przyjaciele są ciągle z nami.

— „Michaił Kurkow”? — spytał Giordino. Wziął do ręki niebieską replikę okrętu wojennego i postawił ją przy czerwonym modelu. — Noo... ale ta zabawa nie jest dla niego zbyt przyjemna, bo krążownik raketowy „Junona” z wyrzutniami pocisków kierowanych trzyma się go, jakby go kto przykleił.

— A boja sygnałowa wraku?

— Spokojnie sobie popiskuje z głębokości dwudziestu pięciu metrów — oznajmił Giordino. — Tylko tysiąc dwieście metrów stąd, co do milimetra, w niamiarze pięćdziesiąt dziewięć, to znaczy na południowy wschód.

— Dzięki Bogu nie zdryfowaliśmy — powiedział Pitt i westchnął.

— Nie denerwuj się — rzekł Giordino, uśmiechając się pocieszająco. — Za każdym razem, gdy trochę podmucha, zachowujesz się jak matka, której córka wraca z randki o północy.

— Ten kompleks kwoki staje się coraz gorszy, im bliżej końca — przyznał Pitt. — Tylko dziesięć dni, Al. Jeżeli przez dziesięć dni utrzyma się dobra pogoda, będziemy mogli zwinąć cały ten interes.

— Wszystko zależy od naszej wyroczni — powiedział Giordino i zwrócił się do Farquara: — Co ty na to, wielki proroku meteorologicznej mądrości?

— Ode mnie możecie dostać prognozę najwyżej na dwanaście godzin — mruknął Farquar, nie podnosząc wzroku. — Tu jest północny Atlantyk, a to najbardziej nieobliczalny ocean. Co chwila się zmienia. Gdyby ten wasz cenny „Titanic” zatonął na Oceanie Indyjskim, tobym wam dał dziesięciodniową prognozę z osiemdziesięcio-procentową dokładnością.

— Gadanie — odparł Giordino. — Założę się, że kiedy kochasz się z kobietą, to zanim się do niej dobierzesz, nie mówisz jej, że będzie miała tylko czterdzieści pięć procent przyjemności.

— Czterdzieści pięć procent to lepsze niż nic — obojętnie stwierdził Farquar.

Pitt zauważył, że operator sonaru podniósł rękę, więc podszedł do niego.

— Co jest?

— Jakiś dziwny dźwięk na wzmacniaczu — odparł operator. Miał bladą twarz i posturę goryla. — Od około dwóch miesięcy czasami go słyszę. To bardzo dziwny dźwięk, jakby ktoś coś nadawał.

— Rozszyfrowałeś to?

— Nie, szefie. Dałem posłuchać Curleyowi, ale on mówi, że to jakiś bełkot.

— Prawdopodobnie na wraku coś się obluźowało i prąd wody tym klekoce.

— Albo duchy — rzekł operator sonaru.

— Nie wierzysz w nie, ale się ich boisz, co?

— Razem z „Titanikiem” zatoneło półtora tysiąca ludzi — odparł operator. — Niewykluczone, że duch przynajmniej jednego z nich wrócił na statek, żeby straszyć.

— Mnie interesuje tylko jeden rodzaj spirytualizmu — rzucił Giordino od stołu z mapami. — Zagładanie do butelki...

— Zgasł obraz z kamery w kabinie „Safony II” — odezwał się jasny blondyn siedzący przy monitorach.

Pitt natychmiast znalazł się koło niego i spojrzał na ciemny ekran.

— Może u nas coś nawaliło?

— Nie, szefie. Wszystkie obwody tutaj i w przekaźniku boi działają. Coś musiało nawalić na „Safonie II”. Wygląda to, jakby na obiektywie kamery ktoś powiesił szmatę.

Pitt wziął do ręki grafik z rozkładem pracy załóg.

— Na tej zmianie „Safona II” jest pod komendą Omara Woodsona.

Curley nacisnął guzik i włączył nadajnik.

— „Safona II”, halo, „Safona II”, zgłoś się. — Pochylił się do przodu, rękami przyciskając słuchawki do uszu. — Słabo słyhać, szefie. Mnóstwo zakłóceń. Słowa są bardzo porwane. Niczego nie mogę zrozumieć.

— Włącz głośnik — rozkazał Pitt.

W centrali operacyjnej zaskrzeczał jakiś głos, przytłumiony trzaskami.

— Coś blokuje przekaz — rzekł Curley. — Przekaznik na boi powinien odbierać sygnał czysto i wyraźnie.

— Nastaw głośność do oporu. Może uda nam się coś zrozumieć z odpowiedzi Woodsona.

— „Safona II”, prosimy o powtórzenie. Nie możemy cię zrozumieć. Odbiór.

W chwili gdy Curley przekręcił potencjometr, wszyscy aż podskoczyli, ogłuszeni wybuchem trzasków dobywających się z głośnika.

— ...rożec. Mamy..... po... biór.

Pitt chwycił mikrofon.

— Omar, tu Pitt. Wysiadła wam kamera telewizyjna. Możesz to naprawić? Czekamy na odpowiedź. Odbiór.

Wszyscy wpatrywali się w głośnik, jakby był żywą istotą. Minęło pięć nie kończących się minut, pełnych niecierpliwego oczekiwania na meldunek Woodsona. I wtedy w głośniku znów odezwał się grzmot przerywanych słów:

— Hen... Munk... simy poz... na... wy... Zaintrygowanie wykrzywiło twarz Giordina.

— Chodzi o Munka. Reszta jest za bardzo zniekształcona, żeby cokolwiek zrozumieć.

— Jest obraz. — Okazało się, że nie wszyscy patrzyli na głośnik. Młody człowiek przy monitorach ani na chwilę nie oderwał wzroku od ekranu „Safony II”. — Wygląda na to, że załoga zebrała się wokół kogoś, kto leży na podłodze.

Wszyscy jednocześnie odwrócili głowy w stronę monitora telewizyjnego, jak widzowie na meczu tenisowym. Przed kamerą w różnych kierunkach poruszali się członkowie załogi, a w głębi trzej mężczyźni stali pochyleni nad ciałem rozciągniętym w dziwnej pozie na wąskiej podłodze kabiny batyskafu.

— Omar, słyszysz mnie?! — krzyknął Pitt do mikrofonu. — Nie rozumiemy, co mówisz. Już was widzimy. Napisz na kartce, co chciałeś nam powiedzieć, i potrzymaj ją przed kamerą. Odbiór.

Zobaczyli, że jedna z postaci odłącza się od reszty, pochyla nad stołem, przez kilka chwil pisze, a później podchodzi do kamery. To był Woodson. Trzymał przed sobą kartkę papieru, na której widniał napis wykonany nierównymi drukowanymi literami: HENRY MUNK NIE ŻYJE. PROSIMY O POZWOLENIE NA WYNURZENIE.

— O Boże! — Mina Giordina wyrażała absolutne zaskoczenie. — To nie może być prawda.

— Omar Woodson nie robi głupich kawałów — rzekł Pitt ponurym głosem. Znów zaczął mówić do mikrofonu: — Odmawiam pozwolenia, Omar. Nie możecie się wynurzyć. Tu, na powierzchni, wieje z prędkością trzydziestu pięciu węzłów. Morze jest wzburzone. Powtarzam, nie możecie się wynurzyć.

Woodson skinął głową na znak, że zrozumiał. Potem dopisał jeszcze coś, ukradkiem rozglądając się na boki.

Napis brzmiał: PODEJRZEWAM, ŻE MUNK ZAMORDOWANO!

Pobladła nawet zazwyczaj nieodgadniona twarz Farquara.

— Teraz musisz im pozwolić, żeby się wynurzyli — szepnął.

— Zrobię to, co powinienem — odparł Pitt, zdecydowanie kręcąc głową. — Nie wolno mi kierować się emocjami. Na pokładzie „Safony II” jest jeszcze pięciu żywych ludzi. Nie mogę ryzykować i sprowadzić ich na powierzchnię tylko po to, żeby wszystkich stracić na

dziesięciometrowej fali. Nie, panowie, będziemy musieli po prostu usiąść i poczekać do wschodu słońca, żeby rozejrzeć się po wnętrzu „Safony II”.

41.

Pitt skierował „Koziorożca” do boi, gdy tylko prędkość wiatru spadła do dwunastu węzłów. Załoga znów podłączyła przewód, którym pompowano powietrze ze statku do „Titanica”, i czekała na wypłynięcie „Safony II”. Kiedy zakończono ostatnie przygotowania do przyjęcia batyskafu, niebo na wschodzie zaczęło jaśnieć. Nurkowie szykowali się, by wskoczyć do wody, zająć stanowiska wokół „Safony II” i zabezpieczyć ją linami przed wywrotką na wysokiej fali; klarowano windy i liny, które wyciągną batyskaf z oceanu, a następnie przeniosą do otwartej rufy „Koziorożca”; w kambuzie kucharz zaczął robić kawę i obfite śniadanie na przyjęcie załogi batyskafu. Kiedy już wszystko przygotowano, naukowcy i technicy w milczeniu stali na pokładzie drżąc z zimna, ranek bowiem był chłodny, i rozmyślali o śmierci Henry'ego Munka.

O godzinie szóstej dziesięć batyskaf wynurzył się ze wzburzonych fal sto metrów od lewej burty „Koziorożca”. Łodzią wywieziono linę i po dwudziestu minutach „Safonę II” wciągnięto na rufową pochylnię statku pomocniczego. Kiedy już znalazła się na swoim miejscu, bezpiecznie umocowana, otwarto luk, z którego pierwszy wyszedł Woodson, a za nim czterech pozostałych przy życiu członków załogi.

Woodson wspiał się na górny pokład, gdzie czekał na niego Pitt. Omar miał oczy zaczerwienione z niewyspania i poszarzałą twarz, pokrytą kilkudniowym zarostem, lecz uśmiechnął się blado, gdy Pitt podał mu kubek parującej kawy.

— Nie wiem, co mnie bardziej cieszy, twój widok czy kawa — powiedział.

— Zawiadomiłeś mnie o morderstwie — rzekł Pitt bez słowa powitania.

Woodson wypił parę łyków kawy i spojrzał na ludzi ostrożnie wydobywających ciało Munka z luku batyskafu.

— Nie tutaj — odezwał się cicho.

Pitt wskazał ręką drogę do swojej kabiny. Kiedy drzwi były już zamknięte, nie tracił czasu:

— Dobra, zaczynajmy.

Woodson ciężko usiadł na koi Pitta i przetarł sobie oczy.

— Niewiele mogę ci powiedzieć. Znajdowaliśmy się jakieś dwadzieścia metrów nad dnem morza, uszczelniając drzwi z prawej burty na pokładzie C, kiedy zawiadomiłeś mnie, że nawaliła kamera telewizyjna. Poszedłem na rufę, żeby to sprawdzić, i zobaczyłem Munka z wgniecioną lewą skronią, leżącego na podłodze.

— Czy można było się zorientować, od czego powstała ta rana?

— To się rzucało w oczy jak nos na twarzy Pinokia — odparł Woodson. — Róg obudowy alternatora oblepiony był strzępkami naskórka, włosami i krwią.

— Nie znam wnętrza „Safony II”. Gdzie jest zamontowany alternator?

— Na prawej burcie, około trzech metrów od rufy. Obudowa wystaje z podłogi na jakieś piętnaście centymetrów, żeby ułatwić dostęp i konserwację.

— A więc to mógł być wypadek. Może Munk się potknął, przewrócił i uderzył głową w krawędź alternatora.

— Może, tylko że jego nogi leżały w złą stronę.

— A co jego nogi mają z tym wspólnego?

— Leżały w stronę rufy.

— No to co?

— Nie kapujesz? — powiedział zniecierpliwiony Woodson. — Munk musiał iść w stronę dziobu, kiedy upadł.

Dla Pitta wszystko stało się jasne i wreszcie dostrzegł, co tu nie pasowało.

— Obudowa alternatora jest na prawej burcie, a więc Munk powinien mieć strzaskaną prawą skroń, a nie lewą.

— Właśnie.

— A co wysiadło w kamerze?

— Nic nie wysiadło. Ktoś powiesił ręcznik na obiektywie.

— Gdzie w tym czasie znajdowali się poszczególni członkowie załogi?

— Ja pracowałem przy dyszy, a batyskafem sterował Sam Merker. Munk zostawił tablicę przyrządów i poszedł do toalety, która jest na rufie. Myśmy stanowili drugą wachtę. Na pierwszej był Jack Donovan...

— Taki młody blondyn, inżynier-konstruktor z Wydziału Budowy Okrętów?

— Zgadza się. Następnie porucznik Leon Lucas, specjalista od ratownictwa morskiego oddelegowany z marynarki wojennej, i Ben Drummer. Wszyscy trzej spali w swoich kojach.

— Z tego niekoniecznie musi wynikać, że którykolwiek z nich zabił Munka — stwierdził Pitt. — W jaki sposób to uzasadnić? Przecież nikogo nie zabija się ot tak po prostu, bez przyzwoitego motywu.

Woodson wzruszył ramionami.

— Będziesz musiał sprowadzić Sherlocka Holmesa. Ja wiem tylko to, co widziałem.

Pitt nie dawał za wygraną.

— Munk mógł się obrócić, kiedy padał.

— Nie, chyba żeby miał szyję z gumy, która obraca się o sto osiemdziesiąt stopni.

— Spróbujmy inaczej. Co trzeba zrobić, żeby mężczyzna o wadze stu kilogramów zabił się wskutek uderzenia głową w metalowy narożnik, który znajduje się zaledwie piętnaście centymetrów nad podłogą? Młotem kowalskim podciąć mu nogi?

Woodson bezradnie rozłożył ręce.

— Dobra, może mi odbiło i zacząłem widzieć maniakałnych morderców tam, gdzie w ogóle ich nie ma. Tylko Bóg jeden wie, jak obecność tego wraka wpływa po pewnym czasie na człowieka. Mógłbym przysiąc, że chwilami sam widziałem ludzi spacerujących po pokładach, opierających się o relingi i patrzących w naszą stronę.

Ziewnął i widać było, że z trudem utrzymuje otwarte oczy.

Pitt podszedł do drzwi i odwrócił się.

— Lepiej się trochę prześpij. Później o tym porozmawiamy.

Woodsonowi nie trzeba było tego powtarzać. Już spokojnie spał, kiedy Pitt znajdował się w połowie drogi do izby chorych.

Doktor Cornelius Bailey był słoniowatym mężczyzną o szerokich barach i wysuniętej do przodu głowie z kwadratową szczęką. Miał długie jasnorude włosy, sięgające kołnierzyka, i elegancko przystryżoną brodę w stylu van Dycka. Cieszył się popularnością wśród członków załóg prowadzących prace wydobywcze i potrafił sam wypić więcej niż pięciu z nich razem wziętych, jeśli tylko był w nastroju, by to udowodnić. Swoimi wielkimi dłońmi, przypominającymi bochenki chleba, odwrócił leżące na stole ciało Munka jak drewnianą lalkę, którą w rzeczywistości prawie było, biorąc pod uwagę zaawansowane stężenie pośmiertne.

— Biedny Henry — powiedział. — Chwała Bogu, że nie miał rodziny. Okaz zdrowia. Wszystko, co mogłem dla niego zrobić, kiedy ostatni raz go badałem, to usunąć mu włoskowinę z uszu.

— Co możesz mi powiedzieć o przyczynie śmierci? — spytał Pitt.

— To jasne — odparł Bailey. — Po pierwsze, rozległe uszkodzenie płata skroniowego...

— Co miałeś na myśli, mówiąc po pierwsze?

— Właśnie to, mój drogi panie Pitt. Tego człowieka zabito mniej więcej dwa razy. Spójrz na to. — Odsunął koszulę Munka, odsłaniając mu kark. U podstawy czaszki widać było siniak. — Rdzeń kręgowy zmiądzony tuż przy rdzeniu przedłużonym. Prawdopodobnie jakimś tępym narzędziem.

— A więc Woodson miał rację, że Munk został zamordowany.

— Zamordowany, powiadasz? O tak, oczywiście, nie ma żadnych wątpliwości — spokojnie stwierdził Bailey, jak gdyby morderstwo było codziennym zjawiskiem na pokładzie statku.

— Wygląda na to, że zabójca uderzył Munka z tyłu, a potem rąbnął jego głowę w obudowę alternatora, żeby upozorować wypadek.

— Bardzo możliwe.

Pitt położył rękę na ramieniu Baileya.

— Będę wdzięczny, jeżeli na jakiś czas zatrzymasz to odkrycie dla siebie, doktorze.

— Nie pisnę ani słowa, nabieram wody w usta, i tak dalej. Już się o to nie martw. Mój raport i świadectwo zgonu będą tu na ciebie czekały, gdybyś ich potrzebował.

Pitt uśmiechnął się do lekarza i wyszedł z izby chorych. Ruszył na rufę, gdzie stała „Safona II”, z której słona woda ściekała na pochylnię, po drabince wspiął się do wjazdu i zniknął we wnętrzu. Jakiś technik sprawdzał kamerę telewizyjną.

— No i jak to wygląda? — spytał Pitt.

— Nic jej się nie stało — odparł technik. — Kiedy tylko specjaliści od konstrukcji sprawdzą kadłub, będzie mógł pan wysłać batyskaf z powrotem.

— Im wcześniej, tym lepiej,

Pitt minął technika i poszedł na rufę. Krew Munka była już wytarta z podłogi i rogu obudowy alternatora.

W głowie Pitta kłębiły się myśli. Tylko jedna z nich przybrała konkretny kształt, choć właściwie nie była to myśl, a raczej pewność, że coś wskaże mordercę. Sądził, że poszukiwania zajmą mu godzinę albo więcej, lecz los się do niego uśmiechnął. W ciągu dziesięciu minut znalazł to, czego potrzebował.

42.

— Czy ja dobrze pana rozumiem? — spytał Sandecker, rzucając wściekle spojrzenia zza biurka. — Na jednym z członków mojej załogi popełniono brutalne morderstwo, a pan mi każe spokojnie siedzieć i nie reagować, gdy tymczasem morderca pozostaje na wolności?

Warren Nicholson nerwowo wiercił się w fotelu, unikając wzroku admirała.

— Zdaję sobie sprawę, że trudno panu to zaakceptować.

— Łagodnie powiedziane — prychnął Sandecker. — A może przyjdzie mu do głowy, żeby znowu kogoś zabić?

— To wkalkulowane ryzyko, które wzięliśmy pod uwagę.

— Wzięliśmy pod uwagę? — powtórzył Sandecker jak echo. — Łatwo wam to powiedzieć, kiedy siedzicie sobie w centrali CIA. Nie jest pan zamknięty w batyskafie jak w pułapce tam na dnie, tysiące metrów pod powierzchnią oceanu, i nie zastanawia się, czy stojący obok człowiek nie rozwali panu łba.

— Jestem pewien, że do tego nie dojdzie — powiedział Nicholson beznamiętnie.

— Skąd ta pewność?

— Zawodowi agenci rosyjscy nie mordują, o ile nie jest to absolutnie konieczne.

— Agenci rosyjscy... — Zaskoczony Sandecker wytrzeszczył na Nicholsona oczy pełne niedowierzania. — Na Boga, co pan wygaduje?

— To, co pan słyszy. Henry'ego Munka zabił agent pracujący dla wywiadu sowieckiej marynarki.

— Nie ma pewności. Brak dowodów...

— Na sto procent nie. Mógłby to być kto inny, ktoś, kto żywił do Munka jakąś urazę, ale wszystko wskazuje na agenta opłacanego przez Rosjan.

— Lecz dlaczego Munk? — zapytał Sandecker. — Był specjalistą od instrumentów. Jakież zagrożenie mógł stanowić dla szpiega?

— Podejrzewam, że zobaczył coś, czego nie powinien widzieć, i wobec tego należało mu zamknąć usta — odparł Nicholson. — Ale, że tak powiem, to tylko połowa. Widzi pan, admirale, tak się złożyło, że nie jeden, lecz dwóch rosyjskich agentów infiltruje waszą operację.

— Nie przyjmuję tego do wiadomości.

— Panie admirale, przecież my zajmujemy się szpiegostwem i ustalaniem takich rzeczy.

— Którzy to? — spytał Sandecker. Nicholson bezradnie wzruszył ramionami.

— Przykro mi, ale tylko tyle mogę panu powiedzieć. Z naszych informacji wynika, że używają pseudonimów „Srebrny” i „Złoty”, lecz nawet się nie domyślamy ich prawdziwych nazwisk.

W oczach Sandeckera pojawiła się zawziętość.

— A gdyby moi ludzie sami to ustalili?

— Mam nadzieję, że będzie pan z nami współpracował, przynajmniej na razie, proszę więc kazać im trzymać język za zębami i nie podejmować żadnych akcji.

— Ale to mogą być sabotażyści i uniemożliwią całą operację.

— Jesteśmy skłonni przypuszczać, że nie otrzymali rozkazu prowadzenia działań destrukcyjnych.

— To szaleństwo, czyste szaleństwo — mruknął Sandecker. — Czy pan w ogóle zdaje sobie sprawę, o co mnie prosicie?

— Kilka miesięcy temu prezydent zadał mi to samo pytanie i moja odpowiedź ciągle jest ta sama: nie. Zdaję sobie jednak sprawę, że chodzi wam o coś więcej niż tylko o zwykłe wydobycie statku, lecz prezydent nie uznał za stosowne zdradzić mi prawdziwej przyczyny tego waszego przedstawienia. Sandecker zacisnął zęby.

— No dobrze, a jeśli się zgodzę, to co?

— Będzie pan o wszystkim informowany. We właściwym czasie otrzymacie zielone światło i przymkniecie sowieckich agentów.

Admirał siedział w milczeniu przez kilka chwil. Kiedy w końcu się odezwał, Nicholson zwrócił uwagę na jego śmiertelnie poważny ton.

— Dobra, Nicholson, dam się w to wrobić. Ale niech Bóg ma pana w swojej opiece, jeżeli tam, pod wodą, dojdzie do jakiegoś tragicznego wypadku albo następnego morderstwa. Konsekwencje tego będą straszniejsze, niż może pan sobie wyobrazić.

43.

Mel Donner, zlanym wiosennym deszczem, wszedł frontowymi drzwiami do domu Marie Sheldon.

— To mnie chyba nauczy, żebym woził parasol w samochodzie — powiedział wyjmując chusteczkę do nosa i wycierając sobie garnitur. Marie zamknęła drzwi i przyglądała mu się z ciekawością.

— W czasie sztormu każdy port jest dobry. Prawda, przystojniaku?

— Przepraszam, nie dosłyszałem?

— Z pańskiego wyglądu wnoszę, że szuka pan schronienia, dopóki deszcz nie ustanie, a łaskawy los skierował pana pod mój dach — śmiało powiedziała Marie zalotnym tonem.

Donner na moment zmrużył oczy, ale tylko na moment, a potem się uśmiechnął.

— Przepraszam. Nazywam się Mel Donner i jestem starym znajomym Dany. Czy ją zastałem?

— Wiedziałam, że obcy mężczyzna, który stoi na progu mojego domu i błaga, żebym go do siebie wpuściła, to zbyt piękne, by było prawdziwe — odparła z uśmiechem. — Jestem Marie Sheldon. Proszę wejść i się rozgościć, a ja tymczasem zawołam Danę i przyniosę panu filiżankę kawy.

— Dziękuję. Ta kawa to wspaniały pomysł.

Donner taksującym spojrzeniem obrzucił Marie, kiedy szła do kuchni. Miała na sobie krótką białą spódniczkę do tenisa, dżersejową górę bez rękawów i była boso. Mocno kołysząc biodrami, wprawiała w ruch spódniczkę, którą bezwstydnie i kusząco wywijiała na boki.

Wróciła z filiżanką kawy.

— Dana w weekendy leniuchuje. Rzadko zwleka się z łóżka przed dziesiątą. Pójdę na górę ją pogonić.

Czekając na nią, Donner czytał tytuły książek na regale obok kominka. Często tak robił. Rzadko się zdarza, by tytuły książek nie stanowiły klucza do osobowości i gustów ich właściciela.

Wybór był typowy dla samotnej kobiety: kilka tomików poezji, *Prorok*, książka kucharska „New York Timesa” oraz romanse i bestsellery. Donnera zainteresowało jednak ich ustawienie. Pomiędzy *Fizyką międzykontynentalnych wypływów lawy* a *Geologią podwodnych kanionów* znalazł *Wyjaśnienie marzeń seksualnych kobiety* i *Historię O*. Akurat sięgał po tę ostatnią książkę, gdy usłyszał kroki na schodach. Odwrócił się, kiedy Dana weszła do pokoju.

Zbliżyła się i objęła go.

— Mel, jak cudownie znów cię widzieć.

— Wspaniale wyglądasz — powiedział.

Już nie było śladu po miesiącach pełnych napięcia i udręki. Dana wydawała się spokojniejsza, a jej uśmiech stracił nerwowość.

— Jak się miewa nasz szalejący kawaler? — spytała. — Na jaką przynętę w tym tygodniu podrywasz biedne, niewinne panienki, na chirurga mózgu czy astronautę?

Donner poklepał się po wydatnym brzuchu.

— Z astronauty na razie zrezygnowałem, dopóki nie zrzucę paru kilogramów. Właściwie ze względu na popularność, jaką się cieszyacie w związku z „Titanikiem”, to chyba nic złego by się nie stało, gdybym opowiadał tym samotnym ślicznotkom, przesiadującym w waszyngtońskich barach, że pracuję jako nurek na pełnym morzu.

— A dlaczego po prostu nie powiesz im prawdy? W końcu jesteś w tym kraju jednym z najlepszych fizyków i nie masz się czego wstydzić.

— Wiem, ale tak jakoś dziwnie się składa, że to mi odbiera całą przyjemność. Poza tym kobiety uwielbiają, kiedy się udaje kogoś innego.

— Przynieść ci jeszcze kawy? — spytała, ruchem głowy wskazując filiżankę.

— Nie, dziękuję — odparł z uśmiechem, ale po chwili spoważniał. — Wiesz, po co przyszedłem.

— Domyślam się.

— Martwię się o Gene'a.

— Ja również.

— Mogłabyś do niego wrócić.

Spojrzała Melowi prosto w oczy.

— Ty niczego nie rozumiesz. Kiedy jesteśmy razem, wszystko wygląda jeszcze gorzej.

— Bez ciebie on czuje się zagubiony. Dana pokręciła głową.

— Jego kochanką jest praca. Ja służyłam mu tylko za podporę, kiedy był sfrustrowany. Jak większość żon, do rozstroju doprowadza mnie udręka wynikająca z jego obojętności, którą mi okazuje, kiedy ma nadmierne stresy w pracy. Czy ty tego nie rozumiesz, Mel?

Musiałam opuścić Gene'a, zanimbyśmy się wzajemnie zniszczyli. — Dana odwróciła twarz i ukryła ją w dłoniach, ale szybko się opanowała. — Gdyby on to rzucił i z powrotem zajął się studentami, wówczas byłoby inaczej.

— Nie powinienem ci tego mówić — rzekł Donner — ale jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to ten projekt za miesiąc zostanie zrealizowany. Wtedy Gene'a już nic nie będzie trzymało w Waszyngtonie i może wrócić na uniwersytet.

— A co z waszymi kontraktami z rządem?

— Skończą się. Podpisaliśmy kontrakty na określony projekt i kiedy go zrealizujemy, to będziemy wolni. Wówczas nic nam nie pozostanie, jak tylko pięknie się uklonić i wrócić na uczelnię, z których przyszliśmy.

— Ale wtedy on może już mnie nie zechce.

— Znam Gene'a — powiedział Donner. — Jest wierny jednej kobiecie. Na pewno zechce... o ile, oczywiście, jeszcze się z nikim nie związałaś.

— A niby skąd takie przypuszczenie?

— W zesłą środę przypadkowo byłem wieczorem w restauracji „U Webstera”.

O Boże! — pomyślała Dana. Jedna z nielicznych randek od rozstania z Gene'em już zaczęła ją prześladować. To właśnie wtedy we czwórkę z Marie i dwoma biologami z laboratorium morskiego NUMA spędziła miły wieczór w sympatycznym towarzystwie. Tylko tyle, nic więcej się nie wydarzyło.

Wstała i rzuciła Donnerowi wściekle spojrzenie.

— Ty, Marie, a nawet... tak, nawet prezydent, wszyscy oczekujecie ode mnie, żebym na kłęczkach wróciła do Gene'a i dała mu poczucie bezpieczeństwa jak jakaś cholerna kołderka, bez której nie może zasnąć. Ale żadne z was nawet się nie pofatygowało, żeby zapytać, jak ja się czuję, co się we mnie dzieje i jakie przeżywam frustracje. Niech was wszystkich diabli wezmą! Jestem panią siebie i mogę robić ze swoim życiem, co mi się podoba. Wrócę do Gene'a, kiedy sama zechcę. A jeśli będę miała ochotę spotkać się z jakimś innym mężczyzną i pójść z nim do łóżka, to moja sprawa.

Odwróciła się na pięcie, zostawiając zdumionego i zakłopotanego Donnera. Wbiegła na schody, wpadła do pokoju i rzuciła się na łóżko. To, co powiedziała, to tylko słowa. Nigdy żaden mężczyzna nie zajmie w jej życiu miejsca Gene'a Seagrama i była pewna, że nadejdzie taki dzień, kiedy do niego wróci. Teraz jednak płakała, póki jej starczyło łez.

Cztery ogromne kwadrofoniczne kolumny zagrzmiały muzyką z gramofonu umieszczonego w jednej z lustrzanych ścian i obsługiwanego przez prezenterkę. Na zatłoczonym parkiecie wielkości znaczka pocztowego gęsty dym z papierosów przecinały kolorowe błyskawice jaskrawego światła, strzelające z sufitu dyskoteki. Donner samotnie siedział przy stoliku, obojętnie patrząc na pary tańczące w rytm hałaśliwej muzyki.

Jakaś drobna blondynka podeszła do niego i nagle się zatrzymała.

— Wzięty adwokat?

Donner podniósł wzrok, roześmiał się i wstał.

— Miss Sheldon...

— Marie — powiedziała z miłym uśmiechem.

— Pani tu sama?

— Nie, jestem z pewnym małżeństwem i czuję się jak piąte koło u wozu.

Donner spojrział tam, gdzie pokazała, ale trudno byłoby mu powiedzieć, o kogo jej chodziło w tłumie kłębiącym się na parkiecie. Podstawił krzesło.

— Już ma pani partnera.

W pobliżu znalazła się kelnerka roznosząca koktajle i przyjęła zamówienie od Donnera, który musiał przekrzykiwać hałas. Kiedy z powrotem odwrócił się do Marie, wówczas zauważył, że patrzy na niego z aprobatą.

— Jak na fizyka, nieźle się pan prezentuje, panie Donner.
— Cholera! A ja chciałem dziś wyglądać na agenta CIA. Uśmiechnęła się szeroko.
— Dana opowiadała mi o pańskich eskapadach. To wstyd sprowadzać biedne dziewczęta na manowce.
— Niech pani jej nie wierzy. Przy kobietach właściwie jestem nieśmiały i zamknięty w sobie.
— Czyżby?
— Słowo harcerza — odpowiedział podając jej ogień. — A co dzisiaj robi Dana?
— Ale chytrusek. To dlatego tak szybko mnie pan poderwał.
— Skądże znowu. Po prostu...
— Oczywiście, to nie pański interes, ale Dana chyba już płynie statkiem po północnym Atlantyku.
— Urlop dobrze jej robi.
— Rzeczywiście umie pan ciągnąć za język biedne dziewczęta — stwierdziła Marie. — A tak przy okazji, może pan zawiadomić swojego kumpla, Gene'a Seagrama, że ona nie jest na urlopie, lecz opiekuje się armią dziennikarzy, którzy na własne oczy chcą w przyszłym tygodniu zobaczyć wydobycie „Titanica”.
— Właśnie ja ją o to poprosiłem.
— Wspaniale. Zawsze imponowali mi mężczyźni, którzy potrafią się przyznać, że zrobili głupstwo. — Podniosła oczy i spojrzała na niego filuternie. — Jak już to ustaliliśmy, dlaczego mi się pan nie oświadcza?
Donner zmarszczył brwi.
— Czy to nie w takich wypadkach skromne panienki mówią: „Ależ proszę pana, ja pana prawie nie znam”? Wzięła go za rękę i wstała.
— Chodźmy więc.
— Czy mogę wiedzieć dokąd?
— Do ciebie — powiedziała z figlarnym uśmiechem.
— Do mnie?
Dla Donnera wypadki najwyraźniej toczyły się zbyt szybko.
— Jasne. Musimy pójść do łóżka, no nie? W jakiz inny sposób może się poznać dwoje zaręczonych ludzi, którzy mają się pobrać?

44.

Pitt w niedbałej pozie siedział w przedziale pociągu, leniwie obserwując krajobraz Devonu przesuwany się za oknem. Koło Dawlish tory biegły łukiem nad brzegiem morza. Na Kanale dostrzegł flotyllę trawlerów rybackich, wypływających na poranny połów. Kiedy jednak wkrótce się rozpadło, a deszcz spływający strużkami po szybach pokrył je mgiełką i zamazał widok, Pitt znów zaczął bezmyślnie przewracać kartki czasopisma, które leżało na jego kolanach.

Gdyby przed dwoma dniami ktoś mu powiedział, że weźmie krótki urlop, wówczas uznałby go za głupca, a nawet za kompletnego wariata, zwłaszcza jeśliby dodał, że pojedzie do Teignmouth w hrabstwie Devonshire, niewielkiego uzdrowiska z niespełna trzynastoma tysiącami mieszkańców, malowniczo położonego na południowo-zachodnim wybrzeżu Anglii, tylko po to, żeby zrobić wywiad z umierającym starcem.

Za tę pielgrzymkę powinien być wdzięczny admirałowi Jamesowi Sandeckerowi, który dokładnie tak to nazwał, kiedy wezwał Pitta do centrali NUMA w Waszyngtonie. Pielgrzymką do ostatniego żyjącego członka załogi „Titanica”.

— Nie ma o czym dyskutować — stanowczo oświadczył Sandecker. — Jedziesz do Teignmouth.

— To bez sensu — odpowiedział Pitt, nerwowo krążąc po pokoku.

Po miesiącach spędzonych na rozhuśtanym pokładzie „Koziorożca” inadal miał chwiejny krok. — Sprowadzasz mnie na ląd w najważniejszym momencie operacji, mówisz, że w moim zespole jest dwóch rosyjskich agentów o nie ustalonej tożsamości, którzy mają *carte blanche* na wymordowanie mojej załogi, bo osobiście chroni ich CIA, i na tym samym oddechu każesz mi wysłuchać ostatniej woli jakiego umierającego starego Angola.

— Przypadkowo ten „stary Angol” jest jedynym żyjącym członkiem załogi „Titanica”.

— Ale co on ma wspólnego z naszą operacją? — upierał się Pitt. — Komputery obliczyły, że za trzy doby kadłub „Titanica” może w każdej chwili oderwać się od dna.

— Uspokój się, Dirk. Jutro wieczorem powinieneś już być z powrotem na pokładzie „Koziorożca”. Do najważniejszego momentu pozostało jeszcze mnóstwo czasu. Rudi Gunn może poradzić sobie z każdym problemem, jaki się pojawi w czasie twojej nieobecności.

— Nie mam wyboru — powiedział Pitt, z rezygnacją machnąwszy ręką.

Sandecker uśmiechnął się łaskawie.

— Wiem, co myślisz... że jesteś niezastąpiony. No cóż, chciałbym cię poinformować, że dysponujesz najlepszymi na świecie specjalistami od wydobywania statków. Jestem przekonany, że jakoś sobie bez ciebie poradzą w ciągu najbliższych trzydziestu sześciu godzin.

Pitt się uśmiechnął, ale nie był to uśmiech wesoły.

— Kiedy mam wyjechać?

— W hangarze NUMA w Dulles czeka odrzutowiec, którym polecisz do Exeter. Stamtąd do Teignmouth możesz dojechać pociągiem.

— A po powrocie mam się zameldować u ciebie w Waszyngtonie?

— Nie, wystarczy, jak się zameldujesz na pokładzie „Koziorożca”.

Pitt spojrzał na niego zdziwiony.

— Na pokładzie „Koziorożca”...?

— Naturalnie. A co, myślałeś, że kiedy ty będziesz sobie odpoczywał na wsi w Anglii, to ja zrezygnuję z obejrzenia powrotu „Titanica”, gdyby statek wydobyto przed planowanym terminem?

Na stacji Pitt wziął taksówkę i wąską drogą nad ujściem rzeki dojechał do niewielkiego domku z oknami wychodzącymi na morze. Zapłacił kierowcy, wszedł przez obrośniętą winem bramę i ruszył alejką między szpalerami różanych krzewów. Kiedy zapukał, drzwi otworzyła mu dziewczyna o przepaścistych fiołkowych oczach, pięknie wyszczotkowanych rudych włosach i miękkim głosem z nieznaczną domieszką szkockiego akcentu.

— Dzień dobry panu.

— Dzień dobry — powiedział z lekkim skinieniem głowy. — Nazywam się Dirk Pitt i...

— Ach tak, admirał Sandecker przysłał telegram, że pan przyjeżdża. Proszę wejść. Komandor czeka na pana.

Dziewczyna miała na sobie starannie wyprasowaną białą bluzkę, zielony wełniany sweter i pasującą do niego spódniczkę. Zaprowadziła gościa do salonu. Pokój był przytulny i wygodny, na kominku palił się ogień. Nawet gdyby Pitt nie wiedział, że gospodarz jest emerytowanym marynarzem, z łatwością by się tego domyślił po wystroju wnętrza. Modele okrętów wypełniały półki, a oprawione w ramki oleodruki sławnych żaglowców zdobiły wszystkie cztery ściany. Przy oknie wychodzącym na Kanał stał wielki mosiężny teleskop, w jednym kącie pokoju zaś błyszczało koło sterowe, dokładnie wypolerowane woskiem, jakby w oczekiwaniu na jakiegoś dawno zapomnianego sternika.

— Chyba miał pan bardzo męczącą podróż — powiedziała dziewczyna. — Nie zjadłby pan śniadania?

— Dobre wychowanie każe mi odmówić, lecz żołądek upomina się o swoje.

— Amerykanie są znani z dobrego apetytu. Byłabym niepokieszona, gdyby pod tym względem pan mnie rozczarował.

— Zrobię, co tylko w mojej mocy, żeby podtrzymać jankeską tradycję, miss...

— Proszę mi wybaczyć, że się jeszcze nie przedstawiłam. Jestem Sandra Ross, prawnuczka komandora. — Rozumiem, że pani się nim opiekuje.

— Kiedy tylko mogę. Jestem stewardesą w Bristolskich Liniach Lotniczych i gdy ja mam loty, dogląda go pewna kobieta z miasteczka. — Gestem zaprosiła Pitta do przedpokoju. — Najlepiej będzie, jak pan teraz porozmawia z dziadkiem. Jest bardzo, bardzo stary, ale umiera z ciekawości... pragnie wszystkiego się dowiedzieć o wydobywaniu „Titanica”.

Delikatnie zapukała do drzwi i lekko je uchyliła.

— Komandorze, pan Pitt chciałby się z tobą zobaczyć.

— No więc dawaj go tu — w odpowiedzi zachrypiął jakiś głos — zanim mój statek rozbije się na skałach.

Odsunęła się na bok i Pitt wszedł do pokoju.

Komandor Sir John L. Bigalow, kawaler Orderu Imperium Brytyjskiego, odznaczony Orderem Rezerwy, emerytowany oficer Rezerwy Królewskiej Marynarki Wojennej, siedział oparty o poduszki w łóżku przypominającym koję i badawczo patrzył na Pitta głęboko osadzonymi niebieskimi oczami o marzycielskim spojrzeniu z innej epoki. Jego rzadkie włosy na głowie były całkiem siwe, tak samo jak broda, a ogorzała twarz wskazywała, że był człowiekiem morza. Miał na sobie wytarty golf, nałożony na coś, co przypominało nocną koszulę z czasów Dickensa. Wyciągnął mocną kościstą rękę.

Pitt uściśnął podaną dłoń i zdziwił się, że jej chwyt był tak silny.

— To dla mnie naprawdę wielki zaszczyt, panie komandorze. Tyle razy czytałem o pańskim bohaterstwie w czasie opuszczania „Titanica”.

— Toż to kpiny — obruszył się starzec. — Byłem torpedowany i znajdowałem się na łasce fal podczas obu wojen światowych, a wszyscy zawsze mnie pytają tylko o tę noc na „Titanicu”. — Wskazał ręką krzesło. — Niechże pan tam nie stoi jak jakiś gołowąs w czasie swojego pierwszego rejsu. Siadaj pan, siadaj.

Pitt zrobił, co mu kazano.

— Teraz opowiadaj pan o statku. Jak wygląda po tylu latach? Byłem młody, kiedy na nim służyłem, a wciąż pamiętam każdy jego pokład.

Pitt sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął kopertę z fotografiami i podał ją Bigalowowi.

— Może te zdjęcia dadzą panu pojęcie o jego obecnym stanie. Jeden z naszych batyskafów zrobił je kilka tygodni temu.

Komandor Bigalow nałożył okulary do czytania i zaczął oglądać fotografie. Tykający przy łóżku zegar okrętowy odmierzył kilka minut, zanim stary marynarz, pogrążony w myślach o przeszłości, podniósł oczy pełne smutku.

— Ten statek był klasą dla siebie. Naprawdę. Ja to wiem. Pływałem na nich wszystkich: na „Olympicu”... „Aquitanii”... „Queen Mary”. Na swoje czasy z pewnością były one wspaniałe i nowoczesne, ale gdzie im tam do wyposażenia „Titanica”, które wykonano z taką dbałością i mistrzostwem: te cudowne boazerie i wspaniałe luksusowe kabiny. Taak... ten statek wciąż jeszcze rzuca jakiś dziwny urok.

— Coraz większy z upływem lat — przyznał Pitt.

— O, tu, tutaj... przy lewoburtowym nawiewniku na dachu pomieszczeń oficerskich — powiedział Bigalow podnieconym głosem, wskazując palcem jedno ze zdjęć. — Tu właśnie stałem, kiedy „Titanic” tonął pod moimi nogami, i stąd fala zmyła mnie do morza. — Twarz komandora jakby odmłodziła o kilkadziesiąt lat. — Ależ tej nocy morze było zimne. Miało temperaturę poniżej zera.

Przez następne dziesięć minut opowiadał o pływaniu w lodowatej wodzie, o cudownym natknięciu się na linię prowadzącą do przewróconej łodzi ratunkowej ze straszliwą masą walczących ludzi, o rozdzierających krzykach, które powoli zamierały, o długich godzinach spędzonych na kurczowym trzymaniu się kilu szalupy wraz z trzydziestoma innymi ludźmi, tulącymi się do siebie w obronie przed zimnem, o emocjach, jakie przeżywali, kiedy pojawił się liniowiec Cunarda, „Carpathia”, który ich wyratował. W końcu starzec westchnął i spojrzął na Pitta ponad szklami okularów.

— Czy ja pana nie zanudzam, panie Pitt?

— Ależ skądże — odparł Pitt. — Słuchanie kogoś, kto przeżył to wydarzenie, to prawie tak, jakby samemu się w nim uczestniczyło.

— Wobec tego spróbuję opowiedzieć panu jeszcze jedną dłuższą historię — rzekł Bigalow. — Dotychczas nigdy nikomu nie mówiłem o moich ostatnich minutach na statku, zanim poszedł na dno. Nie wspominałem o tym ani jednym słowem, kiedy przesłuchiowano mnie w sprawie zatonięcia, ani przed senacką komisją dochodzeniową Stanów Zjednoczonych, ani przed brytyjskim sądem śledczym. Nie pisałem słowa dziennikarzom ani literatom pracującym nad książkami o tej tragedii. Pan, proszę pana, będzie pierwszą i ostatnią osobą, która usłyszy to z moich ust.

Trzy godziny później Pitt wracał pociągiem do Exeter. Nie był ani zmęczony, ani zanudzony. Odczuwał nawet pewne podniecenie. Sprawa „Titanica” i tej tajemnicy ukrytej w skarbcu ładowni numer 1 na pokładzie G nurtowała go jak jeszcze nigdy dotąd. Zastanawiał się nad Southby. Co ono miało z tym wspólnego? Chyba po raz pięćdziesiąty spojrzął na paczkę, którą dał mu komandor Bigalow. Już nie żałował, że musiał pojechać do Teignmouth.

45.

Doktor Ryan Prescott, szef Centrum Obserwacji Huraganów NUMA w Tampie na Florydzie, miał szczerzy zamiar choć raz wrócić na czas do domu i wieczorem spokojnie pograć sobie z żoną w karty. Mimo to dziesięć minut przed północą wciąż jeszcze siedział przy swoim biurku, zmęczonym wzrokiem wpatrując się w rozłożone na nim zdjęcia satelitarne.

— Kiedy sądzimy, że wiemy już wszystko, czego można się dowiedzieć o sztormach, wówczas ni stąd, ni zowąd, wbrew wszelkim regułom, nagle pojawia się jakiś nietypowy — zrzędził jęklawie.

— Huragan w środku maja — powiedziała jego asystentka ziewając. — To się nadaje do księgi rekordów.

— Ale dlaczego? Sezon huraganów normalnie trwa od lipca do września. Co spowodowało, że ten pojawił się dwa miesiące wcześniej?

— Nie mam pojęcia — odpowiedziała. — Jak myślisz, w którą stronę zmierza ten wybryk natury?

— Za wcześnie na jakiegokolwiek dokładne przewidywania — odparł Prescott. — Co prawda powstał normalnie: rozległy obszar niskiego ciśnienia i wilgotne powietrze, wirujące w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara wskutek obracania się kuli ziemskiej. Ale na tym kończy się podobieństwo. Zwykle to kwestia dni, czasem tygodni, by sztorm objął obszar o szerokości czterystu mil, a to maleństwo dokonało tej sztuki w ciągu niespełna osiemnastu godzin.

Westchnął, wstał, wyszedł zza biurka i zbliżył się do dużej ściennej mapy. Z notatnika odczytał pośpiesznie zapisaną pozycję, warunki atmosferyczne i prędkość, a potem zaczął rysować linię, która biegła na zachód z punktu leżącego czterysta pięćdziesiąt mil na północny wschód od Bermudów, i stopniowo skręcała na północ w stronę Nowej Fundlandii.

— Dopóki nie otrzymamy dalszych wskazówek co do przyszłej drogi, nic lepszego nie wymyślę — powiedział i zawiesił głos, jakby czekając na potwierdzenie, którego jednak nie usłyszał. Spytał więc: — Czy ty też tak to widzisz?

W dalszym ciągu nie było żadnej odpowiedzi. Prescott odwrócił się, by powtórzyć pytanie, lecz zrezygnował. Jego asystentka spała z głową opartą na rękach leżących na biurku. Delikatnie potrząsnął ją za ramię. Zamrugła zielonymi oczami.

— Nie mamy tu nic więcej do roboty — rzekł cicho. — Chodźmy do domu i trochę się prześpijmy. — Zmęczonym wzrokiem spojrzął na ścienną mapę. — Istnieje szansa jedna na tysiąc, że wszystko rozejdzie się po kościach i on z powrotem stanie się niewielkim lokalnym sztormem.

Powiedział to zdecydowanie, choć bez przekonania. Nie zauważył jednak, że linia oznaczająca przypuszczalną drogę huraganu przebiega dokładnie przez punkt leżący na 41°46' szerokości północnej i 50° 14' długości zachodniej.

46.

Komandor Rudi Gunn stał na mostku „Koziorożca” i obserwował maleńką niebieską plamkę, która ukazała się w oddali od zachodu na kryształowo czystym niebie. Zdawała się wisieć tam przez kilka minut ani nie zmieniając kształtu, ani się nie powiększając; po prostu ciemnoniebieska kropka nad horyzontem. Potem nagle, niemal w jednej chwili, rozrosła się i zmieniła w helikopter.

Gunn ruszył w stronę lądowiska, znajdującego się na dachu rufowej części nadbudówki, stanął tam i czekał. Tymczasem śmigłowiec zbliżył się i zawisł nad statkiem. Po trzydziestu sekundach dotknął płozami lądowiska; wycie turbin ucichło i łopatki wirnika powoli przestały się obracać.

Komandor podszedł bliżej, gdy z prawej strony otworzyły się drzwi i wyszedł z nich Pitt.

— Jak ci się udała podróż? — spytał Gunn.

— Interesująca — odparł Pitt.

Zauważył napięcie na twarzy Gunna — miał ściągnięte kąciaki oczu i ponurą minę.

— Rudi, wyglądasz jak dziecko, któremu ktoś ukradł prezent gwiazdkowy. Co się stało?

— Batyskaf „Uranusa”, „Sonda Głębinowa”, znalazł się w potrzasku przy wraku.

Pitt przez chwilę milczał. Potem nagle spytał:

— A admirał Sandecker?

— Przeniósł swój sztab na „Bombergera”. Ponieważ to była baza „Sondy Głębinowej”, uznał, że dopóki ty nie wrócisz, lepiej stamtąd prowadzić akcję ratunkową.

— Powiedziałeś „była”, jakbyśmy już ten batyskaf stracili.

— Sprawa dobrze nie wygląda. Chodź na górę, to ci wszystko szczegółowo wyjaśnię.

W centrali operacyjnej „Koziorożca” panowała atmosfera napięcia i przygnębienia. Giordino, który zazwyczaj był bardzo towarzyski, ledwie skinął Pittowi głową, nawet bez jednego słowa powitania. Ben Drummer przez mikrofon pocieszał załogę „Sondy Głębinowej”, zmuszając się do optymizmu, lecz z jego oczu wycierał strach. Rick Spencer, specjalista od sprzętu ratowniczego, w milczeniu wpatrywał się w monitory telewizyjne. Pozostali ludzie spokojnie zajmowali się swoimi sprawami, ale mieli zamyśloną twarz.

Gunn zaczął przedstawiać sytuację:

— Dwie godziny przed wynurzeniem dla wymiany załóg „Sonda Głębinowa” z Kielem, Chavezem i Merkerem...

— Merker brał z tobą udział w wyprawie z prądem Lorelei? — przerwał mu Pitt.

— Munk też — powiedział Gunn, z poważną miną kiwając głową. — Wygląda na to, jakby na naszej załodze ciążyło jakieś przekleństwo.

— Co było dalej?

— Akurat instalowali zawór bezpieczeństwa z prawej strony pokładu dziobowego „Titanica”, gdy rufą otarli się o dźwig ładunkowy. Pękły skorodowane wzmocnienia i spadające ramię dźwigu uszkodziło zbiorniki wypornościowe batyskafu. Przez wybitą dziurę wlało się ponad dwie tony wody, przygważdżając go do wraku.

— Kiedy to się stało?

— Jakies trzy i pół godziny temu.

— Więc po co to całe zmartwienie? Zachowujecie się, jak gdyby nie było wyjścia. „Sonda Głębinowa” ma dostateczny zapas tlenu, by ponad tydzień utrzymać przy życiu trzyosobową załogę. Obie „Safony” mają mnóstwo czasu na uszczelnienie zbiorników i wypompowanie wody.

— To nie takie proste — odezwał się Gunn. — Mamy wszystkiego sześć godzin.

— Jak ty to sobie wyliczyłeś?

— Jeszcze nie powiedziałem ci najgorszego — odparł Gunn, patrząc smutnym wzrokiem na Pitta. — Od uderzenia spadającego dźwigu w kadłubie batyskafu pękł spaw. Pęknięcie jest maleńkie jak dziurka od szpilki, ale ogromne ciśnienie na tej głębokości wtłacza wodę do kabiny w tempie czterech litrów na minutę. To cud, że cały spaw nie puścił, bo inaczej kadłub by się rozwalil i z załogi zostałyby marmolada. — Skinął głową w stronę zegara na komputerze. — Mają wszystkiego sześć godzin, zanim woda wypełni kabinę i utoną... a my, cholera, nic nie możemy na to poradzić.

— A dlaczego by nie uszczelnić przecieku od zewnątrz hydrostalem?

— Łatwo powiedzieć. Nie możemy się tam dostać. Miejsce przecieku jest w części kadłuba przyciśniętej do wraku. Admirał wysłał tam pozostałe trzy batyskafy w nadziei, że wspólnymi siłami uda im się odciągnąć „Sondę Głębinową” na tyle, by dotrzeć do uszkodzenia i je naprawić. Nic z tego nie wyszło.

Pitt usiadł w fotelu, wziął ołówek i zaczął coś pisać w notatniku.

— „Ślimak Morski” jest wyposażony w urządzenie do cięcia metalu. Może by się dobrał do ramienia dźwigu.

— Nic z tego — rzekł zmartwiony Gunn, kręcąc głową. — Podczas próby odciągania batyskafu „Ślimak Morski” złamał sobie manipulator. Jest teraz na pokładzie „Modoca”, ale chłopcy z marynarki mówią, że nie da się go zreperować na czas. — Gunn uderzył pięścią w stół nawigacyjny. — Naszą ostatnią nadzieją była winda na „Bombergerze”. Gdyby udało się przymocować linę do dźwigu, to moglibyśmy go odciągnąć i uwolnić batyskaf.

— Nie ma ratunku — rzekł Pitt. — „Ślimak Morski” jest jedynym batyskafem wyposażonym w manipulator do ciężkich prac, a bez niego nie da się przywiązać liny.

Gunn przetarł oczy gestem znużenia.

— Tysiące roboczogodzin pochłonęło projektowanie i budowa wszelkich układów bezpieczeństwa, jakie tylko dało się wymyślić, i przygotowanie zwięzłych opisów postępowania we wszystkich możliwych do przewidzenia okolicznościach, a tu pojawia się coś nieprzewidzianego i dostajemy cios poniżej pasa, bo stało się to, co było nieprawdopodobne, bo komputery nie uwzględniły wypadku jednego na milion.

— Komputery uwzględniają jedynie to, co się zaprogramuje — powiedział Pitt.

Podszedł do nadajnika i wziął mikrofon od Drummera.

— „Sonda Głębinowa”, tu mówi Pitt, odbiór.

— Miło znów słyszeć twój wesoły głos — popłynęły z głośnika słowa Merkera, który mówił tak spokojnie, jakby rozmawiał przez telefon, leżąc w łóżku w swoim własnym domu. — Może wpadniesz tu na dół, bo brak nam czwartego do brydża?

— Nie gram w brydza — odparł Pitt rzeczowym tonem. — Ile czasu pozostało, zanim woda dotrze do waszych akumulatorów?

— Sądząc po tempie, w jakim jej przybywa, jeszcze jakieś piętnaście do dwudziestu minut.

Pitt odwrócił się do Gunna i powiedział:

— Kiedy wysiądą im akumulatory, stracą z nami łączność. Gunn pokiwał głową.

— Dotrzymuje im towarzystwa „Safona II”. To chyba wszystko, co możemy zrobić.

Pitt ponownie włączył mikrofon.

— Merker, a co z waszym systemem podtrzymywania życia?

— Z jakim systemem podtrzymywania życia? Spieprzył się pół godziny temu. Żyjemy tylko dzięki naszym własnym smrodliwym oddechom.

— Wyślę wam skrzynkę płynu do płukania ust.

— Lepiej się z tym pośpiesz, bo Chavez to wyjątkowo złośliwy przypadek cuchnącego oddechu. — W tonie głosu Merkera pojawił się teraz cień zwątpienia. — Jeżeli dojdzie do najgorszego i już was, chłopaki, nie zobaczymy, to przynajmniej będziemy mieli tu na dole niezłe towarzystwo.

Na tę wyraźną aluzję do zmarłych na „Titanicu” twarze wszystkich osób w centrali operacyjnej nieco pobladły — wszystkich z wyjątkiem Pitta, który ponownie włączył mikrofon.

— Tylko postarajcie się nie zapaskudzić batyskafu. Może jeszcze będziemy chcieli go używać. Wyłączam się.

Wszystkich zaskoczyła niedelikatna uwaga Pitta. Jedynie Drummer miał wściekłą minę.

Pitt dotknął ramienia Curleya, radiooperatora.

— Połącz mnie z admirałem na „Bombergerze”, ale na innej częstotliwości.

Curley podniósł wzrok.

— Nie chcesz, żeby cię słyszeli ci na pokładzie „Sondy Głębinowej”?

— Czego uszy nie słyszą, o to serce nie boli — chłodno odpowiedział Pitt. — A teraz się pośpiesz.

Po kilku słowach z głośników zagrzemiał głos Sandeckera:

— „Koziorożec”, mówi admirał Sandecker. Odbiór.

— Tu Pitt, admirale.

Sandecker nie tracił czasu na uprzejmości.

— Już wiesz, co się dzieje?

— Gunn pokrótce mi opowiedział — odparł Pitt.

— A więc wiesz, że wyczerpaliśmy wszystkie możliwości. Jakkolwiek by do tego podchodzić, głównym wrogiem jest czas. Gdyby udało nam się o jakieś dziesięć minut odwlec to, do czego nieuchronnie dojdzie, wówczas mielibyśmy szansę ich uratowania.

— Jest jeszcze pewien sposób — rzekł Pitt. — Bardzo ryzykowny, ale teoretycznie możliwy.

— Przyjmę każdą propozycję.

Pitt na moment się zawahał.

— Na początek chwilowo zapomnijmy o „Sondzie Głębinowej” i zajmijmy się czym innym. Drummer podskoczył do Pitta.

— Co ty wygadujesz?! Co tu się wyprawia?! Zapomnijmy o „Sondzie Głębinowej”?! — krzyczał wykrzywiając usta. — Oszalałeś?! Pitt uśmiechnął się rozbijając.

— To ostatni rozpaczliwy rzut kośćmi, Drummer. Wy zawiedliście, i to paskudnie. Być może jesteście dla świata darem niebios, jeśli chodzi o ratowanie statków, ale przy ratowaniu ludzi zachowujecie się jak banda amatorów. Na wasze błędy nałożył się pech i teraz siedzicie jęcząc, że wszystko stracone. Otóż, moi panowie, nie wszystko stracone. Zmienimy zasady

gry i wyciągniemy „Sondę Głębinową” na powierzchnię przed upływem tych sześciu godzin, a właściwie, jeżeli mój zegarek dobrze mi służy, pięciu godzin i czterdziestu trzech minut.

Giordino spojrzał na Pitta.

— Naprawdę uważasz, że to da się zrobić?

— Naprawdę uważam, że to da się zrobić.

47.

Inżynierowie-konstruktorzy i morscy specjaliści stali w niewielkich grupkach, mrużąc do siebie pod nosem i nieustannie obliczając coś na suwakach logarytmicznych. Od czasu do czasu któryś z nich podchodził do komputerów i sprawdzał wydruki. Admirał Sandecker dopiero co przybył z „Bombergera”, a teraz siedział za biurkiem, ściskając kubek kawy i kręcąc głową.

— To się nigdy nie znajdzie w podręcznikach wydobywania statków — mruknął. — Odrywanie wraku od dna za pomocą materiałów wybuchowych... Boże, to szaleństwo!

— A mamy wybór? — spytał Pitt. — Jeżeli uda nam się wyrwać z mułu „Titanica”, to „Sonda Głębinowa” wypłynie razem z nim.

— Ten cały pomysł jest zwariowany — półgłosem odezwał się Gunn. — Wstrząs od wybuchu tylko powiększy pęknięcie spawu w kadłubie batyskafu, co spowoduje natychmiastową eksplozję.

— Może tak, może nie — rzekł Pitt. — Ale jeżeli nawet do tego dojdzie, to prawdopodobnie i tak będzie lepiej dla Merkera, Kiela i Chaveza, że zginą w jednej chwili, zmiażdżeni ciśnieniem wody, niż żeby cierpieli długotrwałe męki powolnego duszenia się.

— A co z „Titanikiem”? — upierał się Gunn. — Możemy unicestwić wyniki naszej wielomiesięcznej pracy.

— Potraktuj to jako wkalkulowane ryzyko — odparł Pitt. — „Titanic” ma mocniejszą konstrukcję od większości pływających dziś statków. Jego wręgi, wzdłużniki, grodzie i pokłady są w tak dobrym stanie, jak tej nocy, kiedy zatonął. Staruszek zniesie wszystko, co mu zaserwujemy. Nie ma mowy o pomyłce.

— Naprawdę myślisz, że coś z tego wyjdzie? — spytał Sandecker.

— Naprawdę.

— Mógłbym ci tego zakazać. Dobrze o tym wiesz.

— Wiem — odparł Pitt. — Liczę jednak, że pozwolisz mi rozegrać to do końca.

Sandecker przetaił sobie oczy dłonią, a potem wolno kręcił głową, jakby chciał sobie w niej rozjaśnić. Wreszcie się odezwał:

— Dobra, Dirk, to twoje dziecko.

Pitt skinął głową i odszedł.

Pozostało już tylko pięć godzin i dziesięć minut.

Cztery kilometry pod powierzchnią oceanu, w nieprzyjaznym środowisku, trzech zmarznięci samotni mężczyźni w „Sondzie Głębinowej” obserwowali, jak woda wypełnia kabinę cal po calu, póki nie zalała instalacji elektrycznej, doprowadzając do zwarć w instrumentach i pograżając wnętrza w całkowitych ciemnościach. Dopiero później poczuli naprawdę dojmujący ziąb, kiedy woda o temperaturze niespełna dwóch stopni zawirowała im wokół nóg. Choć udręczeni perspektywą niechybnej śmierci, stali dygocąc z zimna, wciąż jednak tliła się w nich iskierka nadziei, że przeżyją.

— Jak tylko znajdziemy się na powierzchni — mruknął Kiel — to biorę sobie wolny dzień i mam wszystkich w nosie.

— Coś powiedział? — odezwał się w ciemności głos Chaveza.

— Mogą mnie rozstrzelać, jeśli chcą, ale jutro cały dzień będę spał.

Chavez po omacku odnalazł Kiela i brutalnie chwycił go za ramię.

— Co ty wygadujesz?

— Daj spokój — rzekł Merker. — Mąci mu się w głowie od dwutlenku węgla, który się nagromadził, jak wysiadł system podtrzymujący życie. Mnie też już zaczyna się kręcić we łbie.

— Na domiar jeszcze ten smród — narzekał Chavez. — Jeżeli się nie utopimy, to zostaniemy zmiżdżeni, kiedy kadłub się rozleci, a jeśli nie będziemy zgnieci jak skorupki jajek, to udusimy się własnymi oddechami. Mamy niezbyt świetlaną przyszłość.

— Zapomniałeś o zimnie — sarkastycznie stwierdził Merker. — Jeżeli nie wyjdziemy z tej lodowatej wody, to nie mamy żadnych szans na pozostałe trzy możliwości.

Kiel milczał, ale biernie poddał się Chavezowi, który wepchnął go na najwyższą koję, a potem sam wgramolił się za nim i siedział na brzegu, dyndając nogami.

Brnąc w wodzie sięgającej już krocza, Merker podszedł do przedniego iluminatora i wyjrzał. Oślepiiony silnym światłem reflektorów „Safony II”, widział tylko jej zarys. Choć znajdowała się w odległości zaledwie trzech metrów, nie mogła w niczym pomóc uwięzionemu batyskafowi ze względu na ogromne ciśnienie, panujące na tej głębokości. Merker pomyślał, że skoro jest w pobliżu, to jeszcze nie spisano ich na straty. Bynajmniej nie pocieszał go fakt, że nie są sami. Aczkolwiek niewielkie, było to jednak ich jedyne oparcie.

Na pokładzie statku zaopatrzeniowego „Alhambra” pełen oczekiwania tłum kamerzystów największych sieci telewizyjnych gorączkowo przygotowywał sprzęt. Specjalni wysłannicy, stłoczeni na każdym dostępnym metrze relingu na lewej burcie, jak zahipnotyzowani wpatrywali się przez lornetki w „Koziorożca”, kołyszącego się na falach w odległości dwóch mil, a fotoreporterzy celowali teleobiektywami w wodę między statkami. Dana Seagram, opatulona w grubą kurtkę i wciśnięta w kąt zaimprovizowanego centrum prasowego, dzielnie stawiała czoło kilkunastu dziennikarzom uzbrojonym w magnetofony, którzy podtykali jej pod nos mikrofony niczym lizaki.

— Czy to prawda, pani Seagram, że przyspieszenie wydobywania „Titanica” o trzy dni jest ostatnią deską ratunku dla załogi uwięzionej w głębi oceanu?

— To tylko jedno z możliwych rozwiązań — odparła Dana.

— Czy mamy rozumieć, że wszystkie dotychczasowe próby skończyły się fiaskiem?

— Mielśmy pewne komplikacje — przyznała.

Ręką trzymaną w kieszeni kurtki tak mocno ścisnęła chusteczkę do nosa, że aż rozboleły ją palce. Długie miesiące zmagania z dziennikarzami płci obojga dawały o sobie znać.

— Skoro utracono łączność z „Sondą Głębinową”, to skąd pewność, że załoga jeszcze żyje?

— Z obliczeń komputerowych wynika, że w ciągu najbliższych czterech godzin i czterdziestu minut „Sonda Głębinowa” nie znajdzie się w krytycznej sytuacji.

— W jaki sposób NUMA zamierza wydobyć „Titanica” na powierzchnię, jeżeli w muł wokół kadłuba wstrzyknięto jedynie część planowanej ilości elektrolitu?

— Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie — odparła Dana. — W ostatniej informacji, jaką otrzymaliśmy z „Koziorożca”, pan Pitt stwierdził tylko, że zamierzają podnieść wrak w ciągu najbliższych czterech godzin. Niestety, nie podał szczegółów.

— A jeśli jest za późno? Jeżeli Kiel, Chavez i Merker już nie żyją? Dana zrobiła groźną minę.

— Oni nie zginęli — powiedziała z błyskiem w oczach. — Pierwsi z was, którzy przekażą tę okrutną i nieludzką plotkę, zanim stanie się potwierdzonym faktem, wylecą z tego statku bez względu na akredytację. Zrozumiano?

Zaskoczeni nagłym wybuchem gniewu Dany, dziennikarze przez chwilę stali w milczeniu, a potem bez słowa zaczęli powoli opuszczać mikrofony i wychodzić na pokład.

Rick Spencer rozwinął sporą rolkę kartonu na stole nawigacyjnym i umocował ją kilkoma kubkami wypełnionymi do połowy kawą. Rysunek przedstawiał „Titanica” na dnie morza. Spencer zaczął pokazywać ołówkiem różne miejsca wokół kadłuba, oznaczone małąkami krzyżykami.

— Oto, jak wygląda sytuacja — wyjaśniał. — Na podstawie obliczeń komputerowych w tych kluczowych punktach na dnie oceanu rozmieścimy wzdłuż kadłuba „Titanica” osiemdziesiąt ładunków, z których każdy będzie zawierał piętnaście kilogramów materiału wybuchowego.

Sandecker pochylił się nad rysunkiem i przebiegł wzrokiem po krzyżykach.

— Widzę, że chcecie umieścić je przemiennie w trzech rzędach z każdej strony.

— Tak jest, panie admirale — rzekł Spencer. — Zewnętrzne rzędy znajdują się w odległości sześćdziesięciu metrów, środkowe czterdziestu, a wewnętrzne zaledwie dwudziestu metrów od poszycia statku. Najpierw zdetonujemy zewnętrzny rząd z prawej burty. Po ośmiu sekundach odpalimy zewnętrzny rząd z lewej burty. Po następnych ośmiu sekundach to samo zrobimy z rzędami środkowymi i tak dalej.

— Przypomina to pchanie samochodu w przód i do tyłu przy wyciąganiu go z błota — wtrącił Giordino.

Spencer skinął głową.

— Można powiedzieć, że to dobre porównanie.

— A czy nie dałoby się wyrwać go z mułu jednym potężnym wybuchem? — spytał Giordino.

— Możliwe, że nagły pojedynczy wstrząs byłby skuteczny, ale geolodzy opowiadają się za kolejnymi falami uderzeniowymi, które będą na siebie zachodziły. Chodzi o wywołanie wibracji kadłuba.

— Czy mamy dość materiałów wybuchowych? — spytał Pitt.

— Na „Bombergerze” jest prawie tona do badań sejsmicznych — odparł Spencer. — „Modoc” ma dwieście kilogramów do podwodnych wybuchów przy wydobywaniu statków.

— To wystarczy?

— Ledwo, ledwo — przyznał Spencer. — Dodatkowe sto pięćdziesiąt kilogramów zwiększyłoby prawdopodobieństwo powodzenia.

— Taką ilość możemy sprowadzić z lądu odrzutowcem, który dokona zrzutu — zaproponował Sandecker. Pitt pokręcił głową.

— Zanim to otrzymamy, przeladujemy do batyskafu i umieścimy na dnie morza, wówczas już będzie o dwie godziny za późno.

— A więc jedźmy z tym, co jest — bez wahania zdecydował Sandecker. — Czas ucieka. — Zwrócił się do Gunna: — Jak długo potrwa rozmieszczanie ładunków?

— Cztery godziny — odparł komandor. Sandecker zmrużył oczy.

— Mamy bardzo mało czasu. Pozostanie nam tylko czternaście minut.

— Poradzimy sobie — rzekł Gunn. — Ale pod jednym warunkiem.

— O co chodzi? — niecierpliwie spytał Sandecker oschłym tonem.

— Potrzebne będą wszystkie sprawne batyskafy, jakimi dysponujemy.

— To oznacza, że trzeba będzie ściągnąć „Safonę II” ze stanowiska przy „Sondzie Głębinowej” — powiedział Pitt. — Te biedaki pomyślą sobie, że ich opuszczamy.

— Nie ma innego wyjścia — bezradnie stwierdził Gunn. — Po prostu nie ma innego wyjścia.

Merker stracił poczucie czasu. Patrzył na świecąca tarczę swojego zegarka, ale cyfry zamazywały mu się przed oczami. Zastanawiał się, ile godzin upłynęło od chwili, gdy ramię dźwigu spadło na zbiorniki wypornościowe. Pięć...? dziesięć...? A może to było wczoraj? Jego mózg pracował ospale, w głowie mu szumiało. Mógł tylko siedzieć, nie poruszając ani jednym mięśniem. Oddychał płytko i powoli, a każdy oddech zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Stopniowo uświadamiał sobie, że coś się rusza. Wyciągnął rękę w ciemności, dotykając Kiela i Chaveza, ale żaden z nich nawet nie drgnął ani się nie odezwał; znajdowali się w jakimś letargicznym otępieniu.

I wtedy znów uświadomił sobie pewną niewielką, lecz dostrzegalną zmianę. Coś było nie tak, jak przedtem. Myśli krążyły mu po głowie, jakby zanurzone w syropie. Wreszcie do niego dotarło. Poza nieustannym podnoszeniem się poziomu wody w zalanej kabinie w ogóle nie było żadnego ruchu; to tylko przygasło światło reflektorów „Safony II”, wpadające przednimi iluminatorami.

Zsunął się z koi do wody, która teraz sięgała mu piersi, niemal jak w koszmarnym śnie dobrnęła do górnych iluminatorów w dziobie i spojrzął w rozciągającą się za nimi otchłań.

— O Boże! — wykrzyknął głośno. — Odpływają. Zrezygnowali i zostawiają nas.

Sandecker chodził w tę i z powrotem, obracając w palcach ogromne cygaro, które dopiero co zapalił. Kiedy radiooperator podniósł rękę, admirał zawrócił w pół kroku, podszedł do niego i stanął mu za plecami.

— Zgłasza się „Safona I” — powiedział Curley. — Skończyła zakładanie swoich ładunków.

— Każ jej natychmiast się wynurzać, żeby była jak najdalej od nich, kiedy je zdetonujemy. — Admirał odwrócił się na pięcie i zobaczył przed sobą Pitta, który uważnie się wpatrywał w cztery monitory, przekazujące obraz z kamer umieszczonych w strategicznych punktach na nadbudówkach „Titanica”. — Jak to wygląda?

— Na razie nieźle — odpowiedział Pitt. — Jeżeli plastry z hydrostалу wytrzymają wstrząs, to chyba się uda.

Sandecker spojrzął na kolorowe obrazy i zmarszczył brwi, kiedy zauważył, że z kadłuba liniowca wydobywają się potężne strumienie baniek.

— Traci mnóstwo powietrza — rzekł.

— To z zaworów bezpieczeństwa, które zmniejszają nadmierne ciśnienie — obojętnym tonem wyjaśnił Pitt. — Odstawiliśmy pompę elektrolitu i z powrotem włączyliśmy kompresory, żeby wtłoczyć jak najwięcej powietrza do górnych przedziałów. — Przerwał, by dostroić obraz, a potem mówił dalej: — Sprężarki „Koziorożca” pompują prawie trzysta metrów sześciennych powietrza na godzinę i podniesienie ciśnienia wewnątrz kadłuba o jedną atmosferę jest tylko kwestią chwili. To wystarczy, by zadziałały zawory bezpieczeństwa.

Drummer wolnym krokiem odszedł od komputerów i sprawdzał coś w notatkach.

— Według naszych obliczeń dziewięćdziesiąt procent przedziałów kadłuba jest wypełnionych powietrzem. Moim zdaniem zasadniczy problem polega na tym, że wypór jest większy, niż wskazują komputery. Jeżeli wrak się oderwie, to polecą do góry jak balon.

— „Ślimak Morski” założył swój ostatni ładunek — zameldował Curley.

— Powiedz im, żeby przed wynurzeniem podpłynęli do „Sondy Głębinowej” — odezwał się Pitt. — Niech spróbują nawiązać kontakt wzrokowy z Merkerem i jego załogą.

— Pozostało dwanaście minut — zakomunikował Giordino.

— Co u licha zatrzymuje tę „Safonę II”? — rzucił Sandecker w przestrzeń.

Pitt spojrzął na Spencera.

— Czy ładunki są gotowe do odpalenia? Spencer skinął głową.

— Każdy rząd jest nastawiony na inną częstotliwość sygnału. Wystarczy tylko włączyć zegar i wszystkie rzędy odpalą we właściwej kolejności.

— Załóżmy się, co zobaczymy najpierw, dziób czy rufę?
— Nie zakładam się. Dziób jest zakopany w mule jakieś siedem metrów głębiej niż ster. Liczę na to, że odrywająca się rufa siłą wyporu pociągnie za sobą resztę. Statek powinien się wynurzyć prawie dokładnie pod takim samym kątem, pod jakim zatonął... jeżeli w ogóle się wynurzy.

— Założono ostatni ładunek — powiedział Curley monotonie. — „Safona II” już ucieka.

— A „Ślimak Morski” się nie zgłaszał?

— Melduje, że brak kontaktu wzrokowego z „Sondą Głębinową”.

— Dobra, powiedz mu, żeby brał nogi za pas i pryskał na powierzchnię. Za dziesięć minut odpalamy pierwszy rząd ładunków.

— Oni zginęli! — wykrzyknął nagle Drummer łamiącym się głosem. — Spóźniliśmy się! Wszyscy zginęli!

Pitt zrobił dwa kroki i chwycił go za ramiona.

— Dość tej hysterii! Jeszcze za wcześnie na mowy pogrzebowe.

Z wyrazem przerażenia, zastygłym na poszarzałej twarzy, Drummer zwiesił ramiona. Potem w milczeniu skinął głową i chwiejnym krokiem podszedł do komputerów.

— Woda w kabine batyskafu musi już być tylko kilkadziesiąt centymetrów od sufitu — odezwał się Giordino głosem wyższym niż zwykle, podniesionym prawie o pół oktawy.

— Gdyby pesymizm sprzedawano na kilogramy, to obaj bylibyście milionerami — powiedział Pitt oschłym głosem.

— „Safona I” osiągnęła strefę bezpieczeństwa na głębokości dwóch tysięcy metrów — zakomunikował operator sonaru.

— Jeden z głowy, jeszcze dwa — mruknął Sandecker.

Teraz nie pozostawało im już nic innego, jak tylko czekać, aż kolejne batyskafy opuszczą niebezpieczną strefę oddziaływania fal uderzeniowych. Minęło osiem minut, osiem nie kończących się minut, w czasie których kropelki potu zaczęły się pojawiać na czołach dwudziestu czterech mężczyzn.

— „Safona II” i „Ślimak Morski” zbliżają się do strefy bezpieczeństwa.

— Stan morza i pogody? — spytał Pitt.

— Metrowa fala, czyste niebo, wiatr z północnego wschodu o prędkości pięciu węzłów — odparł Farquar. — Nie mógłbyś sobie wymarzyć lepszych warunków.

Przez kilka chwil nikt się nie odzywał.

— No, panowie, nadszedł czas — powiedział wreszcie Pitt głosem równym i spokojnym. — Dobra, Spencer, odliczaj. Spencer zaczął odliczanie z regularnością zegarka.

— Trzydzieści sekund... piętnaście... pięć... sygnał... zero. — Potem nagle zmienił sposób odliczania: — Osiem sekund... cztery... sygnał... zero.

Wszyscy zgromadzili się przy monitorach telewizyjnych i operatorze sonaru — obecnie bowiem był to ich jedyny kontakt z tym, co działo się pod wodą.

Od pierwszej eksplozji „Koziorożec” lekko zadrżał. Odgłos wybuchu dotarł do ich uszu jak daleki grom. Napięcie doszło do zenitu. Wszyscy wlepiali oczy w monitory, których ekrany po każdym odpaleniu ładunków pokrywały się skaczącymi kreskami. Spięci i skupieni, stali bez ruchu jak sparaliżowani, a w ich pełnych oczekiwania spojrzeniach malowała się obawa przed najgorszym i nadzieja. Spencer monotonnym głosem kontynuował odliczanie.

Kolejne fale uderzeniowe coraz mocniej wstrząsały statkiem, docierając do powierzchni oceanu. Nagle wszystkie monitory zamigotały kolorowym światłem i zgasły.

— Cholera! — mruknął Sandecker. — Wysiadł obraz.

— Pewnie fale uderzeniowe zerwały połączenie z głównym przekaźnikiem — stwierdził Gunn.

Wszyscy natychmiast skupili uwagę na sonarze, ale tylko niewielu mogło coś zobaczyć, operator bowiem tak blisko przysunął się do ekranu, że zasłaniał go głową. Spencer wyprostował się, westchnął głęboko, z tylnej kieszeni spodni wyjął chusteczkę do nosa i zaczął nią wycierać sobie twarz i kark.

— To wszystko — powiedział chrapliwym głosem. — Nie ma już więcej ładunków.

— Wciąż leży — stwierdził operator sonaru. — „Titanic” w dalszym ciągu leży...

— Rusz się, mały! — błagalnie odezwał się Giordino. — Podnieś dupsko!

— O mój Boże — mruknął Drummer. — Ale się zassał.

— No, do cholery! — przyłączył się Sandecker. — Podnieś się... podnieś!

Gdyby w ludzkiej mocy leżało wyrwanie czterdziestu sześciu tysięcy trzystu dwudziestu ośmiu ton stali z grobu, w którym przeleżały siedemdziesiąt sześć długich lat, i wyniesienie ich na światło dzienne jedynie siłą woli, to mężczyźni stłoczeni przy sonarze z pewnością by tego dokonali. Jednakże nie doszło do pokazu zjawiska psychokinezy. „Titanic” uparcie trzymał się dna.

— Co za parszywy pech — powiedział Farquar. Drummer ukrył twarz w dłoniach, odwrócił się i chwiejnym krokiem wyszedł na pokład.

— Woodson z „Safony II” prosi o pozwolenie, żeby mógł zejść na dno i się rozejrzeć.

Pitt wzruszył ramionami.

— Zezwalam.

Znużony Sandecker powoli opadł na fotel.

— Jaka jest cena przegranej? — szepnął.

Zapanowała atmosfera rozgoryczenia i beznadziejności, wywołana poczuciem całkowitej porażki.

— I co teraz zrobimy? — spytał Giordino ze wzrokiem wbitym w podłogę.

— Będziemy dalej robić to, po co tu przyjechaliśmy — zmęczonym głosem odparł Pitt.

— Jutro zaczniemy od nowa...

— Ruszył się!

W pierwszej chwili nikt nie zareagował.

— Ruszył się — powtórzył operator sonaru drżącym głosem.

— Jesteś pewien? — szepnął Sandecker.

— Jak pragnę zdrowia.

Spencera aż zatkało. Wytrzeszczonymi oczami wpatrywał się w ekran sonaru. W końcu odzyskał mowę.

— Odbite fale uderzeniowe! — powiedział. — To one spowodowały tę opóźnioną reakcję.

— Unosi się! — wykrzyknął operator sonaru. — Ta superlajba pełna nitów uwolniła się! Wypływa!

48.

Z początku wszyscy byli tak osłupiali, że nikt się nie poruszył. Chwila, o którą się modlili, o którą walczyli przez osiem miesięcy potwornych zmagania, nadeszła zbyt nieoczekiwanie. Jakoś dziwnie powoli docierało do nich to, że stała się faktem. Potem nagle dotarła do ich świadomości elektryzująca wieść i wszyscy jednocześnie zaczęli krzyczeć, jak technicy kierujący lotami kosmicznymi, kiedy wystartuje rakietą.

— Dawaj, dawaj! — wrzeszczał Sandecker radośnie jak uczeń.

— Ruszaj się, mamuska! — pokrzykiwał Giordino. — W górę, jazda!

— No dalej, ty wielki pływający pałacu, mój ty piękny, choć zardzewiały — mrucał Spencer.

Nagle Pitt podskoczył do nadajnika i ścisnął ramię Curleya niczym w imadle.

— Natychmiast połącz się z „Safoną II” i powiedz Woodsonowi, że są na drodze wypływającego „Titanica”. Niech pryskają, gdzie pieprz rośnie, bo ich rozjedzie.

— Ciągłe się wynurza z rosnącą prędkością — oznajmił operator sonaru.

— To jeszcze nie koniec — rzekł Pitt. — W każdej chwili może się wydarzyć wiele różnych rzeczy. Jeżeli tylko...

— No pewnie — przerwał mu Giordino. — Jeżeli tylko wytrzymają plastry z hydrostalu, jeżeli tylko zawory bezpieczeństwa nadażą za gwałtownie spadającym ciśnieniem wody, jeżeli kadłub nie pęknie i z trzaskiem się nie rozleci... „Jeżeli” to cholernie ważne słowo.

— Wciąż szybko się wynurza — zakomunikował operator sonaru, patrząc na oscyloskop. — Dwieście metrów w ciągu ostatniej minuty.

Pitt odwrócił się do Giordina.

— Al, poszukaj doktora Bailey’a i pilota helikoptera. Wystartujecie tak szybko, jakby was gonił wściekły byk. Potem, jak tylko „Titanic” ustabilizuje się na powierzchni, dostaniecie się na przedni pokład. Nie obchodzi mnie, w jaki sposób... możecie użyć drabinki linowej albo windy i krzeselka ratowniczego... w razie konieczności lądujcie awaryjnie, ale ty i doktor musicie jak najszybciej dotrzeć do „Sondy Głębiny”, otworzyć pokrywę luku i wyciągnąć załogę z tego piekła.

— Już nas nie ma — odparł Giordino z szerokim uśmiechem. Zniknął za drzwiami, nim Pitt zdążył wydać następny rozkaz, tym razem Spencerowi:

— Dick, przygotuj się do wciągnięcia na wrak przenośnej pompy dieslowskiej. Im szybciej zabezpieczymy się przed przeciekami, tym lepiej.

— Będą potrzebne palniki do cięcia, żeby dostać się do środka.

— No to się o nie postaraj.

Pitt ponownie odwrócił się do sonaru.

— Prędkość wynurzania?

— Dwieście sześćdziesiąt metrów na minutę — odkrzyknął operator.

— Za szybko — rzekł Pitt.

— Tego właśnie chcieliśmy uniknąć — mruknął Sandecker z cygarem w ustach. — W kadłubie jest za dużo powietrza i wrak wypływa w sposób nie kontrolowany.

— A jeżeli źle obliczyliśmy ilość wody balastowej, pozostawionej w dolnych ładowniach, to może wystrzelić z oceanu na dwie trzecie swojej długości i wyrzucić się do góry dnem — dodał Pitt.

— Oznaczałoby to koniec dla załogi „Sondy Głębiny”.

Po tych słowach admirał wyszedł na czele przepychającego się tłumu na pokład, gdzie wszyscy z mocno bijącymi sercami przebiegali pełnym oczekiwania wzrokiem po falach oceanu.

Pitt został w centrali operacyjnej.

— Na jakiej jest głębokości? — spytał operatora sonaru.

— Przekracza dwa i pół kilometra.

— Zgłasza się Woodson — oznajmił Curley. — Mówi, że „Titanic” minął „Safonę I” jak ekspres.

— Potwierdź i każ mu wypływać. To samo przekaz „Ślimakowi Morskiemu” i „Safonie II”.

Pitt nie miał tu już nic więcej do roboty, wyszedł więc na pokład i po drabince wdrapał się na lewe skrzydło mostka, gdzie dołączył do Gunna i Sandeckera.

Gunn podniósł słuchawkę telefonu.

— Sonar, tu mostek.

— Tu sonar, słucham.

— Możesz mi w przybliżeniu podać miejsce, w którym się wynurzy?

- Powinien się ukazać jakieś sześćset metrów z lewej burty.
- Za ile minut? Odpowiedzi nie było.
- Za ile minut? — powtórnie zapytał Gunn.
- Jeśli to pana urzęda, komandorze, to już.

W tej samej chwili na powierzchni oceanu uniosła się ogromna fala baniek i z wody jak gigantyczny wieloryb wystrzeliła zaokrąglona rufa „Titanica”. Przez kilka sekund wydawało się, że wypływający z głębi rozpędzony wrak wzbija się w powietrze — rufa z impetem wciąż parła ku niebu — aż wysunął się z wody po szyb kotłowy, gdzie niegdyś stał komin numer dwa. Widok zapierał dech — powietrze wypychane spod powierzchni oceanu przez zawory bezpieczeństwa strzelało wielkimi strumieniami rozpylonej wody, spowijając ogromny statek w kłębiącą się chmurę tęczowej mgły. Wrak na moment zawisł na tle kryształowo czystego, błękitnego nieba, a potem zaczął coraz szybciej opadać, aż wreszcie z potężnym pluskiem uderzył dnem w ocean, wznosząc trzymetrową falę, która pomknęła w kierunku flotylii kołyszących się wokół statków. Kładł się na prawą burtę, jakby nie zamierzał odzyskać równowagi. Wszyscy wstrzymali oddech, gdy coraz bardziej się pochylał: trzydzieści stopni, czterdzieści, czterdzieści pięć, pięćdziesiąt... i wtedy zawisł na przeraźliwie długą chwilę, która zdawała się wiecznością. Kiedy wszyscy byli niemal pewni, że zaraz jego nadbudówki znikną pod wodą, wówczas z dręczącą ospałością zaczął się powoli prostować, metr za metrem, aż w końcu osiągnął przechył dwunastu stopni... i tak już pozostał.

Nikt się nie odzywał. Wszyscy stali bez ruchu, zbyt oszołomieni, zbyt zafascynowani tym, co przed chwilą widzieli, aby zdobyć się na cokolwiek poza oddychaniem. Ogorzała twarz Sandeckera świeciła upiorną bledością nawet w pełnym słońcu.

Pitt pierwszy odzyskał głos.

- Wstał — rzekł ledwo słyszalnym szeptem.
- Wstał — cicho potwierdził Gunn.

I wtedy tę atmosferę oszołomienia rozproszył pulsujący terkot helikoptera, który wystartował pod wiatr z „Koziorożca” i teraz opadał nad wskrzeszonym statkiem. Pilot zawiesił śmigłowiec tuż nad pokładem i prawie w tej samej chwili z bocznych drzwi wyskoczyły dwie niewielkie sylwetki.

Giordino wdrapał się po drabince i spojrzał na pokrywę luku wejściowego „Sondy Głębinowej”. Dzięki Bogu, kadłub był cały. Ostrożnie przeszedł po śliskim wypukłym pokładzie i oburącz chwycił pokrętło. Było zimne jak lód, ale Giordino mocno zacisnął dłoń i wyczerpał siły, próbując je odkręcić. Ani drgnęło.

— Przestań się guzdrać i otwórz to, do cholery! — huknął za jego plecami doktor Bailey. — Liczy się każda sekunda.

Giordino wziął głęboki oddech i napiął wszystkie mięśnie swojego byczego ciała. Pokrętło przesunęło się o cal. Ponownie się przyłożył i tym razem zdołał wycisnąć pół obrotu, a potem, kiedy syknęło powietrze wydobywające się z wnętrza batyskafu i uszczelka nie stawiała żadnego oporu, poszło już gładko. Wreszcie gwint się skończył. Giordino odchylił pokrywę i zajrzał do ciemnego otworu. W nos uderzyła go nieświeża woń zużytego powietrza. Serce podskoczyło mu do gardła, kiedy jego wzrok przyzwyczaił się do ciemności i zobaczył wodę zaledwie pół metra pod sufitem.

Doktor Bailey przepchnął się obok Giordina, wcisnął swoje ogromne cielsko do włazu i zszedł po wewnętrznej drabince. Skóra aż go zapiekła od lodowatej wody. Odepchnął się od szczebli drabinki i pieskiem popłynął w stronę rufowej części batyskafu, gdzie jego ręka natknęła się na coś miękkiego, prześwitującego przez wodę. To była czyjaś noga. Przesunął po niej ręką do kolana i dalej w kierunku torsu. Jego dłoń wynurzyła się z wody na wysokości ramion i dotknęła twarzy.

Przysunął się tak blisko, że jego nos znalazł się zaledwie parę centymetrów od głowy ukrytej w mroku. Próbował znaleźć puls, lecz palce miał zbyt zdrętwiałe od zimnej wody, nie

mógł więc stwierdzić żadnych oznak życia czy śmierci. Nagle oczy otworzyły się i zatrzepotały, a wargi zaczęły drżeć i dobiegł z nich szept:

— Wynoś się... mówiłem ci... dziś nie pracuję.

— Mostek? — z głośnika zaskrzeczał głos Curleya.

— Tu mostek — odpowiedział Gunn.

— Łączę z helikopterem.

— Dawaj go.

Po krótkiej przerwie na mostku zaskrzeczał jakiś obcy głos:

— „Koziorożec”, mówi porucznik Sturgis.

— Tu komandor Gunn, poruczniku. Słyszę was czysto i wyraźnie. Odbiór.

— Doktor Bailey wszedł do „Sondy Głębinowej”. Bądźcie w pogotowiu.

Krótką chwilą wytchnienia pozwoliła wszystkim przyjrzeć się „Titanicowi”. Bez wysokich kominów i masztów wyglądał wprawdzie nago, lecz miał zdecydowanie lepszą linię. Stalowe płyty burt były brudne i pordzewiałe, ale na kadłubie i nadbudówkach prześwitywała jeszcze biała i czarna farba. Statek swym widokiem przypominał odrażającą wiekową prostytutkę, która oddaje się marzeniom o starych, dobrych czasach i dawno przebrzmiałej urodzie. Iluminatory i okna miał zalepione brudnoszarym hydrostalem, a niegdyś wspaniałe tekowe pokłady były nadgniłe i pokryte kilometrami skorodowanych stalowych lin. Puste żurawiki na pokładzie łodziowym zdawały się modlić o powrót utraconych przed wielu laty szalup ratunkowych. W sumie wrak oceanicznego liniowca sprawiał na wodzie wrażenie, jakby pozował do niesamowitego surrealistycznego obrazu. Emanował jednak z niego jakiś niewytłumaczalny spokój, którego nie sposób opisać.

— „Koziorożec”, mówi Sturgis. Odbiór.

— Tu Gunn. Meldujcie.

— Przed chwilą pan Giordino pokazał mi trzy palce i uniesiony kciuk. Merker, Kiel i Chayez żyją.

Zrobiło się dziwnie cicho. Wtedy Pitt podszedł do tablicy rozdzielczej i włączył syrenę. Jej ogłuszający ryk rozniósł się po wodzie.

W odpowiedzi zagwizdał „Modoc”. Potem przyłączył się „Monterey Park”, później „Alhambra”, a w końcu „Bomberger”, aż morze wokół „Titanica” rozbrzmiewało kakofonią syren i gwizdów. Podpłynęła też „Junona”, która nie chciała być gorsza, i zagłuszyła szaloną wrzawę salutem ze swojego ośmiocalowego działka. Pitt zobaczył, że zazwyczaj pełen rezerwy Sandecker teraz ze śmiechem rzuca swoją czapkę w powietrze.

Była to niezapomniana chwila. Pierwszy raz od wielu, wielu lat Pitt poczuł, że po policzkach spływają mu gorące łzy.

49.

Było późne popołudnie i słońce dotykało już czubków drzew, gdy Gene Seagram, siedząc na ławce w parku East Potomac, pochylił się nad koltem, który leżał na jego kolanach. Za chwilę zostaniesz użyty do celu, w jakim cię wyprodukowano, pomyślał. Niemal z czułością przeciągnął palcami po lufie, bębnie i kolbie. Samobójstwo zdawało się idealnym rozwiązaniem w jego sytuacji. Dziwił się, że nie pomyślał o tym wcześniej. Skończą się nocne ataki ostrej depresji. Nie będzie już miał poczucia braku wartości i gnębiącego wewnętrznego przekonania, że żyje tylko na pozór.

Myślał przebiegł ostatnie kilka miesięcy, które odbijały się w jego głębokiej rozpacz jak w pękniętym krzywym zwierciadle. Jedyne miłe wspomnienia wiązały się z żoną i „Planem Sycylijskim”. Kiedy Dana odeszła, jego małżeństwo legło w gruzach. W dodatku

prezydent Stanów Zjednoczonych zdaniem Seagrama niepotrzebnie dopuścił do przecieku danych o jego cennym planie, które otrzymali zaprzysiężeni wrogowie demokracji...

Sandecker zawiadomił go o przeniknięciu dwóch sowieckich agentów do załóg statków wydobywających „Titanica”. W dodatku fakt, że CIA przestrzegła admirała, by nie przeszkadzał im w działalności szpiegowskiej, stanowił według Seagrama jeszcze jeden gwóźdź do trumny „Planu Sycylijskiego”. Zamordowano już jednego z inżynierów NUMA, a tego dnia rano codzienny raport personelu Sandeckera dla Sekcji Meta informował o uwięzionym pod wodą batyskafie i braku nadziei na uratowanie załogi. To z pewnością sabotaż. Nie ma żadnych wątpliwości. Seagram był tak skołowany, że nie potrafił logicznie myśleć. Uważał, że „Plan Sycylijski” został uśmiercony, chciał więc zginąć razem z nim. Już zwalniał bezpiecznik, gdy nagle padł na niego jakiś cień.

— Nie sądzi pan, że dzień jest zbyt piękny, żeby pozbawiać się życia? — odezwał się ktoś przyjaznym tonem.

W czasie obchodu swojego rewiru policjant Peter Jones szedł alejką nie opodal Ohio Drive, gdy zauważył mężczyznę na parkowej ławce. Początkowo myślał, że to opity winem alkoholik wygrzewa się na słońcu. Przez chwilę zastanawiał się, czyby go nie zamknąć, ale zrezygnował uznając to za niepotrzebną stratę czasu — pijak z powrotem znalazłby się na ulicy w ciągu dwudziestu czterech godzin. Jones nie miał ochoty wypełniać sterty formularzy. W mężczyźnie tym coś jednak nie pasowało do stereotypu człowieka z marginesu. Jones podszedł bliżej niedbałym krokiem i ukryty za dużym, wypuszczającym liście wiązem zaczął się dokładnie przyglądać. Wprawdzie zaczerwienione oczy patrzyły tępo pustym wzrokiem, a ramiona zwisały apatycznie, ale człowiek ten nie wyglądał na alkoholika. Miał wyczyszczone buty, kosztowny, starannie wyprasowany garnitur, gładko wygoloną twarz i obcięte paznokcie. Ale ten rewolwer...

Seagram z wolna podniósł wzrok na twarz czarnego policjanta. Zamiast podejrzliwości dostrzegł w niej szczere współczucie.

— Nie wyciąga pan wniosków zbyt pochopnie? — spytał.

— Człowieku, gołym okiem widać, że jest pan klasycznym przypadkiem depresji samobójczej — odparł Jones i zrobił ruch, jakby chciał usiąść. — Podzieli się pan ze mną ławką?

— To własność komunalna — obojętnie stwierdził Seagram.

Policjant ostrożnie usiadł na odległość ramienia od Seagrama i powoli wyciągnął nogi, trzymając dłonie na widoku, z dala od kabury ze służbowym rewolwerem.

— Gdyby o mnie chodziło, to wybrałbym listopad — odezwał się półgłosem. — Teraz wszystko zaczyna rozkwitać i drzewa pokrywają się zielenią, a w listopadzie pogoda robi się okropna, na zimnym wietrze człowiek przemarza do kości, niebo jest zawsze pochmurne i brzydkie. Taaa... ja na pewno bym wybrał listopad, żeby ze sobą skończyć.

Seagram mocniej ścisnął kolta, spoglądając na Jonesa w obawie przed jakimś nieoczekiwanym ruchem.

— Rozumiem, że uważa się pan za coś w rodzaju eksperta od samobójców, prawda?

— Nic podobnego — rzekł Jones. — Właściwie jest pan pierwszym, jakiego widzę przed faktem. Przeważnie przychodzę, gdy już dawno jest po wszystkim. Weźmy na ten przykład topielców. Oni są najgorsi. Ciała rozdęte i szerniałe, oczy wyjedzone przez ryby. Albo tych, co wyskakują. Widziałem kiedyś faceta, który skoczył z trzydziestopiętrowego budynku. Stopami wałnął w chodnik. Piszczelę wystawały mu z ramion.

— Nie chcę tego słuchać — burknął Seagram. — Nie potrzebuję, żeby jakiś czarnuch w policyjnym mundurze opowiadał mi horrory. W oczach Jonesa pojawiły się iskierki gniewu, ale po chwili zgasły.

— Dobrze, już dobrze... — rzekł. Wyciągnął chusteczkę do nosa i leniwie wycierał potnik swojej czapki. — Proszę mi powiedzieć, panie...

— Seagram. Równie dobrze może pan wiedzieć. To już i tak bez różnicy.
— Proszę mi powiedzieć, panie Seagram, jak pan zamierza to zrobić? Strzał w czoło, w skroń czy w usta?

— Wszystko jedno. Wynik będzie ten sam.

— Niekoniecznie — odpowiedział Jones takim tonem, jakby prowadził towarzyską rozmowę. — Nie polecałbym skroni ani czoła, szczególnie w wypadku broni małokalibrowej. Zobaczmy, co pan tam trzyma. No tak, wygląda na trzydziestkę ósemkę. Fakt, może narobić bigosu, ale ciężko się tym zabić. Znałem faceta, który strzelił sobie w skroń z czterdziestki piątki. Rozwalił sobie mózg i lewe oko, ale nie umarł. Żył jeszcze wiele lat jak jakiś pierwotniak. Czy nie potrafi pan wyobrazić go sobie, jak leży w łóżku, robi pod siebie na prześcieradło i błaga, żeby ktoś go dobił? Na pańskim miejscu wsadziłbym lufę w usta i odstrzelił potylicę. Ten sposób jest najpewniejszy.

— Jeśli się nie zamkniesz, to i ciebie zabiję — warknął Seagram, mierząc do Jonesa z kolta.

— Mnie? — spytał Jones. — Jesteś mięczak, a nie morderca, Seagram. Masz to wypisane na czole.

— Każdy człowiek jest zdolny do morderstwa.

— Zgoda, morderstwo to nic wielkiego. Każdy może je popełnić, ale tylko psychopaci nie liczą się z konsekwencjami.

— Teraz zaczynasz filozofować.

— My, głupie czarnuchy w policyjnych mundurach, często lubimy się mądrzyć przed białymi.

— Przepraszam za niestosowny dobór słów.

— Uważasz, że masz kłopoty, Seagram? Chciałbym mieć takie kłopoty jak ty. Spójrz na siebie: jesteś biały, z pewnością zamożny, prawdopodobnie masz rodzinę i niezłą pozycję w życiu. Czy chciałbyś się ze mną zamienić i być czarnym gliną z szóstką dzieciaków, mieszkającym w starym drewnianym domu z hipoteką obciążoną na trzydzieści lat? No mów, Seagram. Opowiedz mi, jak ciężko ci się żyje.

— Nigdy tego nie zrozumiesz.

— A co tu jest do rozumienia? Dla niczego pod słońcem nie warto się zabijać. No pewnie, z początku żona wyleje parę łez, ale później odda twoje ubrania Armii Zbawienia i za pół roku będzie spała z kim innym, a po tobie nie zostanie nic oprócz zdjęcia w albumie. Rozejrzyj się wokół siebie. Jest piękny wiosenny dzień. Pomyśl tylko, co stracisz. Oglądałeś prezydenta w telewizji?

— Prezydenta?

— Wystąpił o czwartej i opowiadał o wielkich wydarzeniach: że już za dziesięć lat ludzie polecą na Marsa, że dokonał się przełom w leczeniu raka, i pokazywał zdjęcia jakiegoś starego zatopionego statku, który rząd wydobyl z oceanu z głębokości prawie pięciu kilometrów.

Seagram wytrzeszczył oczy na policjanta.

— Mówisz, że wydobyli statek? Jaki statek?

— Nie pamiętam.

— „Titanica”? — szeptem zapytał Seagram. — Czy to był „Titanic”?

— Tak, właśnie tak się nazywał. Dawno temu uderzył w górę lodową i zatonął. Jak się nad tym zastanowiłem, to przypominam sobie, że kiedyś w telewizji oglądałem taki film o „Titanicu”, z Barbarą Stanwyck i Cliftonem Webbem...

Policjant urwał widząc, że twarz Seagrama, która najpierw wyrażała niedowierzanie, a potem zaskoczenie, teraz wykrzywia się w grymasie zakłopotania.

Seagram wręczył rewolwer niczego nie rozumiejącemu Jonesowi i plecami oparł się o ławkę. Trzydzieści dni. Mając bizanium, potrzebuje wszystkiego trzydziestu dni, by

przetestować system bezpieczeństwa, który jest rezultatem „Planu Sycylijskiego”, a potem doprowadzić go do stanu gotowości operacyjnej. A tak niewiele brakowało, żeby nic z tego nie wyszło. Gdyby ten policjant się nie wtrącił, to wystarczyłoby jeszcze tylko pół minuty i dla Seagrama wszystko na zawsze by się skończyło.

50.

— Przypuszczam, że zdajecie sobie sprawę z konsekwencji waszego oskarżenia?

Marganin spojrzął na niskiego mężczyznę o łagodnym głosie i zimnych błękitnych oczach. Admirał Borys Słojuk wyglądał bardziej na piekarza niż przebiegłego szefa drugiej co do wielkości sowieckiej sieci zbierającej informacje.

— Jestem w pełni świadomy, towarzyszu admirale, że ryzykuję swoją karierę w marynarce wojennej i narażam się na więzienie, ale nad moje osobiste ambicje przedkładam obowiązek wobec państwa.

— To bardzo szlachetnie z waszej strony, poruczniku — odparł Słojuk z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu. — Zarzuty, które przedstawiliście, są bardzo poważne, ja jednak nie mam żadnych dowodów, że kapitan Prewłow jest zdrajcą, a bez nich nie mogę go oskarżyć tylko na podstawie tego, co mówi jego podwładny.

Marganin skinął głową. Do spotkania z admirałem dobrze się jednak przygotował. Dotarcie do Słojuka z pominięciem Prewłowa i normalnej drogi służbowej było naprawdę ryzykownym krokiem, lecz pułapkę zastawił fachowo. Teraz nadszedł decydujący moment. Porucznik spokojnie sięgnął do kieszeni i wyjął kopertę, którą podał przez biurko Słojukowi.

— Tutaj są dowody wpłat dokonywanych na konto numer AZF siedemdziesiąt sześć zero dziewięć w Banque de Lausanne w Szwajcarii. Proszę zwrócić uwagę, towarzyszu admirale, że na to konto regularnie przekazuje duże sumy niejaki W. Wolper, co jest nieudolnym anagramem nazwiska Prewłow.

Słojuk obejrzał dokumenty bankowe, a potem rzucił Marganinowi bardzo sceptyczne spojrzenie.

— Wybaczcie mi moją podejrzliwą naturę, poruczniku Marganin, ale wszystko wskazuje, że to sobie wymyśliliście. Marganin podał mu drugą kopertę.

— Tu znajduje się tajna informacja, jaką amerykański ambasador w Moskwie przekazał Departamentowi Obrony w Waszyngtonie. Według niej kapitan Andriej Prewłow jest ważnym źródłem informacji dotyczących tajemnic radzieckiej marynarki wojennej. Ambasador załączył również plany dyslokacji naszej floty w wypadku pierwszego uderzenia atomowego na Stany Zjednoczone — rzekł odczuwając przyływ zadowolenia, kiedy na twarzy admirała, która zazwyczaj była obojętna, pojawił się wyraz niepewności. — Uważam, że tu wszystko jest jasne, nie ma nic wymyślnego. Młodszy oficer na moim stanowisku nie dysponuje absolutnie żadnym dostępem do tak wysoce utajnionych rozkazów dla floty, natomiast kapitan Prewłow cieszy się zaufaniem Komitetu Strategicznego Radzieckiej Marynarki Wojennej.

Szlaban się podniósł i droga stała otworem — Słojuk nie miał wyboru i musiał ustąpić. Ze zdumieniem kręcił głową.

— Syn wielkiego działacza partyjnego zdradza ojczyznę dla pieniędzy... Niewiarygodne.

— Biorąc pod uwagę ekstrawagancki styl życia kapitana Prewłowa, nietrudno zauważyć, jakie to stawia wymagania finansowe...

— Dobrze znam gusta kapitana Prewłowa.

— A czy znany wam jest również fakt, że romansuje z kobietą, która podaje się za żonę pierwszego sekretarza ambasady amerykańskiej?

Po twarzy Słojuka przemknął cień niepokoju.

— Wiecie o niej? — spytał ostrożnie. — Prewłow mi mówił, że wykorzystuje ją do wyciągania tajemnic od męża.

— To niezupełnie tak. Ona w rzeczywistości jest rozwódką i pracuje dla Centralnej Agencji Wywiadowczej — oświadczył Marganin. Potem wrócił do zasadniczego tematu: — Jedyne tajemnice, jakie przechodzą jej przez ręce, to te, które przekazuje jej kapitan Prewłow. W istocie właśnie on jest jej informatorem.

Przez kilka chwil Słojuk milczał. Później wbił w Marganina świdrujące spojrzenie.

— A skąd wy o tym wszystkim wiecie?

— Wolałbym nie wyjawiać nazwiska mojego informatora, towarzyszu admirałe. Nie oznacza to z mojej strony braku szacunku, ale z ogromnym trudem zdobywałem sobie jego zaufanie przez prawie dwa lata i solennie mu przysiągłem, że zarówno jego tożsamość, jak i stanowisko w rządzie amerykańskim pozostanie znane jedynie mnie.

Słojuk ze zrozumieniem pokiwał głową.

— Oczywiście zdajecie sobie sprawę, że to stawia nas w bardzo poważnej sytuacji...?

— Bizanium?

— Właśnie — potwierdził Słojuk. — Jeżeli Prewłow zawiadomił Amerykanów o naszym planie, to może być katastrofa. Kiedy bizanium znajdzie się w ich rękach i zrealizują „Plan Sycylijski”, przez najbliższe dziesięć lat będą mieli tę swoją równowagę sił.

— Być może Prewłow jeszcze im nie zdradził naszego planu — powiedział Marganin. — Może się z tym wstrzymuje do czasu wydobywania „Titanica”.

— Ten statek już wydobyto — rzekł Słojuk. — Nie dalej niż trzy godziny temu kapitan Parotkin, który dowodzi „Michailem Kurkowem”, zameldował, że „Titanic” znajduje się na powierzchni, gotowy do wzięcia na hol.

Marganin podniósł zdziwiony wzrok.

— Ale przecież nasi agenci, „Srebrny” i „Złoty”, zapewniali, że do próby podniesienia dojdzie nie wcześniej niż za siedemdziesiąt dwie godziny.

Słojuk wzruszył ramionami.

— Amerykanie zawsze się śpieszą.

— Powinniśmy więc odwołać plan Prewłowa, dotyczący przechwycenia bizanium, i zastąpić go innym, bardziej godnym zaufania.

„Plan Prewłowa” — Marganin musiał powstrzymać się od uśmiechu, kiedy to mówił. Kolosalna pewność siebie kapitana doprowadzi go do upadku. Marganin pomyślał z wiarą we własne możliwości, że wszystko należy rozegrać bardzo, bardzo ostrożnie.

— Teraz jest za późno na zmianę naszej strategii — z wolna powiedział Słojuk. — Żołnierze i okręty są już na miejscu. Zrobimy to, co ustalono.

— A kapitan Prewłow? Chyba każecie go aresztować? Admirał obrzucił Marganina zimnym spojrzeniem.

— Nie, poruczniku. W dalszym ciągu będzie pełnił swoje obowiązki.

— Przecież nie można mu ufać — rozpaczliwie walczył Marganin. — Widzieliście dowody...

— Nie widziałem nic, czego nie można by sfabrykować — warknął Słojuk. — Wasze dowody podaliście w zbyt pięknym opakowaniu, zbyt elegancko zawiązaliście wstążeczkę, żeby to od razu kupić. Ja widzę jedynie młodego parweniusza, który zadaje cios w plecy swojemu przełożonemu, żeby osiągnąć następny stopień na drabinie awansu. Czystki się skończyły, zanim wy zdążyliście się urodzić, poruczniku. Rozegraliście niebezpieczną partię i jesteście skończeni.

— Zapewniam was...

— Dość! — wykrzyknął ostro Słojuk. — Jestem spokojny o to, że bizanium znajdzie się cało na pokładzie radzieckiego okrętu najpóźniej za trzy dni, a fakt ten będzie dowodem lojalności kapitana Prewłowa i waszej winy.

„Titanic” bezwładnie poddawał się nieustannym atakom fal, które przewalały się wzdłuż jego ogromnego kadłuba, by potem znów zewrzeć szeregi i pędzić dalej, w stronę odległego brzegu. Wrak dryfował z prądem, a w promieniach palącego słońca z jego nasiąkniętych wodą drewnianych pokładów unosiła się para. Martwy statek, który powrócił do świata żywych. Martwy, lecz nie wymarły. Z wypukłego dachu sali klubowej pierwszej klasy pośpiesznie usunięto okrągłą wieżyczkę, by zrobić miejsce dla helikoptera, i wkrótce nieprzerwanym strumieniem transportowano na pokład ludzi i sprzęt, żeby rozpocząć żmudne prace, związane z usuwaniem przechyłu i przygotowaniem do długotrwałego holowania do portu w Nowym Jorku.

Przez kilka krótkich minut po tym, jak pólżywa załoga „Sondy Głębinowej” została przewieziona drogą powietrzną na „Koziorożca”, Giordino miał całego „Titanica” wyłącznie dla siebie. Nawet nie przyszło mu do głowy, że jest pierwszym człowiekiem, który po siedemdziesięciu sześciu latach postawił nogę na jego pokładzie. Choć był jeszcze biały dzień, to jednak bał się ruszyć z miejsca. Za każdym bowiem razem, gdy spoglądał na ponad dwustumetrowy kadłub statku, miał uczucie, jakby patrzył na wilgotny, oślizgły grobowiec. Nerwowo zapalił papierosa, usiadł na mokrym kabestanie i czekał na inwazję, która wkrótce się zaczęła.

Kiedy Pitt znalazł się na pokładzie, nie odczuwał żadnego niepokoju, ale raczej nabożny szacunek. Wszedł na mostek i stał tam samotnie, pogrążony w myślach o legendzie „Titanica”. Tylko Bóg jeden wie, który już raz zastanawiał się, jak to wszystko wyglądało owej nocy przed niemal osiemdziesięciu laty, gdy kapitan Edward J. Smith, stojąc w tym samym miejscu, zdał sobie sprawę, że dowodzony przezeń wspaniały statek powoli i nieodwołalnie tonie mu pod stopami. O czym myślał wiedząc, że łodzie ratunkowe mogły pomieścić jedynie 1180 osób, a przecież w dziewiczym rejsie miał 2200 ludzi wraz z załogą?

Po jednej czy dwóch minutach, które wydawały mu się godzinami, Pitt ocknął się z zadumy i ruszył pokładem łodziowym w stronę rufy. Po drodze przeszedł obok uszczelnionych drzwi kabiny radiowej, skąd telegrafista John G. Phillips wysłał pierwszy sygnał SOS, obok pustych żurawików łodzi ratunkowej numer 6, w której pani J.J. Brown z Denver zdobyła sobie nieprzemijającą sławę jako „niezatapialna Molly Brown”, obok wejścia do głównej klatki schodowej, gdzie Graham Farley wraz z orkiestrą statku grał do samego końca, obok miejsca, gdzie milioner Benjamin Guggenheim i jego sekretarka spokojnie stali w oczekiwaniu śmierci, a potem utonęli ubrani w eleganckie stroje wieczorowe, jak przystoi ludziom z klasą.

Droga do windy na drugim końcu pokładu łodziowego zajęła mu prawie piętnaście minut. Przeszedł przez reling i zeskoczył na pokład spacerowy, gdzie natknął się na wystający z przegniłych desek kikut masztu, który na wysokości dwóch i pół metra został skrócony podwodnym palnikiem przez „Ślimaka Morskiego”.

Sięgnął do kieszeni, wyjął paczuszkę, którą mu wręczył komandor Bigalow, i delikatnie ją rozwinął. Zapomniał wziąć ze sobą kawałka linki czy szpagatu, ale uznał, że wystarczy mu sznurek z opakowania. Kiedy skończył, cofnął się na kilka kroków od kikutu niegdyś wysokiego masztu i popatrzył na swoje dzieło.

Choć stara i wyblakła, czerwona bandera linii oceanicznych „White Star”, którą tak dawno temu zerwał Bigalow, ratując ją przed zapomnieniem, znów dumnie powiewała nad niezatapialnym „Titanikiem”.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca właśnie zabłyśły nad horyzontem, kiedy Sandecker wyskoczył z otwartych drzwi kabiny helikoptera i biegł pochylony pod obracającymi się łopatkami wirnika, przytrzymując czapkę. Przenośne lampy jeszcze się paliły, oświetlając nadbudówki wraka i rozrzucone po pokładach skrzynie z częściami maszyn w różnych fazach montażu. Pitt i jego ludzie przez całą noc pracowali jak niewolnicy, w szalonym tempie przygotowując statek do holowania.

Rudi Gunn pomachał do Sandeckera spod nawiewnika zrakowaciącego od rdzy.

— Witamy na pokładzie „Titanica”, admirale — powiedział z uśmiechem.

Tego ranka chyba wszyscy się uśmiechali.

— Jak tam sytuacja?

— Na razie bez zmian. Kiedy tylko uruchomimy pompy, powinniśmy usunąć ten przechył.

— Gdzie Pitt?

— W sali gimnastycznej.

Sandecker wytrzeszczył oczy na Gunna i zatrzymał się.

— Powiedziałeś „w sali gimnastycznej”?

Gunn skinął głową i wskazał otwór w ścianie nadbudówki. Jego poszarpane brzegi wskazywały, że został wycięty palnikiem acetylenowym.

— Tędy.

Pomieszczenie miało około pięciu metrów szerokości i ponad piętnaście długości. Pracowało w nim kilkunastu zajętych różnymi czynnościami ludzi, którzy zdawali się nie zwracać uwagi na przedziwny zestaw pokrytych rdzą, staroświeckich mechanizmów, umocowanych do tego, co niegdyś było kolorową posadzką z linoleum. Znajdowały się tam bogato zdobione urządzenia do wiosłowania na sucho, zabawnie wyglądające stacjonarne rowery, połączone z dużym, okrągłym licznikiem kilometrów na ścianie, sztuczne konie z obrotowymi siodłami ze skóry oraz coś, co zdaniem Sandeckera wyglądało na mechanicznego wielbłąda i, jak później stwierdził, rzeczywiście nim było.

Grupa robocza wyposażyła już salę w nadajnik i odbiornik radiowy, trzy przenośne generatory prądu, zasilane gazem, kilkanaście reflektorów na statywach, niewielką podręczną kuchenkę, zaimprovizowane biurka i stoły, wykonane z łączonych rurek aluminiowych i elementów skrzyń do pakowania, a także parę składanych łóżek.

Pitt z Drummerem i Spencerem studiowali duży rysunek statku w przekroju perspektywicznym, kiedy zbliżył się do nich Sandecker.

Pitt podniósł wzrok i zasalutował.

— Witamy na „Titanicu”, admirale — powiedział serdecznym tonem. — Co z Merkerem, Kielem i Chavezem?

— Leżą w izbie chorych „Kozioróżca” — odparł Sandecker. — Doszli już do siebie w dziewięćdziesięciu procentach i błagają doktora Bailey’a, żeby pozwolił im wrócić do ich obowiązków, ale on jest głuchy na te prośby. Upiera się, że przez dobę powinni zostać na obserwacji, a z takim człowiekiem jak on, z jego posturą i zdecydowaniem, po prostu nie ma dyskusji. — Admirał przerwał, poruszył nozdrzami i zmarszczył nos. — Boże, co tu tak śmierdzi?

— Zgnilizna — odparł Drummer. — Wszędzie jej pełno, we wszystkich zakamarkach. Nie można od tego uciec. Martwe zwierzęta morskie, wyciągnięte z wrakiem na powierzchnię, szybko zaczynają się psuć.

Sandecker zatoczył dłonią w powietrzu.

— Przytulnie tu macie — rzekł. — Ale dlaczego założyliście centralę operacyjną w sali gimnastycznej, a nie na mostku?

— Odstępstwo od tradycji z powodów praktycznych — odparł Pitt. — Mostek na martwym statku jest niefunkcjonalny, natomiast sala gimnastyczna leży na śródkręciu, skąd

mamy taki sam dostęp do dziobu i rufy. Poza tym sąsiaduje z naszym zaimprovizowanym lądowiskiem dla helikoptera na dachu sali klubowej pierwszej klasy. Im bliżej jesteśmy naszego zaopatrzenia, tym sprawniej możemy działać.

— Musiałem o to zapytać — powiedział Sandecker poważnym tonem. — Należało się upewnić, czy nie wybraliście tego muzeum mechanicznych potworności tylko po to, by prowadzić ćwiczenia sprawnościowe.

Admirał podszedł do wilgotnej kupki gruzu pod zewnętrzną ścianą sali gimnastycznej, coś tam bowiem zwróciło jego uwagę. Przez kilka chwil ponurym wzrokiem wpatrywał się w szczątki jakiegoś pasażera czy członka załogi „Titanica”.

— Ciekaw jestem, kim był ten biedak.

— Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy — rzekł Pitt. — Wszystkie kartoteki dentystryczne z 1912 roku niewątpliwie już dawno temu poszły na przemiał.

Sandecker pochylił się i uważnie obejrzał kości miednicy.

— Mój Boże, to była kobieta.

— Pewnie jedna z pasażerek pierwszej klasy postanowiła zostać albo któraś kobieta z tych, co podróżowały na międzypokładziu, dotarła na pokład łodziowy, gdy już spuszczone wszystkie szalupy.

— Znaleźliście jakieś inne ciała?

— Byliśmy zbyt zajęci, żeby wszystko przeszukać — odparł Pitt. — Tylko Spencer meldował, że w sali klubowej widział szkielet zaklinowany w kominku.

Sandecker ruchem głowy wskazał otwarte drzwi.

— A co jest za nimi?

— Główne schody.

— Rozejrzyjmy się.

Wyszli na podest nad hallem pokładu A i popatrzyli w dół. Schody były zawałone przegniłymi fotelami i kanapami, które tam się zsunęły, kiedy tonący statek poleciał na dziób. Wskazówki zegara z brązu zatrzymały się na godzinie drugiej dwadzieścia jeden. Zeszli po schodach pokrytych szlamem i dotarli do jednego z korytarzy prowadzących do salonu. Wszystkie pomieszczenia były pełne wywróconych i połamanych mebli, wśród których wały się przegniłe kawałki odpadniętej boazerii. Wszystko to bez naturalnego oświetlenia wyglądało niesamowicie: mrok nie pozwalał dostrzec szczegółów. Kiedy po przejściu około dziesięciu metrów drogę zagroziło im spiętrzone rumowisko, ruszyli z powrotem do sali gimnastycznej.

Gdy tylko stanęli w drzwiach, mężczyzna pochyłony nad radiem odwrócił do nich głowę. Był to Al Giordino.

— Gdzieście się podziewali? Ludzie z „Uranusa” chcą wiedzieć, co jest z ich batyskafem.

— Powiedz im, że będą mogli ściągnąć go sobie z fordeku „Titanica”, kiedy znajdziemy się w suchym doku w Nowym Jorku — powiedział Pitt.

Giordino skinął głową i znów pochylił się nad radiem.

— Zostaw to. Niech ci handlarze ropą sami się martwią o swoją cenną własność — powiedział Sandecker z błyskiem w oku. — Ale a propos doniosłych chwil, czy mają panowie coś przeciwko temu, żebyśmy uczcili tę okazję kropelką czegoś mocniejszego?

— Powiedziałeś „czegoś mocniejszego”? — spytał Giordino głosem pełnym oczekiwania.

Sandecker sięgnął pod płaszcz i wyjął dwie butelki.

— Niech nikt nie próbuje mówić, że Sandecker nie dba o swoich ludzi.

— Strzeżcie się admirałów przynoszących prezenty — mruknął Giordino.

Sandecker rzucił mu zmęczone spojrzenie.

— Szkoda, że minęły czasy chodzenia po desce*.
— I przeciągania pod kilem* — dodał Drummer.
— Obiecuję, że już nigdy nie będę podkopywał autorytetu naszego szefa. Oczywiście pod warunkiem, że nie da mi wytrzeźwieć — rzekł Giordino.

— To nic nie kosztuje — stwierdził Sandecker. — No, panowie, wybierajcie sobie truciznę. Oto przed wami butelka szkockiej „Cutty Sark” dla miejskich cwaniaków i flaszka „Jack Daniel's” dla chłopaków ze wsi. Wyciągnijcie jakieś szkło i uważajcie się za moich gości.

Znalezienie odpowiedniej liczby polistyrenowych kubków w mikroskopijnej kuchni zajęło Giordinowi wszystkiego dziesięć sekund. Kiedy rozlano alkohol, Sandecker uniósł swój kubek.

— Panowie, za „Titanica”. Niech nigdy nie spoczywa w spokoju.

— Za „Titanica”!

— Słusznie, za „Titanica”.

Admirał usiadł na składanym krzeselku, sączył szkocką i leniwie się zastanawiał, który z mężczyzn obecnych w tym wilgotnym pomieszczeniu jest na liście płac sowieckiego rządu.

53.

Sekretarz Generalny Georgij Antonow ssał fajkę krótkimi pociągnięciami, patrząc na Prewłowa zamyślonym wzrokiem.

— Muszę powiedzieć, kapitanie, że to całe przedsięwzięcie mi się nie podoba.

— Rozważyliśmy wszystkie możliwości i tylko to nam pozostało — rzekł Prewłow.

— Ale to jest najeżone niebezpieczeństwami. Obawiam się, że Amerykanie nie pogodzą się zbyt łatwo z kradzieżą bizanium.

— Kiedy już znajdzie się w naszych rękach, towarzyszu sekretarzu, to Amerykanie będą mogli sobie krzycheć do woli. Zatrzaśniemy im drzwi przed nosem.

Antonow splatał i rozplatał ręce. Na ścianie za jego plecami wisiał duży portret Lenina.

— Nie wolno nam dopuścić do żadnych międzynarodowych reperkusji. Dla świata musi to wyglądać tak, jakbyśmy postępowali zgodnie z prawem.

— Tym razem prezydent Stanów Zjednoczonych niczego nie uzyska. Prawo międzynarodowe jest po naszej stronie.

— Będzie to oznaczało koniec tego, co zwykle się nazywało odprężeniem — rzekł Antonow zmartwionym głosem.

— Będzie również oznaczało początek końca Stanów Zjednoczonych jako supermocarstwa.

— Taka argumentacja dodaje otuchy, kapitanie. Nawet mi się podoba — oznajmił Antonow. Zgasła mu fajka, więc ponownie ją zapalił, wypełniając gabinet słodkawym aromatem. — Jednakże gdybyśmy przegrali, Amerykanie mogliby to samo powiedzieć o nas.

— Nie przegramy.

— Gadanie — stwierdził Antonow. — Dobry adwokat nie tylko planuje obronę, ale również stara się przewidzieć ataki prokuratora. Jakie środki przedsięwzięliście na wypadek, gdyby nie udało się uniknąć niepomyślnego dla nas rozwoju wydarzeń?

— Bizanium zostanie zniszczone — odparł Prewłow. — Skoro my nie możemy go mieć, to i oni nie będą go mieli.

— Czy to dotyczy również „Titanica”?

— Musi. Niszcząc „Titanica”, zniszczymy bizanium, a zrobimy to w taki sposób, żeby całkowicie wykluczyć możliwość ponownego wydobywania.

* Dawne kary za niesubordynację na morzu (przyp. tłum.).

Prewłow umilkł, lecz Antonow był zadowolony. Już przedtem wydał zgodę na przeprowadzenie tej misji. Uważnie przyjrzał się Prewłowowi. Kapitan wyglądał na człowieka nie przyzwyczajonego do porażek. Każde jego posunięcie, każdy gest wydawał się dokładnie przemyślany; nawet w jego słowach wyczuwało się pewność, pewność siebie wynikającą z rozważności. Tak, Antonow był naprawdę zadowolony.

— Kiedy wybieracie się na północny Atlantyk? — spytał.

— Jeżeli pozwolicie, towarzyszu sekretarzu, to niezwłocznie. Patrolowy bombowiec dalekiego zasięgu czeka na lotnisku w Gorkim, w każdej chwili gotowy do startu. Bezwarunkowo muszę w ciągu dwunastu godzin znaleźć się na mostku kapitańskim „Michaiła Kurkowa”. Szczęśliwy los zesłał nam huragan, który wykorzystam jako pretekst do tego, co będzie się wydawało absolutnie legalnym przejęciem „Titanica”.

— A więc nie będę was zatrzymywał. — Antonow wstał i objął Prewłowa niczym niedźwiedź, — Liczy na was cały Związek Radziecki, kapitanie Prewłow. Bardzo was proszę, nie zawiedźcie nas.

54.

Ten dzień Pitt mógłby uznać za dobry do chwili, gdy przerwał swoje normalne zajęcia, związane z akcją ratowniczą, i zszedł do ładowni numer 1 na pokładzie G.

W mrocznym przedziale ujrzał obraz całkowitego zniszczenia. Skarbiec, w którym było bizanium, znajdował się pod zwałoną przednią grodzią.

Pitt stał tam przez dłuższy czas, patrząc na kłębowisko połamanej i pociętej stali, uniemożliwiającej dostęp do cennego pierwiastka. Wtem poczuł, że ktoś za nim stoi.

— Wygląda na to, że nic z tego nie wyjdzie — powiedział Sandecker.

Pitt pokiwał głową.

— Przynajmniej na razie.

— Chyba żeby...

— Miną całe tygodnie, nim za pomocą naszego przenośnego sprzętu wytniemy ścieżkę w tej stalowej dżungli.

— Nie ma innego sposobu?

— Duży kran portowy usunąłby to w ciągu paru godzin.

— Z tego, co mówisz, wynika, że nie mamy wyboru i musimy czekać, aż będziemy mogli skorzystać z urządzeń suchego doku w Nowym Jorku.

— Przeniesienie bizanium na „Koziorożca” byłoby jednak korzystnym posunięciem — stwierdził Pitt. — Z pewnością oszczędziłoby nam mnóstwa zmartwień.

— Można zamarkować przeładunek.

— Nasi przyjaciele, którzy pracują dla Rosjan, natychmiast wyczują pismo nosem, zanim pierwsza skrzynia znajdzie się na burcie.

— Zakładając, oczywiście, że obaj są na pokładzie „Titanica”.

— Jednego już namierzyłem. Tego, który zabił Munka. Nazwisko drugiego pozostaje w sferze domysłów.

— Bardzo chciałbym dowiedzieć się, kogo wytropiłeś — rzekł Sandecker.

— Dowody, jakimi dysponuję, nigdy by nie przekonały prokuratora federalnego, a tym bardziej ławy przysięgłych. Daj mi jeszcze parę godzin, admirale, a do rąk własnych przekażę ci obu, i „Srebrnego”, i „Złotego”, czy jak tam brzmią te ich głupawe kryptonimy. Admirał ze zdziwieniem spojrzął na Pitta.

— To już jesteś tak blisko? — spytał.

— Jestem tak blisko.

Sandecker zmęczonym ruchem przetarł sobie dłonią twarz i zacisnął wargi. Popatrzył na tony stali pokrywające skarbiec.

— Zostawiam to tobie, Dirk. W tej grze będę popierał cię do samego końca. W istocie nie mam zbyt wielkiego wyboru.

Pitt miał również inne zmartwienia. Do przybycia dwóch holowników Marynarki Wojennej, które obiecał przysłać admirał Kemper, pozostawało jeszcze wiele godzin, a poza tym pewnego ranka przechył „Titanica” na lewą burtę bez wyraźnego powodu zwiększył się do siedemnastu stopni.

Statek zdecydowanie za głęboko siedział w wodzie; grzebiecie fal pluskały na wysokości uszczelnionych iluminatorów wzdłuż pokładu E, zaledwie trzy metry od szpigatów. Wprawdzie Spencerowi i obsłudze pomp udało się spuścić rury ssące przez luki do ładowni, to jednak nie zdołali się przedrzeć przez zawałone rumowiskiem zejścia do maszynowni i kotłowni, gdzie w dalszym ciągu było najwięcej wody.

Drummer siedział w sali gimnastycznej, brudny i wyczerpany po całodobowej pracy. Małymi łykami pił z kubka kakao.

— Boazerie gnily przez prawie osiemdziesiąt lat w wodzie, odpadły i zablokowały korytarze, które teraz są bardziej zaphane niż rupieciarnie w Georgii — rzekł.

Pitt siedział tam, gdzie spędził całe popołudnie, pochylony nad stołem kreślarskim obok radiostacji. Zaczerwienionymi oczami wpatrywał się w rysunek przekroju poprzecznego nadbudówek „Titanica”.

— Czy nie można by się tam dostać głównymi schodami albo szybami wind?

— Od pokładu D do samego dołu schody są zawałone tonami różnych gratów — oświadczył Spencer.

— I nie ma mowy o zejściu szybami wind — dodał Gunn. — Są zatkałe całą masą skorodowanych lin i połamanego żelastwa. Na domiar złego wszystkie podwójne drzwi wodoszczelne w dolnych przedziałach są zamknięte i zakleszczone na amen.

— Zostały automatycznie zamknięte przez pierwszego oficera zaraz po tym, jak statek uderzył w górę lodową — powiedział Pitt.

W tym momencie do sali wtoczył się niski, byczkowaty mężczyzna, brudny i wysmarowany olejem od stóp do głów. Pitt spojrzał na niego i lekko się uśmiechnął.

— To ty, Al?

Powłócząc nogami, Giordino podszedł do łóżka i zwałił się na nie jak worek mokrego cementu.

— Byłbym wdzięczny, gdyby żaden z was nie zapalał zbyt blisko mnie zapalek — mruknął. — Jestem za młody, żeby spłonąć w blasku chwały.

— Udało ci się? — spytał Sandecker.

— Dotarłem aż do kortu do squasha na pokładzie F. Było tam ciemno jak diabli... wpadłem do jakiegoś zejścia, pełnego oleju, który wypłynął z maszynowni. No i cześć, skończyła się droga w dół.

— Tylko wąż mógłby się prześlizgnąć do kotłowni, ale człowiek z pewnością nie da rady — powiedział Drummer. — Chyba żeby torował sobie drogę dynamitem i miał do pomocy ratowników.

— Musi być jakieś przejście — odezwał się Sandecker. — Statek gdzieś tam bierze wodę. Jeżeli nie uwiniemy się z tym w ciągu najbliższej doby, to przewróci się do góry dnem i znowu zatoni.

Myśl o utracie „Titanica”, kiedy już znalazł się na gładkiej powierzchni morza, nigdy dotąd nie przysła im do głowy, lecz teraz wszyscy poczuli mdlący ucisk w żołądkach. Statek należało jeszcze odholować, a do Nowego Jorku było tysiąc dwieście mil morskich.

Pitt siedział, wpatrując się w rysunki wnętrza statku. Niestety, okazały się niewystarczające, a nie istniały już szczegółowe plany konstrukcyjne „Titanica” ani jego siostrzanego statku, „Olympica”. Wraz z archiwum pełnym fotografii i danych technicznych

zostały zniszczone w czasie II wojny światowej, kiedy to niemieckie bombowce zrównały z ziemią stocznice Harlanda i Wolffa w Belfaście.

— Gdyby tylko nie był taki wielki — mruknął Drummer. — Cholera, ponad trzydzieści metrów dzieli kotłownię od pokładu łodziowego.

— Równie dobrze mogłoby to być trzydzieści kilometrów — powiedział Spencer. Podniósł wzrok i zobaczył Woodsona, który pojawił się w drzwiach prowadzących na klatkę schodową. — A, jest nasz człowiek z kamiennym obliczem. Cóż to porabiał nadworny fotograf operacji?

Obwieszony aparatami Woodson zdejmował je z siebie i ostrożnie układał na zaimprovizowanym biurku.

— Po prostu robiłem zdjęcia dla potomności — odparł z twarzą jak zwykle bez wyrazu. — Kto wie, może kiedyś napiszę książkę o tym wszystkim, i naturalnie będę potrzebował zdjęć.

— Naturalnie — powiedział Spencer. — A przypadkiem nie znalazłeś jakiegoś nie zawalonego zejścia do kotłowni? Woodson pokręcił głową.

— Fotografowałem salę klubową pierwszej klasy. Zachowała się w niezwykle dobrym stanie. Gdyby nie zniszczone przez wodę dywany i meble, mogłaby uchodzić za salon w pałacu wersalskim — powiedział i zaczął zmieniać filmy. — Czy jest jakaś szansa wypożyczenia helikoptera? Chciałbym strzelić parę zdjęć naszej zdobyczy z lotu ptaka, nim przypląną holowniki.

Giordino uniósł się na łokciu.

— Lepiej zrób zdjęcia, póki czas. Nasza zdobycz może do rana powrócić na dno.

Woodson zmarszczył brwi.

— A co, tonie?

— Myślę, że nie.

Wszyscy zwrócili oczy na osobę, która powiedziała te trzy słowa. Był nią Pitt, który uśmiechał się z pewnością siebie człowieka właśnie mianowanego prezesem rady nadzorczej General Motors.

— Jak to zwykł mawiać Kit Carson w beznadziejnej sytuacji, otoczony przeważającymi siłami Indian: „Jeszcze nie koniec z nami, u licha, jeszcze nie”. Za dziesięć godzin maszynownia i kotłownia będą suche jak pieprz. — Zaczął gwałtownie przekładać rysunki, aż znalazł ten, którego szukał. — Woodson powiedział: „z lotu ptaka”. Cały czas mieliśmy to przed nosem. Powinniśmy na statek popatrzeć z góry, a nie od wewnątrz.

— Wielka rzecz — odezwał się Giordino. — A co ciekawego można zobaczyć z powietrza?

— Niczego nie kapujecie?

Drummer wyglądał na zakłopotanego.

— Straciłem wątek.

— Spencer?

Spencer pokręcił głową.

Pitt uśmiechnął się do niego i rzekł:

— Zbierz swoich ludzi na górze i każ im zabrać ze sobą palniki acetylenowe.

— Jak sobie życzysz — odparł Spencer, lecz się nie ruszył.

— Pan Spencer w myśli już bierze ze mnie miarę na kaftan bezpieczeństwa — powiedział Pitt. — Trudno mu sobie wyobrazić, że będziemy wycinać dziury w dachu statku po to, by dostać się trzydzieści metrów niżej przez osiem zawalonych złomem pokładów. Otóż nic podobnego. Mamy tunel wolny od jakichkolwiek przeszkód, prowadzący prosto jak strzelił do kotłowni. Właściwie mamy ich nawet cztery. Przewody, które niegdyś kończyły się kominami, panowie. Wypalcie hydrostal uszczelniający otwory i będziecie mieli swobodny dostęp bezpośrednio do samej żęzy. No co, zaczyna wam świtać?

Ruszyli hurmem do wyjścia, nawet się nie fatygując, żeby odpowiedzieć Pittowi.

Dwie godziny później pompy dieslowskie stukotały chórem, wyrzucając osiem tysięcy litrów wody na minutę z powrotem za burtę, na coraz wyższe fale, które wznosił przed sobą nadciągający huragan.

55.

Huraganowi dano imię „Amanda” i jeszcze tego samego popołudnia większość statków płynących szlakami wielkich parowców opuściła obszary, przez które biegła jego przypuszczalna droga. Wszystkie frachtowce, tankowce i statki pasażerskie, które już wyszły w morze pomiędzy Savannah w stanie Georgia a Portlandem w stanie Maine, otrzymały rozkaz powrotu do portów, kiedy Centrum Obserwacji Huraganów NUMA w Tampie wysłało pierwsze ostrzeżenie. Na wschodnim wybrzeżu blisko setka statków odłożyła termin wypłynięcia, a wszystkie te, które w drodze do Europy znajdowały się już daleko na oceanie, stawały w dryf czekając, aż huragan minie.

W Tampie doktor Prescott i jego synoptycy krzatali się przy ściennej mapie, nanosząc na nią wszelkie zmiany kierunku „Amandy” i wprowadzając nowe dane do komputera. Trasa huraganu pokrywała się z drogą przewidzianą przez Prescottta z dokładnością do dwustu osiemdziesięciu kilometrów.

Podszedł jeden z synoptyków i podał Prescottowi kartkę papieru.

— Meldunek samolotu rozpoznawczego Ochrony Wybrzeża, który dotarł do oka cyklonu.

Prescott wziął meldunek i głośno przeczytał jego fragmenty:

— Średnica oka w przybliżeniu czterdzieści kilometrów. Prędkość przesuwania się wzrosła do siedemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Siła wiatru dwieście pięćdziesiąt... — głos uwiązł mu w gardle.

Asystentka spojrzała na niego zdumiona.

— Wiatr o prędkości dwustu pięćdziesięciu kilometrów?!

— Ponad — mruknął Prescott. — Współczuję statkowi, który tam się znajduje.

Nagle synoptyk rzucił badawcze spojrzenie na mapę. Twarz mu poszarzała.

— O Chryste... tam jest „Titanic”!

— Tam jest co? — spytał Prescott, podnosząc wzrok.

— „Titanic” i statki ratownicze. Są w samym środku przewidywanej drogi huraganu.

— Głupstwa gadasz! — warknął Prescott.

Synoptyk podszedł do mapy i na moment się zawahał. W końcu narysował na niej mały krzyżyk tuż poniżej Wielkiej Ławicy koło Nowej Fundlandii.

— O, w tym miejscu wydobyto go z dna.

— Skąd wzięłeś te informacje?

— Od wczoraj trąbią o tym we wszystkich gazetach i w telewizji. Jeżeli mi nie wierzysz, to wyślij teleks do centrali NUMA w Waszyngtonie i sprawdź.

— Pieprzę teleksy — warknął Prescott. Podbiegł do telefonu po drugiej stronie sali, chwycił słuchawkę i krzyknął do mikrofonu:

— Natychmiast łącz bezpośrednio z naszą centralą w Waszyngtonie. Chcę rozmawiać z kimś, kto się zajmuje sprawą wydobycia „Titanica”.

Czekając na połączenie, wpatrywał się sponad okularów na krzyżyk zaznaczony na mapie.

— Cała nadzieja w tym, że ci biedacy mają na pokładzie bardzo dobrego meteorologa — mruknął do siebie — bo jak nie, to mniej więcej za dobę na własnej skórze poznają, co to znaczy rozszalały ocean.

Farquar z dziwnym wyrazem twarzy wpatrywał się w mapy pogody rozłożone przed nim na stole. Był tak otumaniony brakiem snu, że miał trudności z odczytywaniem adnotacji, które sam zrobił zaledwie przed kilkoma minutami. Dane o temperaturze, szybkości wiatru, ciśnieniu barycznym i nadsięgającym froncie burzowym zlewały się w jedną rozmazaną plamę.

Bezskutecznie przecierał oczy, chcąc przywrócić im ostrość widzenia. Potrząsnął głową, żeby oprzytomnieć i przypomnieć sobie, jakie wnioski nasuwały mu się przed chwilą.

Huragan. Tak, to było to. Farquar powoli uświadamiał sobie, że popełnił poważny błąd w obliczeniach. Wbrew jego przewidywaniom huragan nie skręcił w stronę przylądka Hatteras, lecz powstrzymywany przez obszar wysokiego ciśnienia wzdłuż wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych ruszył na północ nad oceanem, a co gorsza, po zmianie kierunku zaczął przesuwać się szybciej i teraz pędził ku „Titanicowi” z prędkością około osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Farquar obserwował powstawanie tego huraganu na zdjęciach satelitarnych i dokładnie przestudiował ostrzeżenia stacji NUMA w Tampie, lecz pomimo wieloletniego doświadczenia w prognozowaniu pogody nie był przygotowany na to, że ten potwór osiągnie taką gwałtowność i prędkość w tak krótkim czasie.

Huragan w maju? Nie do pomyślenia. Wtedy przypominał sobie, że już coś na ten temat mówił Pittowi. Co to było? „To Bóg zsyła sztormy.” Nagle zrobiło mu się słabo, na jego twarz wystąpiły kropelki potu, gwałtownie zamykał i otwierał dłonie.

— Boże, tym razem pomóż „Titanicowi” — szepnął. — Teraz jedynie Ty możesz go uratować.

56.

Holowniki ratownicze Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych „Morse” i „Wallace” przyplęły tuż przed trzecią po południu i wolno krążyły wokół „Titanica”. Ogrom wraku i towarzysząca mu dziwna atmosfera śmierci wzbudzały w ich załogach takie samo uczucie nabożnej czci, jakiego dzień wcześniej doznali ratownicy NUMA.

Po półgodzinnej inspekcji z dystansu holowniki z maszynami na „stop” ustawiły się na wzburzonych falach równoległe do zardzewiałego kadłuba. Potem jak na komendę opuściły szalupy, w których kapitanowie podpłynęli do „Titanica” i wspięli się na jego pokład po drabinkach w pośpiechu przerzuconych przez burtę.

Porucznik George Uphill z „Morse'a” był niskim zażywnym mężczyzną o ogorzałej twarzy, z ogromnymi wąsami jak u Bismarcka, komandor porucznik Scotty Butera zaś miał ponad dwa metry wzrostu i wspaniałą czarną brodę, która zakrywała mu policzki. Żaden z nich nie przypominał wymuskanych oficerów marynarki wojennej. Obaj pod każdym względem wyglądali i zachowywali się, jak przystało na prawdziwych ratowników.

— Nawet nie wiecie, panowie, jakie to szczęście, że was widzimy — powiedział Gunn, witając się z nimi. — Admirał Sandecker i pan Dirk Pitt, nasz dyrektor do zadań specjalnych, oczekują was w tak zwanej centrali operacyjnej.

Kapitanowie holowników ruszyli za Gunnem po schodach, a następnie przez pokład łodziowy, z niemym zachwytem patrząc szeroko otwartymi oczami na to, co pozostało z niegdyś pięknego statku. Weszli do sali gimnastycznej i Gunn dokonał prezentacji.

— To wręcz niewiarygodne — rzekł Uphill półgłosem. — Nawet w najśmielszych marzeniach nie wyobrażałem sobie, że kiedykolwiek będę spacerował po pokładach „Titanica”.

— Ja mam dokładnie takie samo wrażenie — dodał Butera.

— Z przyjemnością bym panów oprowadził, ale każda minuta zwiększa ryzyko ponownej utraty statku — powiedział Pitt.

Admirał Sandecker gestem zaprosił ich do długiego stołu, zavalonego mapami pogody, rysunkami i mapami morskimi, na których stały kubki z parującą kawą.

— W tej chwili największe zmartwienie mamy z pogodą — rzekł. — Nasz meteorolog, który jest na pokładzie „Koziorożca”, coś sobie ubrdał i przepowiada sądny dzień.

Pitt rozwinął dużą mapę pogody i położył ją na stole.

— Nie można się opędzić od złych wieści. Pogoda robi się coraz gorsza. W ciągu ostatniej doby barometr spadł o prawie półtora centymetra. Siła wiatru cztery. Dmucha z północnego wschodu i tężeje. Nie uciekniemy od tego, panowie, nie ma żadnych wątpliwości. Jeżeli nie stanie się cud i huragan „Amanda” nagle nie skreśli na zachód, to jutro mniej więcej o tej porze znajdziemy się w jego czołowej ćwiartce.

— Huragan „Amanda”... — powtórzył Butera. — Tak brzydko się zapowiada?

— Joel Farquar, nasz meteorolog, zapewnia mnie, że tak słabe sztormy, jak to małeństwo, się nie zdarzają — odparł Pitt. — Z meldunków wynika, że wiatr wieje z siłą zaledwie piętnastu stopni w skali Beauforta.

— Piętnastu stopni?! — wykrzyknął zdumiony Gunn. — O Boże, przecież największe huragany mają siłę dwunastu.

— Toteż obawiam się, że w ten sposób może dojść do spełnienia najkoszmarniejszego snu każdego ratownika okrętów: wydobyć wrak tylko po to, by go stracić wskutek kaprysu pogody — powiedział Sandecker, ponurym wzrokiem spoglądając na Uphilla i Buterę. — Wygląda na to, że obaj panowie przybyli tu na darmo. Lepiej wróćcie na swoje statki i uciekajcie przed huraganem.

— Uciekać, u licha?! — huknął Uphill. — Przecież dopiero co przyплыliśmy.

— Nie wyraziłbym tego lepiej — odezwał się Butera z szerokim uśmiechem i spojrzał na Sandeckera. — Jeśli trzeba, to „Morse” i „Wallace” mogą holować lotniskowiec po wzburzonym morzu w czasie tornada.

— Wyciągnięcie czterdziestopięciotysięcznika ze szponów huraganu wydaje mi się lekką przesadą — mruknął Sandecker.

— Żadna przesada — odparował Butera. — Jeśli połączymy liną rufę „Morse'a” z dziobem „Wallace'a”, będziemy mogli wspólnymi siłami holować „Titanica” w taki sam sposób, jaki to robi tandem lokomotyw z pociągiem towarowym.

— I to na dziesięciometrowej fali, z szybkością pięciu, sześciu węzłów — dodał Uphill.

Sandecker spojrzał na obu kapitanów i pozwolił im mówić dalej.

— To nie zwyczajne portowe kalosze, panie admirale — odezwał się Butera. — To pełnomorskie holowniki do przeprowadzania operacji ratunkowych na oceanie. Każdy z nich ma osiemdziesiąt metrów długości i dieslowską siłownię o mocy pięciu tysięcy koni mechanicznych, która pozwala holować dwadzieścia tysięcy ton z prędkością dziesięciu węzłów na odległość dwóch tysięcy mil bez uzupełniania paliwa. Jeżeli jakiegokolwiek dwa holowniki na świecie mogą wyprowadzić „Titanica” z huraganu, to tylko one.

— Doceniam wasz entuzjazm, ale nie chcę ponosić odpowiedzialności za życie panów i waszych załóg w tak ryzykownej grze — powiedział Sandecker. — Trudno, „Titanic” będzie musiał przetrwać sztorm w dryfie najlepiej, jak potrafi. Rozkazuję panom odpłynąć na bezpieczną odległość.

Uphill popatrzył na Buterę.

— Powiedz mi, komandorze, kiedy ostatnio odmówiłeś wykonania rozkazu admirała?

Butera udawał, że się zastanawia.

— Chyba dziś rano.

— Dla mnie i moich ludzi bylibyście mile widziani — wtrącił Pitt.

— To bunt — kategorycznie stwierdził Sandecker, ale w jego głosie wyczuwało się wyraźne zadowolenie — jego argument odniósł zamierzony skutek. Obrzucił wszystkich

chytrym spojrzeniem i powiedział: — Dobra, panowie, to wasz pogrzeb. A teraz, jak już ustaliliśmy, proponuję zabrać się do ratowania „Titanica” zamiast beczynnie tu siedzieć.

Kapitan Iwan Parotkin stał na lewym skrzydle mostka „Michaiła Kurkowa” i patrzył w niebo przez lornetkę.

Był szczupłym mężczyzną średniego wzrostu, o wyrazistej twarzy, która prawie nigdy się nie uśmiechała, i chociaż zbliżał się do sześćdziesiątki, jego włosy nie nosiły śladu siwizny. Miał na sobie ciepły golf, grube wełniane spodnie i długie buty do kolan.

Pierwszy oficer dotknął ramienia kapitana i wskazał w niebo, tuż obok wielkiej anteny radarowej „Michaiła Kurkowa”. Z północnego wschodu nadlatywał czterosilnikowy bombowiec patrolowy. Parotkin dostrzegł jego rosyjskie znaki rozpoznawcze. Samolot wydawał się wlec na granicy utraty sterowności, kiedy przelatywał nad okrętem. Potem nagle oderwał się od niego jakiś niewielki przedmiot, a po kilku sekundach rozkwitł otwarty spadochron, który zaczął opadać nad topem przedniego masztu. Skoczek ostatecznie wylądował w wodzie z lewej strony, około dwustu metrów przed dziobem.

Kiedy od „Michaiła Kurkowa” odbiła szalupa i zniknęła w dolinach ogromnych fal, Parotkin zwrócił się do pierwszego oficera:

— Jak tylko kapitan Prewłow znajdzie się na pokładzie, przyprowadźcie go do mojej kabiny.

Potem odłożył lornetkę i zniknął w zejściówce.

Dwadzieścia minut później pierwszy oficer zapukał do mahoniowych drzwi na wysoki połysk, otworzył je i przepuścił przed sobą gościa. Wchodzący był zupełnie przemoczony i ociekał słoną wodą, która tworzyła na podłodze kałuże.

— Kapitan Parotkin.

— Kapitan Prewłow.

Obaj profesjonaliści wysokiej klasy stali przez kilka chwil w milczeniu, wzajemnie się taksując. Prewłow miał przewagę, dokładnie bowiem przestudiował kartotekę Parotkina, ten zaś mógł opierać swój osąd jedynie na reputacji Prewłowa i pierwszym wrażeniu. Nie bardzo mu się spodobało to, co zobaczył. Prewłow za bardzo przypominał lisa, żeby korzystnie wypaść w oczach Parotkina czy wzbudzić jego zaufanie.

— Mamy mało czasu — odezwał się Prewłow. — Gdybyśmy mogli od razu przejść do celu mojej wizyty... Parotkin podniósł rękę.

— Wszystko po kolei. Najpierw gorąca herbata i zmiana ubrania. Doktor Rogowski, szef naszych naukowców, jest mniej więcej tego samego wzrostu i wagi co wy.

Pierwszy oficer skinął głową i zamknął drzwi.

— Otóż — powiedział Parotkin — jestem przekonany, że człowiek na tak ważnym stanowisku jak wy nie ryzykowałby życia, skacząc ze spadochronem na wzburzone morze jedynie po to, by obserwować zjawisko atmosferyczne zwane huraganem.

— Raczej nie. Osobiste narażanie się to nie moja specjalność, szczególnie dla herbaty. Nie macie na pokładzie czegoś mocniejszego?

Parotkin pokręcił głową.

— Przykro mi, kapitanie. Wolę pływać na sucho. Przyznaję, że załozde to się nie podoba, ale czasami oszczędza zmartwień.

— Admirał Słojuk wspominał mi, że jesteście wzorem sprawnego działania.

— Nie lubię kusić losu.

Prewłow rozpiął zamek błyskawiczny kombinezону i zsunął go z siebie na podłogę.

— Obawiam się, że wkrótce zrobicie wyjątek od tej reguły, kapitanie. My, to znaczy wy i ja, niedługo będziemy tak kusili los, jak jeszcze nikt go nie kusił.

Pitt nie mógł pozbyć się wrażenia, że zostaje sam na bezludnej wyspie, kiedy z pokładu dziobowego „Titanica” patrzył na odpływającą flotyllę statków ratowniczych, które ruszyły na zachód w poszukiwaniu bezpieczniejszych wód.

Na końcu szyku przepłynęła obok „Alhambra”, której kapitan błysnął aldisem: „Powodzenia”. Zebrani na jej burcie reporterzy z poważnymi minami robili zdjęcia „Titanicowi”, być może po raz ostatni. Pitt obserwował statki tak długo, aż zmieniły się w małe ciemne plamki na ołowianym oceanie. Na miejscu pozostał tylko krążownik raketowy „Junona” oraz „Koziorożec”, który jednak wkrótce ruszy za tamtymi, kiedy kapitanowie holowników dadzą sygnał, że wzięli wrak na hol.

— Pan Pitt?

Pitt odwrócił się i zobaczył człowieka o posturze beczki od piwa i twarzy pokancerowanej jak u boksera.

— Nazywam się Bascom, proszę pana, i jestem bosmanem z „Wallace'a”. Mam tu z dwójką ludzi zakładać hol. Pitt uśmiechnął się życzliwie.

— Założę się, że nazywają pana „Rozrabiaką”.

— Tylko za plecami. Dali mi to przydomko, kiedy rozwalilem pewien bar w San Diego — powiedział Bascom wzruszając ramionami, a potem zmrużył oczy. — Jak pan się tego domyślił?

— Komandor Butera mówił mi o panu w samych superlatywach... oczywiście za plecami.

— Komandor to niezły gość.

— Długo potrwa zakładanie holu?

— Jak będziemy mieli szczęście i pożyczycie nam helikopter, to z godzinę.

— Z helikopterem nie będzie problemu. I tak jest własnością marynarki — odparł Pitt, odwrócił się i spojrzał w dół na „Wallace'a”, który ostrożnie się cofał, aż wreszcie podszedł do staromodnej pionowej dziobnicy „Titanica” na odległość niespełna trzydziestu metrów. — Rozumiem, że helikopter ma przenieść hol na pokład?

— Tak jest — odpowiedział Bascom. — Nasz hol ma przeszło dwadzieścia centymetrów średnicy, a metr jego waży czterdzieści kilogramów. To nie byle co. Zwykle w takich wypadkach rzucamy na dziób wraka najpierw cienką linkę, która jest przywiązana do trochę grubszej, ta z kolei do jeszcze grubszej i tak dalej, a na końcu jest główny hol, ale tego typu operacja wymaga elektrycznej windy. Ponieważ na „Titanicu” nie ma prądu, a ludzkie mięśnie są za słabe do tej roboty, znaleźliśmy łatwiejsze wyjście. Nie ma sensu zapełniać izby chorych pacjentami z przepukliną.

Mimo pomocy helikoptera Bascom i jego ludzie musieli dać z siebie wszystko, by założyć ciężki hol. Sturgis zachował się jak stary profesjonalista. Ostrożnie manewrując śmigłowcem, położył koniec liny holowniczej na przednim pokładzie, jakby ćwiczył to od lat. Zaledwie piętnaście minut po tym, jak Sturgis dostarczył linę i odleciał na „Koziorożca”, Bascom stanął na dziobie i pomachał ręką uniesioną nad głową, dając znak holownikom, że są już połączone z „Titanikiem”.

Butera na pokładzie „Wallace'a” potwierdził przyjęcie sygnału głośnym buczeniem syreny, a potem dzwonkiem przekazał maszynowni komendę „wolno naprzód”, gdy Uphill robił to samo u siebie. Oba holowniki powoli zaczęły płynąć. „Wallace” na trzystumetrowej stalowej smyczy ciągnął „Morse'a”, który luzował główny hol, aż „Titanic” znalazł się w odległości niemal czterystu metrów za jego rufą, wznosząc się i opadając na coraz większych falach. Wówczas Butera podniósł rękę, ludzie na rufie „Wallace'a” łagodnie zwolnili hamulec potężnej windy holowniczej i lina zaczęła pracować.

Z bardzo wysokiego pokładu „Titanica” holowniki wyglądały jak zabawki. Podskakiwały na ogromnych grzebieniach fal, a następnie znikwały w przepastnych dolinach aż

po światła na masztach. Wydawało się niemożliwością, żeby takie maleństwa potrafiły ruszyć z miejsca ponad czterdzieści pięć tysięcy ton martwej wagi, a mimo to połączonymi siłami dziesięciu tysięcy koni mechanicznych doprowadziły do tego, że powoli, choć z początku niedostrzegalnie, woda przed dziobem „Titanica” zaczęła się pienić i spływać wzdłuż wyblakłego znaku wolnej burty.

Był to ledwie początek drogi — do Nowego Jorku pozostawało jeszcze tysiąc dwieście mil na zachód — ale statek wreszcie podjął na nowo rejs, przerwany tamtej zimnej nocy 1912 roku, i znów zmierzał do portu.

Od południa zza horyzontu wypłynęły niepokojąco czarne, skłębione chmury. Było to czoło huraganu. Pitt miał wrażenie, że rozrastają się i potężnieją w oczach, nadając morzu ciemny odcień brudnej szarości. Wiatr nagle osłabł, co kilka sekund zmieniając kierunek. Zniknęły mewy, od których przedtem aż się roiło wokół statków ratowniczych. Jedyne widok „Junony”, równo płynącej na trawersie „Titanica” w odległości pięciuset metrów, dawał jakiegokolwiek poczucie bezpieczeństwa.

Pitt spojrział na zegarek, a potem jeszcze raz popatrzył w niebo, zanim powoli, jakby przypadkiem, skierował się w stronę wejścia do sali gimnastycznej.

— Wszyscy są?

— Piekłą się jak diabli — odparł Giordino. Skulony chował się za nawiewnikiem, bezskutecznie próbując znaleźć osłonę przed lodowatym wiatrem. — Gdyby admirał ich nie powstrzymał, to miałbyś tu bunt pierwsza klasa.

— Nikogo nie brak?

— Ani jednego.

— Jesteś pewien?

— Słowo Giordina. Nikt nie wychodził nawet do sracza.

— Wobec tego chyba teraz ja powinienem wkroczyć na scenę.

— Nasi goście na coś się skarżą? — spytał Giordino.

— Jak zwykle, na zakwaterowanie. A to im za zimno, a to znów za dobra klimatyzacja, wiesz, jak to jest.

— Tak, wiem.

— Lepiej poszedłbyś na rufę i uprzyjemnił im czekanie.

— Na Boga, w jaki sposób?

— Opowiesz im parę kawałów.

Giordino kwaśno spojrział na Pitta, mruknął coś pod nosem, odwrócił się i odszedł, znikając w mroku zapadającego wieczoru.

Pitt jeszcze raz zerknął na zegarek i wszedł do sali gimnastycznej. Minęły trzy godziny od rozpoczęcia holowania i w ostatnim akcie operacji ratowniczej wszystko już się unormowało. Sandecker i Gunn, pochyleni nad radiostacją, dopominali się najnowszych informacji o huraganie „Amanda”, molestując Farquara, który był na „Koziorożcu”, teraz odległym o pięćdziesiąt mil na zachód, a reszta zespołu ciasnym półkolem otaczała mały, całkowicie niewystarczający grzejnik olejowy.

Kiedy Pitt wszedł do sali, wszyscy popatrzyli na niego wyczekująco. Gdy wreszcie się odezwał, jego głos brzmiał nienaturalnie spokojnie w nienaturalnej ciszy, którą zakłócał jedynie szum przenośnych generatorów.

— Bardzo przepraszam, panowie, że musieliście na mnie czekać, ale pomyślałem sobie, że krótka przerwa na kawę doda wam energii.

— Nie wygłupiaj się — warknął poirytowany Spencer. — Ściągasz nas tutaj i każesz beczynnie siedzieć przez pół godziny, kiedy mamy robotę. Co jest grane?

— To proste — spokojnie odparł Pitt. — Za kilka minut porucznik Sturgis przyleci tu helikopterem po raz ostatni przed atakiem sztormu. Chciałbym, żeby wszyscy, z wyjątkiem Giordina i mnie, powrócili z nim na „Koziorożca”. Dotyczy do również ciebie, admirałe.

— Czy ty przypadkiem nie przekraczasz swoich kompetencji? — zapytał Sandecker z emfazą.

— Do pewnego stopnia tak, panie admirale, choć jestem głęboko przekonany, że postępuję słusznie.

— Możesz to wyjaśnić?

Sandecker miał minę piranii przed połknięciem złotej rybki. Grał swoją rolę aż za dobrze. Po bohatersku znosił obsadzenie go w podobnych rolach.

— Mam wszelkie powody, by sądzić, że „Titanic” może nie przetrzymać huraganu.

— Ta stara balia wytrzymała więcej niż jakikolwiek wytwór ludzkich rąk od czasu wzniesienia piramid — powiedział Spencer. — A teraz wielki jasnowidz, Dirk Pitt, przepowiada, że starowina się podda i zatonie po pierwszym uderzeniu tego parszywego sztormu.

— Nie ma żadnej gwarancji, że na dużej fali zatonie czy nie zatonie — ubezpieczał się Pitt. — W każdym razie byłoby głupotą narażać więcej ludzi, niż musimy.

— Nie wiem, czy cię dobrze zrozumiałem — odezwał się Drummer, pochylając się do przodu z zawziętą i złą miną na jastrzębiej twarzy. — Poza tobą i Giordinem mamy zabierać stąd dupy, nasrać na wszystko to, o co walczyliśmy przez ostatnie dziewięć miesięcy, wypruwając sobie żyły, i schować się na „Koziorożcu”, póki sztorm nie minie?! O to ci chodzi?!

— Będziesz prymusem, Drummer.

— Człowieku, całkiem ci odbiło.

— We dwóch nie dacie rady — stwierdził Spencer. — Nadzór tylko samych pomp wymaga czterech ludzi.

— No i ciągle trzeba sprawdzać, czy w kadłubie nie ma nowych przecieków poniżej linii wodnej — dodał Gunn.

— Wy, bohaterowie, wszyscy jesteście tacy sami — powiedział Drummer, cedząc słowa. — Zawsze szlachetnie za kogoś się poświęcacie. Spójrzmy jednak prawdzie w oczy: dwóch ludzi w żaden sposób nie poradzi sobie z tą starą balią. Ja tam jestem za tym, żebyśmy wszyscy zostali.

Spencer odwrócił się i rozejrzał po twarzach członków swojej sześćosobowej brygady. Odpowiedziały mu spojrzenia oczu podkrążonych z niewyspania. Wszyscy jednak jak jeden mąż skinęli głowami. Spencer znowu popatrzył na Pitta.

— Przykro mi, wielki wodzu, ale Spencer ze swoją wesołą zgrają pompowych zdecydował zostać.

— Ja też zostaję — uroczyście oświadczył Woodson.

— I ja — dodał Gunn.

Bosman Bascom dotknął ramienia Pitta.

— Proszę mi wybaczyć, panie dyrektorze, ale ja i moi chłopcy również zostajemy. W czasie sztormu trzeba co godzinę sprawdzać, czy nie przeciera się hol i czy na prowadnicy nie zabrakło smaru.

— Przykro mi, mój drogi — powiedział Sandecker z wyraźną satysfakcją. — Przegrałeś, Pitt.

Rozległ się terkot helikoptera lądującego na dachu sali klubowej. Pitt z rezygnacją wzruszył ramionami.

— A więc załatwione. Wszyscy będziemy płynąć albo tonąć razem — rzekł uśmiechając się z przymusem. — Lepiej odpocznijcie sobie trochę i coś przekąście. Być może to wasza ostatnia okazja. Za parę godzin będziemy siedzieli w czołowej ćwiartce huraganu po same uszy, a chyba nie musimy wam rysować, co nas czeka.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł, kierując się w stronę lądowiska helikoptera. Pomyślał, że przedstawienie wypadło nie najgorzej. Nawet całkiem nieźle. Wprawdzie nie dostanie za

nie nominacji do nagrody Akademii, ale pal sześć — najważniejsze, że oczarowani widzowie uznali je za przekonujące.

Jack Sturgis był niskim, szczupłym mężczyzną o zmęczonych oczach, jakie zdaniem kobiet mężczyźni mają po wyjściu z sypialni. W zębach ścisnął długą cygarniczkę, wysuwając do przodu brodę niczym Franklin Roosevelt. Właśnie wyszedł z kabiny helikoptera i zdawał się czegoś szukać przy podwoziu, kiedy Pitt dotarł do lądowiska.

Sturgis podniósł wzrok.

— Będą jacyś pasażerowie? — spytał.

— Tym razem nie.

Sturgis niedbale stracił popiół z papierosa.

— Wiedziałem, że powinienem zostać w cieplej i przytulnej kabinie na „Koziorożcu” — rzekł z westchnieniem. — Jeszcze się zabiję przez to latanie przed nosem huraganu.

— Lepiej się stąd zabieraj — powiedział Pitt. — W każdej chwili może dmuchnąć.

— Dla mnie to bez różnicy — odparł Sturgis, obojętnie wzruszając ramionami. — I tak nigdzie nie polecę. Pitt spojrzał na niego zdziwiony.

— Co chciałeś przez to powiedzieć?

— Jestem uziemiony, i właśnie to chciałem powiedzieć. — Ręką wskazał na wirnik. Ponad półmetrowy koniec jednej z łopatek zwisał jak przetrącona dłoń. — Ktoś tutaj nie lubi helikopterów.

— A może podczas lądowania w coś uderzyłeś? Sturgis zrobił urażoną minę.

— Podczas lądowania w nic nie uderzam, powtarzam, w nic nie uderzam. — Znalazł to, czego szukał, i wyprostował się. — Spójrz, to sam się przekonasz. Jakiś sukinsyn rzucił młotkiem w wirnik.

Pitt wziął młotek i uważnie go obejrzał. Gumowy uchwyt trzonka był głęboko rozcięty w miejscu, gdzie uderzyła go łopata wirnika.

— I to za wszystko, co dla was zrobiłem — powiedział Sturgis. —

Ładna mi wdzięczność.

— Przykro mi, Sturgis, ale ty nigdy nie zostaniesz telewizyjnym detektywem. Brak ci analitycznego umysłu i pochopnie wyciągasz fałszywe wnioski.

— Daj spokój, Pitt. Młotki same się nie unoszą w powietrzu. Któryś z twoich ludzi musiał nim rzucić, kiedy lądowałem.

— Mylisz się. Zaręczam, że nikogo z moich ludzi nie było w pobliżu lądowiska w ciągu ostatnich dziesięciu minut. Obawiam się, że ten wandal musiał przylecieć z tobą.

— Masz mnie za głupka? Myślisz, że nie wiem, czy mam pasażera, czy nie? Poza tym to byłoby samobójstwo. Gdyby tym młotkiem rzucono minutę wcześniej, kiedy jeszcze leciałem na wysokości trzydziestu metrów, to nie mielibyście co zbierać.

— Użyłeś złej nomenklatury — rzekł Pitt. — To nie był zwykły pasażer, lecz pasażer na gapę. On też nie jest głupkiem. Zaczekał, aż koła dotknęły lądowiska, rzucił młotek i wyskoczył przez luk ładunkowy. Tylko Bóg wie, gdzie się teraz ukrywa. Dokładne przeszukanie osiemdziesięciu kilometrów ciemnych korytarzy i przedziałów jest niemożliwe.

Twarz Sturgisa nagle pobladła.

— Chryste, on musi być w helikopterze.

— Nie wygłupiaj się. Wyskoczył, jak tylko wylądowałeś.

— Nie, nie. Z otwartego okna kabiny nie można rzucić młotkiem w wirnik. Z tą ucieczką to też nie tak.

— A więc, słucham cię — spokojnie powiedział Pitt.

— Pokrywa luku przedziału towarowego jest otwierana i zamykana elektronicznie przełącznikiem w kabinie pilota.

— A jest stamtąd jakieś inne wyjście?

— Tylko przez drzwi do kabiny.

Pitt dokładnie obejrzał szczelnie zamkniętą pokrywę luku, a potem znów odwrócił się do Sturgisa.

— Jak należy traktować niepożądanych gości? Chyba najlepiej będzie, jeżeli poprosimy go, żeby wyszedł na świeże powietrze.

Sturgisowi nogi przyrosły do pokładu, gdy zobaczył, że w prawej ręce Pitta nagle pojawił się kolt — czterdziestka piątka z tłumikiem.

— Jasne... pewnie... skoro tak uważasz.

Sturgis wdrapał się po drabince do kabiny i nacisnął przełącznik. Zawarczały silniczki elektryczne, kwadratowa pokrywa luku ładunkowego otworzyła się i uniosła nad kadłubem helikoptera. Nim zaskoczyły jej podpórki, Sturgis zdążył już wrócić na pokład statku, przezornie chowając się za szerokimi plecami Pitta.

Od otwarcia klapy upłynęło pół minuty. Sturgisowi zdawało się, że minęła cała wieczność. Pitt ciągle stał bez ruchu i nasłuchiwał. Słysząc było tylko chlupot fal uderzających w kadłub, wycie tężejącego wiatru w nadbudówkach „Titanica” i gwar głosów dobiegających z sali gimnastycznej, ale te dźwięki w ogóle go nie interesowały. Kiedy stwierdził, że nie słyszy żadnych dźwięków wskazujących na jakiegokolwiek zagrożenie, dopiero wówczas wszedł do helikoptera.

Pociemniałe niebo wypełniało mrokiem wnętrze i Pitt z niepokojem uświadomił sobie, że jego sylwetkę świetnie widać na tle otwartych drzwi. Na pierwszy rzut oka przedział towarowy zdawał się pusty, lecz po chwili poczuł klepnięcie w ramię i zobaczył rękę Sturgisa wyciągniętą w kierunku brezentu, pod którym rysował się jakiś ludzki kształt.

— Położyłem ten brezent, równo poskładany, nie dalej niż godzinę temu — szepnął Sturgis.

Pitt lewą ręką błyskawicznie ściągnął brezent, prawą mierząc z kolta.

Na podłodze leżała jakaś skulona postać. Osoba ta, ubrana w grubą kurtkę, miała nie domknięte oczy, co wskazywało, że była nieprzytomna, a to najwyraźniej wiązało się z brzydką krwawiącą raną na głowie, tuż ponad granicą włosów.

Sturgis stał bez ruchu jak wryty, patrząc wytrzeszczonymi oczami, które jeszcze nie przyzwyczyły się do ciemności. Później palcami lekko potarł brodę i z niedowierzaniem pokręcił głową.

— Mój Boże — szepnął oszołomiony. — Czy wiesz, kto to jest?

— Wiem — spokojnie odparł Pitt. — Nazywa się Seagram. Dana Seagram.

Niebo nad „Michailem Kurkowem” gwałtownie pociemniało — ogromne czarne chmury zgasiły wieczorne gwiazdy. Ponownie zerwał się wiatr, który stęzał do zawieruchy o prędkości siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, z wyciem unoszącej na północny zachód długie pasma piany zmiecionej z grzbietów fal.

W przestronnej sterowni sowieckiego statku było ciepło i wygodnie. Prewłow stał obok Parotkina, który obserwował echo „Titanica” na ekranie radaru.

— Kiedy objąłem komendę na tym statku, sądziłem, że moje działania będą związane z realizacją badań naukowych i prac hydrograficznych — powiedział Parotkin takim tonem, jakby zwracał się do ucznia. — Nie było mowy o prowadzeniu operacji o charakterze całkowicie militarnym.

Prewłow zaprotestował podniesieniem ręki.

— Proszę nie zapominać, kapitanie, że określenie operacja militarna jest niestosowne. Ta niewielka akcja, którą wkrótce rozpoczniemy, jest całkowicie legalnym, cywilnym przedsięwzięciem, znanym w krajach zachodnich jako „zmiana kierownictwa”.

— Jawne piractwo jest określeniem bliższym prawdy — rzekł Parotkin. — A jak nazwiecie tych dziesięciu żołnierzy piechoty morskiej, których byliście uprzejmi włączyć do mojej załogi, kiedy wychodziliśmy z portu? Akcjonariuszami?

— Znowu zaczynacie. Nie żołnierze piechoty morskiej, lecz cywilni członkowie załogi.

— Oczywiście — oschłym tonem powiedział Parotkin. — Tylko że każdy z nich jest uzbrojony po zęby.

— W prawie międzynarodowym nie ma przepisu, który by zabraniał członkom załogi statku posiadania broni.

— Gdyby nawet istniał, to niewątpliwie znaleźlibyście jakąś klauzulę, żeby go ominąć.

— Opamiętajcie się, drogi kapitanie Parotkin — upomniał go Prewłow i serdecznie poklepał po plecach. — Kiedy minie ten wieczór, będziemy bohaterami Związku Radzieckiego.

— Albo trupami — powiedział Parotkin drewnianym głosem.

— Nie obawiajcie się. Plan jest bez zarzutu, a dzięki sztormowi, który przegonił flotę ratowniczą, stał się jeszcze bardziej pewny.

— Nie zapominacie o „Junonie”? Jej kapitan nie pozostanie obojętny, kiedy podpłyniemy do „Titanica”, wejdziemy na jego pokład i zawiesimy nad mostkiem banderę z sierpem i młotem.

Prewłow podniósł rękę i spojrzał na zegarek.

— Dokładnie za dwie godziny i dwadzieścia minut jedna z naszych atomowych łodzi podwodnych wypłynie na powierzchnię sto mil na północ i zacznie wysyłać sygnały SOS, podając się za statek „Laguna Star”, frachtowiec o podejrzaną rejestrację.

— A co, myślicie, że „Junona” złapie się na tę przynętę i pośpieszy na ratunek?

— Amerykanie nigdy nie odmawiają pomocy — odparł Prewłow z przekonaniem. — Oni wszyscy mają kompleks dobrego Samarytanina. Tak, „Junona” z pewnością zareaguje. Musi. Poza holownikami, które nie mogą zostawić „Titanica”, w promieniu trzystu mil znajduje się tylko ona.

— Ale skoro nasza łódź podwodna później się zanurzy, to jej echo zniknie z ekranu radaru „Junony”...

— Wtedy Amerykanie naturalnie pomyślą, że „Laguna Star” zatonała, i zdwoją wysiłki, żeby jak najszybciej się znaleźć na miejscu katastrofy.

— Chylę czoło przed waszą wyobraźnią — rzekł Parotkin z uśmiechem. — Jednakże wciąż pozostają takie problemy jak dwa amerykańskie holowniki, wejście na pokład

„Titanica” w czasie najgorszego od lat huraganu, unieszkodliwienie amerykańskiej załogi, a potem odholowanie wraka do Rosji. I to wszystko bez wywoływania międzynarodowych reperkusji...

— Mówicie o czterech sprawach, kapitanie — stwierdził Prewłow i przerwał, by zapalić papierosa. — Co do pierwszej, holowniki zostaną wyeliminowane przez dwóch radzieckich agentów, którzy w tej chwili udają członków amerykańskiego zespołu ratowniczego. Co do drugiej, wejdę na pokład „Titanica” i przejmę nad nim komendę, kiedy znajdziemy się w oku cyklonu. Ponieważ szybkość wiatru rzadko przekracza tam piętnaście węzłów, ja i moi ludzie nie powinniśmy mieć większych trudności z przejściem przez furtę ładunkową w kadłubie, którą w ustalonym czasie otworzy jeden z naszych agentów. Co do trzeciej, moja grupa abordażowa pozbędzie się załogi szybko i sprawnie. A wreszcie co do czwartej, wszystko będzie przeprowadzone tak, jak gdyby Amerykanie uciekli ze statku w czasie największego nasilenia huraganu i utonęli w morzu. W tej sytuacji „Titanic” będzie oczywiście porzuconym wrakiem. Pierwszy kapitan, który weźmie go na hol, stanie się jego właścicielem. I to wy będziecie tym szczęśliwym kapitanem, towarzyszu Parotkin. Zgodnie z międzynarodowym prawem morskim będziecie mieli wszelkie podstawy do wzięcia „Titanica” na hol.

— Nigdy nie ujdzie wam to na sucho — rzekł Parotkin. — To, co chcecie robić, będzie ordynarnym masowym morderstwem. — W jego apatycznym spojrzeniu pojawiło się obrzydzenie. — Czy z taką samą dbałością o szczegóły uwzględniliście również konsekwencje niepowodzenia?

Prewłow popatrzył na niego ze swoim wiecznym uśmiechem, który zaczął blednąć.

— Niepowodzenie zostało uwzględnione, towarzyszu. Miejmy jednak nadzieję, że nie będziemy musieli posuwać się do ostateczności. — Wskazał duże echo na ekranie radaru. — Szkoda byłoby ponownie zatopić taki legendarny statek, tym razem na dobre.

59.

Głęboko we wnętrzu kadłuba starego transatlantyku Spencer i jego ludzie z trudem utrzymywali dieslowskie pompy w ruchu. Pracując często samotnie w zimnych, ciemnych przedziałach ze stali, przypominających jaskinie, gdzie jedynym udogodnieniem było marne światło niewielkich reflektorów, bez skargi starali się utrzymać statek na powierzchni. Przykrą niespodzianką było to, że w niektórych przedziałach pompy nie nadążały z usuwaniem przeciekającej do wnętrza wody.

Do godziny siódmej pogoda bezpowrotnie się zepsuła. Słupek rtęci w barometrze wciąż gwałtownie spadał. „Titanic” zaczął się rzucać i przewalać z boku na bok, biorąc wodę dziobem i nadburciami pokładu ładunkowego. W ciemnościach nocy i zacinającym deszczu widoczność spadła niemal do zera. Ludzie z holowników dostrzegali wielki statek jedynie chwilami, gdy jego upiorna sylwetka niewyraźnie majaczyła w świetle błyskawic. Uwagę skupiali przede wszystkim na holu znikającym w wodzie kłębiącej się za rufą. Ta lina życia gwałtownie się napinała za każdym razem, gdy „Titanic” przyjmował uderzenie ogromnych fal; zafascynowani, patrzyli na nią, kiedy wyskakiwała z wody, trzeszcząc w żalonym proteście.

Butera ani na chwilę nie schodził z mostka, utrzymując stały kontakt z ludźmi na rufie. Nagle, mimo wycia wiatru, usłyszał skrzeczenie głośnika.

— Kapitan?

— Mówi kapitan — odpowiedział do mikrofonu.

— Chorąży Kelly z rufy, panie kapitanie. Dzieje się tu coś cholernie dziwnego.

— Możecie mówić jaśniej?

— No więc, panie kapitanie, hol zupełnie zwariował. Najpierw poleciał na lewą burtę, a teraz przesunął się na prawą, i muszę powiedzieć, że pod bardzo dziwnym kątem, panie kapitanie.

— Dobra, meldujcie o wszystkim — rzekł Butera i przełączył się na inną falę. — Uphill, słyszysz mnie? Tu Butera.

Uphill odpowiedział z „Morse'a" prawie natychmiast:

— Nawijaj.

— Chyba „Titanic" zszedł z kursu w prawo.

— Możesz ustalić jego pozycję?

— Nie. Jediną wskazówką jest kierunek holu. Na kilka chwil zapadło milczenie, Uphill bowiem gorączkowo zastanawiał się nad nową sytuacją. Wreszcie znowu się odezwał:

— Z trudem robimy cztery węzły. Pozostaje nam tylko pchać się dalej. Jeżeli się zatrzymamy, żeby zobaczyć, co się dzieje, to wrak może stanąć bokiem do fali i przewrócić się do góry dnem.

— Widzisz go na radarze?

— Nie, dwadzieścia minut temu zmyło mi antenę. A co z twoją?

— Antenę jeszcze mam, ale mnie z kolei zalało przewody i doszło do zwarcia.

— No to ślepy prowadzi ślepego.

Butera odłożył mikrofon i ostrożnie uchylił drzwi prawego skrzydła mostka. Oslaniając oczy ręką i zataczając się, wyszedł na zewnątrz. Wytężonym wzrokiem próbował przebić ciemności tej rozszalałej nocy. Reflektory okazały się nieprzydatne, ukazując jedynie smugi zacinającego deszczu. Od strony rufy zajaśniała błyskawica; odgłos grzmotu utonął w wyciu wiatru. Buterze na moment zamarło serce, w krótkim błysku światła nie dostrzegł bowiem cienia „Titanica", jak gdyby nigdy go nie było. Ociekając wodą, która spływała mu po sztormiaku, ledwie zdążył precyzyjnie się przez drzwi, gdy w głośniku znów zaskrzeczał głos Kelly'ego:

— Kapitan?

Butera starł krople deszczu z oczu i podniósł mikrofon.

— Co jest, Kelly?

— Hol się poluzował.

— Pękł?

— Nie, panie kapitanie, ale głębiej siedzi w wodzie. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby tak się zachowywał. Wygląda to tak, jakby wrak chciał nas przegonić.

Właśnie słowa „nas przegonić" zaalarmowały Buterę. Nigdy nie zapomni wstrząsu, jakiego doznał, kiedy nagle to sobie uświadomił. Przez głowę przemknęła mu seria obrazów układających się w koszmarną scenę: „Titanic" lekko wyprzedza „Wallace'a" równoległym kursem na prawym trawersie, a potem hol gwałtownie ściąga go do tyłu — jak wówczas, gdy uczniowie bawią się w węża. Pierwsze oznaki już są — hol, który najpierw zmienia kierunek, a potem się luzuje. Wtem coś rozproszyło myśli Butery. Niemal w tym samym momencie chwycił mikrofon i zadzwonił do maszynowni.

— Cała naprzód! Maszynownia, słyszycie mnie?! Cała naprzód! — wykrzyknął, a potem połączył się z „Morse'em". — Zbliżam się do was z pełną szybkością! — zawołał. — Słyszysz mnie, Uphill?

— Powtórz — poprosił Uphill.

— Daj całą naprzód, do cholery, bo cię rozjadę!

Butera rzucił mikrofon i z trudem ponownie wyszedł na skrzydło mostka. Huragan rozbijał fale na pianę tak wściekle, z taką zjadłością, że zatarła się granica między powietrzem a wodą. Butera już nic więcej nie mógł zrobić, tylko stał przywarty do relingu.

I wtedy zobaczył ogromny dziób „Titanica”, wyłaniający się z pyłu wodnego zaledwie trzydzieści metrów od prawej burty. Zdrętwiał z przerażenia, bezradnie wlepiając wytrzeszczone oczy w straszliwą masę, która nieubłaganie zbliżała się do „Wallace'a”.

— Nie! — zawołał przekrzykując wiatr. — Zostaw mój statek, ty brudny stary trupie!

Już wydawało się, że „Titanic” nieuchronnie uderzy w rufę holownika, a jednak stało się to, co było niemożliwe. Ogromna góra wody uniosła dwudziestometrowej wysokości dziób „Titanica”, zatrzymując go akurat na tyle, że holownik zdążył odskoczyć i uniknąć uderzenia. Potem wrak opadł w dolinę, mijając rufę „Wallace'a” nie więcej niż o metr i wznosząc falę, która zalała holownik i pozbawiła go łodzi ratunkowej oraz jednego nawiewnika.

Ta sama fala oderwała Buterę od relingu i przycisnęła do ściany sterowni. Leżał tam całkowicie przykryty wodą, zachłystując się i dusząc z braku powietrza, lecz dzięki drganiom pokładu od pulsujących silników nie tracił ducha. Kiedy w końcu woda spłynęła, z trudem się podniósł i zwymiotował.

Przytrzymując się rękami ściany, wszedł do sterowni zapewniającej mu bezpieczeństwo. Wciąż oszołomiony cudownym ocaleniem „Wallace'a”, patrzył na „Titanica”, który niczym wielkie czarne widmo powoli zostawał za rufą, aż wreszcie zniknął w strugach niesionego wiatrem deszczu.

60.

— Tylko Dirk Pitt umie poderwać damę na środku Atlantyku, i to w czasie huraganu — powiedział Sandecker. — Jak ty to robisz?

— Moja tajemnica — odparł Pitt, delikatnie bandażując głowę Dany. — Kobiety zawsze do mnie lgną w nieprawdopodobnych sytuacjach... kiedy wcale nie mam na to ochoty.

Dana zaczęła cicho pojękiwać.

— Przychodzi do siebie — stwierdził Gunn.

Kłęczał przy łóżku, które wciśnięto między stare urządzenia do ćwiczeń gimnastycznych, żeby się nie przesunęło podczas kołysania i podskakiwania statku na fali.

Pitt przykrył Danę kocem.

— Paskudnie dostała i prawdopodobnie tylko gęste włosy uratowały ją od czegoś gorszego niż wstrząs mózgu.

— Jak się znalazła w helikopterze Sturgisa? — spytał Woodson. — Sądziłem, że opiekuje się reporterami na pokładzie „Alhambry”.

— I tak było — powiedział admirał Sandecker. — Kilku wysłanników stacji telewizyjnych poprosiło o zezwolenie na przeprowadzenie reportażu z pokładu „Kozioroźca” w czasie holowania „Titanica” do Nowego Jorku. Zgodziłem się, ale pod warunkiem, że będzie im towarzyszyła Dana.

— Ja ich przewiozłem — rzekł Sturgis. — Widziałem, jak pani Seagram wysiadała z helikoptera po wylądowaniu na „Kozioroźcu”. Ale to dla mnie tajemnica, w jaki sposób udało się jej ponownie wsiąść i nikt tego nie zauważył.

— No pewnie, że tajemnica, jeżeli się nie sprawdza przedziału towarowego między lotami — uszczypliwie zauważył Woodson.

— Nie prowadzę linii lotniczej — odciął się Sturgis. Sprawiał wrażenie, jakby chciał uderzyć Woodsona, lecz spojrzał na Pitta i nie znalazł w jego oczach aprobaty. Z wyraźnym trudem udało mu się powstrzymać emocje i dalej mówił już spokojnym głosem: — Latałem helikopterem na okrągło przez całą dobę. Byłem zmęczony. Uznałem, że nie ma potrzeby sprawdzać przedziału towarowego, bo byłem pewien, że jest pusty. Skąd miałem wiedzieć, że Dana Seagram ukradkiem wślizgnie się na pokład? Gunn pokręcił głową.

— Ale po co ona to zrobiła? W jakim celu?

— Nie wiem po co... niby dlaczego, u licha, ja miałbym to wiedzieć? — rzekł Sturgis.
— A może ty mi powiesz, dlaczego ona wrzuciła młotek między łopatki wirnika, przykryła się brezentem i walnęła w głowę? Niekoniecznie w tej kolejności.

— Dlaczego jej o to nie zapytasz? — powiedział Pitt, ruchem głowy wskazując łóżko.

Dana patrzyła na nich szeroko otwartymi oczami, niczego nie rozumiejąc. Wyglądała, jakby obudzono ją z męczącego snu.

— Przepraszam... że zadaję takie banalne pytanie — odezwała się cicho — ale gdzie ja jestem?

— Moja droga — odparł Sandecker, klękając przy niej na jednym kolanie. — Jesteś na „Titanicu”.

— Czy to możliwe?

— Zapewniam cię, że tak — rzekł Sandecker. — Pitt, zostało trochę szkockiej. Podaj mi szklanekę.

Pitt posłusznie spełnił prośbę i podał Sandeckerowi szklanekę z whisky. Dana wypila łyk „Cutty Sarka”, zakrztusiła się i kaszlnęła, przytrzymując sobie głowę rękami, jakby chciała opanować ból, który rozsadał jej czaszkę.

— No, no, moja droga. — Widać było, że Sandecker nie bardzo wie, jak się należy obchodzić z cierpiącą kobietą. — Leż spokojnie. Ktoś ci nieźle przyłożył w głowę.

Pomacała bandaż i chwyciła Sandeckera za rękę, wytrącając z niej szklanekę na podłogę.

Pitt skrzywił się, widząc rozlaną whisky. Kobiety nie doceniają szlachetnych trunków.

— Nie, nie. Nic mi nie jest. — Dana z trudem usiadła na łóżku i ze zdumieniem przyglądała się dziwnym urządzeniom. — „Titanic” — z szacunkiem wypowiedziała nazwę statku. — Czy rzeczywiście jestem na „Titanicu”?

— Tak — odparł Pitt oschłym tonem. — I pragnęlibyśmy się dowiedzieć, jak się pani tu znalazła. Spojrzała na niego niepewnie.

— Nie wiem. Słowo daję, że nie wiem. Ostatnie, co pamiętam, to to, że byłam na „Koziorożcu”.

— Znaleźliśmy panią w helikopterze — poinformował ją Pitt.

— W helikopterze... zgubiłam kosmetyczkę... musiała mi wypaść podczas lotu z „Alhambry” — rzekła z wymuszonym uśmiechem. — Tak, to było właśnie tak. Wróciłam do helikoptera, by poszukać kosmetyczki. Znalazłam ją wciśniętą w złożone siedzenie. Próbowałam ją wyciągnąć, kiedy... no cóż, chyba zemdlałam i padając uderzyłam się w głowę.

— Zemdlała pani? Jest pani pewna... — Pitt urwał i zadał jej inne pytanie: — Co pani widziała tuż przed utratą przytomności?

Dana zastanawiała się przez chwilę, niewidzącym wzrokiem patrząc w dal. Jej ciemnobrązowe oczy wydawały się nienaturalnie duże w kontraście z bladą, ściągniętą twarzą.

Sandecker ojcowskim gestem poklepał ją po dłoni.

— Nie musisz się z tym śpieszyć. Zaczęła poruszać ustami.

— Buty — powiedziała wreszcie.

— Proszę powtórzyć — rzekł Pitt.

— Parę butów — odparła, jakby olśniona. — Tak, teraz sobie przypominam, parę kowbojskich butów z wąskimi noskami.

— Kowbojskie buty? — spytał Gunn z obojętną miną. Dana skinęła głową.

— Widzi pan, na czworakach szukałam kosmetyczki, a kiedy próbowałam ją wyciągnąć... nie wiem... one po prostu tam były... — urwała.

— Jaki kolor miały te buty? — dopytywał się Pitt.

— Były chyba żółte, może kremowe.

— Czy widziała pani twarz tego człowieka? Chciała pokręcić głową, lecz przy pierwszym ruchu poczuła ból i zrezygnowała.

— Nie, było bardzo ciemno...

Umilkła.

Pitt zrozumiał, że niczego więcej się od niej nie dowie. Spojrzał na Danę i uśmiechnął się. Odpowiedziała mu uśmiechem, jakby chcąc się usprawiedliwić.

— Najlepiej będzie, jak my, stare brudasy, zostawimy panią w spokoju i damy trochę odpocząć — rzekł. — W razie czego jeden z nas będzie cały czas w pobliżu.

Sandecker poszedł za Pittem do wyjścia na główną klatkę schodową.

— Domyślasz się czegoś? — spytał admirał. — Dlaczego ktoś chciał zrobić krzywdę Danie?

— Z tego samego powodu, dla którego zabili Munka.

— Żeby się nie zorientowała, kto jest sowieckim agentem?

— W jej wypadku to chyba kwestia znalezienia się w nieodpowiednim miejscu o niewłaściwej porze.

— Brakowało nam tylko rannej kobiety — powiedział Sandecker z westchnieniem. — Ale będzie piekło, kiedy Seagram dostanie mój radiogram o tym, co się przydarzyło jego żonie.

— Z całym szacunkiem, admirale, ja jednak nie pozwoliłem Gunnowi wysłać twojego radiogramu. Nie możemy ryzykować zmiany planów w ostatniej chwili. Mężczyźni bardzo ostrożnie podejmują decyzje, kiedy chodzi o kobiety. Nie wahamy się narażać życia kilkunastu przedstawicieli naszej własnej płci, ale nie pozwalamy robić tego z kobietami. O czym nie będą wiedzieli Seagram, prezydent, admirał Kemper i pozostali ludzie w Waszyngtonie, o to nie będzie bolała ich głowa, przynajmniej przez najbliższe dwanaście godzin.

— Widzę, że już zupełnie się tutaj nie liczę — cierpko stwierdził Sandecker. — Czy przypadkiem nie zapomniałeś jeszcze czegoś mi powiedzieć, Pitt? Na przykład, do kogo należą te buty?

— Te buty należą do Bena Drummera.

— Nie zauważyłem, żeby je kiedykolwiek nosił. Jak... skąd o tym wiesz?

— Widziałem je, przeszukując jego kabinę na „Koziorożcu”.

— A zatem do twoich licznych talentów dodałeś jeszcze umiejętność włamywania się — rzekł Sandecker.

— Sprawdzalem nie tylko Drummera. Przeszukaliśmy z Giordinem rzeczy wszystkich członków grupy ratowniczej.

— Znalezliście coś?

— Nic obciążającego.

— Jak myślisz, kto zranił Danę?

— Nie Drummer. To pewne. Ma przynajmniej kilkunastu naocznych świadków, łącznie z tobą i ze mną, admirale, którzy zaświadczą, że od wczoraj przebywał na pokładzie „Titanica”. To niemożliwe, żeby w tym czasie zaatakował Danę Seagram na statku odległym o pięćdziesiąt mil.

W tym momencie podszedł do nich Woodson i chwycił Pitta za ramię.

— Przepraszam, że przeszkadzam, szefie, ale właśnie dostaliśmy pilną wiadomość z „Junony”. Obawiam się, że złą.

— Słuchamy więc — powiedział Sandecker znużonym głosem. — Chyba już nie może być gorzej, niż jest.

— Oj, może — odparł Woodson. — Wiadomość, którą dostaliśmy od kapitana krążownika, brzmi: „Otrzymaliśmy sygnał SOS z płynącego na wschód kursem pięciu stopni frachtowca »Laguna Star«, który znajduje się sto dziesięć mil na północ od was. Muszę

udzielić mu pomocy. Powtarzam: muszę udzielić mu pomocy. Przepraszam, że was zostawiam. Życzę szczęścia »Titanicowi«!"

— „Życzę szczęścia »Titanicowi«!" — powtórzył Sandecker jak echo. Jego głos był obojętny i pozbawiony życia. — Teraz równie dobrze moglibyśmy napisać na kadłubie: „Złodzieje i piraci mile widziani. Zapraszamy!"

Zaczyna się, pomyślał Pitt. W tej chwili jednak czuł tylko gwałtowną potrzebę znalezienia się w toalecie.

61.

Gabinet admirała Josepha Kempera w Pentagonie, cuchnący dymem papierosowym i nie dojedzonymi kanapkami, zdawało się rozsadać panujące w nim napięcie.

Kemper i Gene Seagram, pochyleni nad biurkiem admirała, cicho ze sobą rozmawiali, a Mel Donner i Warren Nicholson, dyrektor CIA, siedzieli razem na sofie z wyciągniętymi nogami, opartymi na stoliku do kawy, i drzemali. Kiedy jednak pozorną ciszę gabinetu przerwało brzęczenie czerwonego telefonu Kempera, natychmiast z drgnięciem oprzytomnieli. Kemper mruknął coś do słuchawki i odłożył ją na widełki.

— To z ochrony. Idzie prezydent.

Donner z Nicholsonem popatrzyli na siebie i dźwignęli się z sofy. Ledwie zdążyli posprzątać ze stolika, poprawić krawaty i włożyć marynarki, otworzyły się drzwi, w których pojawił się prezydent w towarzystwie swojego doradcy do spraw Kremla, Marshalla Collinsa.

Kemper wyszedł zza biurka i przywitał się z prezydentem.

— Miło mi pana widzieć, panie prezydencie. Proszę się czuć jak u siebie. Może coś podać?

Prezydent spojrzął na zegarek i uśmiechnął się szeroko.

— Do zamknięcia barów mamy jeszcze trzy godziny. Co by pan powiedział na „Krwawą Mary"?

Kemper odpowiedział uśmiechem i skinął na swojego adiutanta.

— Komandorze Keith, zechce pan pełnić honory domu? Keith potakująco kiwnął głową.

— Już się robi, panie admirale, jedna „Krwawa Mary".

— Mam nadzieję, panowie, że nie macie nic przeciwko temu, jeżeli zaczekam tu z wami — odezwał się prezydent. — Ja również jestem w to mocno zaangażowany!

— Ależ oczywiście, panie prezydencie — odparł Nicholson. — Cieszymy się, że jest pan razem z nami.

— Jak w tej chwili przedstawia się sytuacja?

Admirał Kemper przekazał prezydentowi pełne informacje, opisując nieoczekiwaną gwałtowność huraganu, pokazując pozycje statków na plastycznej mapie ściennej i wyjaśniając szczegóły holowania „Titanica".

— Czy to było absolutnie konieczne, żeby „Junona" zeszła z posterunku? — spytał prezydent.

— Sygnał wzywania pomocy to sygnał wzywania pomocy — odparł Kemper poważnym tonem. — Wszystkie najbliższe statki muszą ruszyć na ratunek bez względu na okoliczności.

— W pierwszej połowie gramy według zasad drużyny przeciwnika — powiedział Nicholson. — Potem my będziemy dyktowali grę.

— Jak pan myśli, admirale Kemper, czy „Titanic" przetrwa uderzenie huraganu?

— O ile holowniki zdołają utrzymać go dziobem do wiatru i fali, to ma szansę wyjść z tego zwycięsko.

— A jeśli z jakiegoś powodu nie zdołają zapobiec ustawieniu się wraka bokiem do fali?

Kemper wzruszył ramionami, unikając wzroku prezydenta.

— Wówczas wszystko będzie w rękach Boga.

— Nic się nie da zrobić?

— Nie, panie prezydencie. Po prostu nie ma żadnego sposobu zabezpieczenia statku w czasie huraganu. Wszystko w takich wypadkach zależy od samego statku.

— Aha, rozumiem.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł jakiś oficer i położył dwie kartki papieru na biurku Kempera.

Admirał przeczytał je i podniósł wzrok z ponurą miną

— Wiadomość z „Koziorożca” — rzekł. — Pańska żona, panie Seagram... została uznana za zaginioną. Poszukiwania na pokładzie statku nie dały rezultatów. Istnieją obawy, że wypadła za burtę. Tak mi przykro.

Oszołomiony Seagram osunął się na Collinsa, patrząc szklanym wzrokiem.

— O Boże! — wykrzyknął. — To nie może być prawda! O Boże! I co ja teraz zrobię? Dana... Dana... Zbliżył się do niego Donner.

— Spokojnie, Gene, trzymaj się — rzekł, a potem wraz z Collinsem podprowadził go do sofy i posadził na poduszkach. Kemper gestem poprosił prezydenta o uwagę.

— Jest jeszcze jedna wiadomość, panie prezydencie. Z holownika „Wallace”. „Titanic” zerwał się z holu i teraz dryfuje w środku huraganu.

Gruba lina zwisała z rufy „Wallace'a” jak martwy wąż, a jej urwany koniec ciągnął się czterysta metrów w głębi oceanu.

Butera stał bez ruchu przy wielkiej elektrycznej windzie, nie wierząc własnym oczom.

— Jak to się stało?! — wykrzyknął w ucho Kelly'emu. — Jak mogła się zerwać?! Powinna wytrzymać znacznie większe obciążenie!

— Nie mam pojęcia — odpowiedział Kelly, przekrzykując sztorm. — Nie była zbyt napięta, kiedy poszła.

— Wyciągnijcie ją, chorąży, obejrzymy ją sobie.

Chorąży skinął głową i wydał rozkazy. Zwolniono hamulec; bęben zaczął się obracać, wyciągając z morza linę, która wzbijała fontanny wody. Hol działał jak kotwica. Rufa wznosiła się na fali powyżej sterowni, a później tak gwałtownie opadała pod jego ciężarem, że cały holownik drżał.

Wreszcie pojawił się koniec liny i jak wąż nawinął się na bęben. Kiedy włączono hamulec, Kelly z Butera zaczęli oglądać wystrzępione pokrętki.

Butera wpatrywał się w linę zaskoczony, niczego nie rozumiejąc. Dotknął nadpalonych końców stalówki i bez słowa spojrział na chorążego.

W przeciwieństwie do Butery Kelly nie milczał.

— Chryste Panie na wysokościach! — wykrzyknął chrapliwym głosem. — Przecięta palnikiem acetylenowym.

Kiedy hol wpadł do oceanu, Pitt stał na czworakach w przedziale towarowym helikoptera i świecił latarką pod złożonymi siedzeniami dla pasażerów.

Na zewnątrz demonicznie wiał wiatr. Pitt nie wiedział, że „Titanic”, pozbawiony holowników, które utrzymywały go dziobem do fali, zaczął ustawiać się do niej burtą pod wściekłymi atakami rozszalałego morza. Wrak powoli się obracał.

W ciągu dwóch minut Pitt znalazł kosmetyczkę Dany, wciśniętą w złożone siedzenie, tuż przy ścianie kabiny pilota. Z łatwością stwierdził, dlaczego Dana nie mogła wyciągnąć niebieskiej nylonowej saszetki. Tylko nieliczne kobiety są obdarzone zmysłem technicznym, a Dana zdecydowanie do nich nie należała. Nie przyszło jej do głowy, że wystarczyło

rozłożyć siedzenie po odpięciu przytrzymujących je pasów. Pitt zrobił, co należało, i kosmetyczka znalazła się w jego ręku.

Nie otworzył jej; zawartość go nie interesowała. Zainteresował się natomiast zagłębieniem w ścianie, gdzie była, a przynajmniej powinna być tratwa ratunkowa. Został po niej tylko żółty gumowany pokrowiec, lecz ona sama zniknęła.

Pitt nie zdążył zastanowić się, co oznaczało to odkrycie. Kiedy bowiem wyciągał pusty pokrowiec, potworna fala zaatakowała „Titanica”, który kładł się na prawą burtę, jak gdyby nie miał zamiaru się podnieść. Pitt rozpaczliwie próbował przytrzymać się za oparcie siedzenia, ale go nie dosięgnął i jak worek kartofli potoczył się po podłodze, uderzając w krawędź półotwartych drzwi z taką siłą, że paskudnie rozciął sobie skórę głowy.

Przez następne kilka godzin nie bardzo wiedział, co się z nim działo. Był tak oszołomiony, że właściwie zdawał sobie sprawę tylko z tego, że do wnętrza helikoptera wciska się zimny wiatr. W głowie miał szarą mgłę i był jakby nieobecny. Nie wiedział ani nawet nie czuł, że helikopter zerwał przytrzymujące go liny, przewrócił się na bok, spadł z dachu sali klubowej pierwszej klasy na pokład łodziowy, tracąc ogon i łamiąc łopatki wirnika, a potem przeokołkował przez reling i runął do wzburzonej wody.

62.

Rosjanie weszli na pokład „Titanica”, kiedy sztorm ucichł. Spencer i jego ludzie, obsługujący pompy głęboko w maszynowni i kotłowniach, nie mieli najmniejszych szans stawiania oporu. Ich absolutne zaskoczenie potwierdziło perfekcję, z jaką Prewłow przygotował i realizował swój plan.

Walka, do której doszło na górze — choć słowo masakra bardziej by odpowiadało prawdzie — skończyła się niemal w tej samej chwili, kiedy zaczęła. Pięciu rosyjskich żołnierzy piechoty morskiej, czyli połowa grupy abordażowej, w nasuniętych na oczy marynarskich czapkach i z twarzami zasłoniętymi grubymi szalikami, wpadło do sali gimnastycznej, mierząc z gotowych do strzału pistoletów maszynowych, zanim ktokolwiek zorientował się w sytuacji.

Pierwszy zareagował Woodson. Odwrócił się od radia, natychmiast zrozumiał, co się dzieje, a jego zwykle obojętna twarz zapłonęła od gniewu.

— Ty draniu! — wykrzyknął i skoczył na najbliższego intruza.

Nagle błysnął nóż, który żołnierz sprawnie wbił w pierś Woodsona, rozcinając serce fotografa niemal na dwoje. Woodson kurczowo chwycił swojego mordercę, a później z wolna osunął mu się na buty; jego spojrzenie wyrażało najpierw szok, potem niedowierzenie, ból, wreszcie pustkę śmierci.

Dana usiadła na łóżku i zaczęła okropnie wrzeszczeć. Jej krzyk pobudził resztę ratowników do działania. Drummer pięścią trzasnął mordercę Woodsona w szczękę, ale w zamian otrzymał cios lufą pistoletu maszynowego w twarz. Sturgis rzucił się na przeciwnika, lecz gdy go dopadał, dostał uderzenie kolbą w głowę tuż nad skronią. Obaj zwalili się na podłogę. Napastnik szybko się pozbierał, Sturgis leżał jednak jak martwy.

Giordino zamachnął się kluczem, celując w czaszkę innego Rosjanina. W tej samej chwili zabrzmiał ogłuszający huk. Kula przebiła uniesioną dłoń Ala, wytrącając z niej klucz, który z brzękiem potoczył się po podłodze. Sandecker, Gunn oraz bosman Bascom ze swymi ludźmi zatrzymali się w pół kroku, kiedy nagle uświadomili sobie, że wobec pistoletów w dłoniach świetnie wyszkolonych morderców obrona statku gołymi rękami jest beznadziejna.

Dokładnie w tym momencie do sali wszedł jakiś mężczyzna, którego bystre szare oczy dostrzegły każdy szczegół tej sceny. Zajął mu to nie więcej niż trzy sekundy — trzy sekundy wystarczyły, by Andriej Prewłow zorientował się w sytuacji. Popatrzył z góry na wrzeszczącą Danę i uśmiechnął się z wdziękiem.

— Uważam, że kobiety niepotrzebnie zdzierają sobie struny głosowe, kiedy są przestraszone.

Dana zwinęła się w kłębek, zacisnęła usta i niepomahowanie drżała, wbijając okrągłe z przerażenia oczy w powiększającą się kałużę krwi pod Omarem Woodsonem.

— No właśnie, tak jest znacznie lepiej.

Prewłow pobiegł wzrokiem za spojrzeniem Dany, popatrzył na

Woodsona, później na Drummera siedzącego na podłodze i wypluwającego ząb, a potem na Giordina, który wściekle na niego spoglądał, podtrzymując zranioną dłoń.

— Wasz opór był nierozsądny. Jeden trup, trzech rannych i wszystko na nic.

— Kim jesteście?! — wykrzyknął Sandecker. — Jakim prawem wchodzicie na pokład tego statku i mordujecie mi załogę?!

— Wielka szkoda, że musieliśmy się poznać w tak nieprzyjemnych okolicznościach — odparł Prewłow. — Wy to, oczywiście, admirał James Sandecker, nieprawdaż?

— Nie odpowiedział pan na moje pytania — gniewnie warknął Sandecker.

— Moje nazwisko nie ma znaczenia — rzekł Prewłow. — Natomiast odpowiedź na wasze drugie pytanie jest oczywista. Przejmuję ten statek w imieniu Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

— Nasz rząd nie będzie stał z założonymi rękami i nie pozwoli wam go zabrać.

— Poprawka — mruknął Prewłow. — Wasz rząd będzie stał z założonymi rękami.

— Nie docenicie nas. Prewłow pokręcił głową.

— Nie ja, admirał. Ja w pełni zdaję sobie sprawę, na co stać waszych rodaków. Wiem również, że nie rozpoczną wojny z powodu legalnego wejścia na pokład opuszczonego statku.

— Legalnego wejścia? — powtórzył Sandecker jak echo. — Według prawa morskiego porzucony statek to taki, który załoga opuściła na morzu bez zamiaru powrotu czy próby odzyskania go. Ponieważ na tym statku wciąż przebywa załoga, wasza obecność, mój panie, jest jawnym aktem piractwa.

— Oszczędźcie sobie interpretacji przepisów prawa morskiego — powiedział Prewłow, unosząc rękę w geście protestu. — Macie oczywiście rację, ale tylko na razie.

Znaczenie jego słów było jasne.

— Nie ośmielicie się wysadzić nas w środku huraganu.

— Ależ skądże, admirał. Poza tym dobrze wiem, że „Titanic” bierze wodę. Potrzebuję waszego ratownika Spencera, bo chyba właśnie tak się nazywa, oraz jego ludzi, żeby obsługiwali pompy, dopóki sztorm nie ucichnie. Później dostaniecie tratwę ratunkową. Wasze odplynięcie będzie gwarantowało nam prawo do przejęcia statku.

— Nie możemy pozostać przy życiu, bobyśmy świadczyli przeciwko wam — rzekł Sandecker. — Wasz rząd nigdy do tego nie dopuści. Pan dobrze o tym wie i ja również.

Prewłow popatrzył na niego obojętnym wzrokiem. Potem równie obojętnie, a właściwie bezczelnie się odwrócił, zbywając Sandeckera milczeniem. Powiedział coś po rosyjsku do jednego z żołnierzy. Człowiek ten skinął głową, po czym kolbą pistoletu maszynowego strzaskał radiostację, z której została kupka pogiętego metalu, rozbitego szkła i splątanych drutów.

— Wasza centrala operacyjna już nie nadaje się do użytku — stwierdził Prewłow, zataczając wokół ręką. — Zainstalowałem się z urządzeniami łączności w głównej jadalni na pokładzie D. Jeśli państwo będą tak uprzejmi i zechcą udać się z nami, to postaramy się zapewnić wam wygodę, póki pogoda się nie poprawi.

— Jeszcze jedno pytanie — powiedział Sandecker, nie ruszając się z miejsca. — Chyba należy mi się odpowiedź.

— Naturalnie, panie admirał, oczywiście.

— Gdzie jest Dirk Pitt?

— Z przykrością muszę poinformować — odparł Prewłow niby to współczującym tonem — że pan Pitt znajdował się w helikopterze, który wypadł za burtę. Śmierć musiała nastąpić szybko.

63.

Siedząc naprzeciwko prezydenta, który miał ponurą minę, admirał Kemper machinalnie wysypał sobie cztery łyżeczki cukru do filiżanki z kawą.

— Lotniskowiec „Beecher's Island” zbliża się do rejonu poszukiwań. Jego samoloty rozpoczną poszukiwania o świcie. — Kemper uśmiechnął się z przymusem. — Proszę się nie przejmować, panie prezydencie, do południa będziemy mieli „Titanica” na holu. Ręczę za to.

Prezydent spojrział na admirała.

— Bezradnie dryfujący statek, który zaginął w czasie sztormu najgorszego od piętnastu lat? Statek na wpół przeżarty rdzą po siedemdziesięciu sześciu latach leżenia na dnie? Statek, który rząd sowiecki chce dostać w swoje łapy i tylko szuka pretekstu? I pan mi mówi, żebym się nie przejmował. Albo to nadmierna pewność, admirale, albo jest pan superoptymistą.

— Huragan „Amanda” — powiedział Kemper i westchnął. — Wzięliśmy pod uwagę wszystkie możliwości, ale w najsmielszych oczekiwaniach nikt nie spodziewał się takiego sztormu w środku maja. Powstał tak nagle i uderzył z taką siłą, że nie było czasu na wprowadzenie jakichkolwiek zmian do ustalonego planu.

— A może Rosjanie wpadli na pomysł, żeby to wykorzystać, i już są na pokładzie „Titanica”? Kemper pokręcił głową.

— Wejść na pokład statku przy wietrze przekraczającym sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę i na ponad dwudziestometrowej fali? Moje doświadczenie morskie mówi mi, że to niemożliwe.

— Tydzień temu huragan „Amanda” również był uważany za niemożliwy.

Prezydent podniósł wzrok, kiedy naprzeciwko niego usiadł na kanapie Nicholson.

— Są jakieś wiadomości?

— Z „Titanica” nic — powiedział Nicholson. — Nie zgłaszali się od wejścia w oko cyklonu.

— A holowniki?

— Jeszcze nie zauważyły „Titanica”, co nie powinno zbyt dziwić. Z nieczynnym radarem są zdani jedynie na wzrok, a szukanie wzrokiem to żadna robota przy prawie zerowej widoczności.

Na dłuższą chwilę zapadło nieprzyjemne milczenie. Wreszcie odezwał się Gene Seagram:

— Teraz, kiedy jesteśmy tak blisko, nie możemy go stracić — rzekł, z trudem wstając. — Zapłaciliśmy za to straszliwą cenę... właściwie ja zapłaciłem... O Boże, nie możemy ponownie stracić bizantium.

Zwiesił ramiona i jakby zwiotczał. Donner i Collins z powrotem posadzili go na kanapie.

— Co będzie, panie prezydencie, jeżeli dojdzie do najgorszego? — spytał Kemper półgłosem. — Co wtedy?

— Skreślimy z listy Sandeckera, Pitta i pozostałych.

— A co z „Planem Sycylijskim”?

— „Plan Sycylijski” też będziemy musieli skreślić — mruknął prezydent.

Gęsta szara mgła zaczęła powoli ustępować i Pitt uświadomił sobie, że leży głową w dół na czymś twardym i mokrym. Trwał w tej pozycji przez wiele długich minut na granicy świadomości, aż w końcu zmusił się do otwarcia oczu, a właściwie jednego oka, drugie bowiem miał sklezione zakrzepłą krwią. Jak człowiek, który dopiero co wyszedł z ciemnego tunelu na światło dzienne, zamrugał dobrym okiem i rozejrzał się dookoła. W dalszym ciągu był w helikopterze, leżał na nienaturalnie pochylonej podłodze, karkiem oparty o tylną ściankę przedziału towarowego.

Dlatego było mu twardo, a mokro od wody, która przelewała się kilkunastocentymetrową warstwą, omywając jego ciało. Zastanawiał się, jak do tego doszło, że leży w tej dziwnej, niewygodnej pozycji.

Miał uczucie, że w głowie siedzi mu krasnoludek i dźga go w mózg widłami. Tak długo spryskiwał sobie twarz słoną wodą, nie zważając na pieczenie, aż zakrzepła krew rozpuściła się i spłynęła. Mógł wreszcie otworzyć drugie oko. Odzyskawszy trójwymiarowe widzenie, usiadł na ściance i spojrzał na podłogę. Wydawało mu się, że jest w jakimś zwariowanym domu z wesołego miasteczka. Nie mógł wydostać się przez luk ładunkowy, ponieważ zamykająca go kłapa zakleszczyła się wówczas, gdy helikopter koziołkował po pokładach „Titanica”. Pitt nie miał innego wyboru, jak wyjść przez kabinę pilota. Zaczął się wdrapywać po podłodze, przytrzymując rękami kółek do mocowania ładunku.

Podciągnął się do przedniej ścianki przedziału towarowego, która teraz była sufitem. Ból głowy sprawiał, że Pittowi ciemniało w oczach i musiał odpoczywać co kilkadziesiąt centymetrów. W końcu dosięgnął klamki, lecz drzwi nie chciały się otworzyć. Wyjął kolta i uderzył nim w klamkę. Siła uderzenia wytrąciła mu z mokrej dłoni rewolwer, który z klekotem zsunął się po podłodze na tylną ściankę. Drzwi wciąż były zamknięte.

Pitt zaczął ciężko dyszeć. Z wyczerpania prawie stracił przytomność. Odwrócił głowę i spojrzał w dół. Miał wrażenie, że od tylnej ścianki kabiny dzieli go straszliwa przepaść. Zaciskając obie ręce na kółku do mocowania ładunków, rozhuśtał się i obiema stopami z całej siły kopnął w drzwi jak człowiek, który zdaje sobie sprawę, że to jego ostatnia szansa.

Klamka puściła i drzwi podskoczyły do góry, otwierając się pod kątem trzydziestu stopni, a potem opadły wskutek ciężenia. To jednak wystarczyło Pittowi, by wsunąć dłoń. Jęknął z bólu, kiedy drzwi uderzyły go w knykie. Wisiał tak mimo bólu, zbierając siły przed ostatnią przeszkodą. Wziął głęboki oddech i na rękach wciągnął się do kabiny pilota, tak jak wchodzi się na poddasze bez pomocy drabiny. Później odpoczywał czekając, aż ustąpi szum w głowie i serce wróci do prawie normalnego rytmu.

Mokrą chusteczką do nosa owinął sobie krwawiącą dłoń i rozejrzał się po kabinie. Uznał, że stąd wydostanie się już bez trudu. Boczne drzwi były wyrwane z zawiasów, a przednia szyba wypchnięta. Teraz, kiedy miał pewność, że wyjdzie z helikoptera, począł się zastanawiać, jak długo był nieprzytomny. Dziesięć minut? Godzinę? Pół wieczoru? Nie mógł się zorientować, gdyż zgubił zegarek, którym prawdopodobnie o coś zaczepił.

Co się stało? Próbował przeanalizować wszystkie możliwości. Czy helikopter został zmieciony do oceanu? Najprawdopodobniej nie, ponieważ byłby już trumną Pitta na dnie morskiej otchłani. Ale skąd się wzięła woda w przedziale towarowym? Pewnie śmigłowiec zerwał się z mocujących go lin, zsunął się na pokład łodziowy i oparł o ścianę nadbudówki. Ale to też nie pasowało. Dlaczego był ustawiony idealnie pionowo? Pitt zdawał sobie sprawę, że każda dodatkowa sekunda, spędzona podczas huraganu na siedzeniu we wnętrzu helikoptera, zadawaniu sobie pytań i szukaniu odpowiedzi, grozi mu poważnym niebezpieczeństwem lub nawet śmiercią. Odpowiedzi natomiast czekały na zewnątrz. Wdrapał się więc na fotel pilota i wyrzwał przez strzaskane okno kabiny w ciemność.

Zobaczył burtę „Titanica”. W lewo i prawo rozciągały się ogromne zardzewiałe płyty poszycia. Kiedy popatrzył w dół, dostrzegł rozszalałe morze.

Przewalające się potężne fale coraz to wpadały na siebie, tworząc kipieli. Widoczność nieco się poprawiła i wiatr osłabł do jakichś dziesięciu, piętnastu węzłów. W pierwszej chwili Pitt pomyślał, że przespał huragan, lecz zaraz uświadomił sobie, że wzburzone fale poruszają się chaotycznie, bez żadnego określonego kierunku: „Titanic” dryfował w środku spirali cyklonu i za parę minut znajdzie się w tylnej ćwiartce wściekłego sztormu.

Ostrożnie wydostał się na dziób helikoptera przez rozbite okno, a stamtąd na pokład „Titanica”. Żadne miłosne wyznania nie sprawiłyby mu takiej przyjemności jak to, że znów czuł pod stopami zalany wodą pokład starego liniowca.

Ale który pokład? Wychylił się za burtę i spojrzął do góry. Zobaczył wygięty i rozerwany reling, na którym w dalszym ciągu wisiała jakaś część helikoptera. Wynioskował z tego, że jest na pokładzie spacerowym B. Spojrzenie w dół pozwoliło mu odkryć przyczynę dziwnej pozycji śmigłowca.

Spadając do morza, helikopter zaczepił płozami o reling na pokładzie niżej i zawisł pionowo jak jakiś ogromny owad na ścianie, a potężne fale, uderzając w jego kadłub, jeszcze bardziej go zaklinowały.

Pitt nie zdążył nawet pomyśleć, że tylko cudem ocalał. Stojąc tam stwierdził bowiem, że wiatr tężeje, co oznaczało zbliżanie się ogona huraganu, i że ma trudności z utrzymaniem się na pokładzie, gdyż „Titanic” znów mocno pochylił się na prawą burtę.

Właśnie wtedy zauważył światła jakiegoś statku, który znajdował się na trawersie w odległości nie większej niż dwieście metrów. Nie sposób było określić jego wielkości, znów bowiem zatarła się granica między wodą a powietrzem, kiedy zaczął padać ulewny deszcz, którego krople z taką siłą biły w twarz Pitta, jakby mu ją ktoś tarł papierem ściernym. Czyżby to był jeden z holowników? A może wróciła „Junona”? W świetle błyskawicy zobaczył antenę radarową, która mogła należeć jedynie do „Michała Kurkowa”.

Zanim po schodkach wdrapał się na pokład łodziowy i niepewnym krokiem dotarł do lądowiska helikoptera, już przemókł do suchej nitki i sapał z wysiłku. Ukłąkł, by podnieść jedną z lin, służących do mocowania śmigłowca i przyjrzał się postrzępionym nylonowym włóknom. Potem wstał i pochylając się do przodu na wyjącem wietrze, zniknął w kurtynie wody, która zasłaniała statek.

65.

Drugi koniec ogromnej sali jadalni pierwszej klasy z bogato zdobionym sufitem nikał w mroku poza granicą światła. W nielicznych pozostałych szybach ze szkła ołowiowego odbijały się niesamowicie zniekształcone sylwetki śmiertelnie zmęczonych i pokonanych ludzi, którzy stali pod lufami pistoletów pewnie trzymanyh przez Rosjan.

Spencera siłą dołączono do grupy. Jeszcze nie całkiem dotarło do niego to, co się stało.

— Pitt i Woodson nie żyją? To nie może być prawda.

— Niestety tak — mruknął Drummer, z trudem poruszając spuchniętymi wargami. — Jeden z tych stojących tam sadystów wbił mu nóż w pierś.

— Wasz kolega się przeliczył — powiedział Prewłow, wzruszając ramionami.

Zamyślonym wzrokiem spoglądał na przerażoną kobietę i dziewięciu mężczyzn, na ich posępne twarze pokryte skrzeplą krwią. Obojętnie, choć z pewną satysfakcją, zdawał się obserwować, jak z wysiłkiem utrzymują równowagę za każdym razem, gdy w burtę „Titanica” uderzała kolejna ogromna fala.

— A propos przeliczenia się: panie Spencer, waszym ludziom chyba najwyraźniej brak entuzjazmu do obsługiwania pomp. Nie muszę wam przypominać, że jeśli woda przeciekająca

do kadłuba nie zostanie wypompowana, to ten wiekowy pomnik kapitalistycznej ekstrawagancji zatonie.

— A niech zatonie — śmiało odparł Spencer. — Przynajmniej razem z nim utoniesz ty i te twoje komunistyczne szumowiny.

— To raczej mało prawdopodobne, szczególnie że „Michaił Kurkow” jest przygotowany na taką okoliczność. — Prewłow wyjął papierosa ze złotej papierošnicy i w zamyšleniu postukiwał nim w wieczko. — Widzicie, každy rozsądny człowiek pogodziłby się z losem i wykonałby swoje obowiązki.

— Niedoczekanie wasze!

— Nikt z nas nie wykona za was tej brudnej roboty — dodał Sandecker zdecydowanym tonem.

— Może i nie — całkiem spokojnie odpowiedział Prewłow. — Ja natomiast uważam, że mi pomożecie, i to szybko.

Skinął na jednego ze strażników i mruknął coś do niego po rosyjsku. Strażnik kiwnął głową, bez pośpiechu przeszedł przez jadalnię, chwycił Danę za ramię i brutalnie zaciągnął ją pod przenośną lampę.

Ratownicy jak jeden mąż rzucili się do przodu, lecz powstrzymały ich lufy pistoletów maszynowych. Zamarli w bezruchu, wściekle rzucając wrogie spojrzenia.

— Jeżeli zrobicie jej krzywdę, zapłacicie nam za to — cicho powiedział Sandecker głosem drżącym z gniewu.

— Spokojnie, panie admirale — rzekł Prewłow. — Gwałcą tylko chorzy ludzie. Jedynie kretyń próbowaliby szantażować was i waszych ludzi w taki przykry sposób. Przecież Amerykanie wciąż stawiają kobiety na marmurowych piedestałach. Wszyscy w obronie jej cnoty chętnie i niepotrzebnie oddalibyście życie, a co mnie by z tego przyszło? Nie, okrucieństwo i tortury to zbyt brutalne metody, żeby je stosować w pięknej sztuce przekonywania. Upokorzenie... — przerwał, delektując się tym słowem. — Tak, upokorzenie to najlepszy bodziec, by zachęcić was do pracy i zapewnienia statkowi pływalności.

Prewłow odwrócił się do Dany. Patrzyła na niego poruszona i zdezorientowana.

— A teraz, pani Seagram, niech pani będzie tak miła i zacznie się rozbierać. Do naga.

— Cóż to za tanie sztuczki? — spytał Sandecker.

— Źadne sztuczki. Pani Seagram będzie się rozbierała, dopóki nie rozkażecie panu Spencerowi i jego ludziom wrócić do pracy.

— Nie! — wykrzyknął Gunn. — Dana, nie rób tego!

— Bardzo proszę, żadnych protestów — rzekł Prewłow znużonym głosem. — W razie potrzeby jeden z moich żołnierzy rozbierze ją siłą.

W oczach Dany prawie niezauważalnie pojawił się jakiś dziwnie wojowniczy błysk. Bez chwili wahania zrzuciła z siebie kurtkę, kombinezon i bieliznę. W niespełną minutę stanęła całkiem naga w świetle lampy, prezentując swoje jędrne ciało.

Sandecker odwrócił się, a za nim kolejno zrobili to samo pozostali ratownicy.

— Będziecie na nią patrzyli — oziębło stwierdził Prewłow. — Wasz elegancki gest jest wzruszający, ale całkiem zbędny. Proszę się odwrócić, panowie, nasze skromne przedstawienie dopiero się zaczyna...

— Mam już dość tych waszych zasranych szowinistycznych idiotyzmów — odezwała się Dana.

Na dźwięk jej głosu wszystkie głowy natychmiast się odwróciły, jak za pociągnięciem sznurka. Dana szeroko rozstawiła nogi, ręce wsparła na biodrach, wypięła piersi, a jej oczy rzucały drwiące spojrzenia. Mimo bandaża na głowie wyglądała wspaniale.

— Za darmo, chłopcy, napatrzcie się do woli. Ciało kobiety to żadna tajemnica. Každy z was na pewno widział kiedyś nagą kobietę i dotykał jej. Skąd te wstydlive spojrzenia?

Z błyskiem przebiegłości w oczach zaczęła się głośno śmiać. Zdecydowanie popsuła Prewłowski całą zabawę.

Patrzył na nią, coraz mocniej zaciskając usta.

— Imponujące przedstawienie, pani Seagram. Rzeczywiście imponujące przedstawienie. Mnie jednak manifestacja zachodniej zgnilizny nie bawi.

— Tylko pokaż mi komunistę, a na każdego wystawię gołą dupę — szydziła z niego Dana. — Gdybyście tylko wiedzieli, zasrańcy, że cały świat śmieje się z was za plecami, kiedy recytujecie te swoje lewicowe, marksistowskie haselka. „Zachodnia zgnilizna”, „imperialistyczni podżegacze”, „manipulacje burżuazji”. Może byście się wreszcie ocknęli i pokazali trochę klasy. To po prostu największa farsa, jaką kiedykolwiek odgrywano przed ludzkością od czasu, gdy człowiek zszedł z drzewa. Gdybyście mieli jaja, tobyście spojrzeli prawdzie w oczy.

Twarz Prewłowa zbieleła.

— Tego już za wiele — warknął.

Był na granicy utraty tak dobrze wyćwiczonego panowania nad sobą, co go frustrowało. Dana wyprężyła swoje wspaniale zbudowane ciało.

— Co jest, Iwanku? — zapytała. — Za bardzo przywykłeś do muskularnych, dźwigających ciężary kobiet radzieckich? Nie podoba ci się wyzwolona dziewczyna z wolnego kraju, która śmieje się z twojej żalostnej taktyki?

— Nie podoba mi się pani wulgarność. Nasze kobiety przynajmniej nie zachowują się jak zwykle rynsztokowe dziwki.

— A ja cię pierdołę — powiedziała Dana ze słodkim uśmiechem.

Nic nie uszło uwagi Prewłowa. Dostrzegł krótką wymianę spojrzeń między Giordinem a Spencerem, zaciskające się pięści Sturgisa i nieznaczne pochylenie głowy Drummera. W pełni zdawał sobie sprawę, że odchodząc od Amerykanów i zbliżając się do rosyjskich strażników, Dana nie robi tego przypadkowo, lecz umyślnie. Już prawie osiągnęła cel. Sowieccy żołnierze wykręcali szyje, żeby się na nią gapić; zaczęli opuszczać lufy pistoletów, gdy Prewłow wykrzyknął jakąś komendę po rosyjsku.

Przywołani do porządku strażnicy gwałtownie się odwrócili, znów pewną ręką wymierzając broń w ratowników.

— Moje gratulacje dla szanownej pani — rzekł Prewłow z ukłonem. — Pani teatralne występy niemal odniosły skutek. Bardzo, bardzo sprytnie.

W głosie Prewłowa zabrzmiała jakaś dziwna satysfakcja. Rzucono mu wyzwanie, któremu z łatwością sprostał.

Patrzył na Danę, która przez ułamek sekundy dawała dowody swojej porażki. Uśmiech na jej twarzy zamarł, jakby namalowany, ramiona opadły i lekko drżały. Po chwili jednak otrząsnęła się i wyprostowała, znów pewna siebie.

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— No, oczywiście — odparł Prewłow i westchnął.

Spoglądał na nią przez moment, a później powiedział coś do jednego ze strażników, który skinął głową, wyjął nóż i powoli zbliżył się do Dany.

Dana zbladła i zeszywniała.

— Co pan chce zrobić?

— Kazałem mu odciąć pani lewą pierś — odrzekł Prewłow obojętnym tonem.

Spencer z otwartymi ustami wpatrywał się w Sandeckera, błagając go wzrokiem, by ustąpił.

— Boże drogi! — rozpaczliwie wykrzyknął admirał. — Chyba pan nie pozwoli... obiecał pan, żadnych okrucieństw ani tortur...

— Sam uznaję to za barbarzyństwo — powiedział Prewłow — ale nie mam wyboru. To jedyne lekarstwo na wasz upór.

Sandecker odwrócił się plecami do najbliższego strażnika.

— Zabijcie najpierw mnie...

Strażnik uderzył Sandeckera w nerkę lufą pistoletu maszynowego. Admirał upadł na kolana z twarzą wykrzywioną bólem, głośno dysząc.

Dana przycisnęła sobie dłonie do boków, aż jej zbieleły palce. Nie miała już więcej żadnych atutów i wyglądała na przegraną. W jej pięknych ciemnych oczach pojawiła się odraza. Nagle w spojrzeniu strażnika dostrzegła wahanie, a jakaś stalowa ręka chwyciła ją za ramię i odepchnęła na bok. W krąg światła powoli wchodził Pitt.

66.

Pitt przybył w samą porę. Stał bez ruchu niczym jakaś niesamowita zjawia rodem z wodnego piekła. Był przemoknięty od stóp do głów, czarne włosy oblepiały jego pokrwawione czoło, usta wykrzywił sataniczny uśmiech. W świetle lamp połyskiwały kropelki wody ściekające z mokrego ubrania na podłogę.

Twarz Prewłowa wyglądała jak woskowa maska. Spokojnie wyjął papierosa ze złotej papierośnicy, zapalił go, głęboko się zaciągnął i długo wypuszczał dym.

— Wasze nazwisko? Czy przypadkiem nie nazywacie się Dirk Pitt?

— Tak właśnie jest napisane w mojej metryce urodzenia.

— Zdaje się, że jesteście niezwykle twardym człowiekiem, panie Pitt. Myślałem, że zginęliście.

— To dowodzi, że nie należy wierzyć okrętowym plotkom. Pitt zdjął z siebie mokrą kurtkę i delikatnie okrył nią ramiona Dany.

— Przykro mi, moja droga, ale tymczasem nic więcej nie mogę zrobić — rzekł, a potem zwrócił się do Prewłowa: — Czy są jakieś zastrzeżenia?

Prewłow przecząco pokręcił głową. Zaintrygowało go swobodne zachowanie Pitta. Przyglądał mu się w sposób, w jaki szlifierz patrzy na diament, lecz w jego oczach barwy morskiej zieleni niczego nie dostrzegł.

Skinął ręką na jednego ze swych ludzi, który podszedł do Pitta.

— Po prostu rewizja z ostrożności — rzekł Prewłow. — Czy są jakieś zastrzeżenia?

Pitt wzruszył ramionami i bez sprzeciwu uniósł ręce. Strażnik szybko i sprawnie przeciągnął dłońmi po jego ubraniu, a potem cofnął się i pokręcił głową.

— Żadnej broni — odezwał się Prewłow. — Bardzo rozsądnie z waszej strony, ale czegoż innego mógłbym oczekiwać od człowieka z taką reputacją. Z ogromnym zaciekawieniem czytałem dossier z opisem waszych wyczynów. Wolałbym, żebyśmy się poznali w przyjemniejszych okolicznościach.

— Przykro mi, że nie odpowiem komplementem na komplement — uprzejmie odparł Pitt — ale nie jesteś typem przestępcy, którego chciałbym zaliczać do swoich znajomych.

Prewłow zrobił dwa kroki do przodu i wierzchem dłoni z całej siły uderzył Pitta w twarz.

Pitt zachwiał się, cofnął o krok, ale nadal spokojnie stał, tylko z kącika wciąż uśmiechniętych ust sączyła mu się strużka krwi.

— Słynny Andriej Prewłow w końcu stracił zimną krew. Prewłow pochylił się do przodu, z zastanowieniem mrużąc oczy.

— Moje nazwisko? — szepnął ledwie słyszalnym głosem. — Znacie moje nazwisko?

— Szczerłość za szczerłość — odparł Pitt. — Wiem o tobie tyle samo, co ty o mnie.

— Jesteście nawet sprytniejsi, niż sądziłem — rzekł Prewłow. — Odkryliście moją tożsamość... Przyznaję, że to świadczy o niezwyklej bystrości. Nie musicie jednak blefować, że wiecie coś więcej. Poza moim nazwiskiem nie wiecie nic.

— Ciekawostka. A może mam ci podać parę szczegółów dotyczących lokalnego folkloru?

— Nie mam ochoty słuchać bajek — powiedział Prewłow i dał znak strażnikowi z nożem. — Byłbym wdzięczny, gdybyśmy teraz zajęli się sprawą wyperswadowania admirałowi Sandeckerowi, aby nakłonił obsługę pomp do współpracy.

Strażnik, wysoki mężczyzna z twarzą wciąż ukrytą pod szalikiem, ponownie ruszył w stronę Dany. Wyciągnął nóż, którego ostrze błysnęło parę centymetrów od jej lewej piersi. Zdrętwiała ze strachu Dana wtuliła się w kurtkę Pitta, wlepiając wzrok w nóż.

— Wielka szkoda, że nie lubisz bajek — odezwał się Pitt swobodnym tonem. — Ta na pewno by ci się spodobała. Jest w niej mowa o dwóch takich nieudolnych typkach, którzy nazywają się „Srebrny” i „Złoty”.

Prewłow spojrzął na Pitta, zawahał się, a potem ruchem głowy zawrócił strażnika.

— Słucham więc, panie Pitt. Daję wam pięć minut na udowodnienie swoich racji.

— To nie potrwa długo — odparł Pitt, wycierając sobie oko, które znów zakleiła mu krzepnąca krew. — Otóż pewnego razu dwaj kanadyjscy inżynierowie odkryli, że szpiegowanie może być lukratywnym dodatkowym zajęciem. Stłumili w sobie wszelkie wyrzuty sumienia i stali się zawodowymi szpiegami w pełnym znaczeniu tego określenia, koncentrując się na zdobywaniu tajnych informacji o amerykańskich programach oceanograficznych i przesyłaniu ich do Moskwy. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości, że zasłużyli sobie na pieniądze, które otrzymywali. W ciągu ostatnich dwóch lat nie było w NUMA takiego programu, którego Rosjanie by nie znali w najdrobniejszych szczegółach. Kiedy wynikła sprawa wydobywania „Titanica”, wywiad sowieckiej marynarki wojennej, a to twoja działka, Prewłow, wyczuł nadarzacą się gratkę. Bez żadnych kłopotów dwaj twoi ludzie znaleźli się w doskonałej sytuacji, która pozwalała im zbierać i przekazywać informacje o najnowszych amerykańskich technikach wydobywania statków z dużych głębokości. Była jeszcze jedna ważna okoliczność, lecz wtedy nawet ty nie zdawałeś sobie z tego sprawy.

„Srebrny” i „Złoty” — ciągnął Pitt — regularnie wysyłali meldunki o podnoszeniu wraku, a robili to w zmyślny sposób. Używali do tego urządzenia na baterie, wysyłającego pod wodą fale dźwiękowe podobnie jak sonar. Powinienem był się zorientować już wcześniej, kiedy ich sygnały wykryła obsługa sonaru na „Kozioroźcu”, ale ja je zlekceważyłem uznając, że to jakiś złom poruszany podwodnym prądem stuka w kadłub „Titanica”. W ogóle nie przyszło nam do głowy, że ktoś może wysyłać kodowane wiadomości. Nikt nie zadał sobie trudu, by rozszyfrować te przypadkowe dźwięki. To znaczy nikt poza człowiekiem ze słuchawkami na pokładzie „Michaiła Kurkowa”.

Pitt przerwał i rozejrzał się po jadalni. Wszyscy uważnie go słuchali.

— Zaczęliśmy węszyć za tymi draniami dopiero wówczas, gdy Henry Munk w tak nieodpowiedniej chwili poczuł, że musi spłacić dług naturze. Wracając na dziób z rufy „Safony II”, usłyszał sygnały nadawane przez to urządzenie, zainteresował się nimi i złapał jednego z agentów na gorącym uczynku. Wasz człowiek prawdopodobnie próbował wykręcić się jakimś kłamstwem, lecz Munk był specjalistą od instrumentów. Zorientował się, co to za urządzenie i co jest grane. Był to jeszcze jeden przykład potwierdzający, że ciekawość zabija kota. Munka należało zmusić do milczenia i zmuszono: uderzeniem statywem Woodsona w podstawę czaszki. Morderca znalazł się w kłopotliwej sytuacji, trzasnął więc głową Munka w obudowę alternatora, by upozorować wypadek. Ryba jednak nie chwyciła przynęty. Woodson coś podejrzewał i ja coś podejrzewałem, a do tego doktor Bailey znalazł siniaka na karku Munka. Ponieważ nie sposób było udowodnić, kto jest mordercą, postanowiłem zachować sprawę tego wypadku w tajemnicy, dopóki nie zbiorę wystarczających dowodów oskarżenia. Przeszukałem batyskaf i znalazłem nieco używany, ale mocno pogięty statyw wraz z urządzeniem do wysyłania sygnałów, o ironio losu, w szafce Munka. Wysłanie statywu i

urządzenia na ląd, by przeprowadzono badania daktyloskopijne, byłoby stratą czasu, bo niewątpliwie miałem do czynienia z zawodowcem, zostawiłem więc wszystko na miejscu. Wiedziałem, że to jedynie kwestia czasu, żeby wasz zadowolony z siebie agent ponownie nawiązał kontakt z „Michaiłem Kurkowem”. Postanowiłem zatem czekać.

— Fascynująca historia, lecz to tylko przypuszczenia — odezwał się Prewłow. — Brak niezbitych dowodów.

Pitt uśmiechnął się enigmatycznie i mówił dalej.

— Dowód zdobyłem drogą eliminacji. Miałem powody sądzić, że mordercą jest jeden z trzech ludzi, którzy wchodzili w skład załogi batyskafu i wtedy przypuszczalnie spali w czasie wolnej wachty. Wówczas zacząłem zmieniać załogę „Safony II” co kilka dni w taki sposób, że dwóch z nich przebywało na powierzchni, a trzeci pracował pod wodą przy wraku. Kiedy obsługa sonaru ponownie wykryła nadawane sygnały, to miałem już mordercę Munka.

— Kto to, Pitt? — groźnym głosem spytał Spencer. — Jest tu nas dziesięciu. Czy to któryś z nas?

Pitt przez chwilę patrzył w oczy Prewłowowi, a potem nagle odwrócił się i ruchem głowy wskazał jednego ze znużonych mężczyzn, zbitych w gromadkę pod lampami.

— Szkoda, że zamiast fanfar mogę ci zaoferować jedynie bicie fal o burtę statku, ale wyjdź i ukłoń się, Drummer, bo być może to twój ostatni występ przed usmażeniem się na krześle elektrycznym.

— Ben Drummer! — wysapał zdziwiony Gunn. — Nie mogę w to uwierzyć. Przecież stoi tu obity i zakrwawiony po ataku na mordercę Woodsona.

— Miejscowy koloryt — odparł Pitt. — Nie chciał się przedwcześnie zdradzić, przynajmniej do czasu, gdy wszyscy będziemy musieli przespacerować się po desce. Prewłow potrzebował informatora, który by go zawiadomił, gdyby zamarzyło się nam odzyskać statek.

— Oszukał mnie — stwierdził Giordino. — Pracował za dwóch, żeby utrzymać „Titanica” na powierzchni.

— Czyżby? — spytał Pitt. — No pewnie, wyglądał na bardzo zajętego. Nawet udało mu się trochę spociec i pobrudzić, czy zauważyłeś jednak, żeby od wejścia na pokład zrobił coś konkretnego?

Gunn pokiwał głową.

— Ale on... zdawało mi się, że pracował dniem i nocą, badając statek.

— Badając statek, akurat. Biegał z palnikiem acetylenowym i dziurawił dno.

— Opowiadasz — rzekł Spencer. — Niby dlaczego miałby dziurawić statek, skoro jego rosyjscy kumple chcieli dostać wrak w swoje łapy?

— Bo rozpaczliwie próbował opóźnić holowanie — odparł Pitt. — Ważną rolę odgrywała synchronizacja. Jakikolwiek szansę powodzenia dawało Rosjanom jedynie wejście na pokład „Titanica” w oku cyklonu. Sprytnie to sobie wymyślili. Nam to nigdy nie przyszło do głowy. Gdyby holowanie wraku odbywało się bez żadnych komplikacji, to minęlibyśmy oko cyklonu o trzydzieści mil. Dzięki Drummerowi niestabilność kadłuba w przeszłości ogromnie utrudniała holowanie. Przed odcięciem holu statek tak się rzucał po całym oceanie, że zmusił holowniki do poruszania się z najmniejszą prędkością, zapewniającą sterowność. Na własne oczy widzicie Prewłowa i jego bandę nożowników. Sama ich obecność tutaj świadczy o powodzeniu wysiłków Drummera.

Wszyscy zdali sobie teraz sprawę, że to prawda. Żaden z ratowników w istocie nigdy nie widział, by Drummer harował przy pompie czy dźwigał jakieś ciężary. Uświadomili sobie, że zawsze był gdzieś sam, a pokazywał się tylko po to, żeby ponarzekać na przeszkody, które uniemożliwiały mu badanie statku. Patrzyli na Drummera jak na przybysza z obcego świata oczekując, a nawet wręcz spodziewając się, że z oburzeniem wszystkiemu zaprzeczy.

On jednak niczego się nie wypierał, nie przysięgał, że jest niewinny, tylko przez krótką chwilę jego mina zdradzała irytację. Zdumiewająco się zmienił. Zniknął smutek z jego oczu,

które teraz patrzyły ostro. Zniknął również grymas lenistwa, który dotychczas wykrzywił mu wargi, a także niedbała, obojętna postawa, i oto stał przed nimi prosto trzymający się mężczyzna o niemal arystokratycznym wyglądzie.

— Pozwól, że ci coś powiem, Pitt — odezwał się normalną angielszczyzną. — Ze swoją przenikliwością byłbyś znakomitym szpiegiem, ale jednak nie potrafiłeś wykryć niczego, co by istotnie zmieniło sytuację.

— To zabawne, jak szybko nasz były kolega stracił swój rozkoszny prowincjonalny akcent — rzekł Pitt.

— Nie uważasz, że dobrze go opanowałem?

— Nie tylko to opanowałeś w czasie swojej kariery, Drummer. Nauczyłeś się też, jak wyciągać z ludzi tajemnice i mordować przyjaciół.

— Tego wymaga mój zawód — odparł Drummer, a potem odszedł od ratowników i stanął obok Prewłowa.

— Powiedz mi, ty jesteś „Srebrny” czy „Złoty”? — spytał Pitt.

— To już bez znaczenia — powiedział Drummer, wzruszając ramionami. — Jestem „Złoty”.

— Wobec tego twój brat to „Srebrny”.

Rysy zadowolonego z siebie Drummera stwardniały.

— Wiesz o tym? — spytał powoli.

— Kiedy już cię namierzyłem, to oddałem FBI te skromne dowody, jakie udało mi się zebrać. Muszę je także przekazać Prewłowskiemu i jego towarzyszom z wywiadu radzieckiej marynarki wojennej. Ułożyli o tobie lipną historię, tak bardzo amerykańską jak placek z jabłkami, a raczej jak placek z brzoskwiniami pieczony w Georgii. Wydawała się autentyczna jak flaga Konfederacji. FBI jednak przekopało fałszywe dokumenty, które miały świadczyć, że jesteś nieskazitelnie czysty, i ustaliło twoją przeszłość aż do starego domostwa w Hallfaksie w Nowej Szkocji, gdzie obaj z bratem się urodziliście... w odstępnie dziesięciu minut.

— Mój Boże! — mruknął Spencer. — Bliźniaki!

— Tak, ale niepodobni do siebie. Nawet nie wyglądają jak bracia.

— Dotarcie od jednego bliźniaka do drugiego było już prostą sprawą — stwierdził Spencer.

— Niezupełnie — odparł Pitt. — Drummer i jego braciszek to para cwaniaków. Nie można im tego odmówić. To był właśnie mój główny błąd, bo uznałem, że jako bliźniacy powinni mieć te same upodobania, mieszkać razem i przyjaźnić się ze sobą. Ale „Srebrny” i „Złoty” krańcowo różnili się od siebie. Drummer traktował wszystkich z jednakową serdecznością i mieszkał sam. Znalazłem się w impasie. FBI próbowało wytropić brata Drummera, ponownie sprawdzając akta personalne wszystkich ratowników, ale nie udało się ustalić żadnych związków. Przełom nastąpił wówczas, gdy doszło do wypadku, który omal nie skończył się tragedią. Wtedy złapaliśmy lisa za ogon.

— To ten wypadek z „Sondą Głębinową” — rzekł Gunn, patrząc na Drummera zimnym wzrokiem. — Ale przecież Drummer nie miał nic wspólnego z tym batyskafem. Był w załodze „Safony II”.

— Miał, i to wiele. Widzisz, na pokładzie „Sondy Głębinowej” znajdował się wtedy jego brat.

— Jak się domyśliłeś, że to mój brat? — spytał Drummer.

— Między bliźniakami jest pewna więź. Myślą i czują tak samo. Możecie się maskować, udając dwie całkowicie nie związane ze sobą osoby, Drummer, ale właśnie ta więź sprawia, że jeden z was nie może pozostać obojętny, kiedy drugiemu grozi śmierć. Odczuwałeś męki swojego brata, jak gdybyś był razem z nim w tej pułapce.

— Jasne — rzekł Gunn. — Wtedy wszyscy się denerwowaliśmy, ale Drummer zachowywał się prawie histerycznie.

— I znów zaczął się proces eliminacji. W grę mógł wchodzić Chavez, Kiel lub Merker. Chavez ma oczywiście pochodzenie meksykańskie, a tego nie można sfałszować. Kiel jest o osiem lat młodszy, i tego również nie da się sfałszować. Pozostał więc Merker.

— Cholera! — mruknął Spencer. — Jak to się stało, że tak długo dawaliśmy się wrabiać?

— Nie ma się czemu dziwić, biorąc pod uwagę fakt, że mieliśmy przeciwko sobie najlepszy zespół, jaki Rosjanie mogli skompletować. — W kącikach ust Pitta pojawił się uśmiech. — Nawiasem mówiąc, Spencer, przed chwilą powiedziałeś, że jest nas tutaj dziesięciu. Pomyliłeś się, jest nas jedenastu. Zapomniałeś o Kubie Rozpruwaczu. — Pitt odwrócił się do strażnika, który ciągle stał przed Daną z nożem w ręku, jakby wrośnięty w ziemię. — Dlaczego nie zrzucisz z siebie tego idiotycznego przebrania, Merker, i nie przyłączysz się do towarzystwa?

Strażnik powoli zdjął czapkę i odwinął szalik, który zasłaniał mu dolną połowę twarzy.

— To ten bydlak zarządził Woodsona — syknął Giordino.

— Przykro mi — spokojnie odparł Merker. — Woodson popełnił pierwszy błąd, kiedy mnie rozpoznał. Żyłby, gdyby na tym poprzestał, ale zrobił drugi błąd, tym razem fatalny, kiedy mnie zaatakował.

— Był twoim przyjacielem.

— W zawodzie szpiega nie ma miejsca na przyjaźń.

— Merker — wycedził Sandecker. — Merker i Drummer. „Srebrny” i „Złoty”. Miałem do was obu zaufanie, a wy zdradziliście NUMA. Sprzedawaliście nas przez dwa lata. I za co? Za tę parę marnych dolarów?

— Nie powiedziałbym, że za parę, admirale — odpowiedział Merker, wsadzając nóż z powrotem do pochwy. — Wystarczyłoby ich na to, żebyśmy z bratem prowadzili bardziej niż dostatnie życie przez wiele lat.

— Ejże, a skąd on się tu wziął? — spytał Gunn. — Przecież powinien być w izbie chorych doktora Baileya na pokładzie „Koziorożca”.

— Ukrył się w helikopterze Sturgisa — odparł Pitt, mokrą chusteczką wycierając sobie krwawiącą głowę.

— Niemożliwe! — wykrzyknął Sturgis. — Sam widziałeś, Pitt, że kiedy otworzyłem pokrywę luku ładunkowego, to poza panią Seagram nie było tam nikogo.

— Merker z pewnością tam był. Kiedy wymknął się doktorowi Baileyowi, to nie poszedł do siebie, lecz do kabiny Drummera, skąd wziął nowe ubranie, łącznie z parą kowbojskich butów. Potem ukradkiem wślizgnął się do helikoptera, wyrzucił tratwę ratunkową i ukrył się w schowku za jej pokrowcem. Niestety przypadkowo nadeszła Dana w poszukiwaniu zgubionej kosmetyczki. Kiedy uklękła, by ją wyciągnąć, dostrzegła buty Merkera wystające spod pokrowca tratwy ratunkowej. Nie chcąc, żeby odkryła jego ucieczkę, stuknął ją w głowę młotkiem, który nawinął mu się pod rękę, potem przykrył Danę brezentem i z powrotem wczołgał się do swojej kryjówki.

— To znaczy, że w dalszym ciągu był w przedziale towarowym, kiedy znaleźliśmy panią Seagram?

— Nie. W tym czasie już go tam nie było. Jak pamiętasz, kiedy nacisnąłeś przełącznik i otworzyłeś klapę luku ładunkowego, to czekaliśmy przez kilka chwil nasłuchując, czy w środku nic się nie rusza. I nic się nie ruszało, bo Merker zdążył już prześlizgnąć się do kabiny pilota, korzystając z tego, że jego kroki zagłuszał szum silniczków mechanizmu otwierającego klapę. Potem, gdy my weszliśmy do przedziału towarowego, bawiąc się w policjantów, on po drabince wyszedł z kabiny pilota i spokojnie zniknął w ciemnościach nocy.

— Ale po co rzucił młotkiem w łopatki wirnika? — dopytywał się Sturgis. — W jakim celu?

— Bo z „Koziorożca” leciałeś pustym helikopterem — odpowiedział mu Merker. — Nie wiozłeś niczego, co potem należałoby wylądować. Nie mogłem ryzykować, że odleczysz z „Titanica”, nie otwierając przedziału towarowego, bobym się nie wydostał.

— Później biegałeś po całym statku jak szczer — rzekł Pitt do Merkera. — Niewątpliwie według planu dostarczonego ci przez Drummera. Najpierw jego palnikiem przeciąłeś hol, gdy bosman Bascom i jego ludzie odpoczywali w sali gimnastycznej między obchodami. Potem zrobiłeś to samo z linami mocującymi helikopter, z pewnością odczuwając wielką satysfakcję, bo wiedziałeś, że zsunął się za burtę ze mną w środku.

— Dwie pieczenie przy jednym ogniu — przyznał Merker. — Nie zaprzeczam...

Przerwał mu stłumiony odgłos serii z pistoletu maszynowego, dochodzący z niższych pokładów. Prewłow wzruszył ramionami i spojrział na Sandeckera.

— Obawiam się, że wasi ludzie robią trudności — rzekł wyjmując niedopalek z lufki i rozgniatając go podeszwą. — Uważam, że ta dyskusja trwa już wystarczająco długo. Sztorm za parę godzin osłabnie i „Michaił Kurkow” będzie mógł zacząć holowanie. Admirale Sandecker, wasza w tym głowa, by zapewnić obsadę pomp. Drummer pokaże wam, gdzie zrobił otwory w kadłubie poniżej linii wodnej. Uszczelni ją reszta załogi, usuwając przecieki.

— A więc wracamy do zabawy w tortury — pogardliwie odezwał się Sandecker.

— Skończyłem z zabawami, admirale — odparł Prewłow, patrząc twardym wzrokiem. Powiedział coś do niskiego strażnika o wyglądzie pospolitego brutalą. Właśnie on uderzył Sandeckera lufą w nerkę. — To jest Buski, bardzo bezpośredni towarzysz, który przypadkowo jest najlepszym strzelcem w pułku. Poza tym rozumie co nieco po angielsku, w każdym razie zna liczebniki. — Prewłow zwrócił się do niego: — Buski, zaczynam liczyć. Kiedy dojdę do pięciu, strzelisz pani Seagram w prawe ramię. Przy dziesięciu w lewe, przy piętnastu w prawe kolano i tak dalej, aż admirał Sandecker zechce z nami współpracować.

— Praktyczny pomysł — stwierdził Pitt. — Później, gdy wykonamy dla was robotę, zastrzelicie resztę z nas, a potem oświadczycie, że opuściliśmy statek na pokładzie helikoptera, który oczywiście wpadnie do oceanu. Przedstawicie nawet dwóch świadków, Drummera i Merkera, którzy potwierdzą, że kiedy po raz trzeci znikali pod wodą, cudem zostali uratowani przez wspaniałomyślnych Rosjan.

— Nie widzę powodu, żeby to przedłużać — znudzonym głosem rzekł Prewłow. — Buski.

Strażnik uniósł pistolet maszynowy i wymierzył w ramię Dany.

— Intrygujesz mnie, Prewłow — odezwał się Pitt. — Nie interesuje cię, w jaki sposób dowiedziałem się, kim są Drummer i Merker albo dlaczego nie wsadziłem ich do ciupy, kiedy to odkryłem? Zdaje się, że nawet nie jesteś ciekaw, skąd znam twoje nazwisko.

— Owszem, jestem, ale to bez różnicy. Nic nie zmieni obecnej sytuacji. Nic i nikt nie pomoże tobie czy twoim kolegom, Pitt. Już nie. Ani CIA, ani cała Marynarka Wojenna USA. Kości zostały rzucone. Skończyło się gadanie.

Prewłow skinieniem głowy dał znak Buskiemu.

— Raz.

— Kiedy kapitan Prewłow doliczy do czterech, zginiesz, Buski. Strażnik łypnął okiem, lecz nie odpowiedział.

— Dwa.

— Znaliśmy wasze plany przejęcia „Titanica”. Admirał Sandecker i ja wiedzieliśmy o tym od czterdziestu ośmiu godzin.

— To twój ostatni blef — rzekł Prewłow. — Trzy. Pitt obojętnie wzruszył ramionami.

— A zatem cała przelana krew splami twoje ręce, Prewłow.

— Cztery.

W jadalni rozległ się ogłuszający huk. Pocisk trafił Buskiego między oczy, tuż poniżej granicy włosów, podrywając mu głowę. Szkarłatna plama, obejmująca jedną czwartą czaszki, powoli się zwiększała, gdy strażnik z rozrzuconymi rękami padł na wznak u stóp Prewłowa.

Zaskoczona Dana krzyknęła z bólu, uderzając ciałem o podłogę. Pitt nie miał czasu jej przeproszać, kiedy zwał się na nią całym ciężarem swoich dziewięćdziesięciu pięciu kilogramów. Ledwie dyszała pod tą tarczą. Giordino skoczył na Sandeckera i ściągnął go w dół rozpaczliwym chwytem obrońcy drużyny „Green Bay Packers”. Pozostali ratownicy w ułamku sekundy rozpierzchli się i padli na ziemię, a za ich przykładem w jednej i tej samej chwili poszli Drummer i Merker, jakby byli ze sobą związani.

Huk wystrzału jeszcze odbijał się echem w głębi sali, gdy strażnicy nabrali życia i otworzyli ogień z pistoletów maszynowych w ciemność za wejściem do jadalni. Nie odnosiło to żadnego skutku. Pierwszy z nich został ścięty prawie natychmiast i upadł na twarz. Drugi rzucił pistolet i chwycił się za szyję, próbując zatamować tryskającą z niej fontannę krwi, trzeci zaś z wolna osunął się na kolana, wbijając tępy wzrok w dwie niewielkie dziurki, które nagle powstały w samym środku jego kurtki.

Teraz Prewłow został sam. Popatrzył na leżących strażników, a potem na Pitta. Mina kapitana wskazywała, że pogodził się z przegraną. Z uznaniem skinął Pittowi głową, a potem wyjął z kabury pistolet i zaczął strzelać w ciemność. Kiedy opróżnił magazynek, stał w oczekiwaniu dalszych strzałów i bólu, który z pewnością po nich nastąpi. Nikt jednak nie strzelał. W sali jadalnej zapadła cisza. Wszystko jakby spowolniało i dopiero wtedy Prewłow zrozumiał, że wcale nie miał zginąć.

To była pułapka, w którą wpadł naiwnie jak małe dziecko.

W głębi duszy usłyszał głos, który drwiącym tonem uporczywie powtarzał jedno i to samo nazwisko: „Marganin... Marganin... Marganin...”

67.

Morsy to mięsożerne ssaki morskie z płetwiastymi kończynami, lecz widmowe postacie, które nagle otoczyły Prewłowa i zabitych strażników, niezbyt je przypominały. W tym wypadku morsy to żołnierze Morskich Oddziałów Specjalnych Marynarki Wojennej USA, w skrócie MORS. Ta wszechstronnie wyszkolona elitarna formacja mogła walczyć wszędzie, nawet pod wodą i w głębokiej dżungli.

Było ich pięciu, ubranych w czarne gumowe skafandry, maski i obcisłe buty, podobne do kapci. Ich rysów nie dało się rozpoznać, twarze mieli bowiem pomalowane czarną farbą, która zacierała granice między ciałem a skafandrem. Czterech trzymało w rękach automatyczne pistolety M-24 ze składanymi kolbami, piąty zaś ścisnął straszliwego stonera z dwiema lufami. Jeden z morsów podszedł do Pitta i Dany. Pomógł im wstać.

— O Boże! — jęknęła Dana. — Cały miesiąc będę miała siniaki.

Przez jakieś pięć sekund masowała sobie obolałe ciało zapominając, że jest ubrana jedynie w rozpiętą kurtkę Pitta. Kiedy wreszcie zdała sobie z tego sprawę i zobaczyła martwych strażników, którzy leżeli w dziwacznych pozach, jej głos przeszedł w szept:

— O, cholera... o, cholera...

— Chyba można powiedzieć, że nasza dama przeżyła — powiedział Pitt, uśmiechając się półgębkiem.

Uścisnął wyciągniętą dłoń morsa i przedstawił go Sandeckerowi, który niepewnie opierał się na ramieniu Giordina.

— Admirale Sandecker, oto nasz wybawca, porucznik Fergus z Morskich Oddziałów Specjalnych Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych.

Kiedy Fergus elegancko zasalutował, Sandecker odpowiedział mu skinieniem głowy, puścił ramię Giordina i wyprężył się jak struna.

— A statek, poruczniku? Kto nim dowodzi?

— Jeśli się nie mylę, panie admirale, to pan... Przerwała mu seria z pistoletu maszynowego gdzieś w przepastnym wnętrzu wraku.

— To ostatni uparty maruder — powiedział Fergus z uśmiechem, którego nie sposób było nie zauważyć. Białe zęby zaświeciły jak neon o północy. — Statkowi już nic nie grozi, panie admirale. Gwarantuję.

— A obsługa pomp?

— Cała i zdrowa powróciła do pracy.

— Ilu ludzi macie pod swoją komendą?

— Dwie drużyny, panie admirale. W sumie dziesięciu, łącznie ze mną.

Sandecker uniósł brwi.

— Tylko dziesięciu, powiadacie?

— Do takiej akcji zwykle używamy jednej drużyny — odparł Fergus rzeczowo — ale admirał Kemper uznał, że na wszelki wypadek lepiej będzie podwoić nasze siły.

— Widzę, że Marynarka Wojenna zrobiła pewne postępy od czasu, gdy ja w niej służyłem — z humorem zauważył Sandecker.

— Są jakieś straty? — spytał Pitt.

— Pięć minut temu było dwóch rannych, nic poważnego, i jeden zaginiony.

— Skąd się tu wzięliście? — spytał Merker, patrząc złym okiem ponad ramieniem czujnego morsa. — Przecież w pobliżu nie było żadnego statku, nie zauważyliśmy też żadnego samolotu. Jak...

Fergus pytająco spojrział na Dirka Pitta, który skinął głową.

— Poruczniku, możecie wyjaśnić naszemu byłemu koledze te proste sprawy. Będzie miał czas przemyśleć sobie waszą odpowiedź w celi śmierci.

— Dostaliśmy się na pokład bardzo trudną drogą — usłużnie odparł Fergus. — Piętnaście metrów pod powierzchnią oceanu opuściliśmy atomową łódź podwodną przez wyrzutnie torped. Właśnie wtedy zaginął jeden z moich ludzi. Morze było wzburzone jak diabli. Jakaś fala musiała cisnąć nim o burtę „Titanica”, kiedy kolejno wspinaliśmy się po drabinkach, które spuścił nam pan Pitt.

— Dziwne, że nikt inny nie zauważył, jak wchodziliście na pokład — mruknął Spencer.

— Nie ma się czemu dziwić — rzekł Pitt. — Kiedy ja pomagałem porucznikowi Fergusowi i jego ludziom wejść od rufy na pokład ładunkowy, a później prowadziłem ich do kabiny na pokładzie C, która dawniej należała do szefa stewardów, to wy wszyscy czekaliście w sali gimnastycznej na moją wzruszającą mowę o poświęceniu.

Spencer pokręcił głową.

— Opowiedz, jak pewnego razu zrobiłeś ze wszystkich wariatów.

— Muszę ci to przyznać, wykiwałeś nas — dodał Gunn.

— Jak już o tym mowa, to Rosjanie omal nie pobili nas na głowę.

Nie spodziewaliśmy się, że rozpoczną grę, zanim sztorm ucichnie. Ich wejście na pokład było mistrzowskim posunięciem. I prawie się udało. Tylko admirał, Giordino i ja wiedzieliśmy o obecności morsów, ale gdyby któryś z nas trzech nie uprzedził porucznika, to Fergus nie wiedziałby, kiedy zaatakować.

— Muszę przyznać, przez chwilę obawiałem się, że właśnie do tego doszło — rzekł Sandecker. — Giordino i ja byliśmy więźniami Prewłowa, a o Pitcie sądzono, że zginął.

— Tylko Bóg wie, co by się stało — powiedział Pitt. — Gdyby helikopter się nie zaklinował, to w tej chwili spałbym sobie wiecznym snem na dnie morza.

— Faktycznie — wtrącił Fergus. — Pan Pitt wyglądał jak śmierć na chorągwi, kiedy wszedł do kabiny szefa stewardów. Twardy z niego facet. Przemoczony, z rozciętą głową, a mimo to uparł się i poprowadził nas przez to pływające muzeum, aż znaleźliśmy waszych radzieckich gości.

Dana spojrzała na Pitta dziwnym wzrokiem.

— Jak długo stałeś ukryty w ciemnościach przed tym swoim *entreé*?

Pitt uśmiechnął się filuternie.

— Minutę przed twoim striptizem.

— Ale z ciebie drań. Stałeś sobie tam, a ja robiłam z siebie idiotkę! — wybuchnęła. — Pozwoliłeś im gapić się na mnie jak na wołowinę u rzeźnika.

— Wykorzystałem cię, moja droga, z konieczności. Kiedy w sali gimnastycznej znalazłem ciało Woodsona i rozbitą radiostację, nie potrzebowałem Cyganki, która by mi powiedziała, że chłopcy z Ukrainy weszli na statek. Wróciłem po Fergusa i jego ludzi, a potem zaprowadziłem ich do kotłowni, przypuszczając, że Rosjanie już pilnują obsługi pomp. Miałem rację. Przede wszystkim należało załatwić sprawy najważniejsze. Kto ma w swoim ręku pompy, ten panuje nad wrakiem. Kiedy zobaczyłem, że będę bardziej przeszkadzał, niż pomagał w walce ze strażnikami, pożyczylem sobie jednego morsa i zacząłem was szukać. Przewędrowaliśmy pół statku, nim w końcu usłyszeliśmy głosy dochodzące z jadalni. Wtedy wysłałem morsa po posiłki.

— A więc to była gra na zwłokę — stwierdziła Dana.

— Właśnie. Musiałem jak najwięcej zyskać na czasie, żeby Fergus zdążył nadejść i wyrównać szansę. Dlatego nie wchodziliśmy aż do ostatniej chwili.

— Stawka była wysoka — stwierdził Sandecker. — Cieniutko rozegrałeś drugi akt, prawda?

— Miałem dwa atuty — wyjaśnił Pitt. — Jeden to twoje dobre serce, admirale. Znam cię i wiem, że chociaż groźnie wyglądasz, to jednak ciągle przeprowadzasz staruszki przez ulicę i dokarmiasz bezdomne zwierzęta. Zwlekałbyś do ostatniej chwili, by w końcu ustąpić, ale łatwo byś się nie poddał. — Objął z tyłu Danę i z kieszeni kurtki, którą miała na sobie, wyjął budzącą przerażenie broń. — Drugim atutem była ta oto polisa ubezpieczeniowa. Pożyczył mi ją Fergus, nim zaczęła się cała zabawa. Nazywa się stoner i wystrzeliwuje chmurę drobnych igiełek. Rozwaliłbym Prewłowa i połowę jego ludzi jednym pociągnięciem spustu.

— A ja myślałam, że jesteś dżentelmenem — odezwała się Dana z udanym rozgoryczeniem w głosie. — Okryłeś mnie kurtką tylko po to, żeby nie znaleźli broni, kiedy cię rewidowali.

— Musisz jednak przyznać, że ten twój... hm, hm... niekompletny strój idealnie odwracał ich uwagę.

— Bardzo pana przepraszam — powiedział bosman Bascom — ale po jakie licha ruscy interesowali się starą zardzewiałą balią?

— Ja też o tym myślałem — dodał Spencer. — O co tu chodzi?

— To już chyba przestało być tajemnicą — odparł Pitt, wzruszając ramionami. — Rosjanom wcale nie chodziło o statek, lecz o bardzo rzadki pierwiastek, zwany bizanium, który zatonął wraz z „Titanikiem” w tysiąc dziewięćset dwunastym roku. O ile mi wiadomo, jeżeli podda się je odpowiedniemu procesowi i zastosuje do budowy skomplikowanego systemu obrony, to wówczas międzykontynentalne rakiety balistyczne staną się tak przestarzałe jak łuki.

Bosman Bascom gwizdnął przeciągle.

— A więc chce pan powiedzieć, że to coś w dalszym ciągu jest gdzieś pod pokładem?

— Przywalone paroma tonami złomu, ale wciąż tam jest.

— Nikt tego już nigdy więcej nie zobaczy, Pitt. Ani wy... ani my. Do jutra „Titanic” zostanie całkowicie zniszczony — odezwał się Prewłow, lecz w jego głosie nie było złości, raczej pewność siebie i satysfakcja. — Czy ty naprawdę myślisz, że nie wzięliśmy pod uwagę wszystkich możliwości? Że nie uwzględniliśmy porażki? Skoro my nie możemy mieć bizanium, to i wy nie będziecie go mieli.

Pitt spojrział na niego ubawionym wzrokiem.

— Nie licz na to, Prewłow, że kawalerzyści albo w waszym przypadku kozacy przygalopują wam na ratunek. Zrobiliście piekielnie dużo, ale graliście tym, co my, Amerykanie, nazywamy talią ułożonych kart. Przygotowaliście się na wszystko, na wszystko poza tym, że zostaniecie wyprowadzeni w pole. Nie wiem, jak to zorganizowano, ale wiem, że wyjątkowo sprytnie, no i połknęliście haczyk. Przykro mi, kapitanie Prewłow, lecz łup należy do zwycięzcy.

— Bizanium należy do radzieckiego ludu — poważnym tonem oświadczył Prewłow. — Wasz rząd ukradł je z naszej ziemi. To nie my jesteśmy rabusiami, Pitt, ale wy.

— Dyskusyjna sprawa. Gdyby chodziło o dzieło sztuki dużej wartości historycznej, powiedzmy jakiś skarb narodowy, to Departament Stanu odesłałby wam wszystko pierwszym statkiem do Murmańska. Co innego jednak, gdy jest to podstawowy element broni strategicznej. Gdybyśmy zamienili się rolami, wy byście nam go nie oddali, tak samo jak my.

— A więc musi być zniszczone.

— Mylisz się. Broń, która nie zabija, lecz po prostu chroni życie, nigdy nie powinna być zniszczona.

— Ta wasza świętoszkowata filozofia potwierdza to, co nasi przywódcy wiedzą już od dawna. Po prostu nie możecie z nami wygrać. Pewnego dnia, w niezbyt dalekiej przyszłości, z waszą demokracją stanie się to samo, co z greckim senatem. Będziecie tylko obiektem studiów dla badaczy komunizmu, niczym więcej.

— Nie gorączkuj się tak, towarzyszu. Musicie wykazać się znacznie większą subtelnością, nim zaczniecie kierować światem.

— Poczytaj sobie historię — odparł Prewłow, uśmiechając się złowieszczo. — Ludy, które przemądrzałe narody przez całe wieki uważały za barbarzyńców, zawsze w końcu zwyciężały.

Pitt odpowiedział kurtuazyjnym uśmiechem, kiedy Prewłowa, Merkera i Drummera wyprowadzano pod eskortą morsów głównymi schodami na górę, do jednej z kabin pierwszej klasy, gdzie zostaną zamknięci pod strażą.

Uśmiech Pitta nie był jednak szczery. Prewłow miał rację.

Barbarzyńcy zawsze w końcu zwyciężali.

Część V

SOUTHBY

Czerwiec 1988 roku

68.

„Amanda” zamierała powoli, ale nieodwołalnie. Huragan, który na długo pozostanie w ludzkiej pamięci jako wielki cyklon z 1988 roku, zdążył już przebyć z niszczycielską siłą trzy tysiące mil nad oceanem w ciągu trzech i pół dnia, lecz miał jeszcze zadać swój ostatni apokaliptyczny cios. Niczym supernowa, która wybucha przed zapadnięciem się w ciemność, nagle skręcił na wschód i uderzył w półwysep Avalon na Nowej Fundlandii, smagając wybrzeże od przylądka Race po Pouch Cove.

W ciągu paru minut kolejne miasta zaczęły tonąć w wodzie wskutek ulewnych deszczów, przyniesionych sztormem z masą chmur. Woda, która gwałtownie spływała z doliny, zmyła do morza kilka niewielkich wiosek. Z wyrzuconych na brzeg kutrów rybackich zostały tylko rozbite kadłuby, w których z trudem można się było dopatrzeć pierwotnych kształtów. W St. John's wiatr pozrywał dachy ze śródmiejskich budynków, a ulice zamieniły się w rwące rzeki. Przez wiele dni nie funkcjonowały wodociągi i sieć elektryczna; do czasu przyplłynięcia statków ratowniczych należało też racjonować żywność.

Nigdy jeszcze żaden z zarejestrowanych huraganów nie miał takiej siły i furii, nie dotarł tak daleko i z tak straszliwą prędkością. Żaden też nie spowodował tak ogromnych strat. Szacunkowo sięgały one aż dwustu pięćdziesięciu milionów dolarów, z czego sto pięćdziesiąt milionów przypadło na całkowicie zniszczoną flotę rybacką Nowej Fundlandii. Zatonęło dziewięć statków, w tym sześć z całymi załogami. Sztorm pociągnął za sobą śmierć od trzystu do trzystu dwudziestu osób.

W piątek, wczesnym rankiem, doktor Ryan Prescott siedział samotnie w głównej sali Centrum Obserwacji Huraganów NUMA. Huragan „Amanda” wreszcie dotarł do kresu swej wędrówki, znaczonej śmiercią i zniszczeniem, i teraz dogorywał w Zatoce Świętego Wawrzyńca. Batalia się skończyła i meteorolodzy nie mieli w Centrum nic więcej do roboty. Po siedemdziesięciu dwóch bezsennych godzinach wszyscy wrócili do domu, by się wyspać.

Zaczerwienionymi ze zmęczenia oczami Prescott patrzył na blaty biurka pełne map, zestawień danych, wydruków komputerowych i filiżanek z nie dopitą kawą, na podłogę pokrytą dywanem kartek papieru z notatkami i dziwnymi symbolami, znanymi jedynie meteorologom. Spojrzał na ogromną ścienną mapę, bezgłośnie przeklinając kończący się sztorm. Wszystkich zaskoczył ten całkowicie nieoczekiwany zwrot na wschód. Był zupełnie pozbawiony logiki i nie miał precedensu w historii huraganów. Żaden z dotychczas zarejestrowanych sztormów nie zachowywał się tak niekonsekwentnie.

Gdyby tylko w jakiś sposób zasygnalizował zmianę kierunku, gdyby choć cokolwiek dało się przewidzieć w jego szalonym zachowaniu, wówczas można by było lepiej przygotować ludność Nowej Fundlandii na jego atak. Można byłoby uratować przynajmniej połowę tych, co zginęli — sto pięćdziesiąt osób. Sto pięćdziesiąt kobiet, mężczyzn i dzieci teraz by żyło, gdyby wszelkie naukowe podstawy prognozowania pogody nie okazały się tak bezużyteczne wskutek kaprysu Matki Natury.

Prescott wstał i po raz ostatni spojrział na ścienną mapę, zanim przyjdą woźne i usuną ślady istnienia „Amandy”, wycierając jej pogmatwany szlak, by zrobić miejsce dla jej jeszcze nie narodzonych następców. Jeden niewielki znaczek zwrócił jego uwagę. Był to mały krzyżyk z napisem „Titanic”.

Według ostatniego meldunku z centrali NUMA w Waszyngtonie dwa holowniki Marynarki Wojennej rozpaczliwie próbowały wyprowadzić wrak ze sztormu. Od dwudziestu czterech godzin nie było jednak żadnych wiadomości.

Prescott podniósł filiżankę z zimną kawą, by spełnić toast.

— Za „Titanica” — powiedział na głos w pustej sali. — Za to, co ci zrobiła „Amanda”, pluń jej w ślepią.

Skrzywił się przelękając nieświeżą kawę, a potem odwrócił się i wyszedł z sali na wilgotne powietrze wczesnego poranka.

69.

O brzasku „Titanic” w dalszym ciągu utrzymywał się na powierzchni. Wciąż trwał, choć właściwie nie wiadomo jakim cudem. Bezwładnie się przewalał, wystawiony burtą do wiatru i fali w pułapce spienionych bałwanów, jakie zostawiał za sobą odchodzący huragan.

Niczym oszołomiony bokser, wiszący na linach i zbierający straszliwe lanie, statek jak pijany unosił się na dziesięciometrowych falach, które zalewały jego pokład łożowy słonymi bryzgami, i z trudem walczył o odzyskanie chwiejnej równowagi tylko po to, by zaraz przyjąć następne uderzenie.

Kapitanowi Parotkinowi, który patrzył przez lornetkę, „Titanic” wydawał się statkiem skazanym na zagładę, jego zdaniem bowiem obciążenie, jakim były poddawane żardzewiałe płyty starego kadłuba, znacznie przekraczało ich wytrzymałość. Widział powyrywane nity i pęknięte spoiny, domyślał się więc, że wrak bierze wodę przynajmniej w stu miejscach. Nie widział jednak wyczerpanych ratowników, morsów ani członków załóg holowników, którzy ramię w ramię pracowali w czarnym piekle poniżej linii wodnej, rozpaczliwie walcząc o utrzymanie statku na powierzchni oceanu.

Z punktu widzenia Parotkina, któremu sterownia „Michaiła Kurkowa” zapewniała osłonę przed żywiołem, po prostu zakrawało na cud, że „Titanic” nie zniknął w ciągu nocy. Wciąż czepiał się życia, choć miał dobre sześć metrów przegłębienia na dziobie i blisko trzydziestostopniowy przechył na prawą burtę.

— Są jakieś wiadomości od kapitana Prewłowa? — spytał Parotkin, nie odrywając oczu od lornetki.

— Nie, towarzyszu kapitanie — odparł pierwszy oficer.

— Obawiam się najgorszego. Nie widzę nic, co by wskazywało, że Prewłow opanował wrak.

— Tam, towarzyszu kapitanie — rzekł pierwszy oficer, wskazując ręką. — Na kikucie masztu na rufie. Wygląda jak rosyjski proporczyk.

Parotkin badawczo przyjrzał się niewielkiemu skrawkowi materiału trzepoczącemu na wietrze.

— Niestety, gwiazda na proporczyku jest biała, a nie czerwona — powiedział z westchnieniem. — Muszę przyjąć, że im się nie udało.

— Może towarzysz Prewłow nie miał czasu zawiadomić nas o swojej sytuacji?

— Już dłużej nie możemy czekać. W ciągu godziny będą tu amerykańskie samoloty poszukiwawcze — rzekł Parotkin i zawiedziony uderzył w konsolę. — Cholerny Prewłow! — mruknął ze złością. — „Możemy tylko mieć nadzieję, że nie będziemy zmuszeni do ostateczności.” To jego własne słowa. Szczęściarz z niego. Może nawet już zginął, a ja mam wziąć na siebie odpowiedzialność za zniszczenie „Titanica” i śmierć tych wszystkich, którzy pozostali na jego pokładzie.

Pierwszy oficer zeszywniał. Twarz mu pobraźla.

— Czy nie ma innego wyjścia, towarzyszu kapitanie? Parotkin pokręcił głową.

— Rozkazy były jasne. Raczej zniszczyć statek, niż pozwolić, żeby wpadł w ręce Amerykanom.

Wyjął chusteczkę i przetarł sobie oczy.

— Każcie załozie przygotować raketę z głowicą atomową i odejść dziesięć mil na północ od „Titanica”, na pozycję do odpalenia.

Pierwszy oficer z twarzą pozbawioną wyrazu przez dłuższą chwilę patrzył na Parotkina. Potem wolno się odwrócił, podszedł do radiotelefonu i kazał sternikowi zmienić kurs o piętnaście stopni na północ.

Pół godziny później wszystko było gotowe. „Michaił Kurkow” rył dziobem fale na wyznaczonej pozycji do odpalenia rakiety, kiedy Parotkin stanął za plecami operatora radaru.

— Są jakieś echa? — spytał.

— Osiem szybko zbliżających się odrzutowców sto czterdzieści mil na zachód.

— A na oceanie?

— Dwa niewielkie statki na kursie dwieście czterdzieści pięć, dwadzieścia jeden mil na południowy zachód.

— To chyba wracające holowniki — odezwał się pierwszy oficer. Parotkin skinął głową.

— Mnie interesują te samoloty. Będą nad nami za dziesięć minut. Czy głowica nuklearna jest już uzbrojona?

— Tak, towarzyszu kapitanie.

— Więc zaczynajcie odliczać.

Pierwszy oficer wydał rozkaz przez telefon, a potem obaj wyszli na prawe skrzydło mostka, skąd obserwowali, jak gładko otwierają się na boki pokrywy luku dziobowego, ukazując ośmiometrowy pocisk „Stoski”, typu ziemia-ziemia, powoli wysuwający się z ukrytej wyrzutni.

— Minuta do odpalenia — odezwał się z głośnika technik obsługujący wyrzutnię.

Parotkin skierował lornetkę w stronę odległego „Titanica”. Widział tylko jego sylwetkę na tle szarych chmur na horyzoncie. Ledwie dostrzegalne drżenie przebiegło ciałem kapitana. W jego oczach pojawił się smutek. Wiedział, że marynarze zawsze będą go przeklinali jako człowieka, który poszedł z powrotem na dno bezbronny, dopiero co zmartwychwstały transoceaniczny liniowiec. Stał spięty w oczekiwaniu ryku silników raketowych, a później ogromnej eksplozji, która rozniesie w pył „Titanica”, gdy nagle usłyszał, że ktoś przebiega przez sterownię. Na skrzydło mostka wpadł radiooperator.

— Towarzyszu kapitanie! — zameldował jednym tchem. — Pilna depesza z amerykańskiej łodzi podwodnej!

— Trzydzieści sekund do odpalenia — zaskrzeczał głośnik. W oczach radiooperatora malowała się panika, kiedy wcisnął w rękę Parotkina depeszę następującej treści:

OKRĘT USA DRAGONFISH DO OKRĘTU ZSRR MICHAŁ Kurkow STOP WRAK M/S TITANIC POD OCHRONĄ FLOTY WOJENNEJ STANÓW ZJEDNOCZONYCH STOP NA JAKIKOLWIEK AKT AGRESJI Z WASZEJ STRONY NATYCHMIAST POWTARZAM NATYCHMIAST ODPOWIEMY ATAKIEM ODWETOWYM PODPISANO KAPITAN OKRĘTU PODWODNEGO DRAGONFISH

— Dziesięć... dziewięć... osiem... — odliczał technik. — Siedem... sześć...

Parotkin podniósł głowę z wesołą, beztroską miną człowieka, który właśnie otrzymał od listonosza przekaz na milion rubli. — ...pięć ...cztery... trzy ...

— Przerwać odliczanie! — rozkazał Parotkin głośno i wyraźnie, żeby wykluczyć wszelkie pomyłki.

— Przerwać odliczanie! — powtórzył do słuchawki pierwszy oficer z twarzą pokrytą kropelkami potu. — Zabezpieczyć pocisk.

— Dobrze — skwitował krótko Parotkin. Uśmiech rozjaśnił mu twarz. — To wprawdzie niezupełnie to, co kazano mi zrobić, ale chyba dowództwo floty radzieckiej podzieli mój punkt widzenia. Mimo wszystko „Michaił Kurkow” jest najlepszym na świecie statkiem tej klasy. Nie chcielibyśmy go stracić z powodu bezsensownego rozkazu człowieka, który niewątpliwie już nie żyje.

— Całkowicie się z wami zgadzam — rzekł pierwszy oficer z uśmiechem. — Ale nasi przełożeni z pewnością chcieliby się dowiedzieć, dlaczego pomimo wymyślnych urządzeń do wykrywania nie udało nam się ujawnić obecności łodzi podwodnej, którą praktycznie mieliśmy tuż przed nosem. Amerykańskie metody podwodnej penetracji naprawdę muszą być zaawansowane.

— Jestem pewien, że również Amerykanie chcieliby się czegoś dowiedzieć, a mianowicie, dlaczego nasze badawcze statki oceanograficzne mają ukryte wyrzutnie pocisków.

— Czekam na wasze rozkazy, towarzyszu kapitanie. Parotkin spojrzał na pocisk znikający pod pokładem.

— Kurs do domu — odparł.

Odwrócił się i popatrzył w stronę „Titanica”. Co się stało z Prewłowem i jego ludźmi? Żyją czy zginęli? Czy kiedykolwiek dowie się prawdy?

Szare chmury zaczęły bieleć; wiatr osłabł do orzeźwiającej bryzy. Na coraz pogodniejszym niebie pokazała się samotna mewa. Przez chwilę krążyła nad sowieckim statkiem, a potem, jakby w odpowiedzi na pilniejsze wezwanie, machnęła skrzydłami i ruszyła na południe w kierunku „Titanica”.

70.

— Jesteśmy załatwieni — powiedział Spencer tak cicho, że Pitt nie miał pewności, czy dobrze go zrozumiał.

— Powtórz.

— Jesteśmy załatwieni — leniwie odparł Spencer. Twarz miał usmarowaną olejem i rdzawym szlamem. — To beznadziejny przypadek. Zatkaliśmy większość dziur wypalonych przez Drummera, ale morze porozbijało kadłub jak diabli i to stare pudło bierze wodę szybciej niż sito.

— Musimy utrzymać wrak na powierzchni do powrotu holowników — rzekł Pitt. — Jeżeli swoimi pompami wspomogą nasze, to poradzimy sobie z przeciekającą wodą do czasu uszczelnienia uszkodzeń.

— To po prostu cud, że nie zatonął już wiele godzin temu.

— Ile czasu możesz mi dać? — spytał Pitt. Spencer znużonym wzrokiem popatrzył na wodę, która pluskała mu wokół kostek u nóg.

— Silniki pomp pracują na resztkach paliwa. Jeżeli paliwo się skończy, pompy staną. Niestety, to niezbity fakt. — Podniósł oczy i spojrzał na Pitta. — Godzinę, może półtorej. Nie mogę obiecać ci więcej niż tyle, ile będą pracowały pompy.

— A gdybyś miał dostateczną ilość paliwa?

— Wówczas prawdopodobnie mógłbym utrzymać wrak na powierzchni bez żadnej pomocy gdzieś do południa — odparł Spencer.

— Ile do tego potrzeba paliwa?

— Osiemset litrów załatwiłoby sprawę.

Obaj podnieśli wzrok, kiedy Giordino zeskoczył z zejściówki i rozchlapał wodę na podłodze kotłowni.

— Jak już się frustrujemy — wystękał — to osiem samolotów krąży nad statkiem. Sześć myśliwców marynarki i dwa rozpoznawcze z radarami. Robiłem wszystko poza rozbieraniem się i stawaniem na głowie, a one tylko machają skrzydłami, kiedy przelatują.

Pitt pokręcił głową z udawanym smutkiem.

— Przypomnij mi, żebym nigdy nie zadawał wam zagadek.

— Skoro jesteś taki mądry, to może sam mi powiesz, w jaki sposób zawiadomić faceta, który leci z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę, że potrzebujemy pomocy, i to natychmiast?

Pitt poskrobał się po brodzie.

— Musi być jakieś wyjście.

— Pewnie — sarkastycznie odpowiedział Giordino. — Wystarczy zadzwonić po pomoc drogową.

Pitt i Spencer popatrzyli na siebie. Obaj równocześnie pomyśleli o tym samym.

— Co za błyskotliwość — rzekł Spencer. — Niezwykła błyskotliwość.

— Skoro my nie możemy dostać się do stacji obsługi, to ona musi przyjechać do nas — powiedział Pitt z szerokim uśmiechem. Giordino wyglądał na zdezorientowanego.

— Zmęczenie przyćmiło wam rozum — stwierdził. — Gdzie znajdziecie automat telefoniczny? Co zastąpi wam radio? Nasze rozwalili Rosjanie, to w helikopterze zalane jest wodą, a nadajnik Prewłowa dostał dwie kule podczas tej awantury. — Pokręcił głową. — I nie zapominajcie o lotnikach. Bez pędzla i wiadra farby nie da rady o niczym ich zawiadomić.

— To twój kłopot — powiedział Spencer wyniosłym tonem. — Zawsze patrzysz w górę zamiast pod nogi.

Pitt schylił się i podniósł duży, ciężki młotek, który leżał na kupie narzędzi.

— Myślę, że to powinno załatwić sprawę. — Zamachnął się i zaczął walić w ścianę kadłuba „Titanica”, aż w kotłowni zadudniło. Zmęczony Spencer usiadł na ruszcie paleniska.

— Oni tego nie rozumieją.

— Bo ja wiem — odparł Pitt między kolejnymi zamachnięciami. — To afrykański telegraf. W Kongu zawsze funkcjonował.

— Giordino chyba miał rację. Zmęczenie przyćmiło nam rozum. Pitt zignorował Spencera i w dalszym ciągu bił młotkiem. Po kilku minutach przerwał, by poprawić uchwyt na trzonku.

— Miejmy nadzieję, że jakiś tubylec trzyma teraz ucho przy ziemi — rzekł pomiędzy uderzeniami, a potem dalej walił młotkiem w ścianę.

Tego dnia na pokładzie łodzi podwodnej „Dragonfish” służbę mieli dwaj operatorzy sonaru. Ten, który był zajęty nasłuchem, przysunął twarz do aparatu i z przekrzywioną na bok głową uważnie analizował dźwięki dochodzące ze słuchawek. Potem lekko skinął głową i podał słuchawki stojącemu przy nim oficerowi.

— W pierwszej chwili myślałem, że to ryba młot — odezwał się operator sonaru. — Wydaje ona takie dziwne dźwięki przypominające walenie młotkiem, ale w tym był jakiś zdecydowanie metaliczny ton.

Oficer przycisnął jedną słuchawkę do ucha. W jego oczach malowało się zaintrygowanie.

— To brzmi jak SOS.

— Tak właśnie to odczytałem, panie poruczniku. Ktoś wali młotkiem w kadłub i wystukuje sygnał SOS.

— Skąd dochodzi ten dźwięk?

Operator sonaru pokręcił niewielkim kółkiem, sterującym czujnikami na dziobie łodzi podwodnej, i spojrzał na tablicę przyrządów.

— W namiarze trzysta siedem, dwa tysiące metrów na północny zachód. To musi być „Titanic”, panie poruczniku. Po odpłynięciu „Michała Kurkowa” jest w tym rejonie jedynym statkiem na powierzchni.

Oficer oddał słuchawki, wyszedł z przedziału nasłuchu i po kręconych schodkach wdrapał się do wieży dowodzenia. Podszedł do mężczyzny średniego wzrostu, z okrągłą twarzą i siwiejącym wąsem, który na kołnierzyku miał dębowe listki komandora.

— To na pewno „Titanic”, panie komandorze. Wystukuje młotkiem SOS.
— Nie mylicie się?
— Z całą pewnością nie, panie komandorze — odparł porucznik i po krótkiej przerwie spytał: — Wypływamy? Komandor zastanawiał się przez kilka chwil.
— Mieliśmy rozkaz przetransportować morsy i odstraszyć „Michała Kurkowa”, a później pozostać w ukryciu na wypadek, gdyby Rosjanie na zakończenie chcieli zaatakować wrak jedną ze swoich łodzi podwodnych. Trudno byłoby nam go osłaniać, gdybyśmy zeszli z posterunku i się wynurzyli.
— Kiedy ostatnim razem oglądaliśmy „Titanica”, był w nie najlepszym stanie. Być może tonie.
— Wówczas jego załoga wzywałaby pomocy przez radio na wszystkich częstotliwościach... — Komandor zawahał się i urwał, mrużąc oczy. Podszedł do kabiny radiowej i zajrzał do środka. — Kiedy mieliśmy ostatnią wiadomość z „Titanica”?
Jeden z radiooperatorów sprawdził w książce raportów.
— Wczoraj, kilka minut przed osiemnastą, panie komandorze. Prosimy nas o podanie aktualnej prędkości i kierunku huraganu. Komandor skinął głową i odwrócił się do oficera.
— Nie odzywali się od ponad dwunastu godzin. Pewnie radio im wysiadło.
— Bardzo możliwe.
— Lepiej go sobie obejrzymy — powiedział komandor. — Peryskop w górę.
Rura peryskopu z szumem powoli przesunęła się w górną pozycję. Komandor położył dłonie na uchwytych i spojrział w wizjer.
— Wygląda dość dobrze — stwierdził. — Ma duży przechył na prawą burtę i przegłębienie na dziobie, ale jeszcze nie jest tak źle, żeby było niebezpiecznie. Nie wywiesili flagi wzywania pomocy. Nikogo nie ma na pokładzie... chwileczkę, jeszcze raz sobie popatrzę. Ktoś stoi na dachu średniówki. — Komandor powiększył obraz. — Rany boskie! — mruknął. — To kobieta!
Oficer spojrział na niego z wyrazem niedowierzania na twarzy.
— Powiedział pan kobieta, panie komandorze?
— Niech pan sam zobaczy.
Oficer popatrzył w wizjer. Rzeczywiście jakaś młoda blondynka stała na dachu średniówki „Titanica”. Zdawała się machać biustonoszem.
Po dziesięciu minutach „Dragonfish” już był na powierzchni i dryfował w cieniu „Titanica”.
Pół godziny później rezerwowe paliwo pomocniczego silnika dieslowskiego łodzi podwodnej płynęło rurą, która biegła łukiem ponad falami i zniknęła w otworze pośpiesznie wyciętym w kadłubie wraku.

71.

— To z „Dragonfisha” — powiedział admirał Kemper, czytając depezę, którą trzymał w ręku. — Jego kapitan wysłał grupę marynarzy na pokład „Titanica” do pomocy Pittowi i jego ratownikom. Twierdzi, że wrak, mimo licznych przecieków, powinien utrzymać się nie zaatakuje go kolejny huragan.
— Bóg łaskaw — wtrącił Marshall Collins pomiędzy ziewnięciami.
— Informuje również — ciągnął Kemper — że na pokładzie „Titanica” znajduje się pani Seagram, i to w świetnej scenicznej formie, choć nie mam pojęcia, o co mu chodzi.
Mel Donner wyszedł z łazienki z ręcznikiem na ramionach.
— Czy mógłby pan powtórzyć, admirał?
— Kapitan „Dragonfisha” zawiadamia, że pani Dana Seagram jest cała i zdrowa.

Donner pobiegł do kanapy i potrząsnął Seagramem, który na niej spał niespokojnym snem.

— Gene! Obudź się! Znaleźli Danę! Nic jej się nie stało! Seagram zamrugał powiekami, a potem z coraz bardziej zdziwioną miną przez kilka sekund wpatrywał się w Donnera.

— Dana... Dana żyje?

— Tak, pewnie w czasie sztormu była na „Titanicu”.

— Ale skąd się tam wzięła?

— Jeszcze nie znamy szczegółów. Musimy na nie trochę poczekać. Najważniejsze, że Dana jest bezpieczna i że „Titanic” utrzymuje się na powierzchni.

Seagram chwycił się rękami za głowę i siedział skulony. Zaczął cicho łkać.

Na szczęście uwagę od niego odwrócił komandor Keith, który wszedł bardzo zmęczony i podał admirałowi Kemperowi następną wiadomość.

— To od admirała Sandeckera — powiedział Kemper. — Myślę, że powinna zainteresować pana Nicholsona.

Warren Nicholson i Marshall Collins zostawili Seagrama i podeszli do biurka Kempera.

— Oto, co przekazuje Sandecker: „Bawią u nas krewni, których umieściliśmy w pokojach gościnnych. Na wczorajszym przyjęciu coś mi wpadło w oko, ale z przyjemnością wysłuchałem naszej starej piosenki o srebrze i złocie. Cudownie się bawimy. Szkoda, że nie jesteście tu z nami. Pozdrów ode mnie kuzyna Warrena i powiedz mu, że mam dla niego prezent. Podpisano: Sandecker.”

— Zdaje się, że admirał dość dziwnie dobiera słowa — odezwał się prezydent. — Co on, u licha, chce nam w ten sposób przekazać? Kemper spojrzał na niego zdziwiony.

— Najwyraźniej Rosjanie weszli na pokład w oku huraganu.

— Najwyraźniej — powtórzył prezydent lodowatym tonem.

— Piosenka o srebrze i złocie — rzekł podniecony Nicholson. — „Złoty” i „Srebrny”. Złapali tych dwóch szpiegów.

— A ten prezent dla ciebie, kuzynie Warrenie — dodał Collins, pokazując wszystkie zęby w uśmiechu — to zapewne nic innego, jak tylko sam kapitan Andriej Prewłow.

— Koniecznie muszę jak najszybciej dostać się na pokład wraku — powiedział Nicholson, zwracając się do Kempera. — Załatwisz mi transport, admirał?

Kemper już sięgał po słuchawkę.

— W ciągu pół godziny będziesz na pokładzie odrzutowca marynarki, który wyląduje na „Beecher's Island”. Stamtąd polecisz helikopterem na „Titanica”.

Prezydent podeszedł do dużego okna i spojrzał na słońce, które wschodziło nad horyzontem, rzucając promienie na leniwe wody Potomacu. Po chwili bez skrępowania głęboko ziewnął.

72.

Dana oparła się o reling na mostku „Titanica” i zamknęła oczy. Bryza morska rozwiewała jej miodowe włosy, smagając skórę uniesionej twarzy. Ten wiatr działał na Danę kojąco. Czowała się spokojna, wolna i całkowicie zrelaksowana. Miała wrażenie, jakby unosiła się w powietrzu.

Wiedziała, że już nigdy nie będzie malowaną lalą, tą Daną Seagram sprzed dwóch dni. Powzięła ostateczną decyzję: rozwiedzie się z Gene'em. Ich związek już w ogóle się nie liczył, przynajmniej dla niej. Tamta zakochana dziewczynka umarła i nigdy nie powróci. Upajała się tą myślą. Czowała się odrodzona. Zacznie życie od nowa i nic jej nie powstrzyma.

— O czym tak myślisz?

Otworzyła oczy i ujrzała przed sobą uśmiechniętą, świeżo ogoloną twarz Dirka Pitta.

Przez chwilę stali w milczeniu obserwując, jak holowniki „Wallace” i „Morse” napinają długą linę, łączącą je z dziobem „Titanica”. Bosman Bascom i jego ludzie sprawdzali hol i smarowali prowadnicę liny, by zmniejszyć tarcie. Bosman podniósł wzrok i pomachał ręką w stronę mostka.

— Chciałabym, żeby ta podróż nigdy się nie skończyła — szepnęła Dana, kiedy oboje odpowiedzieli mu takim samym gestem na pozdrowienie. — Jest tak niezwykła, a równocześnie tak cudowna. —

Odwróciła się nagle i położyła rękę na dłoni Pitta. — Obiecuj mi, że nigdy nie dopłyniemy do Nowego Jorku, że zawsze będziemy tak żeglowali niczym „Latający Holender”.

— Zawsze będziemy tak żeglowali.

Zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego całym ciałem.

— Dirk! Dirk! — szeptała żarliwie. — Gwiżdżę na wszystko. Pragnę cię, chcę ciebie natychmiast i naprawdę nie wiem dlaczego.

— Dlatego, że tu ze mną jesteś — spokojnie odparł Pitt. Wziął ją za rękę i poprowadził w dół głównymi schodami do jednej z dwóch sypialni luksusowego apartamentu na pokładzie B.

— Wedle życzenia, proszę pani. Najlepszy apartament na statku. Bilet w jedną stronę kosztował tu znacznie powyżej czterech tysięcy dolarów. Oczywiście w cenach z tysiąc dziewięćset dwunastego roku. Jednakże ze względu na blask pani oczu udzielię pani sporego rabatu.

Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Było oczyszczone ze szlamu i zgniłej pościeli, którą teraz zastępowało kilka koców.

Dana spojrzała na łóżko zdziwiona.

— Ty je przygotowałeś?

— Tak. Na wszelki wypadek...

— Wiesz, czym jesteś?

— Draniem, rozpustnikiem, satyrem... mógłbym wymienić jeszcze kilkanaście równie stosownych określeń.

Popatrzyła na niego z tajemniczym uśmiechem.

— Nie, nic z tych rzeczy. Nawet satyr nie postąpiłby roztropniej.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował tak mocno, że aż jęknęła.

Jej zachowanie w łóżku całkowicie go ogłupiło. Nie spodziewał się po niej aż tak gwałtownej namiętności; tłumiał dłońią przejmujące okrzyki, czuł paznokcie rozrywające mu plecy do krwi. Wreszcie Dana wtuliła twarz w jego szyję, cicho łkając. Zastanawiał się, czy wszystkie żony tak się zachowują, kiedy po raz pierwszy zdradzają męża. Szaleństwo trwało prawie godzinę; w sypialni unosił się zapach ich spoconych ciał.

W końcu Dana odepchnęła go od siebie i usiadła. Uniosła kolana i objęła je rękami, krzyżując stopy.

— Jak ci było? — spytała.

— Jak z tygrysem.

— A ja nie wiedziałam, że może być tak dobrze.

— Nie wystarczyłoby mi forsya, gdybym chciał dać dziesięciocentówkę każdej dziewczynie, która w podobnej sytuacji mówi dokładnie to samo.

— Ty nie wiesz, jak to jest, kiedy czuje się jednocześnie ból i rozkosz.

— Obawiam się, że nie. Kobiety przeżywają seks głębiej. U mężczyzn wrażenia erotyczne są raczej powierzchowne. Jakkolwiek by na to patrzeć, seks więcej daje kobietom.

— Co wiesz o prezydencie? — spytała nagle ciepłym, nostalgicznym tonem.

Ubawiony Pitt spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— O prezydencie? Dlaczego akurat w takiej chwili pomyślałaś właśnie o nim?

- Słyszałam, że jest bardzo męski.
- Trudno mi powiedzieć. Nigdy z nim nie spałam. Zignorowała tę uwagę.
- A gdyby prezydentem została kobieta i chciała się z tobą kochać, to co byś zrobił?
- Dla ojczyzny zrobiłbym wszystko — odparł Pitt. — Ale do czego zmierzasz?
- Odpowiadaj na pytania. Poszedłbyś z nią do łóżka?
- To zależy.
- Od czego?
- Nieważne, czy byłaby prezydentem, czy nie, ale gdyby miała siedemdziesiąt lat i skórę pomarszczoną jak suszona śliwka, a przy tym była tłusta, toby mi nie stanął. Właśnie dlatego mężczyzna nigdy nie jest dobrą prostytutką.
- Dana uśmiechnęła się i zamknęła oczy.
- Pokochaj mnie jeszcze.
- Po to, byś mogła sobie wyobrazić, że zabawiasz się z prezydentem?
- Przeszkadza ci to?
- Właściwie oboje możemy robić to samo. Ja będę myślał, że jesteś Ashley Fleming.

73.

Siedząc w kucki na podłodze luksusowej kabiny C-95, Prewłow podniósł głowę, kiedy mors trzymający straż w korytarzu przekręcił klucz w świeżo naoliwionym zamku i otworzył drzwi. Z pistoletem M-24 gotowym do strzału mors skontrolował kapitana wzrokiem, a potem odsunął się na bok, by wpuścić jakiegoś mężczyznę.

Człowiek ten miał ze sobą aktówkę i był ubrany w garnitur, który prosił się o żelazko. Błady uśmiech przemknął po jego twarzy, gdy Prewłow przyjrzał mu się badawczo i ze zdziwieniem go rozpoznał.

— Kapitanie Prewłow, jestem Warren Nicholson.

— Wiem — powiedział Prewłow wstając i bardzo elegancko się skłonił. — Nie byłem na to przygotowany, że będę gościł samego szefa Centralnej Agencji Wywiadowczej. Przynajmniej nie w tak krępujących warunkach.

— Przyjechałem tu, by osobiście eskortować pana do Stanów Zjednoczonych.

— Bardzo mi miło.

— To raczej nam jest miło. Uważa się pana za rzeczywiście wielką zdobycz.

— A zatem będę miał pokazowy proces, który roztrąbicie po całym świecie, oskarżając mój rząd o piractwo na pełnym morzu. Nicholson znów się uśmiechnął.

— Nie. Obawiam się, że o pańskiej zdradzie nikt się nie dowie, poza kilkoma wysoko postawionymi osobami w waszym i naszym rządzie.

Prewłow zmrużył oczy. Najwyraźniej tego się nie spodziewał.

— O mojej zdradzie..? Nicholson bez słowa skinął głową.

— W żaden sposób nie uda wam się nakłonić mnie do dobrowolnej zdrady — rzekł Prewłow ponurym głosem. — Będę zaprzeczał przy każdej okazji.

— Szlachetny gest — odparł Nicholson, wzruszając ramionami. — Ponieważ jednak nie będzie żadnego procesu i żadnych przesłuchań, jedynym wyjściem dla pana jest prośba o azyl polityczny.

— Powiedział pan: żadnych przesłuchań. Muszę stwierdzić, że pan kłamie, panie Nicholson. Dobry wywiad nie pominąłby okazji zdobycia informacji, których mógłby dostarczyć człowiek na moim stanowisku.

— Jakich informacji? Nie może nam pan powiedzieć niczego, o czym już byśmy nie wiedzieli.

Prewłow był wytrącony z równowagi. Pomyślał, że musi sobie wszystko uporządkować. Tylko w jeden sposób Amerykanie mogli zdobyć tajemnice wywiadu

radzieckiego, zamknięte w kartotece w jego moskiewskim gabinecie. Środek układanki był jeszcze pusty, ale pozostałe jej elementy pasowały do siebie jak ulał. Prewłow spojrzał Nicholsonowi prosto w oczy.

— Porucznik Marganin jest jednym z waszych ludzi? — powiedział spokojnie.

Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

— Tak — odparł Nicholson, skinąwszy głową. — Jego prawdziwe nazwisko brzmi Harry Koskoski, a urodził się w Newark w stanie New Jersey.

— Niemożliwe — rzekł Prewłow. — Osobiście sprawdzałem cały życiorys Pawła Marganina. Urodził się i wychował w Komsomolsku nad Amurem. W rodzinie krawca.

— Zgadza się. Prawdziwy Marganin był rodowitym Rosjaninem.

— A zatem wasz człowiek jest sobowtórem, wtyczką?

— Zorganizowaliśmy to cztery lata temu, kiedy jeden z waszych niszczycieli klasy „Kaszina” eksplodował i zatonął na Oceanie Indyjskim. Marganin należał do nielicznych członków załogi, którzy się uratowali. Został wyłowiony z wody przez tankowiec Exxonu, ale wkrótce zmarł, nim statek dopłynął do Honolulu. Rzadko trafia się taka okazja i musieliśmy szybko działać. Spośród wszystkich naszych agentów znających język rosyjski Koskoski był najbardziej podobny do Marganina. Zoperowaliśmy mu twarz, żeby wyglądała, jakby uległa zniekształceniu wskutek wybuchu, a później przewieźliśmy go samolotem na małą odludną wysepkę, położoną dwieście mil od miejsca zatonięcia okrętu. Kiedy wreszcie znaleźli go miejscowi rybacy i nasz fałszywy Rosjanin powrócił do kraju, bredził i cierpiał na głęboką amnezję.

— Dalszy ciąg znam — powiedział Prewłow.

— Nie tylko poprawiliśmy mu twarz za pomocą operacji, ale również nauczyliśmy go jego życiorysu.

— Otóż to. Znakomite posunięcie, panie Nicholson.

— W ustach jednego z najważniejszych ludzi w sowieckim wywiadzie to naprawdę rzadki komplement.

— A więc cały ten plan naprowadzenia mnie na „Titanica” uknuto w CIA i zrealizowano przy pomocy Marganina.

— Koskoski, alias Marganin, był pewien, że pan zaakceptuje ten plan, i tak się stało.

Prewłow wbił wzrok w podłogę. Mógł się przecież domyślić, podejrzewać, że Marganin od samego początku powoli i sprytnie zakłada, mu stryczek.

— Jak to wszystko się skończy? — spytał ponuro.

— Marganin zdążył już przedstawić solidne dowody pańskiej... przepraszam za wyrażenie... podstępnej działalności i za pomocą podrzuconych materiałów udokumentować, że od początku zamierzał pan doprowadzić do tego, aby misja w sprawie „Titanica” skończyła się niepowodzeniem. Widzi pan, kapitanie, dowody pańskiej zdrady przygotowywano przez prawie dwa lata. Sam pan znacznie się do tego przyczynił swoim wystawnym stylem życia. Pańscy zwierzchnicy mogą wyciągnąć z tego tylko jeden wniosek: sprzedał się pan za bardzo wysoką cenę.

— A jeśli temu zaprzeczy?

— Któż panu uwierzy? Śmiem twierdzić, że pańskie nazwisko już figuruje na liście osób przeznaczonych do likwidacji.

— Więc co się teraz ze mną stanie?

— Ma pan dwa wyjścia do wyboru. Albo po jakimś czasie pana zwolnimy...

— Nie przeżyłbym nawet tygodnia. Doskonale wiem o sieci zabójców KGB.

— ...albo będzie pan z nami współpracował. — Nicholson przerwał, zawahał się, a potem powiedział zdecydowanym tonem:

— Jest pan człowiekiem błyskotliwym, kapitanie, najlepszym fachowcem w swojej dziedzinie. Nie chcemy, żeby takie umysły się marnowały. Chyba nie muszę mówić, jaką

wartość przedstawia pan dla zachodnich wywiadów. Stąd mój zamiar powierzenia panu kierownictwa nowej komórki, której zadania są zgodne z pańską specjalnością.

— Przypuszczam, że powinienem być wam za to wdzięczny — powiedział Prewłow oschłym tonem.

— Oczywiście zmienimy panu twarz. Przejdzie pan intensywny kurs, w czasie którego nauczy się pan idiomów angielskich i amerykańskich, a także wszystkiego, co dotyczy naszej historii, sportu, muzyki i rozrywek. W końcu nie zostanie żaden ślad, który mógłby naprowadzić na pana KGB.

W oczach Prewłowa pojawiło się zainteresowanie.

— Pańska pensja wyniesie czterdzieści tysięcy rocznie plus koszty reprezentacyjne i samochód.

— Czterdzieści tysięcy dolarów? — zapytał Prewłow, siląc się na spokój.

— Można za to kupić sporo bombajskiego dżinu — powiedział Nicholson, uśmiechając się jak wilk, który zasiada do obiadu w towarzystwie ostrożnego królika. — Myślę, że jeśli naprawdę się pan postara, kapitanie Prewłow, to spodobają się panu przyjemności, jakich dostarcza nasza zachodnia dekadencja. Nie uważa pan?

Prewłow przez kilka sekund nic nie mówił. Wybór jednak był oczywisty: nieustanny strach albo długie przyjemne życie.

— Wygraliście, Nicholson.

Nicholson uściśnął dłoń Prewłowa i lekko się zdziwił, widząc łzy wzbierające w jego oczach.

74.

Przez ostatnie godziny długotrwałego holowania niebo było czyste i słoneczne, a zmienny wiatr łagodnie popychał długie oceaniczne fale w stronę brzegu, muskając ich zielone grzbiety.

Od świtu cztery okręty Ochrony Wybrzeża zajmowały się pilnowaniem ogromnej flotyli statków wycieczkowych i łodzi, które pływały tam i z powrotem, rywalizując ze sobą, by lepiej się przyjrzeć zniszczonym przez morze pokładom i nadbudówkom wraku.

Wysoko nad zatłoczonymi wodami aż roіło się od awionetek i helikopterów przypominających szerszenie; ich piloci walczyli o najdogodniejszą pozycję, by fotoreporterzy i kamerzyści mogli robić zdjęcia „Titanicowi” pod najlepszym kątem.

Z wysokości półtora kilometra wciąż przechylony statek wyglądał jak makabryczna padlina, atakowana ze wszystkich stron przez armię komarów i białych mrówek.

„Morse” zwinął hol, dotychczas łączący go z dziobem „Wallace’a”, i podpłynął do rufy „Titanica”, związał się z nią grubą liną, a potem został z tyłu, by pomagać przy sterowaniu trudnym w prowadzeniu wrakiem w drodze przez cieśninę Verrazano i w górę East River, do starego portu wojennego na Brooklynie. Kiedy komandor Butera kazał skrócić główną linę holowniczą do dwustu metrów, pokazało się również kilka holowników portowych, które w każdej chwili na wezwanie były gotowe przyjść z pomocą.

Do burty „Wallace’a” zbliżyła się motorówka, z której przeskoczył na pokład holownika pilot. Później popłynęła dalej i uderzyła w zardzewiały kadłub „Titanica” odbijaczami z zużytych opon, wiszącymi na jej wolnej burcie. Szef służby pilotowej portu nowojorskiego chwycił drabinkę linową i wdrapał się po niej na pokład ładunkowy.

Pitt i Sandecker najpierw go przywitali, a potem zaprowadzili na prawe skrzydło mostka, gdzie oparł ręce na relingu, jakby zespalając się ze statkiem, i uroczyście skinął głową na znak, by kontynuowano holowanie. Pitt pomachał ręką, na co Butera odpowiedział syreną. Wówczas dowódca holownika wydał komendę „wolno naprzód” i wycelował dziób „Wallace’a” w główny tor pod mostem Verrazano, łączący Long Island ze Staten Island.

Kiedy ten dziwny konwój wpłynął do Górnej Zatoki Nowojorskiej, Butera zaczął przechodzić z jednej strony mostka na drugą, obserwując wrak, wiatr, prąd wody i linę holowniczą niczym neurochirurg, który za chwilę ma przeprowadzić skomplikowaną operację mózgu.

W ciągu nocy tysiące ludzi zgromadziły się nad brzegami zatoki. Manhattan zamarł, opustoszały ulice i w biurach nagle zrobiło się cicho, gdy stłoczeni w oknach pracownicy wstrzymali oddechy, oglądając holowanie wraku do portu.

Na brzegu Staten Island wysłannik „New York Timesa”, Peter Hull, zaczął pisać swoje sprawozdanie:

Duchy istnieją. Wiem, bo sam widziałem jednego z nich w porannej mgle. Z niedowierzaniem patrzyłem, jak przesuwa się przed moimi oczami niby monstrualne, wygnane z piekła widmo. Spowity w niewidzialny całun dawnej tragedii, z unoszącymi się wokół duszami tych, co na nim zginęli, rzeczywiście zapierał dech jako relikwinię minionej epoki. Jego widok sprawiał, że czuło się równocześnie dumę i żal...

Bardziej dziennikarskie spojrzenie prezentował komentator CBS:

Po siedemdziesięciu sześciu latach od wypłynięcia z angielskiego portu Southampton „Titanic” zakończył dziś swój dziewiczy rejs...

Do południa „Titanic” minął Statuę Wolności i ogromne morze ludzi na Battery. Zgromadzeni na brzegu widzowie rozmawiali ze sobą wyłącznie szeptem, a w mieście panowała niezwykła cisza, tylko z rzadka przerywana klaksonem taksówki, który był jedynym dowodem normalnego życia. Odnosiło się wrażenie, jakby cały Nowy Jork zebrał się w ogromnej katedrze.

Wielu widzów nie ukrywało łez. Przyszli również trzej żyjący pasażerowie, którzy uratowali się tamtej tragicznej nocy tak dawno temu. Powietrze wydawało się ciężkie i ludzie oddychali jakby z trudem. Opisując później swoje wrażenia, większość osób przypominała sobie jedynie odrętwienie, coś w rodzaju chwilowego paraliżu, który odebrał im mowę. Większość, poza pewnym twardym strażakiem, niejakim Arthurem Mooneyem.

Mooney był kapitanem jednego ze statków pożarniczych w nowojorskim porcie. Ten potężnie zbudowany Irlandczyk o wesołym spojrzeniu urodził się w tym mieście i od dziewiętnastu lat walczył z pożarami na morzu. Uderzył wielką pięścią w podstawę kompasu.

— Ruszcie dupy, chłopaki! — wykrzyknął do swojej załogi. — Nie jesteście manekinami w domu towarowym! — Jego stentorowy głos docierał do wszystkich zakątków statku. Mooney prawie nigdy nie musiał korzystać z tuby. — Ten parowiec kończy tu swój dziewiczy rejs, no nie? A więc urządzmy mu tradycyjne nowojorskie powitanie w dawnym stylu.

— Ależ kapitanie — odezwał się jakiś członek załogi. — Przecież to nie „Queen Elizabeth II” czy „Normandie” zawija tu po raz pierwszy. To tylko stary wrak, statek umarłych.

— Stary wrak, ty zasańcu?! — huknął Mooney. — Ten statek, na który patrzysz, to najslawniejszy liniowiec na świecie. No to co, że trochę zniszczony i ciut się spóźnił, ale kto by się tym przejmował? Woda naprzód i włączyć syrenę!

Był to już drugi salut oddawany wydobytemu z dna „Titanicowi”, lecz bardziej uroczysty. Kiedy nad statkiem Mooneya trysnęły wysokie fontanny wody i dźwięk jego syreny odbił się od drapaczy chmur, inny statek pożarniczy poszedł za jego przykładem, a potem następny. Wówczas odezwały się syreny frachtowców przycumowanych w porcie i klaksony samochodów stojących na brzegach New Jersey, Manhattanu i Brooklynu, a w końcu dołączyły do nich okrzyki radości i ryk miliona gardeł.

To, co zapoczątkował jeden skromny gwizd syreny okrętowej, teraz coraz bardziej narastało, aż przeszło w jeden wielki grzmot, od którego drżała ziemia i dzwoniły szyby w oknach. Była to chwila, która rozniosła się echem po wszystkich oceanach świata.

„Titanic” zawinął do portu.

75.

Tysiące ludzi przybyłych na powitanie tłoczyło się na nabrzeżach doku, gdzie zacumowano „Titanica”. Tę falującą masę, przypominającą mrowisko, tworzyli oficjele, dziennikarze, kordony umęczonych policjantów i mnóstwo nieproszonych gości, którzy wspięli się po ogrodzeniu stoczni.

Grupa reporterów i kamerzystów jak burza wbiegła na pokład po zaimprovizowanym trapie i otoczyła admirała Sandeckera, stojącego niczym zwycięski Cezar na stopniach głównej klatki schodowej w sali recepcyjnej na pokładzie D.

Dla Sandeckera była to wielka chwila i tego dnia koźmi by go nie ściągnięto z „Titanica”. Nigdy nie pomijał żadnej okazji, żeby przysporzyć popularności Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych, i tym razem również zamierzał wykorzystać każdą możliwość, dawały mu gazety i krajowa sieć telewizyjna. Czarował reporterów barwnymi opisami bohaterских wyczynów zespołu ratowniczego, patrzył w obiektywy przenośnych kamer telewizyjnych i bez przerwy się uśmiechał.

Pitta absolutnie to nie obchodziło, marzył jedynie o prysznicu i czystym miękkim łóżku. Przepchnął się między wchodzącymi po trapie i wmieszał w tłum na wybrzeżu. Już mu się wydało, że umknie, gdy podbiegł doń jakiś reporter telewizyjny i podsunął mu mikrofon pod nos.

— Hej, kolego, czy jest pan członkiem zespołu ratowniczego, który wydobył „Titanica”?

— Nie, stoczniowcem — odparł Pitt, opędzając się od kamery jak wieśniak.

Reporterowi zrzędła mina.

— Przerwij, Joe! — ryknął na kamerzystę. — Trafiliśmy na bumelanta.

Odwrócił się i łokciami zaczął torować sobie drogę do statku, pokrzykując na ludzi, by mu nie deptali kabla mikrofonu.

Dopiero pół godziny później, za szóstym skrzyżowaniem, Pitt znalazł taksówkarza, którego bardziej interesował zarobek niż oglądanie wraku.

— Dokąd? — spytał kierowca.

Pitt zawahał się, patrząc na swoją brudną, przepoconą koszulę, także spodnie i równie wysmarowaną podartą wiatrówkę. Nie potrzebował lustra, by wiedzieć, jak zaczerwienione i podkrążone są jego oczy. Uświadomił sobie, że wygląda na pijaczka z Bowery. Potem jednak uznał, że to nic nie szkodzi, skoro dopiero co zszedł z pokładu statku niegdyś najbardziej luksusowego na świecie.

— Który hotel jest najlepszy i najdroższy?

— „Pierre” na rogu Piątej Alei i Sześćdziesiątej Pierwszej nie jest tani.

— No to niech będzie „Pierre”.

Kierowca obejrzał się za siebie, badawczo popatrzył na Pitta i zmarszczył nos. Później wrzucił ramionami i włączył się do ruchu. Po niecałej półgodzinie taksówka zatrzymała się przy krawężniku przed hotelem „Pierre”, którego okna wychodziły na Park Centralny.

Pitt zapłacił taksówkarzowi, przeszedł przez obrotowe drzwi i stanął przy kontuarze. Recepcjonista, jak zwykle w takich wypadkach, obrzucił go niechętnym spojrzeniem.

— Przykro mi, proszę pana — odezwał się pośpiesznie, zanim Pitt zdążył otworzyć usta. — Nie mamy wolnych pokoiów.

Pitt wiedział, że gdyby podał swoje prawdziwe nazwisko, to reporterzy znaleźliby go w ciągu paru minut. Jeszcze nie był gotów stawić czoła ciężkiej próbie, jaką niesie ze sobą sława. Chciał się tylko spokojnie wyspać.

— Nie jestem tym, za kogo mnie pan bierze — powiedział z udawanym oburzeniem. — Tak się składa, że jestem profesorem, pisarzem i archeologiem, a nazywam się Malcolm Smythe. Przed chwilą wysiadłem z samolotu po czterech miesiącach kopania w górnym biegu Amazonki i nie miałem czasu się przebrać. Zaraz przyjedzie tu z lotniska mój człowiek z bagażami.

Recepcjonista natychmiast zmienił ton.

— Och, bardzo przepraszam, panie profesorze. Nie poznałem pana. Mimo to jednak nie mamy wolnych pokoi. W mieście jest pełno ludzi, którzy przyjechali zobaczyć „Titanica”. Jestem pewien, że pan to rozumie.

— Ręczę za pana profesora — odezwał się jakiś głos za plecami Pitta. — Proszę pana dać najlepszy apartament, a rachunek przesłać pod ten adres.

Na kontuar upadła wizytówka. Recepcjonista podniósł ją, przeczytał i zaczerwienił się jak panienka. Potem zamasztył gestem położył przed Pittem blankiet meldunkowy i wyjął klucz do pokoju.

Pitt powoli się odwrócił i zobaczył twarz tak samo zmęczoną i wymizerowaną jak jego własna. Usta wykrzywił porozumiewawczy uśmiech, lecz oczy patrzyły tępy, niewidzącym wzrokiem upiora. To był Gene Seagram.

— Jak się panu udało tak szybko mnie wyśledzić? — spytał Pitt. Leżał w wannie, trzymając w ręku szklanę wódki z lodem. Seagram siedział po drugiej stronie łazienki na sedesie.

— Nic nadzwyczajnego — odparł. — Widziałem, jak wychodził pan ze stoczni, i poszedłem za panem.

— Myślałem, że mniej więcej o tej porze będzie pan bawił na „Titanicu”.

— Statek mnie nie obchodzi. Interesuje mnie jedynie bizantium w jego skarbcu, a powiedziano mi, że wrak znajdzie się w suchym doku dopiero za dwie doby i wtedy będzie można usunąć złom z ładowni.

— Dlaczego więc przez te dwa dni nie odpocznie pan sobie i trochę się nie zabawi? Za kilka tygodni skończą się pańskie kłopoty. „Plan Sycylijski” zejdzie z desek kreślarskich i stanie się rzeczywistością.

Seagram na moment przymknął oczy.

— Chciałem z panem porozmawiać — rzekł cicho. — Chciałem porozmawiać o Danie.

O Boże, pomyślał Pitt. Masz ci los. Jak tu zachować dobrą minę, mając świadomość, że się spało z żoną tego człowieka? Zdołał jednak zachować obojętny ton w rozmowie.

— Jak ona się czuje po tym wszystkim, co przeszła?

— Przypuszczam, że dobrze — odpowiedział Seagram, wzruszając ramionami.

— Przypuszcza pan? Marynarka Wojenna załatwiła jej przelot ze statku dwa dni temu. Czyżby pan nie widział żony od Czasu, gdy znalazła się na lądzie?

— Ona nie chce mnie widzieć... powiedziała, że między nami wszystko skończone. Pitt wpatrywał się w szklanę z wódką.

— Na pańskim miejscu, Seagram, znalazłbym sobie najdroższą dziwkę w mieście, zapłacił jej z funduszu reprezentacyjnego i zapomniał o Danie.

— Pan niczego nie rozumie. Ja ją kocham.

— Boże, wpada pan w ton listów do kącika złamanych serc — rzekł Pitt, sięgnął po butelkę stojącą na kafelkowej posadzce i dołał sobie wódki. — Posłuchaj pan, Seagram. Pod tą pompatyczną, pretensjonalną fasadą jest pan przyzwoitym facetem i kto wie, może przejdzie pan do historii jako wielki uczyony, który uchronił ludzkość przed nuklearną zagładą.

Wciąż jeszcze jest pan atrakcyjny dla kobiet i mogę się założyć, że kiedy zabierze pan swoje rzeczy z biurka w Waszyngtonie i pożegna się ze służbą dla rządu, to będzie pan człowiekiem bogatym. Niech więc pan nie oczekuje ode mnie współczucia. Będzie pan miał wszystko.

— Ale cóż to znaczy bez kobiety, którą kocham?

— Widzę, że się nie rozumiemy — odparł Pitt. Wypił już jedną trzecią butelki i przyjemne ciepło zaczęło mu się rozchodzić po ciele. — Po co zaraz wpuszczać się w kanał z powodu baby, której się wydaje, że przeżywa drugą młodość. Jak już odeszła, to odeszła. Tylko mężczyźni wracają na klęczkach, lecz nie kobiety. One są stanowcze. Potrafią wpędzić każdego mężczyznę do grobu, jeżeli już się na to zdecydują. Niech pan zapomni o Danie, Seagram. Nie będzie ta, to będzie inna. A jeśli już potrzebne panu bezpieczeństwo w postaci pary cycków, których właścicielka będzie panu ścieliła łóżko i przygotowywała kolacje, to trzeba sobie wynająć służącą. One są tańsze i na dłuższą metę sprawiają o wiele mniej kłopotów.

— Wydaje się panu, że jest Freudem — powiedział Seagram, wstając z sedesu. — Kobiety są dla pana niczym. Dla pana miłość to miłość do butelki. Stracił pan kontakt ze światem.

— Czyżby? — spytał Pitt, podniósł się z wanny i otworzył drzwiczki apteczki w taki sposób, żeby Seagram widział się w lustrze. — Proszę się sobie dobrze przyjrzeć. To właśnie jest twarz człowieka, który stracił kontakt ze światem. To są oczy faceta, który męczy się na własne życzenie. Jest pan chory, Seagram. Chory na umyśle z powodu spraw, które pan wyolbrzymia ponad wszelką miarę. Proszę spojrzeć na te szkliste oczy, na tę sflaczałą skórę wokół ust. Trzeba iść do psychiatry, i to jak najszybciej. Niech pan choć raz pomyśli o sobie i przestanie myśleć o ratowaniu świata. Najwyższy czas, żeby pan ratował siebie.

Twarz Seagrama gwałtownie poczerwiała. Zacisnął pięści i zadygotał. W tym momencie wydało mu się, że lustro od wewnątrz zachodzi mgłą, z której powoli zaczęła się wyłaniać jakaś inna twarz, obca twarz z jego własnymi oczami.

Pitt stał w milczeniu, obserwując, jak gniew na twarzy Seagrama zmienia się w przerażenie.

— Boże, nie... to on!

— Jaki on?

— On! Joshua Hays Brewster! — wykrzyknął Seagram, a potem obiema pięściami strzaskał lustro i wybiegł z łazienki.

76.

Zamyślona Dana stała przed dużym lustrem i rozmarzonymi oczami przyglądała się swojemu odbiciu. Poza raną na głowie, zręcznie ukrytą pod nowym uczesaniem, i kilkoma blednącymi siniakami, jej jędrne ciało wyglądało ładnie jak zawsze. Inspekcja wypadła zdecydowanie zadowolająco. Potem Dana obejrzała swoje oczy. Żadnych nowych kurzych łapek ani obrzęków. Nigdzie nie zauważyła piętna upadłej kobiety. W swoim spojrzeniu spostrzegła natomiast nadzieję, której dotychczas w nim nie było. Odrodzenie Dany jako wyzwolonej kobiety okazało się całkowitym sukcesem.

— Zjesz coś na śniadanie? — dobiegł ją z dołu głos Marie Sheldon.

Dana narzuciła na siebie miękki koronkowy szlafrok.

— Nie, dziękuję, napiję się tylko kawy — odparła. — Która godzina?

— Kilka minut po dziewiątej.

Kiedy po chwili Dana wchodziła do kuchni, Marie nalewała kawę.

— Jakie plany na dziś? — spytała Marie.

— Typowo babskie... chyba rozejrzę się po sklepach. Zjem sama obiad w jakimś przytulnym barku, a potem pójdę do klubu NUMA i poszukam sobie partnera, żeby z godzinke pograć w tenisa.

— Czarujące — sarkastycznie powiedziała Marie. — Ja jednak proponuję, żebyś przestała zgrywać się na milionerkę, którą nie jesteś, i zaczęła postępować jak odpowiedzialna baba, którą jesteś.

— To nie ma sensu.

— To nie ma sensu! Po pierwsze, moja kochana, stałaś się popularna. Jeżeli tego nie zauważyłaś, to ci powiem, że od trzech dni urywają się do ciebie telefony. Wszystkie pisma kobiece w kraju chcą, żebyś napisała coś wyłącznie dla nich, a telewizja przynajmniej osiem razy prosiła o rozmowę przed kamerą. Czy ci się to podoba, czy nie, jesteś sławna. Nie sądzisz, że już najwyższy czas wrócić na ziemię i stawić czoło temu wszystkiemu?

— I co im powiem? Że byłam jedyną kobietą wśród dwudziestu mężczyzn na pokładzie starego dryfującego wraka? Wielka mi rzecz.

— Omal nie straciłaś życia na oceanie, a traktujesz to jak przejażdżkę łodzią Kleopatry po Nilu. Od tego, że wszyscy tamci mężczyźni zaspokajali każdą twoją zachciankę, musiało ci się przewrócić w głowie.

Gdyby tylko Marie знаła całą prawdę, nie osądzałyby jej tak surowo, lecz Dana i wszystkie osoby na pokładzie wraku zostały zaprzysiężone przez Warrena Nicholsona, że dotrzymają tajemnicy i zapomną o próbie porwania statku przez Rosjan. Dana jednak odczuwała jakąś przewrotną satysfakcję wiedząc, że mężczyźni, którzy widzieli jej występy na „Titanicu” w tamtą zimną sztormową noc, będą to pamiętali do końca życia.

— Zbyt wiele tam się wydarzyło — powiedziała z westchnieniem. — Bardzo się zmieniłam.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Zaczę od tego, że składam dokumenty w sprawie rozvodu z Gene'em.

— Sprawy zaszły tak daleko?

— Sprawy zaszły tak daleko — powtórzyła Dana z determinacją. — Poza tym wezmę sobie bezpłatny urlop w NUMA i użyję życia. Tak długo, jak będę u szczytu popularności jako kobieta roku, zamierzam zbijać na tym szmal. Osobiste wspomnienia i występy w telewizji pozwolą mi robić to, o czym każda dziewczyna marzy przez całe życie.

— To znaczy?

— Wydawać pieniądze i cieszyć się tym jak za dawnych dobrych czasów.

Marie ze smutkiem pokiwała głową.

— Odnoszę wrażenie, że przyczyniłam się do narodzin potwora. Dana delikatnie chwyciła ją za rękę.

— To nie ty, moja droga. Otarłam się o śmierć i zrozumiałam, że sama siebie skazałam na egzystencję, która prowadziła donikąd. Zaczęło się to, jak sądzę, w dzieciństwie... — Dana zawiesiła głos, kiedy powróciły okropne wspomnienia. — Moje dzieciństwo było koszmarem, co odbiło się na całym dorosłym życiu. Skaziło nawet moje małżeństwo. Gene zorientował się, w czym rzecz, i ożenił się ze mną powodowany raczej litością niż głębokim uczuciem. Podświadomie traktował mnie bardziej jak ojciec niż kochanek.

Teraz nie potrafiłabym zmusić się do powrotu. Po prostu brak mi tych cech charakteru, których wymaga budowanie i podtrzymywanie trwałego związku. Jestem samotniczką, Marie, i obecnie zdaję sobie z tego sprawę. Moja miłość jest zbyt egoistyczna; siedzi we mnie albatros. Od tej chwili zamierzam żyć sama. W ten sposób nigdy już nikogo nie zranię.

Marie spojrzała na nią ze łzami w oczach.

— A więc chyba obie będziemy miały równe konta. Ty kończysz z małżeństwem i wracasz do życia w pojedynkę, a ja przestaję być samotną kobietą i wstępuję do wielkiej armii mężatek.

Dana uśmiechnęła się szeroko.

— Ty i Mel?

— Ja i Mel.

— Kiedy?

— Oby doszło do tego jak najszybciej, bo w przeciwnym razie będę musiała zamówić sobie suknię ślubną w sklepie dla przyszłych matek.

— Jesteś w ciąży?

— Brzuch mi rośnie zapewne nie z przejedzenia. Dana obeszła stół i czule objęła Marie.

— Nie mogę uwierzyć, że będziesz miała dziecko.

— Chyba uwierzysz. Gdyby nawet zastosowali oddychanie metodą usta-usta i wstrzyknęli potężną dawkę adrenaliny, nic by z tego nie wyszło. Mysz by nie ożyła.

— Chciałaś powiedzieć królik.

— Na jakim świecie ty żyjesz? Już od dawna nie używają królików.

— Och, Marie, tak się za ciebie cieszę. Obie zaczynamy nowe życie. Czy to nie podniecające?

— No pewnie — powiedziała Marie z poważną miną. — Nie ma to jak zaczynać nowe życie z hukiem.

— A jest inne wyjście?

— Ja wybrałam łatwą drogę, kochanie — stwierdziła Marie i delikatnie pocałowała Danę w policzek. — Ale martwię się o ciebie. Nie posuwaj się za daleko, nie rób niczego pochopnie i unikaj głębokiej wody.

— Lecz na głębokiej wodzie jest najfajniej.

— Wierz mi, lepiej uczyć się pływać na płyciźnie.

— To zbyt nudne — odparła Dana i spojrzała w dal zamyślonym wzrokiem. — Skoczę w największy wir.

— A od czego zaczniesz, by dokonać tego wyczynu? Dana spojrzała Marie prosto w oczy.

— Wystarczy jeden krótki telefon.

Prezydent wyszedł zza biurka w Gabinetcie Ovalnym i serdecznie przywitał Johna Burdicka, lidera większości w senacie.

— John, miło cię widzieć. Jak tam Josie i dzieciaki? Burdick, wysoki szczupły mężczyzna z szopą czarnych włosów, które rzadko oglądały grzebień, dobrodusznie wrzucił ramionami.

— Josie czuje się dobrze, a dzieciaki... wiesz, jakie są. Dla nich ojciec to tylko maszynka do robienia pieniędzy.

Kiedy usiedli, zaczęli rozmawiać o dzielących ich poglądach na temat wydatków budżetowych. Choć jako liderzy przeciwnych partii publicznie warczeli na siebie przy każdej okazji, to jednak prywatnie byli ze sobą bardzo zaprzyjaźnieni.

— Kongres zaczyna cię uważać za szaleńca, panie prezydencie. W ostatnim półroczu odrzuciłeś wszystkie ustawy o wydatkach, jakie Kapitol przesłał do Białego Domu.

— I zamierzam je odrzucać aż do dnia, kiedy po raz ostatni wyjdę tymi drzwiami — powiedział prezydent i zapalił cienkie cygaro. — Spójrzmy prawdzie w oczy, John. Rząd Stanów Zjednoczonych jest bankrutem i był bankrutem od końca II wojny światowej, ale nikt nie chce tego uznać. Robimy swoje, beztrąsco zwiększając deficyt budżetowy w przekonaniu, że kolejny nieszczęśnik, który pokona nas w następnych wyborach, jakoś wyrówna to, co lekką ręką wydaliśmy w ciągu ostatnich pięciu lat.

— Więc co twoim zdaniem ma zrobić Kongres? Ogłosić bankructwo?

— Chyba prędzej czy później będzie musiał.

— Trudno sobie wyobrazić konsekwencje tego. Deficyt jest pokrywany z oszczędności i pożyczek połowy agencji ubezpieczeniowych i banków w całym kraju. Upadłyby w ciągu jednego dnia.

— A jest jakieś inne wyjście? Burdick pokręcił głową.

— Dla mnie to nie do przyjęcia.

— Do cholery, John, nie można tego odkładać do szuflady. Czy zdajesz sobie sprawę, że żaden podatnik, który jeszcze nie osiągnął pięćdziesiątego roku życia, nigdy na własne oczy nie zobaczy emerytury? Za dwanaście lat nie będzie można wypłacać świadczeń nawet jednej trzeciej ludzi, którym one się należą. To następna sprawa, o której będę głośno krzyczał. Z żalem przyznaję, że to głos wołającego na puszczy, ale mimo to przez te kilka miesięcy, jakie mi pozostały do końca kadencji, przy każdej nadarzającej się okazji zamierzam bić na alarm.

— Naród amerykański nie lubi słuchać smutnych wiadomości. Stracisz popularność.

— Gwiżdżę na to. Wszystko mi jedno, co pomyślą ludzie. O popularność niech walczą egoiści. Za parę miesięcy będę sobie spokojnie pływał moim keczem gdzieś na południe od Fidzi, a rząd niech diabli wezmą.

— Z przykrością tego słucham, panie prezydencie. Jesteś przyzwoitym człowiekiem. Nawet twoi wrogowie to przyznają. Prezydent nie dał jednak zamknąć sobie ust:

— Nasze wielkie państwo przez jakiś czas dobrze funkcjonowało, John, lecz ty, ja i ci pozostali prawnicy wszystko spieprzyliśmy. Rządzenie to poważna rzecz i prawników nie należałoby dopuszczać do władzy. To księgowi i biznesmeni powinni być w Kongresie i zajmować urząd prezydenta.

— Prawnicy są potrzebni we władzach ustawodawczych. Prezydent z niechęcią wzruszył ramionami.

— No i co z tego? Cokolwiek bym robił, niczego nie zmienię — rzekł, a potem wyprostował się w fotelu i uśmiechnął. — Przepraszam, John. Przecież nie przyszedłeś tu po to, by słuchać mojego gadania. O co chodzi?

— O ustawę w sprawie ochrony zdrowia dzieci z niezamożnych rodzin — odparł Burdick, uważnie patrząc na prezydenta. — Czy ją też zamierzasz odrzucić?

Prezydent odchylił się do tyłu, wpatrując w cygaro.

— Tak — odparł krótko.

— To moja ustawa — spokojnie rzekł Burdick. — Przeprowadziłem ją przez Kongres i Senat.

— Wiem.

— Jak możesz odrzucać ustawę dotyczącą dzieci, których rodziców nie stać na zapewnienie im właściwej opieki lekarskiej?

— Z tego samego powodu, dla którego odrzuciłem dodatki dla rencistów powyżej osiemdziesiątego roku życia, federalne stypendia dla mniejszości narodowych i kilkanaście innych ustaw socjalnych. Ktoś musi za to płacić, a klasa robotnicza, która utrzymuje to państwo, została przyciśnięta do muru pięćsetprocentowym wzrostem podatków w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

— Dla dobra społeczeństwa, panie prezydencie.

— Dla zrównania budżetu, panie senatorze. Skąd weźmiesz fundusze na pokrycie swojego programu?

— Można by zacząć od cię w budżecie Sekcji Meta.

A więc o to chodzi. Niuchacze z Kongresu w końcu wywęszyli Sekcję Meta. Prędzej czy później musiało do tego dojść. Dobrze przynajmniej, że stało się to później.

— Sekcji Meta? — dyplomatycznie spytał prezydent.

— Supertajnej komórki, którą wspierasz od lat. Z pewnością nie muszę ci wyjaśniać, czym ona się zajmuje.

— Nie — spokojnie odparł prezydent. — Nie musisz. Zapadło nieprzyjemne milczenie. Wreszcie odezwał się Burdick:

— Sprawdzenie tego zajęło moim ludziom wiele miesięcy... bardzo sprytnie ukryłeś drogę przechodzenia tych pieniędzy... lecz ostatecznie udało im się wysledzić źródło funduszy na wydobywanie „Titanica”. Ślady prowadziły do supertajnej organizacji, działającej pod nazwą Sekcja Meta, a w końcu do ciebie. Mój Boże, panie prezydencie, pozwoliłeś wydać prawie trzy czwarte miliarda dolarów na wydobycie starego, bezwartościowego wraku, a potem skłamałeś mówiąc, że koszty wyniosły mniej niż połowę tej sumy. A ja tu proszę tylko o pięćdziesiąt milionów na pomoc medyczną dla biednych dzieci. Jeżeli wolno mi to w ten sposób określić, panie prezydencie, to twoje dziwne traktowanie priorytetów zakrawa na poważne przestępstwo.

— No więc, co chcesz zrobić, John? Szantażować mnie, żebym podpisał tę ustawę?

— Szczerze mówiąc, tak.

— Rozumiem.

W tym momencie do gabinetu weszła sekretarka prezydenta.

— Przepraszam, że przeszkadzam, panie prezydencie, ale chciał pan przejrzeć rozkład zajęć na dzisiejsze popołudnie.

Prezydent podniósł rękę w usprawiedliwiającym geście.

— John, przepraszam cię na chwilę. To nie potrwa długo. Przeglądając terminarz, zatrzymał się przy nazwisku, obok którego napisano ołówkiem 16.15. Spojrzał na sekretarkę i uniósł brwi.

— Pani Seagram?

— Tak, panie prezydencie. Zadzwoiła i powiedziała, że udało jej się ustalić historię statku, którego model jest w sypialni. Pomyślałam sobie, że interesuje pana to, co ona odkryła, więc wcisnęłam ją na kilka minut.

Prezydent wyciągnął ręce nad głową i zamknął oczy.

— Proszę zadzwonić do pani Seagram i odwołać to spotkanie o czwartej piętnaście. Niech ją pani zaprosi na kolację o pół do ósmej na pokładzie mojego jachtu.

Sekretarka zanotowała polecenie i wyszła z gabinetu.

Prezydent odwrócił się do Burdicka.

— A więc, John, gdybym w dalszym ciągu odmawiał podpisania twojej ustawy, to wtedy co? Burdick rozłożył ręce.

— Wówczas nie miałbym innego wyboru, jak tylko roztrąbić, że potajemnie wykorzystales państwowe fundusze. W takim wypadku dojdzie do skandalu, przy którym ta dawna afera Watergate byłaby niczym.

— Zrobiłbyś to?

— Zrobiłbym.

Prezydent sprawiał wrażenie całkowicie spokojnego.

— Zanim stąd wybiegniesz i zmarnujesz kolejne dolary podatnika na przesłuchania w Kongresie w związku z moimi machinacjami finansowymi, proponuję, żebyś z pierwszej ręki się dowiedział, czym jest Sekcja Meta i co zrobiła dla obrony kraju, który nam obu daje tak intratne posady.

— Słucham, panie prezydencie.

Godzinę później całkowicie poskromiony senator John Burdick siedział w swoim gabinecie, starannie przepuszczając przez maszynę do niszczenia dokumentów zebrane przez siebie tajne materiały w sprawie działalności Sekcji Meta.

Hałaśliwe prace już się zaczęły. Spawacze atakowali palnikami zablokowane korytarze i zejściówki. Nitowacze walili w pokieroszony kadłub, usuwając tymczasowe uszczelnienia z poszarpanych rozdarć poniżej linii wodnej. Pod niebo wznosiły się dwa wysokie dźwigi, które w stalowych zębach chwytaków wyciągały złom z ciemnych ładowni „Titanica”.

Pitt zdawał sobie sprawę, że po raz ostatni ogląda salę gimnastyczną i górny pokład. Żegnał się z kawałkiem mijającego życia jak w sylwestrową noc, stojąc tam i wspominając pot wylany podczas wydobywania wraku, krew i poświęcenie ludzi, wątłe nadzieje, które ostatecznie doprowadziły ich do celu. Wszystko to już należało do przeszłości. Wreszcie ocknął się z zamyślenia, zszedł główną klatką schodową i odnalazł drogę do dziobowej ładowni na pokładzie G.

Wszyscy już tam byli, ubrani w srebrzyste kaski ochronne, w których wyglądali dziwnie obco. Gene Saegram, mizerny i roztrzęsiony, nieustannie chodził w tę i w w tę. Mel Donner ocierał pot z karku i policzków, nerwowo zerkając na Seagrama zatroskanym wzrokiem. Herb Lusky, mineralog Sekcji Meta, stał w pogotowiu ze sprzętem do analiz. Admirałowie Sandecker i Kemper rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami w kącie mrocznej ładowni.

Pitt ostrożnie obchodził pogięte i skręcone wsporniki grodzi, leżące na wypaczonym dnie wraku, aż znalazł się za plecami stoczniońca, który mozolnie przecinał palnikiem masywny zawias drzwi skarbcza. Pitta ogarnęły ponure myśli, gdy uświadomił sobie, że za kilka minut ujrzy jego tajemnicze wnętrze. Nagle wydało mu się, że wokół powiało lodowatym chłodem, i zaczął go ogarniać strach przed otwarciem skarbcza.

Jakby dzieląc jego obawę, pozostali mężczyźni w wilgotnej ładowni umilkli i skupili się przy nim w niespokojnym oczekiwaniu.

Wreszcie robotnik wyłączył palnik i podniósł osłonę twarzy.

— Jak to wygląda? — spytał Pitt.

— To stara solidna robota — odparł robotnik. — Wyciąłem palnikiem mechanizm zamykający i zawiasy, ale drzwi ciągle się trzymają.

— Co teraz?

— Przywiążemy do nich linę i spróbujemy je otworzyć za pomocą dźwigu. Miejmy nadzieję, że się uda.

Prawie godzinę robotnicy zmagali się z liną o średnicy pięciu centymetrów, by wsadzić ją do ładowni i przywiązać do drzwi skarbcza. Kiedy już się z tym uporali, operator dźwigu otrzymał sygnał za pośrednictwem radiotelefonu i lina zaczęła się powoli prostować, a potem napinać. Nikogo nie trzeba było namawiać do wycofania się, wszyscy bowiem wiedzieli, że gdyby się zerwała, to jej nagle uwolniony koniec mógłby rozciąć człowieka na dwoje.

Słyszeli, jak w oddali silnik dźwigu zwiększa obroty. Przez długie sekundy napięta lina wibrowała, trzeszcząc pod ogromnym obciążeniem, lecz drzwi ani drgnęły. Nie zważając na niebezpieczeństwo, Pitt podszedł bliżej. Drzwi zdawały się równie odporne jak stalowe ściany skarbcza.

Operator dźwigu poluzował linę, by jeszcze bardziej zwiększyć obroty silnika, a potem znów włączył sprzęgło i lina z brzękiem się naprężyła. Mężczyznom, którzy w milczeniu wszystko obserwowali, wydawało się niepojęte, że stare zardzewiałe żelastwo może się opierać tak ogromnej sile, a jednak najwyraźniej tak było. I wtedy przy górnej krawędzi drzwi skarbcza pojawiła się szparka cieniutka jak włos, potem dwie inne wzdłuż boków, a w końcu jeszcze jedna od dołu. Nagle z rozdzierającym zgrzytem drzwi niechętnie ustąpiły, odsłaniając wnętrze wielkiego sześcianu ze stali.

Z czarnej czeluści nie wyłynęła nawet kropelka wody. Skarbiec zachował szczelność przez cały czas długiego leżenia na dnie morza.

Nikt się nie poruszył. Wszyscy zastygli niby wrośnięci w ziemię i jak zahipnotyzowani wpatrywali się w odstręczający czarny kwadrat. Z wnętrza wydobywał się stęchły odór.

Pierwszy odzyskał mowę Lusky.

— O Boże, co to? Co u licha tak śmierdzi?

— Zorganizujcie jakieś światło — rzekł Pitt do jednego z robotników.

Ktoś podał mu latarkę. Pitt włączył ją i skierował strumień światła do wnętrza skarbcza.

Zobaczyli dziesięć drewnianych skrzynek, zabezpieczonych mocnymi skórzanymi pasami. Dostrzegli jeszcze coś i na ten widok ich twarze pokryła upiorna bladość. Były to zmumifikowane szczątki ludzkie.

78.

Człowiek ten leżał w kącie skarbcza; miał wpadnięte oczy z opuszczonymi powiekami i poczerniałą skórę, która wyglądała jak stara papa na dachu magazynu. Skurczone mięśnie przylegały do szkieletu, pokrytego od stóp do głów nalotem wskutek rozwoju bakterii. Przypominało to kromkę spleśniałego chleba. Jedyne siwe włosy na głowie i brodzie zachowały się w idealnym stanie. Szczątki leżały w kałuży lepkiej ciecicy, która nasyciała wilgocią powietrze, tak jakby ktoś wylał kubel wody na ściany skarbcza.

— Ten człowiek wciąż jest mokry — mruknął Kemper z miną pełną odrazy. — Jak to możliwe po takim czasie?

— Ponad połowę wagi ludzkiego ciała stanowi ciężar zawartej w nim wody — spokojnie odparł Pitt. — Wewnątrz skarbcza było po prostu za mało powietrza, żeby wszystkie płyny wyparowały.

Donner z obrzydzeniem odwrócił się od tego makabrycznego widoku.

— Kto to był? — wykrztusił walcząc z nudnościami. Pitt obojętnie spojrział na mumię.

— Sądzę, że Joshua Hays Brewster.

— Brewster? — szepnął Seagram, patrząc dzikim wzrokiem, w którym malowało się przerażenie.

— A dlaczego nie? — odparł Pitt. — Któż inny wiedziałby, co znajduje się w skarbcu?

Admirał Kemper pokręcił głową.

— Wyobrażacie sobie — rzekł głosem pełnym szacunku — jak straszna musiała być śmierć w tych ciemnościach, gdy statek tonął w oceanie.

— Nawet nie chcę o tym myśleć — powiedział Donner. — Już i tak pewnie będę miał koszmarnie sny co najmniej przez miesiąc.

— To musiało być okropne — wykrztusił Sandecker. Badawczo przyjrzał się posmutniałemu Pittowi, który stał z miną człowieka dobrze poinformowanego. — Wiedziałeś o tym?

Pitt skinął głową.

— Komandor Bigalow mnie uprzedził.

Sandecker utkwiał w nim wymowne spojrzenie, lecz Pitt udał, że tego nie widzi, i zwrócił się do jednego ze stoczniovców:

— Zadzwońcie do biura koronera i powiedzcie im, żeby przyjechali zabrać zwłoki. Potem wszyscy wyjdziecie i nie wróćcie, dopóki wam nie powiem.

Stoczniovców nie trzeba było ponaglać. Zniknęli z ładowni jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Seagram chwycił Lusky'ego za ramię tak mocno, że mineralog aż podskoczył.

— Dobra, Herb, teraz kolej na ciebie.

Lusky z wahaniem wszedł do skarbcza, przekroczył mumię i otworzył jedną skrzynkę z rudą. Potem rozstawił swój sprzęt i zaczął analizować próbkę. Po jakimś czasie, który ludziom czekającym na zewnątrz wydawał się wiecznością, podniósł wzrok pełen zdumienia i niedowierzenia.

— To jest bez wartości. Podszedł do niego Seagram.

— Powtórz.

— To jest bez wartości. W tym nie ma nawet najmniejszego śladu bizanium.

— Otwórz następną skrzynkę — gorączkowo wysapał Seagram.

Lusky skinął głową i zabrał się do pracy. Ta sama historia powtórzyła się z drugą skrzynką i dalszymi, aż w końcu zawartość wszystkich dziesięciu leżała na podłodze.

Lusky wyglądał, jakby dostał apopleksji.

— Śmieci... same śmieci... — bełkotał. — Nic, tylko zwykły żwir, jakiego używa się do budowy dróg.

Kiedy ucichł chrapliwy głos oszołomionego mineraloga, w ładowni „Titanica” zapadło milczenie. Oniemiały Pitt wbił tępy wzrok w podłogę. Wszyscy wpatrywali się w żwir i rozbite skrzynki, starając się pojąć straszliwą rzeczywistość, porażającą prawdę, że dosłownie wszystko — wydobywanie statku, praca ponad siły, astronomiczna suma pieniędzy, śmierć Munka i Woodsona — całkowicie poszło na marne. Nigdy nie było bizanium na „Titanicu”. Stali się ofiarami jakiegoś potwornie okrutnego żartu sprzed siedemdziesięciu sześciu lat.

Osobą, która wreszcie przerwała ciszę, był Seagram. W przypiływie szaleństwa szeroko uśmiechnął się do siebie w półmroku, a potem nagle wybuchnął upiornym rechotem, który odbijał się echem od stalowych ścian ładowni. Wskoczył do wnętrza skarbcza, złapał jakiś kamień i uderzył nim w skroń Lusky'ego. Na żółte drewno skrzynek po rudzie trysnęła krew.

Nie przerywając historycznego śmiechu, dopadł rozkładających się szczątków Joshui Haysa Brewstera, oburącz chwycił zmumifikowaną głowę i zaczął nią bić o ścianę skarbcza, aż czaszka oderwała się od szyi i pozostała mu w rękach.

Trzymał ją przed sobą, upiorną i odrażającą. Wskutek pomieszania zmysłów wydało mu się, że jej wargi układają się nagle w szkaradny uśmiech. Wtedy całkowicie się załamał. Z zamierzonych czasów dosięgło go szaleństwo Joshui Haysa Brewstera, na zawsze pogrążając fizyka w obłądnie.

79.

W sześć dni później Donner wszedł do hotelowej jadalni, gdzie admirał Sandecker spożywał śniadanie, i zajął krzesło naprzeciwko niego, po drugiej stronie stolika.

— Słyszałeś wiadomość z ostatniej chwili?

Sandecker zrobił przerwę między dwoma kęsami omletu.

— Jeżeli jest zła, to zachowaj ją dla siebie.

— Dopadli mnie, kiedy dziś rano wychodziłem z domu. — Donner rzucił admirałowi na stół złożoną kartkę papieru. — Wezwanie do stawienia się przed komisją śledczą Kongresu.

Sandecker wbił widelec w następny kawałek omletu, nawet nie spojrzawszy na kartkę.

— Moje gratulacje.

— Tobie grozi to samo, admirale. Mogę się założyć, że urzędnik federalny czai się w tej chwili pod drzwiami twojego gabinetu i tylko czeka, żeby ci wręczyć podobne wezwanie.

— Kto się tym zajmuje?

— Jakiś pieprzony senator z Wyoming, który jest nowicjuszem i stara się wyrobić sobie nazwisko przed czterdziestką — odpowiedział Donner, wycierając pot z czoła zmiętą chusteczką do nosa. — Ten baran upiera się, żeby przesłuchać nawet Gene'a.

— Będę musiał się tym zająć — stwierdził Sandecker. Odsunął talerz i odchylił się do tyłu. — Co z Seagramem?

— To chyba się nazywa psychoza maniako-depresyjna. — A jak tam Lucky?

— Dwanaście szwów i paskudny wstrząs mózgu. Za tydzień powinien wyjść ze szpitala.

Sandecker pokręcił głową.

— Mam nadzieję, że już nigdy nie przytrafi mu się nic podobnego — rzekł i wypił łyk kawy. — Jak to rozegramy?

— Wczoraj wieczorem z Białego Domu osobiście dzwonił do mnie prezydent. Powiedział, żeby rozegrać to uczciwie. Nie chce być zamieszany w sprawę, w której świadkowie będą płatali się w sprzecznych, kłamliwych zeznaniach.

— A co z „Planem Sycylijskim”?

— Zmarł nagłą śmiercią, kiedy otworzyliśmy skarbiec „Titanica” — odparł Donner. — Nie mamy innego wyjścia, jak tylko opowiedzieć wszystko od samego początku do żalosego końca.

— Po co prać brudy publicznie? Co to da?

— Niestety, mamy demokrację — rzekł zrezygnowany Donner. — Wszystko musi być jawne i uczciwe, jeśli nawet oznacza to ujawnienie tajemnic, z których skorzysta rząd wrogię państwa.

Sandecker ukrył twarz w dłoniach i westchnął.

— No cóż, chyba przyjdzie mi rozejrzeć się za jakąś nową robotą.

— Niekoniecznie. Prezydent obiecał złożyć oświadczenie, w którym weźmie na siebie całkowitą odpowiedzialność za niepowodzenie planu.

Sandecker pokręcił głową.

— Niedobrze. Mam kilku wrogów w Kongresie. Oni tylko czekają na dogodny moment, by doprowadzić do mojej rezygnacji ze stanowiska szefa NUMA.

— Może do tego nie dojdzie.

— Od piętnastu lat, to znaczy od czasu, gdy awansowano mnie na admirała, musiałem prowadzić z politykami podwójną grę. Możesz mi wierzyć na słowo, to brudny interes. Zanim ta sprawa się skończy, wszyscy ludzie, nawet luźno związani z „Planem Sycylijskim” i wydobyciem „Titanica”, będą mogli uważać się za szczęściarzy, jeżeli zdołają znaleźć pracę przy czyszczeniu stajni.

— Szczerze żałuję, że to musiało się tak skończyć, admirale.

— Wierz mi, ja również — odparł Sandecker. Skończył kawę i wytarł sobie usta serwetką. — Powiedz mi, Donner, w jakiej kolejności będzie się to odbywało? Kogo nasz znakomity senator z Wyoming weźmie na pierwszy ogień?

— O ile się orientuję, on chce zacząć od wydobycia „Titanica”, potem rozpracuje Sekcję Meta, a na koniec prezydenta — rzekł Donner, wziął ze stolika wezwanie i schował je do kieszeni. — Pierwszym świadkiem najprawdopodobniej będzie Dirk Pitt.

Sandecker podniósł wzrok.

— Pitt, powiadasz?

— Zgadza się.

— Interesujące — stwierdził Sandecker półgłosem. — Bardzo interesujące.

— Nie rozumiem.

Sandecker poskładał serwetkę i położył ją na stoliku.

— Nie wiesz, Donner, nie możesz wiedzieć, że zaraz po tym, jak Seagrama odwieziono karetką z „Titanica”, Pitt zniknął, jakby rozpląnął się w powietrzu.

Donner zmrużył oczy.

— Z pewnością wiesz, gdzie on jest. U znajomych? U Giordina?

— Uważasz, że nie próbowaliśmy go odnaleźć? — mruknął Sandecker. — Nie ma go. Znikł. Zupełnie jakby go pochłonęła ziemia.

— Przecież musiał zostawić jakąś informację.

— Rzeczywiście coś powiedział, ale całkiem bez sensu.

— A co takiego?

— Że idzie szukać Southby.

— Kto u licha jest ten Southby?

— Nie mam zielonego pojęcia — odparł Sandecker. — Niech mnie szlag trafi, jeśli wiem.

80.

Pitt ostrożnie prowadził wynajętego rovera sedana wąską, śliską od deszczu drogą. Wysokie buki po obu jej stronach zdawały się zbliżać i atakować jadący samochód ciężkimi od liści gałęziami, które bębniły w dach.

Był zmęczony, śmiertelnie wyczerpany. Rozpoczął swoją odyseję nie mając pewności, czy w ogóle coś znajdzie. Wyruszył śladami Joshui Haysa Brewstera i jego ludzi z portu Aberdeen w Szkocji trasą znaczoną śmiercią górników i wiodącą przez Wielką Brytanię do dawnego nabrzeża oceanicznego w Southampton, skąd „Titanic” wypłynął w swój dziewiczy rejs.

Oderwał wzrok od stukających wycieraczek przedniej szyby i spojrzał na niebieski notatnik leżący na siedzeniu pasażera. Pełno było w nim pośpiesznie zebranych po drodze informacji, dat i nazw miejscowości oraz wydartych z gazet artykułów. Pittowi niewiele powiedziały zalatujące stęchlizną archiwa akt dawnych.

ZNALEZIONO DWÓCH ZABITYCH AMERYKANÓW — odnotowały na ostatnich stronach gazety w Glasgow 7 kwietnia 1912 roku. Pozbawione szczegółów artykuły były zakopane tak głęboko, jak ciała dwóch górników z Kolorado, Johna Caldwella i Thomasa Price'a, na jednym z miejscowych cmentarzy.

Ich groby na małym przykościelnym cmentarzyku nie dały Pittowi nic poza nazwiskami i datą śmierci. To samo z grobami Charlesa Widneya, Waltera Schmidta i wamera O'Deminga. Nie mógł znaleźć śladu Alvina Coultera.

Pittowi nie udało się też odszukać miejsca ostatniego spoczynku Vernona Halla. Gdzie zginął? Gdzieś na Nizinie Hampshire, czy może na bruku jakiejś bocznej uliczki w samym Southampton?

Kątem oka Pitt dostrzegł znak informujący, że do Southampton pozostało dwadzieścia kilometrów.

Machinalnie prowadził samochód. Droga skręciła i teraz biegła równolegle do malowniczego szemrzącego strumienia Itchen, który był znany w całej Anglii z bojowych pstrągów, ale Pitt ich nie zauważył. Daleko przed sobą, za szmaragdowozielonymi polami nadbrzeżnej równiny, dojrzał niewielkie miasteczko i postanowił zrobić tam postój na śniadanie.

Nagle coś go zaalarmowało. Nacisnął hamulec, lecz zrobił to zbyt gwałtownie i samochód z zablokowanymi kołami obrócił się dokładnie o trzysta sześćdziesiąt stopni, zatrzymując wprawdzie przodem na południe, ale zanurzony po osie w miękkim błocie przydrożnego rowu.

Nim samochód całkowicie się zatrzymał, Pitt otworzył drzwi i wyskoczył. Jego buty natychmiast zapadły się w błoto i nie można było ich wyciągnąć, więc wysunął z nich stopy i w samych skarpetkach pobiegł drogą w kierunku, z którego nadjechał.

Zatrzymał się przy niewielkim znaku obok drogi. Napis częściowo przysłaniało rosnące nie opodal drzewko. Jakby w obawie, że spotka go kolejne rozczarowanie, powoli rozsunał gałęzie i nagle wszystko stało się całkiem jasne. Oto miał przed sobą klucz do zagadki Joshui Haysa Brewstera i bizanum. Pitt stał w mocno zacinającym deszczu ze świadomością, że nic nie poszło na marne.

Marganin siedział na ławce koło fontanny na placu Swierdłowa, naprzeciwko Teatru Wielkiego, i czytał gazetę. Poczul lekkie drgnienie i bez patrzenia zorientował się, że ktoś zajął wolne miejsce obok niego.

Grubas w wymiętym garniturze rozsiadł się wygodnie i obojętnie jadł jabłko.

— Gratuluję awansu, komandorze — mruknął między kęsami.

— Biorąc pod uwagę rozwój wypadków — powiedział Marganin nie opuszczając gazety — admirał Słojuk nie mógł zrobić mniej.

— A twoje obecne stanowisko... kiedy Prewłow został usunięty?

— Po zdradzie zacnego kapitana to logiczne, że mnie mianowano szefem Wydziału Analiz Wywiadu Zagranicznego na jego miejsce. To było oczywiste.

— Cieszę się, że lata naszej pracy przyniosły takie dywidendy. Marganin odwrócił kartkę.

— Dopiero uchyliłmi drzwi. Prawdziwe dywidendy jeszcze przed nami.

— Teraz musimy działać ostrożniej niż kiedykolwiek przedtem.

— Mam taki zamiar — rzekł Marganin. — Sprawa Prewłowa bardzo podkopała wiarygodność Marynarki Wojennej na Kremlu. W głębokiej tajemnicy ponownie sprawdza się wszystkich pracowników wywiadu marynarki. Upłynie wiele czasu, nim zaskarbię sobie takie zaufanie, jakim cieszył się kapitan Prewłow.

— Postaramy się trochę to przyspieszyć — powiedział grubas udając, że połyka spory kawał jabłka. — Kiedy stąd odejdziesz, wmieszasz się w tłum przy wejściu do metra po przeciwnej stronie ulicy. Jeden z naszych ludzi, specjalista od pozbawiania portfeli tych, którzy niczego nie podejrzewają, zrobi coś wręcz przeciwnego i dyskretnie włoży ci do kieszeni kopertę. Znajdziesz w niej protokół ostatniej narady szefa sztabu Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych z kapitanami okrętów.

— Całkiem niezły materiał.

— Protokół jest sfalszowany. Sprawia wrażenie bardzo ważnego, ale został dokładnie przeredagowany dla zmylenia twoich przełożonych.

— Przekazywanie fałszywych dokumentów może mi nie wyjść na dobre.

— Spokojnie — odparł grubas. — Jutro o tej samej porze agent KGB otrzyma te same materiały. KGB uzna je za prawdziwe. Ponieważ ty przekazesz swoje informacje o dwadzieścia cztery godziny wcześniej niż oni, urośniesz w oczach admirała Słojuka.

— Bardzo sprytnie — stwierdził Marganin. — Masz jeszcze coś?

— To nasze pożegnanie — mruknął grubas.

— Pożegnanie...?

— Już wystarczająco długo byłem twoją skrzynką kontaktową. Zbyt długo. Obecnie zagrażałoby to naszemu bezpieczeństwu. Twojemu i mojemu.

— Kto się będzie ze mną kontaktował?

— W dalszym ciągu mieszkasz w koszarach marynarki? — odpowiedział grubas pytaniem na pytanie.

— Koszary pozostaną moim domem. Nie chcę wzbudzać podejrzeń wystawnym trybem życia i luksusowym mieszkaniem jak Prewłow. Dalej będę prowadził spartańską egzystencję na miarę pensji, jaką wypłaca mi radziecka marynarka.

— Dobrze. Już wyznaczono mojego następcę. Jest nim ordynans, który sprząta kwatery oficerskie w twoich koszarach.

— Będzie mi ciebie brakowało, staruszku — powoli rzekł Marganin.

— Mnie ciebie łównież.

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie. Potem grubas odezwał się po raz ostatni.

— Niech cię Bóg błogosławi, Harry — powiedział przyciszonym głosem.

Kiedy Marganin poskładał i odłożył gazetę, grubasa już nie było.

82.

— Mamy wylądować tam, po prawej stronie — powiedział pilot helikoptera. — Usiądę na tamtym pastwisku, tuż za drogą prowadzącą na cmentarz.

Sandecker spojrział w okno. Był szary, pochmurny ranek i niżej położone tereny niewielkiej wioski pokrywała mgła. Między nielicznymi zabudowaniami o osobliwym wyglądzie biegła pusta droga, obramowana po obu stronach malowniczym kamiennym murkiem. Admirał zeszywniał, kiedy pilot w głębokim skřęćie mijał wieżę kościoła.

Sandecker spojrział na siedzącego obok Donnera, który patrzył prosto przed siebie. Miejsce koło pilota zajmował Sid Koplina. Mineraloga wezwano powtórnie, by wykonał swoje ostatnie zadanie dla Sekcji Meta, gdyż Herb Lusky jeszcze nie mógł odbyć takiej podróży ze względu na stan zdrowia.

Sandecker poczuł lekki wstrząs, kiedy helikopter dotknął płozami ziemi. W chwilę później pilot wyłączył silnik i łopatki wirnika przestały się obracać.

— Jesteśmy na miejscu, panie admirale — powiedział.

W nagłej ciszy, jaka zapanowała po locie, jego głos wydał się zbyt donośny.

Sandecker skinął głową i wysiadł bocznymi drzwiami. Pitt już na niego czekał i podszedł z wyciągniętą ręką.

— Witaj w Southby, admirale — powiedział z uśmiechem.

Sandecker również się uśmiechnął, ściskając dłoń Pitta, ale minę miał poważną.

— Następnym razem, kiedy znikniesz nie zawiadamiając mnie o swoich zamiarach, to cię wywalę.

Pitt uśmiechnął się, odwrócił się i przywitał Donnera.

— Mel, miło cię widzieć.

— Ja też się cieszę — odparł Donner serdecznym tonem. — Chyba już znasz Sida Koplina.

— Przypadkowo się poznaliśmy — rzekł Pitt, pokazując zęby w uśmiechu — ale oficjalnie nigdy nie byliśmy sobie przedstawieni.

Koplina uściskał dłoń Pitta obiema rękami. Ledwie przypominał człowieka, którego Pitt znalazł umierającego w śniegu na Nowej Ziemi, Miał bystre spojrzenie i mocny uścisk.

— Było moim najgorętszym pragnieniem, żeby pana spotkać i osobiście podziękować za uratowanie mi życia — powiedział głosem pełnym wzruszenia.

— Cieszę się, że widzę pana w dobrym zdrowiu — wymamrotał zażenowany Pitt, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

Sandecker nie mógł się nadziwić, widząc jego zakłopotanie. Nigdy nie przypuszczał, że dożyje dnia, kiedy Dirk Pitt stanie się skromny. Wybawił swojego podwładnego, biorąc go pod ramię i prowadząc w stronę wiejskiego kościołka.

— Mam nadzieję, że wiesz, co robisz — powiedział. — Anglicy krzywo patrzą na ludzi z kolonii, którzy rozkopują im cmentarze.

— Wystarczyło, że nasz prezydent zadzwonił bezpośrednio do ich premiera, by uniknąć biurokratycznych formalności przy ekshumacji — wtrącił Donner.

— Sądzę, że ten kłopot się opłaci — rzekł Pitt.

Zbliżyli się do drogi i przeszli na jej drugą stronę. Potem przez starą bramę z kutego żelaza dotarli na cmentarz otaczający kościół parafialny. Jakiś czas szli w milczeniu, czytając napisy na zmurszałych nagrobkach. Sandecker skinął ręką w stronę niewielkiej wioski.

— To tak daleko od utartych szlaków. Jak tu trafiłeś?

— Czysty przypadek — odparł Pitt. — Kiedy ruszałem śladem górników z Kolorado drogą, którą przebyli po opuszczeniu Aberdeen, nie miałem pojęcia, co wspólnego może mieć

z tym wszystkim Southby. O ile pamiętasz, ostatnie zdanie w dzienniku Brewstera brzmiało: „Jak bardzo chciałbym wrócić do Southby”, a według relacji komandora Bigalowa Brewster przed zamknięciem się w skarbcu „Titanica” powiedział: „Chwała Bogu za Southby”. Dla mnie jedyną wskazówką, w dodatku niepewną, było to, że Southby brzmiało z angielska, starałem się więc jak najdokładniej trzymać trasy, którą przebyli górnicy w drodze do Southampton... — ...kierując się ich nagrobkami — dokończył za niego Donner.

— Służyły mi za znaki drogowe — potwierdził Pitt. — Kierowałem się nimi oraz tym, że Brewster zapisał w swoim dzienniku miejsca i daty śmierci górników, z wyjątkiem Alvina Coultera i Vernona Halla. Miejsce spoczynku Coultera do dziś pozostaje tajemnicą, ale hall leży tutaj, na tym wiejskim cmentarzu w Southby.

— Które znalazłeś na mapie.

— Nie, bo wioska jest tak mała, że nie wymienia jej nawet „Przewodnik turystyczny” Michelin. Jadąc główną drogą, przypadkowo zauważyłem stare, zapomniane, odręcznie wypisane ogłoszenie, w którym jakiś rolnik z Southby informował, że ma mleczną krowę na sprzedaż, i podawał, jak tam należy dojechać: trzy kilometry na wschód następną polną drogą. W ten sposób znalazłem brakujący element układanki.

Dalej szli w milczeniu, kierując się w stronę miejsca, gdzie stali trzej mężczyźni. Dwóch z nich miało na sobie zwykłe robocze ubrania miejscowych wieśniaków, trzecim był wiejski konstabl w mundurze. Pitt dokonał krótkiej prezentacji, a potem Donner uroczyście wręczył konstablowi zezwolenie na ekshumację.

Wszyscy wpatrywali się w grób. Na końcu dużej kamiennej płyty, pod którą spoczywał zmarły, stał pionowy nagrobek ze zwyczajnym napisem:

VERNON HALL
Zmarł 8 kwietnia 1912 r.
R.I.P.

Pośrodku wypukłej kamiennej płyty zręcznie wykuto wizerunek starego trzymasztowego żaglowca.

— „...owa cenna ruda, którą z taką desperacją wrywaliśmy z wnętrza tej przeklętej góry, leży bezpiecznie pod pokładem statku. Zostanie tylko Vernon, by opowiedzieć tę historię, gdyż ja za godzinę odpływam do Nowego Jorku wielkim parowcem linii »White Star«”... — recytował Pitt słowa z dziennika Brewstera.

— Pod pokładem statku na grobie Vernona Halla — powiedział

Donner jak we śnie. — On miał na myśli ten statek, a nie „Titanica”.

— Mój Boże — mruknął Sandecker. — Czy to możliwe, żeby tutaj znajdowało się tamto bizanium?

— Za parę minut się dowiemy — rzekł Pitt. Skinął na wieśniaków, którzy zaczęli przesuwać płytę łomami. Kiedy całkowicie ją odsunęli, zabrali się do kopania.

— Ale po co Brewster ukrył bizanium tutaj? — spytał Sandecker. — Dlaczego nie zabrał go do Southampton i nie załadował na pokład „Titanica”?

— Miał mnóstwo powodów — odparł Pitt, a jego słowa zabrzmiały nienaturalnie głośno na cichym cmentarzu. — Ścigany jak zwierzę, wyczerpany ponad ludzką wytrzymałość, po śmierci przyjaciół mordowanych na jego oczach oszalał, kiedy zorientował się, że złośliwy los pokrzyżował mu plany tuż przed osiągnięciem celu, zupełnie jak Seagram. Trzeba przy tym pamiętać, że znajdował się w obcym kraju. Był sam, nie miał tu nawet znajomych. Za jego plecami bez przerwy czaiła się śmierć, a jedyną szansę ucieczki do Stanów Zjednoczonych dawał mu statek przycumowany do nabrzeża w Southampton, w odległości kilkunastu kilometrów.

Mówi się, że szaleństwo jest miarą geniuszu. Może tak było w wypadku Brewstera, a może po prostu urojenia sprawiły, że się przeliczył. Założył, jak się później okazało błędnie, że sam nigdy nie zdoła bezpiecznie załadować bizanium na statek. Zakopał je więc w grobie Vernona Halla, a oryginalne skrzynki na rudę wypełnił bezwartościowymi kamieniami. Potem prawdopodobnie zostawił swój dziennik u miejscowego pastora, z prośbą o przekazanie amerykańskiemu konsulatowi w Southampton. Przypuszczam, że swój tajemniczy dziennik napisał pod wpływem obłędu, który sprawił, że nie wierzył już nikomu, nawet staremu wiejskiemu pastorowi. Prawdopodobnie liczył na to, że gdyby został zamordowany, to wówczas jakiś domyślny pracownik Ministerstwa Spraw Wojskowych rozszyfruje chaotyczny tekst.

— A jednak udało mu się bezpiecznie załadować skrzynki na statek — stwierdził Donner. — Francuzi mu nie przeszkadzili.

— Według mnie francuskim agentom zaczął się palić grunt pod nogami. Angielscy policjanci musieli pójść śladem trupów dokładnie tak, jak ja to zrobiłem, i deptali prześladowcom po piętach.

— Więc w obawie przed wywołaniem wielkiego skandalu międzynarodowego Francuzi w ostatnim momencie się wycofali — wtrącił Koplina.

— To tylko przypuszczenia — stwierdził Pitt.

— „Titanic”... „Titanic” zatonał i wszystko pogmatwał — rzekł zadumany Sandecker.

— Faktycznie — machinalnie potwierdził Pitt. — Teraz można sobie pogdybać. Gdyby kapitan Smith posłuchał ostrzeżeń o zagrożeniu lodowym i zmniejszył prędkość, gdyby tamtego roku pak nie spłynął tak niezwykle daleko na południe, gdyby „Titanic” nie wpadł na górę lodową i w przewidzianym czasie dotarł do Nowego Jorku, gdyby Brewster nie zginął i opowiedział wszystko wojsku, to wkrótce potem bizanium po prostu by wykopano i zostałoby odzyskane. Z drugiej strony, gdyby nawet Brewstera zamordowano, nim wszedł na pokład statku, Ministerstwo Spraw Wojskowych niewątpliwie by się zorientowało, że jego dziennik ma pod koniec podwójne znaczenie. Niestety los okrutnie sobie zadzwiał: „Titanic” zatonał, pociągając za sobą Brewstera, którego zawołane słowa z dziennika wprowadzały wszystkich w błąd przez siedemdziesiąt sześć lat. I nas także.

— Ale po co zamknął się w skarbcu „Titanica”? — spytał zaintrygowany Donner. — Wiedząc, że statek musi zatonać, i zdając sobie sprawę, że w takiej sytuacji samobójstwo byłoby gestem bez znaczenia, dlaczego nie próbował się ratować?

— Poczucie winy to silny bodziec do samobójstwa — rzekł Pitt. — Brewster był obłąkany. To wiemy na pewno. Kiedy zdał sobie sprawę, że jego plan wykradzenia bizanium kosztował życie kilkunastu osób, w tym ośmiu jego bliskich przyjaciół, których śmierć okazała się daremna, wówczas winą za wszystko obarczył siebie. Wielu mężczyzn, a także kobiet, odebrało sobie życie z o wiele mniej ważnych powodów...

— Chwileczkę — przerwał mu Koplina. Klęczał nad otwartą torbą z instrumentami do analizy minerałów. — Próbkę ziemi pobrana z nad trumny jest radioaktywna.

Kopacze wyszli z grobu. Pozostali mężczyźni otoczyli Koplina ciasnym kołem, z zaciekawieniem przyglądając się jego czynnościom. Sandecker wyciągnął cygaro z wewnętrznej kieszeni marynarki i nie zapalając go wsadził je sobie w usta. Mimo chłodu koszula Donnera była cała mokra. Nikt się nie odzywał. Oddechy mężczyzn zmieniały się w małe obłoczki pary, szybko znikające w szarym świetle poranka.

Koplina badał kamienistą ziemię. Składem różniła się od wilgotnej gleby wokół rozkopanego grobu. Wreszcie mineralog chwiejnie wstał. W ręku trzymał kilka niewielkich grudek.

— Bizanium!

— Czy... czy ono tu jest? — półgłosem spytał Donner. — Czy naprawdę całe bizanium jest tutaj?

— Najwyższej jakości — oświadczył Koplín i uśmiechnął się szeroko. — Więcej niż potrzeba do realizacji „Planu Sycylijskiego”.

— Dzięki Bogu! — wysapał Donner.

Niepewnym krokiem podszedł do najbliższej wystającej z ziemi krypty i ciężko na niej usiadł, pomimo zgorszonych spojrzeń wieśniaków.

Koplín odwrócił głowę i zajrzał do grobu.

— Szaleństwo rzeczywiście jest miarą geniuszu — mruknął. — Brewster wypełnił grób rudą bizanium. Każdy, oprócz zawodowego mineraloga, mógłby tu kopać i nie znalazłby nic poza kośćmi w trumnie.

— Idealny sposób na ukrycie rudy — przyznał Donner. — Praktycznie pod gołym niebem.

Sandecker podszedł do Pitta i uściśnął mu dłoń.

— Dziękuję ci — rzekł po prostu.

Pitt w odpowiedzi jedynie skinął głową. Był zbyt zmęczony i odrętwiały. Pragnął uciec od świata i na jakiś czas o nim zapomnieć. Wolałby, żeby „Titanic” nigdy nie istniał, nigdy nie zjechał z pochylni w stoczni w Belfaście do spokojnego morza, bezlitosnego morza, które zmieniło ten piękny statek w brzydki, pokryty rdzą stary wrak.

Sandecker zdawał się czytać w oczach Pitta.

— Wyglądasz, jakbyś potrzebował wypoczynku — rzekł. — Nie chcę oglądać tej twojej wstrętnej gęby w biurze co najmniej przez dwa tygodnie.

— Miałem nadzieję, że to powiesz — odparł Pitt z bladym uśmiechem.

— Chyba nie masz nic przeciwko poinformowaniu mnie, gdzie zamierzasz się ukryć? — chytrze spytał Sandecker. — Oczywiście, tylko po to, gdybym w razie czego musiał się z tobą skontaktować, jeśli w NUMA nagle coś wypadnie.

— Oczywiście — oschłym tonem powtórzył Pitt. Milczał przez chwilę, a potem rzekł: — Jest pewna stewardesa, która mieszka ze swoim dziadkiem w Teignmouth. Tam możesz mnie złapać.

Sandecker skinął głową na znak, że przyjął to do wiadomości.

Koplín podszedł do Pitta i chwycił go za ramiona.

— Mam nadzieję, że kiedyś znów się spotkamy.

— Ja również.

Donner spojrzał na Pitta wstając.

— Nareszcie się skończyło — powiedział głosem drżącym ze wzruszenia.

— Tak — odparł Pitt. — Wszystko się skończyło i kropka. Wszystko.

Nagle poczuł chłód, bo słowa te zabrzmiały mu znajomo, jakby niosły się natrętnym echem z przeszłości. Potem odwrócił się i wyszedł z cmentarza w Southby.

Wszyscy patrzyli, jak jego sylwetka malała w oddali, póki nie skryła jej mgła.

— Wyszedł z mgły i zniknął we mgle — odezwał się Koplín, wracając myślami do swojego pierwszego spotkania z Pittem na stokach Biednej Góry.

Donner dziwnie na niego spojrzał.

— Coś powiedział?

— Nic, tylko głośno myślałem — odparł Koplín, wzruszając ramionami. — To wszystko.

Sierpień 1988 roku

EPILOG

— Maszyny stop.

W odpowiedzi na komendę kapitana zadzwonił telegraf i ustała wibracja dochodząca z maszynowni angielskiego krążownika „Troy”. Piana wokół dziobu rozplynęła się w czerni morza i okręt powoli tracił prędkość w ciszy, którą zakłócał jedynie szum generatorów.

Noc była ciepła jak na północny Atlantyk. Spokojne morze połyskiwało pod zupełnie czystym, rozgwieżdżonym niebem. Bandera na flaglince zwisała bezwładnie, nie tknięta nawet słabym podmuchem wiatru.

Kiedy ponad dwustuosobowa załoga zebrała się na przednim pokładzie, wówczas wyniesiono martwe ciało, tradycyjnie zaszyte w stare płótno żaglowe i przykryte flagą narodową, a następnie ułożono na desce przy trapie. Później kapitan wyrecytował formułę marynarskiego pogrzebu głosem dźwięcznym i beznamiętnym. Po ostatnich słowach skinął głową. Uniesiono koniec deski i ciało zsunęło się do bezkresnego morza. W cichą noc popłynęły czyste dźwięki trąbki, a potem załoga rozeszła się w milczeniu.

Kilka minut później, gdy „Troy” ponownie był w drodze, kapitan usiadł i dokonał następującego wpisu do dziennika okrętowego:

*H.M.S. „Troy”, 10 sierpnia 1988 r.,
godz.02.20. Poz.: 41°46' N, 50° 14' W.*

Dziś rano, dokładnie o tej samej godzinie, o której zatonął parowiec linii „White Star” m/s „Titanic”, oddano morzu ciało komandora Sir Johna L. Bigalowa, odznaczonego komandorią Orderu Imperium Brytyjskiego i Medalem za Służbę w Rezerwie Królewskiej Marynarki Wojennej, emerytowanego oficera Rezerwy Królewskiej Marynarki Wojennej, zgodnie z jego własnym życzeniem, wyrażonym na łożu śmierci, by na zawsze mógł wrócić do swoich dawnych kolegów ze statku.

Kapitanowi drżała ręka, kiedy się podpisywał. Zamknął ostatni rozdział tragedii, która wstrząsnęła światem... tym dawnym światem, co nigdy już nie powróci.

Prawie w tym samym czasie, po drugiej stronie globu, gdzieś na rozległych, odludnych przestrzeniach Oceanu Spokojnego, ogromne cygaro łodzi podwodnej przesunęło się głęboko pod leniwymi falami. Wystraszone ryby pierzchały na widok tego potwora, w którego wnętrzu przygotowywano się do wystrzelenia czterech pocisków balistycznych na różne cele, położone w odległości dziesięciu tysięcy kilometrów na wschód.

Dokładnie o godzinie 15.00 włączono silnik rakietowy pierwszego wielkiego pocisku, który wzwał zalaną słońcem powierzchnię oceanu spienioną wodą niczym wulkaniczna erupcja i pomknął w błękitne niebo nad Pacyfikiem. Po trzydziestu sekundach jego śladem ruszył drugi pocisk, później trzeci, a na koniec czwarty. Ciągąc za sobą długie ogony pomarańczowych płomieni, niszczycielski kwartet wzbil się łukiem w przestrzeń i znikł.

Trzydzieści dwie minuty później, podczas naprowadzania się na cel w końcowym odcinku trajektorii, pociski kolejno nagle wybuchały w gigantycznych kulach ognia, całkowicie się rozpadając w odległości około stu pięćdziesięciu kilometrów od wyznaczonych celów. Po raz pierwszy w historii amerykańscy specjaliści, inżynierowie i wojskowi, kierujący programami obrony narodowej, z taką radością powitali unicestwienie bezbłędnie wystrzelonych rakiet.

„Plan Sycylijski” już podczas pierwszej próby okazał się całkowitym sukcesem.